



SANKTUARIUM

SARAH FINE

» STRAŻNICY Z KRAINY CIENI «

# **Sanktuarium**

Strażnicy z krainy cieni

Sarah Fine

Tytuł oryginału: *Sanctum*

Redakcja: Urszula Przasnek

Korekta: Monika Mendroch

Skład i łamanie: EKART

Projekt okładki: The Black Rabbit

Mapa: Luka Rejec

Text copyright © 2012 by Sarah Fine. By arrangement with the author.

All rights reserved.

Polish language translation copyright © 2015 by Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

**ISBN 978-83-7686-416-7**

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2015

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.z.o.o)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Mapa](#)

[Prolog](#)

[Pierwszy](#)

[Drugi](#)

[Trzeci](#)

[Czwarty](#)

[Piąty](#)

[Szósty](#)

[Siódmy](#)

[Ósmy](#)

[Dziewiąty](#)

[Dziesiąty](#)

[Jedenasty](#)

[Dwunasty](#)

[Trzynasty](#)

[Czternasty](#)

[Piętnasty](#)

[Szesnasty](#)

[Siedemnasty](#)

[Osiemnasty](#)

[Dziewiętnasty](#)

[Dwudziesty](#)

[Dwudziesty pierwszy](#)

[Dwudziesty drugi](#)

[Dwudziesty trzeci](#)

[Dwudziesty czwarty](#)

[Dwudziesty piąty](#)

[Dwudziesty szósty](#)

[Dwudziesty siódmy](#)

[Dwudziesty ósmy](#)

[Dwudziesty dziewiąty](#)

[Trzydziesty](#)

[Trzydziesty pierwszy](#)

[Trzydziesty drugi](#)

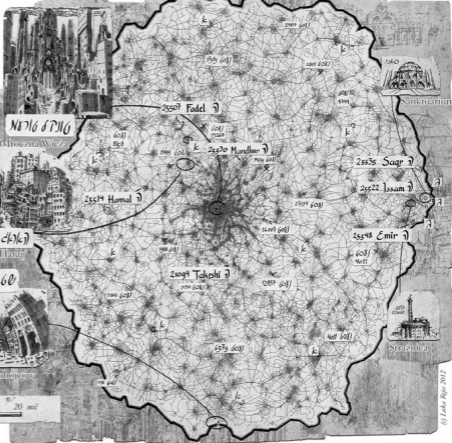
[Podziękowania](#)

*Jennifer, która wspierała mnie od samego początku.*

Narysowany przez Malachiego plan Mrocznego Miasta znajduje się na ścianie w Strażnicy.  
 Niektóre adnotacje dodano dla ułatwienia czytelnikowi.

Legenda

- Posterunki 
- Miejsca śmierci strażników 
- Wylomy 
- Zniszczone gniazda 



## PROLOG

Gdyby ktoś mi powiedział, że pierwszego dnia w ogólniaku w Warwick z własnej nieprzymuszonej woli nadstawię karku za jakiegoś ucznia i że będzie nim sama królowa popularności, roześmiałabym mu się w twarz. A może nawet dźgnęłabym piórem kulkowym (to był raczej ciężki dzień).

Podczas przerwy na lunch stałam za szkołą i zapalałam właśnie upragnionego papierosa, gdy nagle ją zobaczyłam. Ładna blondynka ubrana w ciuchy, na które nie starczyłoby rocznej zapomogi przyznawanej na dziecko przebywające w rodzinie zastępczej. Spojrzeniem błękitnych oczu obrzuciła grupkę stojącą przy murku i zatrzymała wzrok na stojącym obok mnie wysokim chudzielcu w brudnych dżinsach. Powoli podeszła do niego.

– Angela mówiła, że masz oxy – zagaiła niepewnie.

Brudne Dżinsy odkleił się od ogrodzenia.

– Może i mam, zależy, co ty masz dla mnie.

Dziewczyna bez słowa sięgnęła do torebki i wyjęła kilka banknotów. Miałam ochotę trzepnąć ją w ten głupi łeb. Nikt jej nie powiedział, że nie wolno tak ludziom wymachiwać kasą przed nosem?

Brudne Dżinsy przyparł ją do ogrodzenia.

– Oj, chyba masz dla mnie coś więcej – stwierdził z uśmieškciem. – To twój pierwszy raz?

Zaraz, jak to się nazywa? Jakoś z francuska. Aluzja, cholera. Już wtedy powinnam mu zgasić peta w oku. I z pewnością nie byłam jedyną dziewczyną, która miewa takie fantazje.

Twarcz blondynki skurczyła się z lęku.

– Pierwszy raz..? Ach, tu? Tak?

Nie widziała, że ten śmieć chce się do niej dobrać? Oczywiście zamierzał też zabrać jej kasę, ale o to sama się już prosiła. Sądząc jednak po tym, jak na nią patrzył, dałabym głowę, że podwyższy stawkę za działkę. A o to już się nie prosiła. Powinnam mieć to gdzieś. Już dość się nasłuchałam zjadliwych komentarzy od takich jak ona na temat moich włosów i ciuchów z hipermarketowej wyprzedaży. Czepiały się mnie od samego rana, gdy tylko weszłam do sekretariatu eskortowana przez nową matkę zastępczą i kuratora. Widziałam, jak te wymuskane dziewczątka cofają się, kiedy przechodziłam obok nich korytarzem. Słyszałam, jak cichcem gadają, że kogoś zabiłam. Bzdura. Prawie zabiłam. A prawie robi wielką różnicę. Jasne,



spodziewałam się takiego gadania i tych zmarszczonych z dezaprobatą brwi, dlatego też od razu powiedziałam sobie, że mam gdzieś, co o mnie myślą, i w ogóle mam gdzieś takie jak ona. Dlatego powinno po mnie spłynąć, że jakaś pensjonarka lada moment zawrze bliższą, niż by chciała, znajomość z pseudodilerem prochów.

A jednak... Kiedy zobaczyłam, jak z jej i tak bladej twarzy odplywa cała krew, wiedziałam, że nie potrafię na to spokojnie patrzeć.

Zdusiłam niedopałek i podeszłam do nich. Nie jestem duża, ale też nie należę do tych anorektycznych fanek selerów naciowych. Umieję robić prawdziwe pompki. W końcu miałam sporo wolnego czasu w ZPRI, poprawczaku na Rhode Island. I dobrze wiedziałam, jak ważne jest, żeby umieć się obronić. Tę wiedzę zdobyłam, przebywając w rodzinie zastępczej Ricka Jensa. Po kilku miesiącach spędzonych pod jego „opieką” próbowałam się zabić, a kiedy ten rodzaj ucieczki okazał się nieskuteczny, spróbowałam innego. Spuściłam mu łomot i w efekcie wylądowałam w poprawczaku. A tam nauczyłam się nie bać takich cieniaś jak Brudne Dżinsy.

– Daj spokój – warknęłam, podchodząc. – Sprzedaj jej te tabsy i niech śmiga do swoich psiaśpiólek.

– Zamknij się – odszczeknął Brudne Dżinsy i zbliżył się do dziewczyny. Nawet na mnie nie spojrział. Uważał, że nie stanowią dla niego zagrożenia. Cudnie.

Dźwięk dzwonka obwieścił koniec przerwy na lunch. Byłam o krok od ponownej wizyty w poprawczaku, powinnam więc grzecznie wrócić do klasy, ale nie potrafiłam tak po prostu zostawić tej blondynki. Wiedziałam, jakie to uczucie być tak przygwożdżonym, bezradnym, nie potrafiłam tego zapomnieć, bez względu na to, jak bardzo się starałam.

– Weź kasę – pisnęła – i daj mi iść na lekcje.

– No co ty, w takiej chwili? Musimy jeszcze obgadać cenę – zagruchał Brudne Dżinsy, lypiąc na mnie z ukosa. Niemal widziałam kółka zębate obracające się w jego maleńkim mózdzku. Normalnie myślał, że dostanie dwa w cenie jednego, normalnie myślał, że ja na to pójdę. I proszę. Zarzucił mi ramię na kark.

– Mam ochotę poczuć te śliczne usteczka na moim... – powiedział do blondynki.

Grzmotnęłam go w żołądek, aż zgiał się wpół. Odwróciłam się do dziewczyny. Wyglądała, jakby zaraz miała się porzygać.

– No, na co czekasz? Zbieraj du...

Brudne Dżinsy chwycił mnie za włosy i szarpnął w tył. Z całej siły nadepnęłam mu obcasem na stopę i uderzyłam łokciem w brzuch. Jęknął i puścił mnie. Błyskawicznie znalazłam się za jego plecami i wyciągnęłam jedyną broń, jaką miałam w kieszeni – pióro kulkowe. Celny kopniak pod kolano i po chwili to ja trzymałam go za włosy. Nie puściłam nawet wtedy, kiedy opadł na klęczki. Szarpnięciem odchyliłam mu głowę, przykładając czubek pióra do gardła.

– To jak, wracamy do klas? – Postanowiłam sprawić sobie przyjemność i przycisnęłam pióro, ale tylko trochę. Na skórze pojawiło się wgłębienie z niebieską kropką pośrodku.

Zaczął podnosić ręce, ale natychmiast je opuścił, gdy tylko kulkowy czubek wbił się głębiej.

– Jak chcesz, ale dorwę cię po lekcjach... – wycharczał, krzywiąc się.

Poruszyłam jego głowę w przód i w tył.

– Możesz sobie udawać wielkiego gangstera przed bogatymi kolegami, ale na mnie nie robi to wrażenia. Mrugnij tylko w moją stronę, a wpierdolę ci tak, że długo nie wstaniesz. Może nawet zaproszę do zabawy kumpli z Providence, uwielbiają takie imprezy. Masz ochotę ich poznać?

Tak naprawdę nie znałam stamtąd nikogo, ale kiedy ktoś z moją reputacją wspominał o „kumplach z Providence”, takim dzieciakom jak on wyświetlało się jedno – Królowie Latino. A skoro i tak zostałam zaszufiadkowana, to niech czasem coś z tego mam.

Brudne Dżinsy pokręcił głową. Nie patrzył mi w oczy, czyli nie odpuścił i przy pierwszej okazji będzie szukał zemsty. Nagle poczułam znużenie. Puściłam go.

– Słyszałem o tobie. Ty jesteś tą laską, co dopiero wyszła z poprawczaka – mówił, tryskając śliną. – A to znaczy, że jesteś na warunkowym. – Zaczął się podnosić. – I wiesz, co jeszcze? Że zaraz tam wrócisz...

– Na pewno nie – warknęła blondynka, o której prawie zapomniałam. – Piśnij o tym, co się tu stało, a pójdę prosto do dyra i tymi ślicznymi usteczkami opowiem z płaczem, jak na mnie napadłeś i próbowałeś zgwałcić. Zobaczmy, kto wtedy wyląduje w poprawczaku.

Zaczynałam lubić tę dziewczynę.

Brudne Dżinsy zaniemówił. Owszem, wszyscy by uwierzyli w historyjkę, że to ja go zaatakowałam, ale już nikt by jej nie kupił, gdyby ona mnie nie poparła.

– Lepiej się pilnuj, suko – rzucił na odchodnym i pobiegł do szkoły.

Dziewczyna odwróciła się do mnie. Od razu było widać, że ulżyło jej tak bardzo, aż nogi się pod nią ugięły.

– Dzięki ci wielkie – wyciągnęła ku mnie drżącą rękę. – Jestem Nadia Vetter.

Gest wydał mi się tak oficjalny, że o mało co nie wybuchnęłam śmiechem, psując wszystko. Powstrzymałam się jednak i uściśniłam jej dłoń.

– Lela Santos – przedstawiłam się. – I nie ma sprawy. Tobie też dzięki.

Jęknęłam, kiedy znów zadzwonił dzwonek. Nadia przekrzywiła głowę.

– Co masz teraz?

– Angielski. Z... – Wyjęłam z kieszeni pognieciony plan lekcji. – Z jakąś Hoffstedler.

Zerknęła na kartkę, sprawdzając numer sali.

– Mam historię korytarz dalej. Odprowadzę cię. – Ruszyła w stronę budynku, potem jednak zatrzymała się i spojrzała przez ramię. – Idziesz? Lepiej będzie, jak cię zaprowadzę, wtedy

będziesz mogła zwalić na mnie, upiecze ci się spóźnienie. – Uśmiechnęła się promiennie. – Mnie zawsze wybaczą.

Otworzyłam i zamknęłam usta. Mój mózg usiłował przetrwać to nowe zjawisko. Spodziewałam się, że dziewczyna wybąka podziękowania, a potem będzie udawała, że nie istnieje, a tu proszę, zachowywała się całkiem przyjaźnie. W końcu zrezygnowałam z poszukiwania właściwych słów i zwyczajnie poszłam za nią.

Gdyby ktoś mi powiedział, że drugiego dnia w liceum Warwick nadstawię karku za szkolną królową popularności, może nawet bym mu uwierzyła.

# PIERWSZY

*Rok później*

**S**ilne, wyćwiczone mięśnie napinały się, unosząc mnie i opuszczając. I jeszcze raz, i jeszcze, aż do czasu, kiedy ramiona zaczęły drżeć z wysiłku, a oddech stał się chrapliwy i urywany. I jeszcze kilka dodatkowych pompek, żeby udowodnić sobie, że dam radę. Podniosłam się i od razu przeszłam do brzusków.

Kolejną serię przerwało pukanie.

– Słonko? Co u ciebie tak cicho?

Odgarnęłam mokre od potu loki i spojrzałam na drzwi. Uchyliły się, a w szparze pojawiła się głowa mojej matki zastępczej, Diany.

Usiadłam i otarłam twarz rękawem.

– Już kończę. Możesz wejść.

Otworzyła drzwi szerzej i stanęła w progu.

– Ciężko nad sobą pracujesz.

Wzięłam ze stolika szklankę z wodą.

– To chyba dobrze?

Wskazała brodą zarzucone książkami i papierami biurko.

– Skąd ty masz tyle energii? Siedzisz przecież do późna w nocy. – Jej ciemna skóra na czole zmarszczyła się głęboko. – Na pewno za mało sypiasz.

Przez kilka ostatnich lat spanie nie kojarzyło mi się z wypoczynkiem, ale nie rozmawiałam z nią o tym.

– Miałam sporo do nadrobienia. – W przeciągu tego roku, od kiedy zamieszkałam z Dianą, udało mi się podciągnąć średnią powyżej cztery-zero, ale ledwo ledwo.

– Zrobiłaś znacznie więcej. Sprawdziałaś pocztę?

– Uhm. Nic.

Wzruszyła ramionami.

– Przyjdzie. Mam dobre przeczucia.

Czasami miałam wrażenie, że to podanie, które wysłałam do college'u, było ważniejsze dla Diany niż dla mnie. Jednak, choć ciężko było mi się do tego przyznać, zaczynałam mieć nadzieję na przyszłość, która jeszcze niedawno wydawała mi się nieosiągalna.

– Macie na dzisiaj jakieś plany z Nadią?

– Idę do niej na noc. Jej mama pojechała na Seszele z nowym facetem.

– Tylko nie narób żadnych głupot.

Nigdy nie robiłyśmy żadnych głupot, dlatego właśnie Diana tak lubiła Nadię. Poza obsesją na punkcie perfekcji, Nadia była perfekcyjna. Zmarszczyłam lekko brwi. A może jednak nie. Ostatnio wydawała się jakaś spięta.

Po szybkim przysnyciu wrzuciłam rzeczy do plecaka i wyszłam. Nadia mieszkała niedaleko, ale skręcając w jej ulicę, przekraczało się granicę innego świata. Zawsze zastanawiałam się, czy na mój widok jej sąsiedzi zamykają drzwi i opuszczają żaluzje. Albo raczej, czy robi to ich płatna siła robocza.

Stara, zdezelowana corolla, którą pożyczył mi wuj Diany, wydawała się jeszcze bardziej sfatygowana, kiedy zatrzymałam się na podjeździe do domu Nadii tuż przed rzędem drzwi garażowych. Zaparkowałam przy bmw należącym do Tegan. Przyjaciele Nadii zwykle ulatniali się, kiedy miałam do niej wpaść. Mimo że przyjaźniłyśmy się już od roku, nie mogli – szczególnie Tegan – przeboleć, że trzyma z kimś mojego pokroju. Ale jakiś tydzień temu Nadia straciła cierpliwość i oświadczyła przyjaciółce, że nie zamierza zakończyć znajomości ze mną, więc Tegan także musi ze mną rozmawiać. Szkoda tylko, że wcześniej tego ze mną nie ustaliła.

Nadia otworzyła drzwi, jeszcze nim do nich dotarłam.

– Planowałam rozwijać waszą znajomość metodą małych kroków, ale terapeuta Tegan uważa, że powinna „nawiązać z tobą relację”.

– Brzmi... strasznie.

Zagryzła wargi, na wpół śmiejąc się, na wpół krzywiąc.

– Nie wściekaj się.

Zarzuciłam plecak na ramię i ostrożnie weszłam. Jakiś czas temu udało mi się przewyciężyć pokusę natychmiastowego uduszenia Tegan.

– Nie ma sprawy. Dopóki nie zaczniesz paplać o totalnej zmianie wizerunku. Wtedy nie ręczę za siebie.

Ponad ramieniem Nadii pojawiła się twarz Tegan, okolona stylowo postrzępionymi brązowymi kosmykami.

– Cześć, Lela. Fajnie, że kurator pozwolił ci przyjść. – Podała Nadii butelkę napoju.

Tegan była beznadziejna w nawiązywaniu relacji.

Nadia wzięła butelkę i lekko stuknęła nią Tegan po głowie.

– Przestań. Chcę się dzisiaj wyluzować.

Tegan pokazała jej język, a potem znów zwróciła się do mnie.

– Hej, czytałam, że w weekend jest festiwal kultury dominikańskiej. Może wyskoczymy? Pokażesz nam swój rodzinny folklor...

Zamknęłam oczy i potrząsnęłam głową. Naprawdę stanowczo wołałam tę dawną Tegan,

która się do mnie nie odzywała.

– Lela nie pochodzi z Dominikany – odpowiedziała za mnie Nadia.

– Ale jakoś z tamtej okolicy, nie? – Tegan wyglądała na szczerze stropioną. Pewnie dlatego, że byłam jedyną kolorową, z jaką kiedykolwiek rozmawiała. – To skąd jesteś?

– Hm, stąd.

Przewróciła oczami.

– No, ale tak naprawdę.

Zacisnęłam dłoń na pasku plecaka, aż pobiełały mi knykie.

– Stąd.

– Ej, wrzuć na luz, Lela. Powiedz, może twoi ziomkowie też urządzają festiwal swojej kultury.

– Chyba z Puerto Rico – westchnęłam.

– Chyba? Takie rzeczy chyba się wie na pewno?

Nadia podała mi butelkę z napojem.

– Masz, pod warunkiem, że jej nie zabijesz.

– Cóż, Tegan – wycedziłam tonem informującym, że dla niektórych śmierć to zdecydowanie za mało. – Ostatni raz widziałam matkę, kiedy miałam cztery lata, i jakoś nie przyszło mi wtedy do głowy, żeby wypytać ją o drzewo genealogiczne.

Tegan skinęła głową z taką miną, jakbym właśnie oznajmiła jej, że lubię oglądać „Kawalera do wzięcia” albo coś w tym stylu.

– Szkoda. Myślałam, że może jesteś Kubanką. Uwielbiam ichnie kanapki.

Nadia przymknęła oczy, z rezygnacją potrząsając głową.

– Wiesz co, może lepiej zamów pizzę – westchnęła, wręczając przyjaciółce ulotkę.

Tegan machnęła na nas dłonią z wypielęgnowanymi paznokciami i zniknęła w kuchni.

Odkładając w salonie plecak, dostrzegłam leżącą na stole grubą kopertę z logo uniwersytetu z Rhode Island.

– O rany! Czy to jest to, o czym myślę?

– Przyszło dzisiaj – przytaknęła Nadia. – A ty dostałaś?

– Nie. Znaczy, jeszcze nie. – Wzięłam do ręki kopertę i zapatrzyłam się na nią. – Gratuluję. – Uśmiechnęłam się szeroko. – No to mamy co dzisiaj świętować.

Uśmiechnęła się samymi ustami.

– Dzięki. – Odwróciła się i ruszyła do kuchni. Najwyraźniej oczekiwała, że pójdę za nią. Ja jednak stałam z kopertą w ręku, zastanawiając się, co się zmieniło. Pół roku temu niemal siłą zmusiła mnie do złożenia papierów na uczelnię. Wcześniej nawet nie myślałam o przyszłości, zbyt zajęta byłam przetrwaniem kolejnego dnia. Poznanie Nadii wszystko zmieniło. Wypełniłam

dokumenty i wysłałam podanie. Początkowo Nadia miała bzika na temat uczelni. Zabrała mnie na wycieczkę do kampusu i cały czas mówiła, jakby to było wspaniale, gdybyśmy obie dostały się na uniwersytet. Ostatnio jednak przestała o tym mówić. Odłożyłam kopertę i poszłam do kuchni.

Kilka godzin później siedziałyśmy w pokoju telewizyjnym, gapiąc się w wielki ekran. Tegan odpadła po trzecim kieliszku wina.

Nadia tuliła do siebie kieliszek, jakby się bała, że go upuści.

– Ty pierwsza pogratulowałaś mi dostania się do URI. Na Tegan nie zrobiło to wrażenia, bo ona idzie na prywatną uczelnię, Wellesley, a mama...

Odstawiłam szklanekę i ściszyłam telewizor.

– Rozumiem, że nie jest zachwycona?

Pani Vetter często była niezadowolona, zwłaszcza jeśli w grę wchodziła moja przyjaźń z Nadią. Ale ponieważ nie znałam jej przed śmiercią męża, ojca Nadii, starałam się jej nie osądzać. Nadia przytaknęła i wzięła łyk wina.

– Chce, żebym poszła razem z Teg, na Wellesley. – Uśmiechnęła się smutno. – A ja wolałabym zostać tutaj. Dla taty URI był wystarczająco dobrą uczelnią...

Podeszłam do okna, rozsunęłam ciężkie story i zapatrzyłam się na zatokę Narragansett. To Nadia namówiła mnie na uczelnię i cały czas wyobrażałam sobie, że będziemy studiować razem.

Kiedy się odwróciłam, patrzyła na mnie, jakby odgadywała moje myśli.

– Ja też bym za tobą tęskniła, Lela. Ale nie martw się. Będziemy studiowały razem. Musisz przy mnie być, żebym pozostała przy zdrowych zmysłach.

Nie pierwszy raz mi to mówiła. Że tylko dzięki mnie jeszcze nie oszalała.

– Przecieniasz mnie – wymamrotałam.

– Nie, to ty siebie nie doceniasz. Wiesz, że cię potrzebuję. Przydadzą się te twoje super umiejętności, żeby codziennie rano wykopać mnie z łóżka na zajęcia. – Splotła ręce pod brodą i zatrzepotała rękami. – Będę mogła z tobą mieszkać?

– Chcesz ze mną mieszkać? Widziałas, jak wygląda mój pokój? – Zaśmiałam się, starając się nie rozbudzać w sobie nadziei. Nie miałam jeszcze nawet potwierdzenia, że się dostałam.

Wzruszyła ramionami.

– Trochę zagracony. No i widać, że masz tę dziwną obsesję na punkcie fotografii. Ale jakoś to przeżyję.

– Ej! Przecież to ty mi dałaś aparat.

Roześmiała się.

– I ciągle jeszcze pluję sobie w brodę. Stworzyłam potwora.

Przez większość dotychczasowego życia usiłowałam zapomnieć o tym, co mi się przytrafiło,

od kiedy jednak poznałam Nadzię, coraz częściej zdarzały się chwile, które chciałam zachować we wspomnieniach. A gdy na siedemnaste urodziny podarowała mi aparat fotograficzny, miałam wrażenie, że wraz z nim dała mi zezwolenie na uwiecznianie tych chwil. Jakby potwierdziła, że nasza przyjaźń jest rzeczywista.

– W swoje urodziny nie narzekalaś.

– Fakt. To zdjęcie, które mi podarowałaś, jest piękne.

Włożyłam wiele wysiłku w sfotografowanie jej ulubionego miejsca na wybrzeżu Newport. Godzinami siedziałam na skałach, czekając, aż słońce oświetli je właściwie.

Nadzia uśmiechnęła się, jakby wiedziała, o czym myślę.

– Kupiłam do niego nową ramkę. Możemy powiesić je w naszym pokoju w akademiku! – Objęła mnie ramieniem. Drgnęłam gwałtownie – reakcja, nad którą zupełnie nie panowałam. Rok przyjaźni, a ja nadal obawiałam się kontaktu fizycznego. Zbyt wiele razy byłam dotykana wbrew sobie i mimo najszczerszych chęci nie zdołałam wyzbyć się odruchu ucieczki przed dotknięciem. Odsunęła się z przepaszającym uśmiechem, przez który poczułam się jeszcze gorzej. Nie zrobiła przecież nic złego. To nie jej wina, to ja miałam problem.

Ze snu wyrwał mnie cichy grzechot. I dobrze, bo miałam kolejny koszmar. Można by pomyśleć, że po tym wszystkim, co zrobił mi Rick, były już ojciec zastępczy, to właśnie on powinien nawiedzać mnie w koszmarach. Owszem, miał z nimi coś wspólnego – w noc, kiedy próbowałam popełnić samobójstwo, przywrócił mnie do życia. Tuż przed tym stałam u bram piekieł, które lada moment miały mnie wessać. Niestety, kiedy Rick mnie odratował, zabrałam ze sobą do świata żywych okrusz piekła. I To właśnie prześladowało mnie nocami. Każdej nocy. Ciemne, otoczone murami miasto. I ja, błakająca się, zagubiona, uwięziona. I ten szept: *„Jesteś idealna. Wróć. Zostań.”*...

Przeszył mnie dreszcz. Usiadłam i otrząsając się z resztek snu, zaczęłam nasłuchiwać. Z kanapy na drugim końcu pokoju dobiegało ciche chrapanie Tegan. Ale Nadii nie było. Wstałam i ze ściśniętym żołądkiem podeszłam do drzwi łazienki, spod których sączyła się smuga żółtawego światła. Usłyszałam cichy jęk. Zaciśnęłam zęby i zapukałam.

– Nadzia?

– Zaraz wychodzę.

Złapałam za klamkę.

– Wchodzę.

Siedziała na posadzce, pospiesznie ocierając łzy wierzchem dłoni, w której zaciskała fiolkę z pigułkami. Zamknęłam za sobą drzwi i usiadłam naprzeciw niej.

– Co jest?

Zamknęła oczy.



– Nie mogłam zasnąć.

Wyjęłam z jej osłabłych palców brązową buteleczkę ze zdartą częściowo naklejką. Odkręciłam nakrętkę i zajrzałam. Małe zielone pigułki z wyciśniętymi literami „o c”. Niech to szlag.

– Mówiłaś, że z tym skończyłaś.

I to nie raz. A ja za każdym razem chciałam wierzyć, że to prawda.

Uśmiechnęła się upiornie.

– Skończyłam. I skończę. Tylko że ostatnio miałam dużo stresów.

– Rozumiem. Ale to cię tylko ogłupia i usypia.

Kiedy brała te piguły, nie była sobą, co mnie doprowadzało do szału. Bez nich była moją przyjaciółką, dziewczyną, która przebiła się przez otaczający mnie mur, która zdobyła moje zaufanie, dzięki której uwierzyłam, że wszystko będzie dobrze. Tymczasem zielone pigułki sprawiały, że ta dziewczyna... znikala.

Pociągnęła nosem.

– To rodzaj ucieczki, Lela. A ty nigdy nie chciałaś uciec?

Parsknęłam z goryczą.

– I owszem. Raz nawet próbowałam. Przereklamowana sprawa.

– Czasem jestem tak zmęczona, że tylko marzę, żeby zapaść w sen. – Przyciągnęła kolana pod brodę i zerknęła na mnie niepewnie. – A czasem chciałabym się już nigdy nie obudzić.

Poczułam na karku i dłoniach zimny pot. Gwałtownie nabrałam powietrza, starając się zapanować nad głosem.

– Nie wiesz, o czym mówisz. Uwierz.

Zmarszczyła czoło.

– Kilka lat temu próbowałam ze sobą skończyć. – Zacisnęłam powieki, z trudem wypychając słowa z gardła.

– Co?!

– Tak. Było... Bardzo ciężko. Chciałam uciec. Zarzuciłam sobie pasek na szyję i zacisnęłam.

Usłyszałam, jak się porusza, a potem poczułam jej palce zamykające się na moim przegubie.

– Boże, Lela. Co się stało?

Otworzyłam oczy i wbiłam wzrok w jej jasne palce kontrastujące z moją skórą. Były ciepłe i wilgotne. Cofnęła rękę.

– W pierwszej chwili myślałam, że mi się udało. Czulałam się wspaniale. Jakbym frunęła. – Popatrzyłam na nią. – To przez brak tlenu w mózgu.

Wzdrygnęła się.

– Ale potem zaczęłam spadać. Uderzyłam o ziemię. Mocno. – Zacisnęłam usta, wrażenia ponownie wezbrały w mojej głowie i ponownie wróciłam do chwili, kiedy umarłam.

Moje palce zaciskające się kurczowo znalazły kamień brukowy, czułam, jak ziemia wchodzi mi pod paznokcie. Podniosłam głowę i ujrzałam Bramę. Jej skrzydła rozwarły się szeroko niczym szczypce ogromnego owada, kolczaste zwieńczenia wyciągały się ku fioletowoczarnemu niebu, a zawiasy zgrzytały bez końca.

Wstałam.

Za Bramą leżało miasto skąpane w ciemności.

Mój nowy dom.

Wczepiło się we mnie niczym harpun i zaczęło ciągnąć. Moje boscie stopy poruszyły się bez udziału woli, podeszwy plaskały na nierównym bruku. Trącały mnie czyjeś barki.

Ktoś na mnie wpadł, chwycił za koszulę nocną. Wyrwałam się. Znajdowałam się pośród nieskończonego tłumu ludzi bez twarzy, sunącego niczym fala zombie ku Bramie.

Zamrugalam. Nadia wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Uderzyłaś... Jak to? – szepnęła.

– Nie wiem. Może tak wygląda śmierć. Jak uderzenie o dno. – Mówiłam powoli, starannie dobierając słowa. Tak bardzo pragnęłam jej powiedzieć: „Jeśli się zabijesz, trafisz do miejsca, gdzie są potwory.” Jednak z doświadczenia wiedziałam, że ludzie, którzy opowiadają takie rzeczy, kończą w psychiatryku. Czasami zastanawiałam się, czy nie tam właśnie jest moje miejsce. Zadrżałam.

Przed Bramą stały zwaliste istoty podobne do ludzi, ale nie byli to ludzie. Miały na sobie broje niczym jak średniowieczni rycerze, a do pasów przytroczone zakrzywione miecze. Popychali ludzi przez Bramę. Wyśmiewali się i szydzili, a ich oczy jarzyły się jak latarnie. Jeden z nich krzychał: „Witamy przy Bramie Samobójców!”. I tak w kółko, raz po raz, aż jego wrzaski zaczęły pulsować w mojej głowie rytmicznym echem.

Zerwałam się na równe nogi. Nadal uwięziona we wspomnieniach, złapałam stojący na umywalce kubek i trzęsącymi się rękoma odkręciłam kran.

W którą stronę się nie odwróciłam, Brama zawsze znajdowała się przede mną, nieustępliwie mnie wysysając. Potem usłyszałam głos Ricka, który pochwycił mnie jak sieć. „Ocknij się, ty mała dziwko!”. Siarczasty policzek i głowa odskoczyła mi na bok. Pod policzkiem poczułam grzyły ohydny żółty dywanik łazienkowy. Pas zniknął z szyi, zwiślał teraz z wielkiego łapska mojego zastępczego ojca, który kucał i wymachiwał mi nim przed twarzą. „Co ty, kurwa, wyprawiasz? Próbujesz zwrócić na siebie uwagę? Mało ci jeszcze?”. Uszczypnął mnie w biodro, a potem opadł na czworaka, przygniatając mnie swym cielskiem i chuchając w nos piwnym smrodem. Tym razem byłam zbyt oszołomiona i zdezorientowana, by walczyć.

Pomacałam szyję. Skrzywiłam się, gdy palcami i natrafiłam na opuchniętą, poobcieraną pręgę. Spojrzałam w twarz Ricka, wykrzywioną z wściekłości i strachu. Ale dojrzałam w niej jeszcze coś,

przebysk podniecenia, na widok którego zółdek podszedł mi do gardła. Dobrze wiedziałam, co zaraz nastąpi.

Kiedy rzucił mnie na łóżko, ponad szum w uszach nadal wybijało się echo głosów strażników-potworów. Tłuste paluchy Ricka złapały mnie za kark, ciągnąc boleśnie za przepoczone, splątane włosy. Leżałam z twarzą wciśniętą w pościel, a jego łagodne słowa przerażały mnie bardziej niż wcześniejszy gniew. „Nie bój się, małeńka, nie pozwolę, żeby coś ci się stało”.

Potem jak przez mgłę słyszałam chrapliwe zapewnienia, że mam szczęście, bo znalazł mnie na czas, że nie da mi zgnić w psychiatryku ani na ulicy, że nic nie powie, jeśli i ja będę milczała, że i tak nikt mi nie uwierzy, i że nigdy nie będzie mi tak dobrze... Gapiałam się w ścianę, ale widziałam tylko wzywającą mnie do powrotu rozwartą Bramę Samobójców. I ten widok przejmował mnie bólem o wiele większym niż to, co robił Rick. Bo teraz wiedziałam już, że śmierć nie jest ucieczką.

Zamrugalam, wracając do rzeczywistości. Woda z kranu płynęła szerokim strumieniem.

– Wierz mi – powiedziałam, zakręcając wodę. – Nie ma żadnego lepszego, szczęśliwszego miejsca. Ucieczka niczego nie załatwi. Nie będzie też lepiej, jak zamienisz się w zombiaka. Musisz zakasać rękawy i zabrać się za to gówno tu. I to na trzeźwo.

– Łatwo ci mówić. Nie pijesz, nie bierzesz. Jesteś silna. A ja nie umiem nawet postawić się matce. – Głos miała ochryply, jakby bardzo starała się nie płakać.

Spojrzałam na nią. Wcale nie byłam silna. Nie brałam prochów tylko dlatego, że bałam się utraty kontroli i przerażała mnie myśl, że w razie czego nie będę w stanie się obronić. A to, co działo się w mojej głowie na trzeźwo, było wystarczająco straszne. Gdybym była silna, poradziłabym sobie z tym, zapomniałabym. Minęły dwa lata, odkąd próbowałam się zabić. Moje życie zmieniło się na lepsze. Ale każdej nocy mroczne miasto znów próbowało mnie wessać, jakby nie wypuściło mnie całkiem ze swych szponów, mimo iż wróciłam do świata żywych. Czasami to okropne miejsce pojawiało się też na jawie, jakby ciągle czekało na mój powrót. I ten mroczny, niski szept nalegający, bym tam została. *Idealna*, powtarzał niewidzialny potwór, a ja czułam na karku jego gorące tchnienie. *Jesteś idealna*. Za każdym razem wyrывałam się z tego koszmaru albo tarłam oczy, dopóki wokół nie pojawił się znów prawdziwy świat. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nie zostawi mnie w spokoju. Miałam teraz dla czego żyć. Nie zamierzałam tam wracać.

Odstawiłam kubek i oparłam się o umywalkę.

– Jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. Inaczej nie dałabyś rady się ze mną przyjaźnić. – Uciekałam się do humoru, chwytając się wszystkiego, co pomogłoby mi rozpedzić kłębiące się pod czaszką wspomnienia.

Uśmiechnęła się, przewracając oczami.

– Nie ułatwiasz mi tego.

Uspokoiliam się, słysząc w jej głosie nutę rozbawienia. Brzmiała już prawie jak prawdziwa ona.

Dodało mi to odwagi. Podniosłam z podłogi fiolkę i podałam jej.

– I nie zamierzam. A teraz wrzuć to do kibla.

Wzięła buteleczkę i przez chwilę bacznie się jej przyglądała. Trudno powiedzieć, czy zamierzała się sprzeciwić, czy nie, ale wreszcie popatrzyła na mnie i kiwnęła głową. Miała spowolnione ruchy, czyli wzięła już tyle tabletek, że była teraz oszołomiona. Mimo to posłusznie wyspała pigułki do muszli i spuściła wodę.

– Jeśli znów cię najdzie, pogadaj ze mną. Tylko nim pójdziesz do diler, dobrze?

Zaczerwieniła się.

– Jasne. Ale już wszystko gra. Naprawdę. – Popatrzyła mi w oczy. – Nie mów nikomu, dobrze? To przez nerwy. – Podchwyciła moje spojrzenie pełne wątpliwości i roześmiała się. – Daj spokój, Lela. Wystarczy, że ucieknę w świat jakiegoś starego, szmirowatego filmidla. Chodź, wzywa nas Van Wilder. I to po imieniu.

Zachichotałam. Poczułam się tak, jakby mi z serca spadł jakiś wielki ciężar. Bez niego szybko wrócił mi humor.

– Ech, czego się nie robi dla przyjaciół.

## DRUGI

Przez kolejne tygodnie po tej naszej babskiej nocy Nadia była wyjątkowo zajęta. Miałam wrażenie jednak, że czuje się lepiej, że znów jest sobą. A mimo to zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie unika mnie celowo. W końcu udało mi się złapać ją po lekcjach. Zaproponowałam, byśmy coś razem porobiły, ale wykręciła się czymś ważnym do zrobienia w domu. Znowu.

Kiedy wróciłam do domu, Diana czekała na mnie na ganku, niemal podskakując z podniecenia. – Przyszło! – zawołała, gdy tylko otworzyłam drzwiczki, i zbiegła po betonowych schodach, wymachując grubą kopertą. – Umieram z niecierpliwości. Nie każ mi dłużej czekać. – Wetknęła mi kopertę do ręki i aż podrygiwała, kiedy drżącymi palcami rozdierałam papier. Pomyślałam, że pewnie komisja od razu wyśmiała i wyrzuciła moje podanie do śmieci.

Przebiegając wzrokiem tekst, czułam, jak moje wargi rozciągają się w szerokim uśmiechu. Młodociana przestępczyni wykonała obrót o sto osiemdziesiąt stopni i zmieniła się w studentkę. Przeczytałam kartkę od deski do deski i przewróciłam na drugą stronę, spodziewając się formularza rekrutacyjnego czy czegoś w tym rodzaju.

– O Boże – wykrztusiłam, czytając drugie pismo. – Przyznali mi stypendium...

Nim zdążyłam się uchylić, Diana już zmiażdżyła mnie w uścisku. Moja głowa wciśnięta w jej biust podskakiwała w rytmie jej podrygów, którym towarzyszyły okrzyki i szloch. Nie mogłam złapać oddechu, chciałam się wyrwać, ale to było również jej pięć minut. Przyjęła mnie, kiedy żaden inny rodzic zastępczy nie chciał ryzykować. I wygrała.

Pozwoliłam ścisnąć się jeszcze przez kilka sekund, a potem pomachałam listem, żeby odwrócić od siebie jej uwagę. Złapała przynętę i znów byłam wolna. Odsunęłam się, wyjęłam z kieszeni komórkę i zadzwoniłam do Nadii. Nie odebrała.

– Słonko! Dzisiaj na obiad zrobisz ci to, na co będziesz miała ochotę – ogłosiła Diana, wycierając oczy. – Co tylko zechcesz.

– A możemy to przełożyć na kiedy indziej? Chcę się pochwalić Nadii. – Bez względu na to, czym była zaabsorbowana, ta wiadomość z pewnością ją ucieszy.

Diana kiwnęła głową i oddała mi list.

– Oczywiście, jedź. I podziękuj jej ode mnie. – Pogroziła mi palcem. – I bądź grzeczna, jak powie „A nie mówiłam?”.

Położyłam list na fotelu pasażera i czytałam go na każdym świetle, aż do nabrzeża, gdzie stał dom Nadii. Zapukałam do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Z listem w dłoni pobeigłam na

tyły. Chłodna wilgotna bryza od zatoki mierzwiła mi włosy, spychając loczki na czoło. Odgarnęłam je niecierpliwie.

– Nadia? Jesteś tu?

Była w swoim ulubionym miejscu, na tarasie. Siedziała z podkurczonymi nogami na szezlongu, wpatrując się w wodę. Spodziewałam się, że słysząc moje kroki, odwróci głowę. Nic z tego. Delikatnie dotknęłam jej ramienia.

– Hej, nie odbierasz.

Popatrzyła na mnie. Na tle jasnych tęczyówek czerniły się maleńkie źrenice. Stłumiłam ukłucie niepokoju i wytężyłam wzrok, mając nadzieję, że to wina wieczornego światła. Ale nie.

– Nie mogłam go... znaleźć – wydukała.

No tak, była oszołomiona, na haju.

Wciągnęłam powietrze nosem. Nie chciałam się z nią kłócić. Dzisiaj miałyśmy się cieszyć.

– Dostałam list. To już pewne. I wiesz co?

Pomachałam listem z nadzieją, że się ożywi i sięgnie po niego. Ponieważ nie ruszyła się, położyłam pisma na szezlongu, tuż przy jej wypielęgowanej stopie. Nadal wpatrywała się we mnie z nieobecnym uśmiechem.

– Cieszysz się. To dobrze.

– Udało się nam! – Roześmiałam się. – Idziemy razem na studia. Wreszcie możemy wypełnić te papiery do akademika.

Jej uśmiech zbladł, potem zniknął.

– Tobie się udało – wyszeptła. Wzięła głęboki oddech i usiadła prosto. – Jestem z Ciebie dumna. Tyle wspaniałych chwil przed tobą.

– Słucham? – zapytałam i w tej chwili szklane drzwi do jadalni rozsunęły się.

– Nadio – westchnęła pani Vetter, stając w nich z kieliszkiem wina w dłoni. Jak zwykle mnie zignorowała. – John będzie po mnie za kilka minut.

Nagle uderzyło mnie, jak bardzo ostatnio się do siebie upodobniły. Obie bardzo szczupłe, świetnie ubrane, blade, piękne... i obie miały zwężone źrenice.

Nadia machnęła z roztargnieniem ręką.

– Więc zobaczymy się rano – dodała pani Vetter i zamknęła drzwi, znikając jak kropla wody w oceanie.

– No – zachęciłam Nadię, podsuwając jej list. – Przeczytaj wreszcie! Zobacz, co osiągnęłaś ciężką pracą i tym nieustannym upierdaniem.

Nadia przeniosła wzrok na szare wody zatoki Narragansett. Poczułam wzbierający gniew. To był ten najważniejszy moment, ten, w którym dowiodłam, że jestem warta czasu, jaki mi poświęciła. Pragnęłam, żeby to dostrzegła. Żeby powiedziała to głośno.

Żeby wszystko było z nią dobrze.

Wstałam i pomachałam jej ręką przed twarzą.

– Ile wzięłaś tym razem?

Odchyliła się z uśmiechem i rozłożyła ręce w geście bezradności.

– Nie mam pojęcia.

– Wiesz, jakie to kurewsko żalodne?! – wrzasnęłam. Nie miałam siły dłużej nad sobą panować.

Chwycałam list i zmieniałam go w dłoni.

Przymknęła powieki.

– Ale za to ja się czuję kurewsko zajebiście – odpowiedziała.

Musiałam się odsunąć, bo najchętniej kopniakiem przewróciłabym szezlong, żeby tylko wyrwać ją z tego transu, żeby odzyskać Nadię, która nie miała wszystkiego gdzieś.

– Wiesz, chyba jednak nie chcę z tobą mieszkać. Idę na uniwersytet, żeby coś osiągnąć, a nie bujać się w przerwach pomiędzy działkami.

Chciałam, żeby się skrzywiła, żeby nazwała mnie suką, żeby pokazała, że jestem dla niej kimś na tyle ważnym, by ją moje słowa dotknęły.

Ale uśmiechnęła się tylko tym swoim wyjątkowym uśmiechem. Druzgocącym. Doskonale obelżywym. Od kiedy zaprzyjaźniłyśmy się, widywałam czasami, jak uśmiechała się tak do innych, tym leniwym, pozornie pobłażliwym drgnieniem ust, który ucinął wszelkie rozmowy i mroził tak dziewczęta, jak i chłopców. Ten uśmiezek mówił: „Mów sobie, co chcesz, a ja i tak mam to gdzieś”. Setki razy widziałam, jak obdarza nim tego swojego beznadziejnego eks-chłopaka, Grega. Matkę też. A raz nawet zaserwowała go Tegan. A teraz po raz pierwszy wycelowała go we mnie.

– Wracaj do domu, Lela. Psujesz mi zabawę.

– Dobrze. – Głos mi drżał. – Stałaś się prawdziwą suką, wiesz?

Powoli podniosła rękę, drążącą nieco, i pokazała mi środkowy palec.

Mój świat się zawalił. Tego właśnie bałam się najbardziej od chwili, kiedy zrezygnowałam z dystansu i zbliżyłam się do niej. Tego, że tak jak wszyscy inni odwróci się kiedyś ode mnie. Przypomniałam sobie, jak wielokrotnie fantazjowałam, że jadę na uniwersytet z najlepszą przyjaciółką, i nagle poczułam się jak idiotka. A już zaczynałam wierzyć, że fantazje się ziszczą. Mogłam się tego spodziewać. Kto chciałby przyjaźnić się z kimś takim jak ja?

Na twarzy Nadii nadal widniał ten zimny uśmiezek, a ja miałam ochotę ją uderzyć. Potrząsnąć nią. Zrobić cokolwiek, co wywołałoby reakcję oznaczającą, że zależy jej na mnie, że boi się mnie utracić tak samo, jak ja bałam się stracić ją. Stałam tak, czekając na najmniejszą zmianę na jej twarzy, na najlżejsze poruszenie palcami.

Nic z tego.

Zapiekły mnie oczy, ale żar gniewu wysuszył łzy.

– Będziesz taka jak twoja matka, Nadia. Gratuluję. I dzięki, że oszczędziłaś mi patrzenia, jak się nią stajesz.

Wcisnęłam list do kieszeni i odeszłam po wypielęgnowanym trawniku, żalując, że nie mam pod ręką czegoś, czym mogłabym rzucić w te krystalicznie czyste okna wykuszowe. Ogarnęła mnie panika. Oto jedyna rzecz, której mogłam się w życiu uczepić, właśnie się rozpadała. Idąc do samochodu, starałam się oddychać głęboko, chciałam się uspokoić, by móc prowadzić. Pomyślałam, że nazajutrz będzie z nią lepiej i wtedy pokażę jej list.

Niestety, nie miałam już okazji tego zrobić. Rankiem zadzwoniła roztrzęsiona Tegan. Ledwie zrozumiałam jej histeryczne szloch, ale po kilku próbach wreszcie dotarło do mnie, co mówiła.

Rankiem pani Vetter znalazła w łazience ciało córki. Obok niej na podłodze leżała pusta fiolka po proszkach.

Nadia nie żyła.



## TRZECI

Wodziłam wzrokiem po gnijących rysach zombiaka. W uszach wibrowało mi bzyczenie maszyny do tatuażu. Nieumarły sprawiał wrażenie silnego, groźnego, wprost buzował kolorami i gniewem. Obserwując Dunna, zastanawiałam się, co mówi o nim jego tatuaż, co skłania go do noszenia wizerunku potwora na swoim ciele. Przyjrzawszy się uważniej żylastej, drobnej postaci, doszłam do wniosku, że musiał być gnębiony w dzieciństwie. Wyraźnie w ten sposób sobie coś kompensował. Próbowалам odgadnąć, co takiego, zadowolona, że mogę choć na chwilę oderwać myśli od pulsujących bólem ukłuć na skórze.

Twarz Dunna wykrzywiona była skupieniem, a jego dłoń sprawnie manewrowała igłami. Zagryzłam zęby, żeby nawet nie drgnąć, w obawie, że najlżejszy ruch popsuje portret powstający na moim przedramieniu.

– Połowa za nami – oznajmił Dunn. – Potrzebujesz przerwy?

Pokręciłam głową.

– Nie, rób dalej.

– Błada jesteś.

– Nic mi nie jest – wycedziłam.

Dunn mruknął i wrócił do pracy. Miał nieprawdopodobny talent. Nawet mimo krwi i opuchlizny bez trudu dało się rozpoznać subtelną twarz Nadii. Potrzebował zaledwie kilku dni, żeby naskicować portret ze zdjęcia i przenieść go na moje przedramię.

Zabawne. Chociaż cieszyłam się nie najlepszą reputacją, po raz pierwszy posłużyłam się fałszywym dowodem osobistym. Właśnie po to, by zrobić sobie ten tatuaż. Dunn dał mi nawet zniżkę. I tak wydałam na to większą część oszczędności przeznaczonych na studia, ale teraz nie miało to znaczenia. Przecież dostałam stypendium.

Odwrociłam się do okna i zaczęłam obserwować sznur samochodów sunących wąskimi jezdniami Wickenden Street. Miałam nadzieję, że tatuaż załatwi sprawę. Bo zupełnie nie pomógł wieczór pamięci zorganizowany w szkole. Z ostatniego rzędu ławek patrzyłam na wielkie, lśniące zdjęcie Nadii, obserwowałam, jak jej przyjaciele płaczą i obejmują się, ale jej duch nadal tkwił w mojej głowie. Czuwanie też nic nie dało – choć widziałam ją w trumnie, taką bladą i doskonałą, sny nadal mnie nawiedzały. Pogrzeb także zawiódł – mimo że przetrwałam litanię zapewnień duchownego, że Nadia znajduje się teraz w lepszym miejscu, wciąż śniłam o tym, że jest uwięziona w mrocznym mieście. Tym samym, którego obraz nosiłam w głowie od dwóch lat. A teraz ona tam trafiła. Przeze mnie.

Diana powiedziała, że sama muszę znaleźć sposób na pożegnanie się z Nadią. Mówiła, że potem poczuję się lepiej. Tak więc znalazłam mój własny sposób upamiętnienia Nadii. Obraz jej twarzy, poważnej, udręczonej, już na zawsze na mojej skórze, wspomnienie tego, co miałam, za czym tęskniłam, co straciłam.

Ktoś wyszedł z zaplecza i zawiasy zgrzytnęły protestująco. Gwałtownie wciągnęłam powietrze, kiedy przede mną pojawiła się Brama Samobójców, sięgając po mnie, chcąc mnie połknąć. Tydzień wcześniej przekroczyłam bramę wraz z Nadią. Idąc drogą aż nadto znajomą, wołałam przyjaciółkę, błagałam, by wracała, by się odwróciła. By nie przekraczała Bramy. Ale Nadia zapłakana, przerażona, wpatrywała się w miasto widoczne za Bramą. Była sama, mimo że otaczały ją setki ludzi mamroczących w różnych językach. Ci sami ogromni Strażnicy z zakrzywionymi szablami w dłoniach zaganiali tłum do przepastnego, mrocznego miasta. Jeden zaśmiał się z Nadii, która błagała go o pomoc. „Witajcie w Bramie Samobójców”, zawołał.

Przebudziłam się wtedy gwałtownie, czując ulgę, że to tylko sen. Nie wiedziałam jeszcze, że Nadia nie żyje.

– W porządku? – Dunn przerwał raptownie, a sądząc po jego minie, musiałam chyba zrobić coś dziwnego.

Odchrząknęłam.

– Tak, a co?

– Zaczęłaś... jęczeć. Nie, żeby mi to przeszkadzało... – Na widok jego uśmiešku miałam ochotę wrócić do swego dawnego stylu i dla przykładu dźgnąć go tą maszynką w oko.

– Przepraszam. Zabolalo. Rób dalej. – Znow zagapiłam się w okno, usiłując ze wszystkich sił nie myśleć o tym, co widziałam w tamtych snach.

Igła znowu zamilkła.

– Zrobione – oznajmił Dunn, ściskając mi rękę. – Jak ci się podoba?

Spojrzałam na wewnętrzną stronę przedramienia. Napotkałam wzrok Nadii.

– Jest piękna – powiedziałam. – Dziękuję.

Założył mi opatrunek i ruszyłam do domu z nadzieją, że tatuaż położy wreszcie kres koszmarom o Nadii. Każdej nocy, odkąd umarła, wędrowałam z nią coraz głębiej w przepastne trzewia mrocznego miasta. Wraz z nią po ulicach błakali się nieznanomi ludzie o szklistych spojrzaniach i twarzach wykrzywionych żalem i cierpieniem.

Poza wielkimi Strażnikami, którzy patrolowali ulice, nieomal wszyscy w mieście wyglądali na nieszczęśliwych. Nadia usiłowała prosić o pomoc, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Nie słyszała, jak wołam ją po imieniu. Byłam tylko towarzyszącym jej duchem. Każdego ranka budziłam się na nowo zrozpaczona, ze zbolalym sercem. Może teraz Nadia będzie mogła spocząć w pokoju, a do mnie powrócą moje zwyczajne koszmary. Wszystko było lepsze, niż bierne przyglądanie się

jej cierpieniom.

Kiedy dotarłam do domu, samochód Diany stał już na podjeździe. Wchodząc, obciągnęłam rękaw. Widok opatrunku wzbudziłby pewnie jej ciekawość, a tatuaż doprowadziłby bez wątpienia do szału.

– Co się stało, słonko? – Odwróciła się od kuchenki z chochlą w dłoni.

– Nic. Spotkałam się z um... z Tegan.

Diana uniosła brwi.

– Tegan właśnie dzwoniła, żeby zapytać, czy wybierasz się jutro wieczorem na czuwanie.

Świetnie. Tegan wybrała sobie fatalny moment na okazanie człowieczeństwa. Usiadłam za kuchennym stołem.

– Potrzebowałam chwili dla siebie. Byłam na przejażdżce.

Teraz dla odmiany zmarszczyła czoło.

– Czy na pewno teraz właśnie potrzebujesz samotności?

Przymknęłam powieki, żeby nie widziała, jak przewracam oczami.

– Sama nie wiem, czego potrzebuję, Diano, i chyba raczej nie ma to znaczenia.

– Miałoby dla Nadii.

Skrzywiłam się. W moich snach Nadii jedynie zależało na ucieczce od cierpienia. Było tak, jak ją ostrzegałam – koniec życia wcale nie oznaczał końca cierpienia.

– A skąd ty to wiesz?

Diana podniosła rękę, jakby chciała mnie objąć, ale powstrzymała się. Zamiast tego skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Byłaś dla niej bardzo ważna i nie udawaj, że o tym nie wiesz. – Obrzuciła mnie czujnym spojrzeniem spod przymrużonych powiek. – Znowu masz te koszmary, tak? Słonko, to tylko sny. Złe sny, wiem, ale tylko sny.

Odwróciłam się do niej plecami i otworzyłam szafkę. Zapatrzyłam się niewidzącym wzrokiem w talerze i szklanki. Jak dla mnie to wcale nie były żadne normalne sny. Noc wcześniej rechocząca starucha usiłowała zaciągnąć gdzieś Nadię. Przypominała zwierzę. „Doskonała”, powiedziała do Nadii. „Jesteś doskonała”. Głos był inny niż ten, który szeptał do mnie tylekroć w moich własnych koszmarach, ale te same złowieszczo brzmiące słowa. Nadia rzuciła się do ucieczki, zwierzopodobna starucha ruszyła za nią w pościg, biegnąc na czworaka, a jej dłonie i stopy plaskały na ulicznym bruku. Obudziłam się i nie widziałam, co stało się z Nadią.

– Uważasz, że mogłaś ją ocalić, Lela. Masz poczucie winy – rzekła Diana, sięgając ponad moim ramieniem po talerze.

– Oczywiście, że tak – wychrypiałam, ocierając rękawem załzawione oczy. – Nie wiesz, co powiedziałam jej tamtego wieczora. A jeśli to ja ją do tego popchnęłam?

Potrząsnęła głową z pełnym dezaprobaty „ym-mm-mm”.

– Myślisz, że Nadia chciałaby, żebyś się tak czuła? Ta dziewczyna była dobra do kości. To przykre, że nie kochała siebie tak, jak kochała innych. Zostawiła swój ślad na tym świecie i na tobie. Kiedy przyszedł tu rok temu, bałam się, że znów skończysz w zakładzie, a tu patrz, idziesz na studia!

Tak, to dzięki Nadii zyskałam tę szansę na przyszłość. A co ja uczyniłam dla niej? Mawiała, że to ja jestem jej kotwicą w rzeczywistości, że potrafię patrzeć dalej, poza trywialne rzeczy.

Mawiała, że mnie potrzebuje, bo jestem prawdziwa. Silna. Zabawna. Dobra. Zaczynałam nawet wierzyć w to, co o mnie mówiła, wierzyć, że posiadam coś, czym mogę ją obdarować w zamian za to, co ona dała mnie. A potem odsunęłam się od niej w chwili, kiedy potrzebowała mnie najbardziej.

Ścisnęłam rękę w miejscu opatrunku, pozwalając, by ból rozlał się po całym ciele. Zasłużyłam na cierpienie. Nagle poczułam ukłucie paniki – przed oczami mignął mi obraz mrocznego miasta. Oderwałam dłoń od tatuażu, jakby mnie oparzył, i znów byłam w prawdziwym świecie.

Diana podała mi talerz.

– Chcesz o tym pogadać przy jedzeniu?

W życiu!

– Przepraszam, Diano. Jedzenie wygląda wspaniale, ale pójdę raczej odrobić lekcje, a potem spać.

Uśmiechnęła się smutno.

– Dobrze, ale wiesz, że w każdej chwili możesz do mnie przyjść, słonko.

W pokoju rozsypałam na podłodze zdjęcia Nadii. Prawie na wszystkich uśmiechała się, jakby chciała powiedzieć: „Świat należy do mnie”. Przerzucałam fotografie, wciąż zadając sobie to samo pytanie: jak to możliwe, że ktoś tak pewny siebie, pełen życia, mógł chcieć skrzywdzić samego siebie? A potem odnalazłam ujęcie Nadii siedzącej na trybunie podczas treningu szkolnej drużyny baseballowej. Miała na nim zamglone, udręczone oczy, wpatrzone gdzieś w niezmierną przestrzeń. Taki ktoś z pewnością mógłby połknąć tyle tabletek, że starczyłoby na kilka śmierci. I ta właśnie twarz widniała teraz na moim przedramieniu. Tak wyglądała Nadia, kiedy myślała, że nikt na nią nie patrzy.

W pierwszej chwili uznałam, że to przypadek. Na żadnym innym zdjęciu nie było widać nawet cienia tej smutnej, zrozpaczonej dziewczyny, ale potem przypominałam sobie inne, podobne ujęcia, które odrzucałam, uznając za niewarte drukowania. Fakt, nie było ich wiele, ale były, pojawiały się od lata. Nadia uchwycona z zaskoczenia, kiedy była czymś zbyt pochłonięta albo zbyt zmęczona, by przywołać na twarz ten swój oszałamiający uśmiech.

Świat rozmazał się zasnuty ciężkimi łzami. Jak mogłam pozwolić, by odeszła? Pozbierałam

fotografie – najlepsze chwile mojego życia z jedyną przyjaciółką, jaką miałam. Zabrałam je na tyły domu i rozpałam mały grill węglowy.

## CZWARTY

Płomienie z początku lizały tylko krawędzie zdjęć, a potem pożarły nieszczere uśmiechy Nadii. Wdychałam gorzki dym i płakałam, patrząc, jak ogień pochłania ostatni jej wizerunek.

– Naprawdę tam jesteś, Nadiu, czy tylko oszalałam?

Zaczęłam za nią tęsknić już w chwili, gdy zniknęło ostatnie zdjęcie. Oderwałam opatrunek i spojrzałam na portret widniejący na mojej obolałej ręce. Nasze spojrzenia się spotkały i nagle miałam wrażenie, że spadam. Poczułam mrowienie wędrujące w górę nóg, mój oddech przyspieszył. Cegły, którymi wyłożony był taras, zaokrągliły się i zmieniły w owalne kamienie brukowe. Bluszcze Diany wyprostowały łodygi, zmieniając się w lampy gazowe zawieszane na grubych słupach. Jarzyły się teraz w mroku zielonkawym blaskiem. Przede mną pojawiły się mlójące powietrze ramiona Nadii, pędzącej krzywą uliczką pośród rzędów wieżowców.

Byłam z Nadią. Byłam Nadią. Jakimś sposobem znalazłam się w jej głowie i patrzyłam jej oczami, kiedy tak pędziła przez mroczne miasto. Przerazenie ścisnęło mi żołądek. Jej serce – moje serce – waliło jak młotem. Zdałam sobie sprawę, że nie jestem już na podwórzu Diany. Czy coś nas – ją – znowu gonilo? Ta zwierzopodobna starucha, która próbowała porwać ją wcześniej?

Skoczyłyśmy za kontener na śmieci i poczułam przytłumiony ból w ramieniu. Rozejrzałyśmy się nerwowo, sprawdzając, czy niebezpieczeństwo jest gdzieś blisko i nagle, kilka metrów od nas, na stercie śmieci wylądowało ciało jakiegoś mężczyzny. Nadia wyrzała ponad krawędź kontenera i natychmiast ponownie skuliła się. Coś jednak zdążyłyśmy dostrzec.

Mężczyzna miał rozplątany kark, aż widać było kręgi.

Próbowałam jakoś ogarnąć to, co widziałam. Myślałam, że to zaświaty, że ci ludzie są martwi. Jednak ten facet dopiero co został zabity i nie wyglądało na to, by miał wkrótce ożyć.

Nagle ostry dźwięk metalu uderzającego o metal przerwał moje pełne strachu rozważania. Nadia wyrzała zza śmietnika, gorączkowo zastanawiając się, jak uciec. Po przygodzie ze zwierzopodobną staruchą wiedziała już, że tutejsi mieszkańcy są niebezpieczni. Bała się wyjść na otwartą przestrzeń, bała się narobić hałasu, którym zwróciłaby na siebie uwagę, więc tkwiła tak bez ruchu, czekając na odejście tamtych. Pochwaliłabym ją za ten plan, ale wiedziałam, że mnie nie słyszy, choć ja odbierałam jej myśli jak własne.

Po drugiej stronie śmietnika do swej ofiary zbliżyli się dwaj mężczyźni i kobieta. Trzymali w dłoniach zakrzywione szable, takie same, jakie mieli patrolujący miasto Strażnicy. Mężczyzna stojący pośrodku, opalony, o kruczych włosach, ubrany był w wyświechtaną, białą szatę, taką,

jaką noszą bliskowschodni szejkowie. Jego towarzysz, wysoki blondyn, przypominał nowożytnego wikinga, a stojąca po prawej stronie kobieta w średnim wieku miała na sobie strój do biegania i sportowe buty, i wyglądała jak typowa, niepracująca żona z przedmieścia. Nie różnili się niczym od reszty biedaków, najwyraźniej samobójców, którzy snuli się po tutejszych ulicach, z wyjątkiem tego, że na pewno mieli cel. Zabić kogoś.

Szejk postąpił krok naprzód, a jego towarzysze po dwa, flankując przeciwnika. Ich twarze wyrażały to samo – mieszaninę nienawiści i niecierpliwego wyczekiwania. Rozpoznałam te miny. Widywałam je na obliczach strażników w poprawczaku – byli pewni wygranej, ale zarazem świadomi, że nie przyjdzie im ona łatwo.

Nadia zmieniła pozycję i w końcu mogłam zobaczyć ich przeciwników. A właściwie jednego. Ubrany był podobnie jak Strażnicy-giganci, ale wcale ich nie przypominał. Owszem, był wysoki, lecz nie zwalisty i potężny, a zamiast metalowej zbroi nosił skórzany pancerz połączony paskami z bokami i naramiennikami. Pancerz wyglądał jak jakaś średniowieczna kamizelka kuloodporna o sztywnym kołnierzu, wyższym na karku. Takie same kawałki utwardzanej skóry okrywały jego przedramiona i piszczele. W przeciwieństwie do Strażników przy Bramie nie miał hełmu, mogłam więc zobaczyć, że jest młody, niewiele starszy ode mnie. Miał oliwkową cerę i krótko przyszyżone, czarne włosy, a w kącikach jego ust błąkał się morderczy uśmiešek. Stał, wodząc oczami po przeciwnikach, wyraźnie ich oceniając.

– Wy, Mazikiny, jesteście ostatnio coś bardzo aktywni. Chciałem was tylko o to wpytać, Ibramie – powiedział Strażnik z twardym, jakby szczekliwym akcentem. Zachowywał się wyjątkowo spokojnie jak na kogoś nieuzbrojonego. Pochwa przytroczona do jego pasa była pusta, a szabla leżała kilka metrów dalej. Zaraz jednak dostrzegłam na każdym z jego ud skórzaną taśmę przytrzymującą dwa sztylety o podwójnych ostrzach oraz pałkę policyjną u pasa. Mimo to nie wyglądał na takiego, który mógłby pokonać trzech uzbrojonych ludzi.

Szejk Ibram roześmiał się.

– Gdybyś chciał nas tylko wpytać, nie zabiłbyś Franka. – Jeszcze raz zerknął w stronę trupa. – Dobrze, że zabrałem większe wsparcie.

– I więcej skradzionych bułatów. – Strażnik cofnął się kilka kroków. Jego ruchy były w pełni kontrolowane, precyzyjne. Nie wahał się, ale też nie spieszył.

Ibram spojrział na zgrabne, wygięte ostrze w swojej dłoni, a potem znacząco zmierzył wzrokiem Strażnika. Jego orzechową twarz opromienił uśmiech.

– Tak, jedyny przedmiot, który warto w tym mieście posiadać. Piękny i skuteczny. – W świetle ulicznych latarni błysnęły jego ostre, białe zęby. – Ładne przedłużenie naszego naturalnego arsenału, nie uważasz?

Strażnik nie odpowiedział. Mięśnie na jego szczękach pulsowały rytmicznie. Stał teraz w

kręgu światła, a ja z przerażeniem dostrzegłam, że jest ranny. Rozcięty na ramieniu materiał koszuli aż nadto ukazywał skuteczność bułata. Rana była bardzo głęboka, mogłabym przysiąc, że widzę mięśnie i kość. Krew spływała po opuszczonych palcach lewej dłoni. Ranny obudził we mnie współczucie. Choć nienawidziłam olbrzymich Strażników z Bramy, nie chciałam patrzeć, jak ten tutaj umiera.

Pochłonięta obserwowaniem Strażnika, dopiero po chwili usłyszałam rozhisteryzowane myśli Nadii, przekonanej, że za chwilę zobaczy, jak ranny zostanie brutalnie zaszlachtowany przez liczniejszych przeciwników. Na pierwszy rzut oka był w pułapce, bez szans przy takiej przewadze wroga. Ale kiedy zobaczyłam, jak przenosi ciężar na jedną nogę i płynnym ruchem sięga po pałkę, wiedziałam, że to tylko pozory. Nadal był groźnym przeciwnikiem.

Żonka z przedmieścia i wiking skoczyli na niego z boków. Strażnik znajdował się w ciągłym ruchu. Pałka rozłożyła się, potrajając długość. Stała się teraz wąskim kijem i od razu zaczęła zataczać ledwie widoczny łuk. Strażnik stanowił oś, był okiem cyklonu, kij zaś pomknął w górę i wytracił kobiecie z ręki bułat. Potem zmienił kierunek, uderzył wikinga w twarz, wreszcie błyskawicznym pchnięciem dźgnął go czubkiem w szyję. Wiking zwałił się jak kłoda. Ułamek sekundy później kobieta także leżała na ziemi, trzymając się za gardło.

Wzrok Strażnika powędrował ku Ibramowi, który z uśmiechem wzruszył ramionami.

– Nowicjusze – skomentował i natychmiast zaatakował. Musiał się jednak zatrzymać, żeby wirowym ruchem szabli zablokować lecące ku niemu dwa podwójne ostrza. Nie zauważyłam nawet, kiedy Strażnik je rzucił. Arab z taką samą łatwością zbił kolejne dwa noże. Strażnik nie miał ich więcej.

– Niech cię szlag. – Strażnik przerzucił kij do prawej ręki. – Ćwiczyłeś.

Ibram zrobił wypad, wyraźnie starając się wykorzystać fakt, że rana ogranicza ruchy przeciwnika. Wyglądało na to, że Strażnik jest w defensywie. Obracał wprawdzie kijem, tworząc ochronny krąg, przez który nie mogło przebić się ostrze wroga, ale Ibramowi dwa razy udało się go dosięgnąć i pozostawić na napierśniku dwie głębokie szramy. Ale i Strażnik nie marnował żadnej okazji i gdy tylko Ibram się odsłonił, kij natychmiast wylądował na jego twarzy. Szejk zasłonił się przed kolejnym ciosem. Kij pękł z trzaskiem. Obaj walczący zatoczyli się w tył.

Strażnik rozejrzał się szybko wokół, jakby sprawdzając, w jakiej odległości znajduje się broń. Nagle zerwał się, ale nie pobiegł w stronę żadnego z leżących ostrzy, tylko z uniesionym kikutem kija wprost na Ibrama, zmuszając go do poderwania szabli i sparowania ciosu. Zaskoczony Ibram otrząsnął się szybko i natychmiast zamachnął, ale Strażnik znajdował się już zbyt blisko i był zbyt szybki. Kantem dłoni grzmotnął Ibrama w przegub ręki. Wytracona broń szczęknęła o bruk. Strażnik wymierzył przeciwnikowi brutalny cios w krocze i dołożył kolejny łokciem. Ibram runął na ziemię jak wór cementu. Cieszyłam się, że Nadia nie słyszy moich



myśli, bo styl walki Strażnika wzbudził we mnie nieklamany podziw.

Strażnik z uwagą przyjrzał się Ibrahimowi i najwyraźniej zadowolony ze stanu przeciwnika, podszedł szybko do wikinga, który właśnie sięgał po broń. Ukłąkł przy nim i wyjął nóż z pochwy przy kostce.

– Nie zabieraj mnie do tego okropnego miejsca – zajęczał błagalnie wiking.

– Nie martw się. Nie mam najmniejszego zamiaru – rzekł Strażnik i przesunął dłonią po głowie leżącego. W pierwszym momencie myślałam, że stara się go uspokoić, ale kiedy podniósł się i odszedł, zobaczyłam poderżnięte od ucha do ucha gardło wikinga.

*Cholera.*

Strażnik podszedł do trzęsącej się żonki.

– Nazywam się Lucy Stein – pisnęła dziecięcym głosem, usiłując się odsunąć.

Strażnik ukłąkł przy niej.

– NAZYWAŁAŚ się Lucy Stein – poprawił ją z mieszaniną smutku i determinacji.

Podciął jej gardło, nim zdążyła odpowiedzieć.

*O kurde, Nadia, nie ruszaj się tylko. Zostań tu, gdzie jesteś.*

Strażnik wstał chwiejnie. Opuścił głowę i pochylił się, wspierając dłońmi o uda. Miałam nadzieję, że rany go osłabiają i zaraz zemdleje, co da Nadii szansę na ucieczkę. Dyszał ciężko, ale nie byłam pewna, czy to z powodu walki. Wpatrywał się w martwą kobietę, której twarz leżała w aureoli krwi. Skrzywił się, przymknął powieki i zaczął coś cicho recytować. Modlił się? Krew spływająca z jego ramienia mieszała się z krwią zabitej.

Nadia drgnęła, gotowa rzucić się do uciezki. Moje myśli wskoczyły na najwyższy bieg. *Nie drgaj, nie oddychaj, nie krzycz, nie uciekaj.* Jej serce huczało mi w uszach – była przekonana, że mężczyzna poderżnie jej gardło, gdy tylko się zorientuje, że była świadkiem zbrodni. Zachwiała się i wpadła na przepelnione pojemniki na śmieci; przewróciły się z ogłuszającym hałasem. Kiedy uniosła głowę, obie jęknęłyśmy. Patrzyła prosto na skórzany napierśnik Strażnika.

Strażnik jednym szarpnięciem postawił ją na nogi i popchnął na ścianę. Nadia krzyknęła przerażona. Strażnik prawą ręką złapał ją mocno za gardło i nagle patrzyłam prosto w jego czarnobrzazowe oczy. Poczułam ciepło jego oddechu na twarzy Nadii i zapach wyprawionej skóry. Przekrzywił głowę, pochylił się i dotykając nieomal policzka Nadii, wciągnął głęboko powietrze. Potem puścił ją i cofnął się.

– *Deutsch?* – zapytał. Nadia wpatrywała się w niego bezradnie. Westchnął. – *Angielski?*

Skinęła potakująco.

– Musisz sobie znaleźć jakieś schronienie – poradził jej zmęczonym głosem. – Mazikiny wyszły dzisiaj na werbunek, nie powinnaś się kręcić po ulicach. – Za jego plecami rozległ się jakiś dźwięk. Strażnik odwrócił się gwałtownie. Nadia zdążyła zobaczyć znikającego za rogiem

Ibrama. Strażnik zaklął głośno. Co prawda w obcym języku, ale wściekły ton był aż nadto zrozumiały. Schował nóż i zrobił parę kroków ku wylotowi alejki, po czym odwrócił się do Nadii i wskazał stronę, w którą próbowała uciekać. – Tam nie idź. Tam nie jest bezpiecznie. – Pokazał stojący po drugiej stronie wieżowiec. – W tym budynku są puste mieszkania. Będziesz wiedziała, w którym nikogo nie ma. Drzwi są otwarte. Możesz się przespać, gdzie zechcesz. Rozumiesz?

Kiedy Nadia skinęła potwierdzająco głową, Strażnik pobiegł za Ibramem. A my osunęliśmy się na ziemię, łkając.

– Lela! Ocknij się!

Poderwałam głowę i zobaczyła, że latarnie gazowe opuszczają ulistnione łodygi, a wypukłe kamienie brukowe zmieniają w płaskie cegły. Poczułam czyjeś palce zaciskające się na moich ramionach. Ktoś mną potrząsnął.

Przede mną pojawiła się twarz Diany z okrągłymi ze strachu oczami.

– Wzywam karetkę!

Potrząsnęłam przecząco głową, na wpół zaskoczona, że mogę kontrolować własne ciało.

– Nie – wychrypiałam. Wywinęłam się spod ręki Diany i z wysiłkiem wstałam. Okazało się, że siedziałam skulona pod ścianą domu, a przede mną leżał wywrócony grill. Spopielałe strzępy papieru wały się po tarasie.

– Wołałaś Nadię. Kazałaś się jej nie ruszać, nie uciekać. Nie mogłam cię docucić. Mogłaś się poparzyć – wysapała Diana. Wyszarpnęła z kieszeni telefon i zaczęła nim wywijać. – Wiem, że jesteś w żalobie, słonko, ale to nie jest normalne.

Omala nie roześmiałam się, słysząc tak oględne określenie.

– Trochę mnie to wszystko... przytłoczyło. To się nie powtórzy.

Trzęsącymi rękoma otrzepywałam z siebie drobiny popiołu, potem chwyciłam miotłę stojącą obok szklanych, przesuwanych drzwi i ścisnęłam kurczowo kij.

– Widzisz? Już wszystko w porządku. Posprzątam tu i przyjdę do domu.

Diana popatrzyła na mnie, nadal wybierając numer na klawiaturze.

– Diano, jeśli teraz zadzwonisz, przyjadą, zobaczą, że nic mi nie jest i będą na ciebie wściekli za niepotrzebne wezwanie.

Wzięła się pod boki, a ja o mało co się nie cofnęłam. Diana pracowała w więzieniu i żaden ze spotkanych dotąd przeze mnie zbirów nie potrafił zrobić groźniejszej miny niż ona.

– Jutro idziemy do lekarza. Bez dyskusji – warknęła.

– Dobra – mruknęłam, biorąc się za zamiatanie. – Jak chcesz.

Odczekałam, aż zniknie w domu, a potem z powrotem usiadłam. Zagapiłam się na resztki popiołu w misie grilla i na szare smugi na ceglach tarasowych. Istniały dwie możliwości wytłumaczenia tego wszystkiego. Pierwsza, że całkiem mi odbijało. Że śmierć przyjaciółki

pnęła mnie na skraj załamania i jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce wyładuję w domu bez klamek. Druga, że naprawdę nawiązałam jakieś połączenie z Nadią i wiedziałam, gdzie jest. I że było to miejsce bardziej przerażające od tego, które od dwóch lat nawiedzało mnie w snach i na jawie. Było tam niebezpiecznie, lała się krew, a ludzie umierali, mimo że już przecież byli martwi. I właśnie w tej chwili Nadię mógł napadać jakiś inny szaleniec z szablą.

Szybko dokończyłam zmiatanie i pomachałam wesolutko spoglądającej na mnie z troską Dianie. Ale gdy tylko odwróciłam się do niej plecami, przestałam się uśmiechać. Poszłam do pokoju i położyłam się na łóżku, wyciągnęłam przed siebie ręce, usiłując przywołać z pamięci uczucie znajdowania się w głowie Nadii. Albo BYCIA Nadią. Nic się nie działo. Zamknęłam oczy. Miałam nadzieję, że zasnę i Nadia mi się przyśni. Miałam nadzieję, że dowiem się, czy dotarła do jednego z tych budynków. Miałam nadzieję, że tym razem uda mi się z nią porozmawiać. Miałam nadzieję, że znów będę z nią.

Oczywiście, jak tylko zapragnęłam mieć koszmar, nie mogłam nawet zasnąć. Tatuaz śwędział, bolał, mrowienie wędrowało w dół ręki i w górę, ale nie powróciłam do głowy Nadii. Wpatrywałam się w czarny tusz na zaczerwienionej, opuchniętej skórze. Tatuaz miał być pożegnaniem, ale co, jeśli dzięki niemu Nadia tylko mocniej zapadła mi w serce? Przedtem pragnęłam, żeby sny ustały. Teraz chciałam do nich wrócić. Wizja była taka prawdziwa. To nie był jakiś mglisty obraz nakładający się na rzeczywisty świat, tylko świat naprawdę RZECZYWISTY. Jakby to wszystko, co widziałam, działo się naprawdę. A jeśli tak, to Nadia była po uszy w tarapatach. Leżałam godzinami, próbując zmusić mózg do kolejnej wizji. Moje serce biło w rytm tykania budzika i z każdą sekundą nakręcałam się coraz bardziej. A co, jeśli nie udało jej się schronić w wieżowcu?

*Co, jeśli naprawdę należało mnie zamknąć w psychiatryku?*

Odrzuciłam kołdrę, nie chciałam nawet o tym myśleć. Zresztą byłam zbyt skupiona na Nadii, żeby się martwić swoim zdrowiem psychicznym.

Skoro nie mogłam przyzwać wizji Nadii do siebie, może udałoby mi się ją odnaleźć.

# PIĄTY

Około piątej rano dałam za wygraną, wskoczyłam w klapki, złapałam kluczyki, kurtkę i na palcach wyszłam z domu. Na autostradzie skręciłam do Newport. Ostatnie dwa dolary dałam za myto i przejechałam mostami prosto na południowy kraniec wyspy Aquidneck. Tam, gdzie wąski bulwar zaczyna się pięć i wić przez pięć kilometrów pomiędzy rezydencjami a oceanem.

Nadia powiedziała kiedyś, że pewnego dnia, gdy stała na tym kamienistym szlaku pomiędzy luksusem z jednej i rozbijającymi się o brzeg falami z drugiej strony, jej dwie połówki scalily się w jedność. Wiele razy zabierała mnie w to miejsce. To właśnie tam zrobiłam zdjęcie wybrzeża, które jej się tak podobało. I miałam nadzieję, że właśnie tam odnajdę ją ponownie.

Zaparkowałam na poboczu, tuż przy wejściu na Cliff Walk. Wiatr płałał mi włosy wokół szyi i twarzy. Kiedy wkraczałam na kamienistą dróżkę, poczułam dotkliwy chłód przenikający przez cienką kurtkę, który sprawił nagle, że tatuaż buchnął jasnym, ostrym bólem.

I w tej samej chwili pojawił się przede mną korytarz. Usta wypełniły się kwaśnym posmakiem. Spojrzałam na swoją rękę. Na mojej dłoni... na dłoni Nadii... leżało kilka tabletek. Znowu byłam w jej głowie. Znowu chciała się zobojećnić, była zbyt znużona, zbyt przerażona, chciała myśleć o niczym. Poczułam w swoim sercu to samo, co ona – dręczącą, pogłębiającą się pustkę, ziejącą otchłań. Zamierzała wypełnić ją pigułkami. *Nie*, wyszeptalam, ale tak jak poprzednio nie słyszała mnie. Noga za nogą szła słabo oświetlonym korytarzem do widniejących na końcu otwartych drzwi. Ulżyło mi, kiedy zdałam sobie sprawę, że posłuchała rady Strażnika. Szła do mieszkania.

W głowie brzęczało jej tylko pragnienie, ale mój wzrok się wyostrzył. Chłonełam wszystko, na co spojrzała. Rzędy kinkietów rzucały zielonkawą poświatę na drzwi pomalowane ciemnoróżową, oblażącą farbą. Czarne zacieki znaczyły bladopomarańczowe ściany, a podłogę pokrywał puszysty dywan. *Co u ...?* Miękką powierzchnia okazała się jednak kożuchem pleśni grubo porastającej chodniki. Nadia zostawiała w wilgotnej, gąbczastej warstwie ślady stóp. W pięści zaciskała pigułki. Usta miała pełne śliny.

Z tyłu coś się poruszyło. Nie zauważyła tego. Myślała tylko o tym, żeby dostać się do mieszkania, położyć na podłodze i pozwolić, by pigułki chociaż na chwilę ją odłączyły. Nie słyszała słabego szurania czyichś kroków na pleśniowym dywanie ani szmeru oddechu, który z każdą sekundą był bliżej. *Spójrz za siebie, Nadia.*

Nie obejrzała się. Wlokła się ku otwartym drzwiom, nieświadoma cichego, podobnego do pohukiwania śmiechu, który wydała z siebie istota znajdująca się wraz z nią w korytarzu.

*Uciekaj, krzyknęłam. Proszę, biegnij, szepnęłam.*

Nie usłyszała mnie.

Czułam rytmiczne, spokojne dudnienie jej serca w mojej piersi, ale myśli były moje i wrzały. Ja wyraźnie słyszałam piskliwe gdakanie: „Jest doskonała”. Wytężałam mięśnie aż do bólu, żeby zmusić ją do biegu, ale przypominało to próby biegania w wodzie. To ona kontrolowała ciało i poruszałyśmy się z jej prędkością. *Szybciej. Jesteś prawie na miejscu. Zamknij się w tym mieszkaniu.*

Kroki przyspieszyły. Były już tuż tuż. Poczulałam na karku ciepło oddechu i zapach zgnilizny, ale Nadia nie odwróciła się, nic nie czuła, ani dotyku, ani zapachu. Uwiesiła się klamki i zatoczyła do mieszkania, zapominając zamknąć za sobą drzwi...

Zatrzęsłam się uderzona porywem zimnego wiatru. Otworzyłam oczy. Stałam na skraju wzniesienia ponad oceanem. Wokół mnie szeleściły niskie krzewy. Na wodzie, wokół wstającego słońca, mieniła się pomarańczowa wstęga. Poniżej fale rytmicznie rozbijały się na skałach, budząc niestrudzone echo. Nie miałam pojęcia, jak znalazłam się w tym miejscu, ale nie było czasu na zastanawianie się nad tym. Myślałam tylko o jednym. *Udało jej się? Dopadli ją?*

W poczuciu bezsilności krzyknęłam prosto w niebo.

– To niesprawiedliwe! Najpierw jestem karana tymi wizjami, a teraz, kiedy potrzebuję ich najbardziej, nie mogę ich mieć? – Zrobiłam krok do przodu, pragnąc znaleźć się bliżej tego, kto mógł mnie tam słyszeć. – Muszę wiedzieć, czy się jej udało. Proszę... O cholera!

Uderzona silnym porywem wiatru, poślizgnęłam się na jakimś zielsku i wywróciłam. Młóciłam ramionami, usiłując chwycić się postrzępionej, kruchej krzewinki, ale łodygi łamały się pod palcami. Uderzyłam biodrem o głaz i nagle znalazłam się w powietrzu. Gwałtownie opadałam ku skałom i oceanowi. Z gardła wydobył się krzyk, wysoki, przenikliwy. *Nie, nie, o Boże, nie, nie, nie...*

Kiedy wróciła mi świadomość, od razu wiedziałam, że nie żyję. Rozpoznałam to uczucie uskrzydającej wolności, jakiego doznałam tamtej nocy, kiedy targnęłam się na życie. Czekałam już tylko na upadek.

Uderzenie jednak nie nastąpiło. Zamiast tego w mojej piersi rozděła się bańka zadowolenia, jasna, promieniejąca, która wypełniła mnie pewnością, że walka się skończyła, że wszystko będzie dobrze.

Przez głowę przemknęła mi jedna troska: *Żeby tylko Diana nie pomyślała, że skoczyłam specjalnie...* Ale i ta ulotniła się szybko, wypchnęło ją poczucie bezpieczeństwa i szczęścia, które nie pozostawiało miejsca na lęk i żal.

Leżałam na plecach, wpatrując się w jasnoniebieskie, czyste niebo. Znajdowałam się na polu, otulała mnie jedwabista, pachnąca trawa, miękka jak materac. Usiadłam powoli, próbując

przypomnieć sobie, co się właściwie stało. Pamiętałam spadanie, a potem już nic. Majaczyło mi się jakieś niewyraźne wspomnienie zdenerwowania, ale nie potrafiłam przypomnieć sobie, o co chodziło. Nic w tej chwili nie wydawało się warte trosk.

Wstałam radośnie uśmiechnięta.

I wtedy nagle zdałam sobie sprawę, że nie jestem sama.

Z każdą sekundą pojawiali się wokół mnie nowi ludzie, materializowali się jakby znikąd, leżeli na trawie, a potem wstawali z twarzami opromienionymi uśmiechem. Każdy rozglądał się, niektórzy byli nieco zaskoczeni, ale nikt nie był wystraszony. Zwracali twarze ku słońcu i zaczęli iść kwiecistą łąką, z wyprostowanymi plecami, spokojnym, sprężystym krokiem. Starzy, młodzi, każdej rasy. Wszyscy szczęśliwi. Rozumiałam to, co odbijało się na ich obliczach. Czułam to samo. Nigdy nie miałam prawdziwego domu, ale tu czułam się właśnie tak jak w domu. Chłonąc ciepło słońca, uniosłam ręce do nieba w wyrazie niemej wdzięczności.

I naraz ujrzałam twarz na przedramieniu.

Przyszła tu ze mną, udręczona i niosąca udrękę. Smutek w jej oczach był niczym cios, natychmiast przebił bańkę zadowolenia. Opuściłam ramiona i wtedy usłyszałam charakterystyczny dźwięk z moich koszmarów. Otwierała się Brama Samobójców. Zdumiona, że nie dostrzegłam jej wcześniej, okręciłam się, usiłując zlokalizować źródło odgłosu.

Tam, w oddali, leżało otoczone murami miasto, a ponad nim rozpięta się kopuła ciemności, kryjąca je w mroku niekończącej się nocy. Widząc Bramę, słysząc jej skrzypienie, natychmiast poznałam to miejsce. I wiedziałam, że tam znajduje się Nadia. Wszystkie moje sny, wszystko, co widziałam, okazało się prawdziwe.

Ludzie wokół mnie zdawali się nie słyszeć metalicznego krzyku Bramy. Nikt się nie odwrócił. Nikt najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z istnienia miasta, które rozpościerało się na wzgórzu za ich plecami.

Ja jednak nie potrafiłam oderwać od niego wzroku.

Ruszyłam po trawie w kierunku kopuły, stopy tonęły mi w kwiatach, ale moja wcześniejsza radość była już tylko odległym wspomnieniem. Kiedy dotarłam do granicy pomiędzy światłem i mrokiem, wahanie dosłownie zbiło mnie z nóg. Opadłam na ziemię.

A co, jeśli...

Co, jeśli dotarła bezpiecznie do mieszkania? Co, jeśli zdołam ją odnaleźć? Co, jeśli mogłabym ją wydestać? Co, jeśli mogłabym sprowadzić ją do słońca? Co, jeśli po śmierci udałoby mi się uczynić to, czego nie zrobiłam za życia?

Co, jeśli udałoby mi się ją ocalić?

Jednak próba ocalenia oznaczała konieczność wejścia do miasta. Do miejsca, od którego latami próbowałam uciec. Czy naprawdę chciałam przez to przechodzić? A jeśli i tak nie mogłam

jej pomóc?

Nie wiem, jak długo siedziałam, wpatrując się w ciemność, wsłuchując się w zgrzyt otwieranej i zamykanej Bramy. Nie wiem, ile minęło czasu, zanim podjęłam decyzję. Nie spodziewałam się, że będzie to takie trudne. Tyle razy śniłam o mieście, ale nie miałam pojęcia, co znajdowało się poza murami. A poza miastem, na Wsi, było niebo i wcale nie chciałam stąd odchodzić.

Tu znajdowało się wszystko, o czym zawsze marzyłam. Byłam tego pewna.

Ale jak mogłabym odwrócić się od Nadii? Jak mogłabym cieszyć się życiem pośmiertnym, nie wiedząc, co z nią?! Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiła, po tych nocach wspólnej nauki, wstawianiu się za mną do przyjaciół, nawet pisaniu listów do kuratora... Po tym, jak udowodniła mi, że jestem coś warta, jak powiedziała, że we mnie wierzy... Jak mogłabym odwrócić się do niej plecami, wiedząc, przez co przechodzi? Znow miałabym ją zawieść?

Nie. Nie mogłam tego zrobić. Musiałam iść tam po nią. I mogłam mieć jedynie nadzieję, że nie przybędę za późno.

Plan był taki: dostać się do miasta. Znaleźć Nadię. Ochronić nas. Znaleźć drogę ucieczki.

Proste.

Wstałam, wzięłam głęboki oddech i obawiając się, że zmienię zdanie, szybko przekroczyłam zasłonę mroku. Poczułam ją na skórze – ciężką, lepką, chłodną, przygniatającą. Zatoczyłam się, uderzona falą rozpacz. Leżałam z czołem przyciśniętym do ziemi, z dłońmi na kamiennym bruku i czułam, jak nadzieja i szczęście ze mnie wyciekają.

Wróciłam.

Droga wiodąca do miasta, wyłożona grubo ciosanymi kamiennymi płytami, zatłoczona była skulonymi, jęczącymi postaciami. Podskoczyłam, kiedy obok mnie rozległo się chrupotliwe plaśnięcie. Nieopodal pojawiło się bezwładne ciało młodego człowieka o ciemnej skórze i czarnych włosach. Chłopak dźwignął głowę, gwałtownie zamrugał, potem popatrzył na Bramę i z jego mimowolnie rozchylonych ust dobył się krzyk w obcym języku. Potem chłopak ciężko się podniósł i dołączył do rzeki idących ludzi. Oszołomione, bezwładne dusze materializowały się wokół niczym kupki nieszczęścia, w makabrycznej parodii tego, co działo się po drugiej stronie zasłony. Biedacy podnosili się machinalnie i chwiejnie ruszali ku paszczy miasta. A Brama Samobójców wysłała ich wszystkich. Żaden nie próbował uciekać, nie opierał się. Nie patrzyli ani w prawo, ani w lewo. Jak większość ludzi z moich koszmarów, włączając Nadię, zdawali się być skupieni na sobie i własnych przeżyciach. Czekałam, aż i mnie ogarnie to uczucie, aż poczuję tę nieodpartą potrzebę udania się w stronę Bramy. Ale nie zaczęła mnie przyciągać. Mogłam tam iść, ale nie musiałam. Nadal miałam wybór.

Za bramą rozpościerało się miasto, pokrywające zbocza wzgórze niczym cementowa pleśń. Stłoczone w centrum wieżowce wznosiły się tak wysoko, że trudno było powiedzieć, gdzie

kończy się budynek, a gdzie zaczyna niebo. Jedyłą nieprawidłowością we wzorze, według którego rozmieszczone były niskie budynki poza centrum, była ogromna, biała budowla położona tuż przy murze po przeciwnej stronie. W tym miejscu, które niczym gąbka pochłaniało światło, gmach zdawał się jaśnieć niezwykłą poświatą. Nagle zaczęłam współczuć owadom przyciąganym przez lampy owadobójcze. Nie miałam pojęcia, co to za budynek, ale czułam, że mnie wzywa.

Oderwałam od niego oczy. Miałam tylko kilka minut, potem przejdę Bramę i dam się wchłonąć miastu, pozwoliłam sobie więc ostatni raz spojrzeć na to, co zostawiałam. Zielone pagórki Wsi nadal były widoczne przez poczerwiałe welon nocy. Po przeciwnej stronie, poza miastem, milami rozciągała się puszcza. Za mną srebrzyste rzeki wiły się pośród złotych pól pszenicy. A ponad nimi świeciło słońce.

Nadia potrzebowała tego wszystkiego. Musiałam ją wydostać z mroku.

Odwrociłam się ku Bramie i zacisnąwszy zęby, pomaszerowałam naprzód. Wokół tłoczyli się ludzie, napierali na mnie, pokładali się na moich plecach, wzbudzając mdłości i ożywiając wspomnienia, które tak bardzo starałam się pogrzebać. Torowałam sobie drogę, ostrożnie lawirując pomiędzy ramionami, barkami, piersiami, głowami, i zmierzałam ku brzegowi tej ludzkiej rzeki. Nadszedł czas na spotkanie ze Strażnikami. Zaczęłam zawodzić i jęczeć, włączając się w chór rozpaczliwych błagań.

– Proszę – zawołałam, wyciągając rękę ku Strażnikowi, machając nią, by zwrócić jego uwagę.

– Proszę, pomóż.

Kiedy jednak okryta rękawicą dłoń miała już chwycić mnie za włosy, uchyliłam się. Palce zamknęły się na moim przedramieniu. Strażnik szarpnięciem pozbawił mnie równowagi i popchnął na jakiegoś nieszczęśnika z przodu, który natychmiast zwałił się na ziemię bezwładnie niczym szmaciana lalka. Strażnik ponownie pochwyił mnie, a ja, kiedy tylko znalazłam się bliżej jego osłoniętej metalem piersi, wyszarpnęłam ramię z jego palców i odepchnąwszy się nogami od zbroi, padłam na ziemię. Pociągnęłam na siebie jakąś starszą Azjatkę i stworzyłam ludzki karambol. Wkrótce u stóp Strażnika utworzył się niewielki wzgórek, a ja znajdowałam się na samym spodzie, tuż przy jego butach.

Nade mną pojękiwały i poplakiwały ofiary mojego planu. Strażnik prychał gniewnie i chwiał się pod naporem miotających się ludzi, którzy przytrzymywali się go, usiłując wstać. Rzuciłam się ku jego goleniom z nadzieją, że wszyscy Strażnicy noszą takie noże myśliwskie, jak tamten młody, który walczył z Ibramem. Uśmiechnęłam się, kiedy trafiłam na przytroczoną do kostki pochwę. Zanim Strażnik się cofnął, zdołałam odwiązać ramię i wyjąć nóż. Wsunęłam rękę pod koszulkę, przyciskając broń, i na kolanach ruszyłam w stronę miasta. Drugą ręką przytrzymywałam na swoich plecach niczym tarczę Azjatkę i modliłam się, by Strażnik nie



zauważył, że oddalam się z jego nożem.

Kiedy przekroczyłam granicę miasta, kolana miałam już całkiem poranione. Osunęłam się na bruk, usiłując złapać oddech. Uwolniona Azjatka przetoczyła się po ziemi, wstała i oddaliła, powłócząc nogami.

Ostrze przecięło mi skórę pod koszulką. Musiałam uważać, bo nóż nie przyda mi się na nic, jeśli się nim wcześniej zadźgam.

Jedno spojrzenie przez ramię upewniło mnie, że Strażnik nie odkrył kradzieży. Rozejrzałam się po dużym placu, na którym się znalazłam. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Podniosłam się.

Nowo przybyli, którymi plac był dosłownie usiany, pozostawali na nim przez chwilę oszołomieni, a potem odchodzili. Wolni czy uwięzieni, nie umiałam tego odgadnąć. Popatrzyłam, jak zamyka się Brama, a potem ruszyłam w głąb miasta, starając się zapamiętać szczegóły, których wcześniej nie widziałam. Wzdłuż brukowanych ulic stały szeregi gazowych latarni, jarzących się bladym, mdłym blaskiem. Oświetlały niewielkie kręgi, poza którymi na ulicy rozciągały się duże placki czerni. W przeciwieństwie do podobnych do siebie ulic, budynki reprezentowały różnorakie style. Jeden, na lewo ode mnie, przypominał sześcienny biurowiec wzniesiony ze szkła i stali. Po prawej, na krawędzi placu przycupnęła rozpadająca się gliniana chatynka. Wschód spotykał się z Zachodem. Planiści w piekle mieli albo zły gust, albo dziwaczne poczucie humoru.

Wlokłam się powoli, tak jak inni, choć miałam ochotę czmychnąć pod jakąś osłonę. Przygarbiłam się i złapałam za brzuch, licząc, że na mój widok Strażnicy pomyślą raczej, że coś mnie boli, a nie że ukrywam broń. Spodnie miałam poplamione krwią z obtartych kolan, więc pasowało. Ulżyło mi ogromnie, kiedy dotarłam wreszcie do zaułka przy głównej ulicy. Przystanąłam skulona i przez chwilę nasłuchiwałam, czy pod kocem ciemności nie kryją się przypadkiem istoty, których nie dostrzegam. Niczego nie usłyszałam, zanurzyłam się więc w mrok i przyczajona, zaczęłam przeprowadzać rozeznanie.

## SZÓSTY

Przez całe lata mieszkalam w Providence lub w jego okolicy. Wiele razy bylam w Bostonie. Raz w gimnazjum załapałam się nawet na wycieczkę do Nowego Jorku. Mroczne miasto w żaden jednak sposób nie przypominało tamtych miast. W tamtych zapachy wręcz atakowały. Spaliny, smog, przyprawy, sól, ostre, natarczywe, czepiały się mojej skóry, wwierały w nos. W mrocznym mieście zapachy były słabe, jakby rozcieńczone, nie dało się ich pochwycić, nie odrzucały, ale też nie pociągały.

W tamtych miastach nawet nocą przestrzeń rozcinały kolumny i kręgi światła emitowanych przez neony, ogromne telebimy i reklamy. W mrocznym mieście coś wysysało ze światła kolory, a pozbawione życia światło łatwo poddawało się ciemności. Tamte miasta tętniły głębią dźwięku. Tony i rytmy zderzały się i nakładały na siebie. Uwielbiałam, kiedy ich vibracje przepływały przez moje ciało niczym puls. W mrocznym mieście dźwięki były płaskie. Nie zaskakiwały, nie śpiewały. Nie było tu autobusów, samochodów ani nawet rowerów. Żadnych kół czy silników. Wszyscy chodzili pieszo, snując się po ulicach. Panowała uderzająca cisza. Żadnych rozmów. Wiele osób mijających moją kryjówkę mamrotało coś cicho w różnych językach. Ale mówili tylko do siebie. Zastanawiałam się, czy też tak wyglądałam, wędrując tu w snach, pochłonięta sobą. Jedynym głośnym dźwiękiem było zgrzytanie i szczęk Bramy otwieranej na powitanie samobójców.

Ludzie człapali, wpatrzeni w drogę przed sobą. Niektórzy nieśli torby z zakupami spożywczymi. Widać było, że choć martwi, nadal gdzieś mieszkają i coś jedzą. A więc nieopodal musiał znajdować się jakiś sklep. Na szczęście. Nie byłam głodna, ale wiedziałam, że gdy znajdę Nadię, będę ją musiała nakarmić. W jej stanie z pewnością nie dałaby rady sama szukać jedzenia. Gdy ją znajdę... Ogrom tego zadania przytłoczył mnie tak, że musiałam oprzeć się o ścianę i opuścić głowę na kolana.

– Oddychaj.

*Nawet jeśli to miasto jest tak duże jak całe Rhode Island, uda ci się. Weszła do tego mieszkania, a teraz trzeba ją tylko odnaleźć. Wstawaj i ruszaj dupsko, Lelo Santos. No już.*

Poderwałam się i zaczęłam oglądać ukradziony nóż. Wyglądał groźnie. Sześciocalowe ostrze zakrzywione na czubku i ząbkowane na dole krawędzi. Rękojeść dopasowana do znacznie większej dłoni. Zacisnęłam palce i obróciłam nóż – dla mnie czy nie, i tak w razie czego mogłam zrobić nim krzywdę. Włóczenie się po ulicach z nożem na widoku nie wydawało się jednak najlepszym pomysłem.

Cofnęłam się głębiej w zaułek, zdjęłam T-shirt i odciąłam na dole szeroki pas tkaniny. Rozciągnęłam go, złożyłam w podwójną pętlę i zacisnęłam wokół bioder, poniżej paska spodni. Pomiędzy paski tkaniny wsunęłam nóż. Wiedziałam, że ta prowizorka nie wytrzyma zbyt długo, bo ostrze przetnie materiał, ale powinnam bezpiecznie dotrzeć przynajmniej do sklepu. Założyłam z powrotem koszulkę, zadowolona, że kurtka okazała się wystarczająco długa, by zakryć rękojeść noża.

Wyszłam z zaułka i skręciłam w stronę, skąd nadchodzili ludzie z torbami. Rzeczywiście, przecniąc dalej dostrzegłam obskurny budynek z napisem JEDZENIE.

Zajrzałam przez witrynę. Nie miałam pieniędzy, zastanawiałam się więc, czy do listy grzechów będę musiała dopisać jeszcze drobną kradzież. W sklepie jednak nie zauważyłam nigdzie kasy, było tylko kilka szeregów półek zapelnionych różnymi produktami i paczkami. Ludzie zabierali, co chcieli, pakowali to do toreb i wychodzili bez płacenia. Może istniał tu jakiś system kredytowo-płatniczy?

Weszłam do środka. Ciszę przerywało jedynie szuranie stóp po posadzce i szelest papierowych toreb. Na wszelki wypadek postanowiłam kogoś zapytać o kwestię zapłaty, niż zaczynać pośmiertne życie od przestępstwa. W alejce z warzywami stała monstrialnie otyła kobieta w opiętej koszuli. Pakowała do torby przywiędłe lodygi selera, a obwisła skóra na jej rękach trzęsła się przy każdym ruchu.

– Przepraszam. Jestem... Jestem tu nowa. Jak zapłacić za zakupy?

Kobieta zastygła w pół ruchu.

– Zapłaciłam już aż nadto – odparła monotonnym głosem, a jej oczy nagle wypełniły się łzami.

– Dzięki, przepraszam za kłopot – powiedziałam, wycofując się szybko. Widziałam kiedyś podobną scenę w horrorze i nie zamierzałam czekać na pojawienie się sadystycznego psychopaty w masce klauna.

Obeszłam sklep, usiłując namierzyć jakiegoś kierownika, ale mijałam jedynie żalonych, zagubionych ludzi ładujących do toreb nieapetyczne produkty spożywcze. Skoro tak tu to robią... Wzięłam ze stojaka papierową torbę, rozdartą z boku i poplamioną tłuszczem, i ruszyłam pomiędzy półki.

Wszystko jednak wydawało się niejadalne.

Jabłka były miękkie, pokryte plamami, ziemniakom powyrastały pędy, a bułki przypominały kamienie. Zobaczyłam kosz z paczkami krakersów i chipsów, ale kiedy wzięłam jedno opakowanie, okazało się ono połączone z innymi jakimś ciągnącym się brązowym glutem. Cofnęłam rękę i z obrzydzeniem wytarłam ją o spodnie. Jedzenie było wprawdzie za darmo i bez ograniczeń, problem w tym, że ja go nie chciałam. Cisnęłam papierową torbę, złapałam

kilka bułek i najmniej poplamione jabłko i wyszłam tak szybko, jak tylko pozwalały na to moje poobcierane nogi.

Bułki wcisnęłam do kieszeni, jabłko jednak wywaliłam, kiedy kciuk zagłębił mi się aż po nasadę w jedną z brązowych plam. Potem zaczęłam zwiedzać miasto, licząc przecznice i starając się zapamiętać punkty orientacyjne, żeby całkiem się nie pogubić.

Po ulicach poruszały się tłumy ludzi, ale każdy zdawał się być zamknięty we własnym świecie, nieświadomy obecności innych. Skoro jednak kobieta w sklepie odezwała się do mnie, uznałam, że może inni też odpowiedzą. Czas wykorzystać moją tajną broń. Podwinęłam rękaw i podeszłam do kobiety w sari.

– Dzień dobry – przywitałam się wesoło. – Widziała pani może tę dziewczynę?

Kobieta popatrzyła na mnie, zamrugła, a potem spojrzała na tatuaż. Po chwili wymamrotała coś niezrozumiałego. Niech to. Mówiła chyba w hindi. Albo farsi. Albo po chińsku. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia, bo nie był to angielski, a ja innych języków nie znałam. Kobieta odeszła, nie poświęciwszy mi drugiego spojrzenia. Odetchnęłam głęboko kilka razy i udało mi się nie wrzasnąć.

Przez kilka kolejnych godzin pokazałam portret Nadii setkom ludzi, poszukując w ich oczach najlżejszego choćby błysku skojarzenia. Spośród nich wszystkich po angielsku mówiło niespełna dwudziestu. Nie żeby cokolwiek to pomogło. Poza tym nie udało mi się skłonić nikogo do zatrzymania wzroku na tatuażu dłużej niż przez sekundę. Zaraz potem odchodzili. Niektórzy byli zbyt zaabsorbowani, żeby w ogóle coś powiedzieć. Jeden facet siedział na ławce, gapiąc się na swoją dłoń. Kiedy próbowałam go zagadnąć, na wewnętrznej stronie dłoni pojawiła się niewielka grudka brązowej mazi, zupełnie jakby wypelzła z jego skóry. Grudka skręcała się i rozciągała jak żywa, aż wreszcie przybrała ostateczny kształt. Cygaro. Facet strząsnął z czubka trochę śluzowatych nitek, wsadził je sobie do ust i zapatrzył się w dal, żując.

Wycofałam się powoli. Przysiadłam na jakimś ganku i kontemplując kamienną bułkę, dumalam nad swoją głupotą i naiwnością. Nadia mogła być wszędzie w tym labiryncie nieszczęścia, a ja wiedziałam tylko tyle, że kiedy ostatni raz ją widziałam, znajdowała się w korytarzu o pomarańczowych ścianach i ciemnoróżowych drzwiach. Zajrzałam do kilkunastu mijanych budynków, ale we wszystkich ściany były pomalowane na brudny kolor fioletowy, a drzwi na rudo.

Po wyjściu z kolejnego budynku zmusiłam się do uśmiechu, chcąc zapanować nad zbierającymi się pod powiekami łzami bezsilności. *Spokojnie. Masz całe pośmiertne życie, żeby ją odnaleźć.* Przeszłam sto pięćdziesiąt sześć przecznic. Przede mną rozciągała się kolejna kamienista ulica prowadząca w mrok.

Z zadumy wyrwał mnie chrzęst kroków. Podniosłam głowę i zobaczyłam zbliżającego się

powoli staruszka. W przeciwieństwie do innych, zdawał się patrzeć prosto na mnie i co ważniejsze, widzieć mnie. Jego twarz rozciągnęła się w bezzębnym uśmiechu.

– *¿Habla Espahola?* – zapytał.

– Nie. Tylko po angielsku – odpowiedziałam przekonana, że na tym zakończy się rozmowa.

– To świetnie. Już myślałem, że jesteś jedną z tych kaktusów – wysepleniał.

Wiem, że powinien się obrazić, ale określenie „kaktus” wypowiedziane przez osobę niemającą zębów, brzmiało strasznie śmiesznie.

– Hej, cieszę się niezmiernie, że nie jestem jedną z TYCH, ale tak się składa, że latynoską owszem. Przykro mi. – Już miałam odejść, co wydawało się lepszym rozwiązaniem, niż walnięcie go, ale starzec był jak do tej pory najbardziej składnie mówiącą osobą, jaką napotkałam. Zmusiłam się więc do pozostania i po raz setny podwinęłam rękaw.

– Nic to, nic to – zlekceważył kwestię mojej przynależności do niewłaściwej jego zdaniem grupy etnicznej i oblizal wargi. – Masz gdzie mieszkać?

– Jeszcze nie. Szukam kogoś. Widział pan może tę dziewczynę? – Pochyliłam się, żeby pokazać mu tatuaż, i dopiero wtedy poczułam, jak starzec paskudnie śmierdział. Cuchnął wyjątkowo nieprzyjemnym, starczym smrodem, mieszkanką mdlącej zgnilizny i słodkiego kadzidła. Cofnęłam się, walcząc z odruchem wymiotnym.

Starzec złapał mnie gruzłowatymi paluchami za przegub.

– Doskonała – powiedział, trzymając moją rękę w zaskakująco silnym uchwycie. – Jesteś doskonała. Chodź ze mną.

Na dźwięk tych słów przeszył mnie dreszcz przerażenia. Zacisnęłam pięść i już miałam zapoznać go z doskonałym hakiem, kiedy coś złapało mnie za włosy i szarpnięciem pozbawiło równowagi. Starzec puścił mnie i czmychnął, upiornie żwawo i... na czterech, tak samo jak tamta zwierzopodobna babuleńka. Nie miałam jednak czasu na analizowanie tego wszystkiego, bo wokół mojej szyi zaciskało się właśnie zakute w stal ramię.

Zduśliłam paniczny wrzask. Przycisnęłam brodę do piersi i wywinęłam się, nim napastnik zdołał mnie porządnie przytrzymać. Zanurkowałam pomiędzy jego kłodontymi nogami i już miałam rzucić się do ucieczki, kiedy przeciwnik złapał mnie za kostkę u nogi i jedną ręką podniósł do góry.

– Twój przyjaciel umknął – burknął, trzymając mnie w górze niczym nagrodę; mówił z wyraźnym akcentem. – Ale ty nie znajdziesz dzisiaj swojej kolejnej ofiary, Mazikinie. Dzisiaj będziesz musiała zadowolić się mną.

Mój napastnik okazał się jednym z tych buhajowatych Strażników. Wspaniale. Podobnie jak u innych, których widziałam, jego twarz skrywała przyłbica, spoza której widać było jedynie jarzące się jak latarenki, niesamowicie zielone kule.

Sądząc po wysokości, na jakiej wisiałam, Strażnik musiał mieć dużo ponad dwa metry wzrostu i pewnie tak samo szerokie bary. Z tych kilku kroków naszego tańca mogłam jednak wywnioskować, że byłam od niego szybsza, co nie oznaczało, że on był powolny – w końcu to ja wisiałam teraz głową w dół. Moją jedyną przewagą stanowiło to, że najwyraźniej nie postrzegiał mnie jako zagrożenia. Nie dobył broni i tak się zachwycał swoją przewagą, że nie osłaniał nawet korpusu i nóg. Większość jego ciała okrywała zbroja, ale na łączeniach były spore szczeliny... A ja miałam nóż.

Wiłam się i miotałam, żeby ocenić jego siłę, jednocześnie przytrzymywałam jedną ręką nóż. Musiał się nieźle wyęźać, ale widać wołał zużytkować energię na zastraszenie mnie, niż zachować ją na wszelki wypadek. Zakładał, że nie będzie mu potrzebna. Dzięki Bogu za wybujale męskie ego.

W końcu trzymająca mnie ręka zaczęła drżeć z wysiłku, co odczułam we własnej nodze. I gdy już wydawało się, że będzie musiał mnie położyć albo przytrzymać jeszcze drugą ręką, grzmotnęłam go z całej siły wolną stopą w przedramię i wyciągnęłam ręce, żeby zamortyzować upadek. Natychmiast usiłowałam odskoczyć jak najdalej od niego, ale ponownie mnie złapał. Starał się chwycić mnie za włosy, wywinęłam się jednak, wyszarpnęłam nóż i wraziłam ostrze w szczelinę zbroi, tuż pod kolanem. Zawył i puścił mnie.

Zrzuciłam klapki i zaczęłam uciekać na bosaka, upajając się wolnością. Która trwała jakieś dziewięć sekund. Skręciłam za róg i z impetem wpadłam na drugiego Strażnika.

– Nie jestem taki głupi, jak on – usłyszałam jeszcze gardłowy komentarz, potem poczułam silne uderzenie w głowę i straciłam przytomność.

## SIÓDMY

Leżałam na zimnej posadzce. Napięłam mięśnie, usiłując powstrzymać dreszcze i starając się nie ruszać do czasu, aż zorientuję się, gdzie u diabła jestem.

*Ach, tak. Właśnie u diabła.*

Nie otwierając oczu, nasłuchiwałam. Nieopodal rozlegały się niskie głosy, mówiące po angielsku z silnym akcentem. Dochodziło mnie szuranie butów po posadzce, szcęknięcie zbroi, stękania, westchnienia i śmiechy. Musiało ich być przynajmniej dwóch. Niedobrze. Bardzo niedobrze.

Rozchyliłam lekko powieki. Znajdowałam się w celi. Trzy kamienne ściany, a z przodu kraty. Po jej drugiej stronie siedzieli Strażnicy. Powoli, ostrożnie odwróciłam głowę. Okazało się to trudniejsze, niż oczekiwałam. Po pierwsze dlatego, że czaszka bolała mnie tak, jakby została wywrócona na lewą stronę. A po drugie dlatego, że dolną część twarzy miałam czymś obwiązaną.

Boże. Założyli mi kaganiec.

Spróbowałam podnieść ręce, żeby go zdjąć, ale ręce... Miałam na nich skórzane, mocno związane rękawice. Ogarnęła mnie panika. Usiadłam gwałtownie.

I natychmiast tego pożałowałam. Świat rozmazał mi się przed oczami, a w głowie zaczęło pulsować. Pochyliłam się, bo szarpnęły mną suche torsje. Na szczęście miałam pusty żołądek. Położyłam się na boku, zwinęłam w kłębek i zasłoniwszy twarz rękami, udawałam, że znów straciłam przytomność. Zostawiłam jednak pomiędzy rękawicami małą szczelinę, przez którą mogłam obserwować Strażników. Siedzieli pośrodku dużego pomieszczenia, przy grubo ciosanym, drewnianym stole. Z trzech stron otaczały ich cele, takie jak moja. Niektóre puste, w innych pomiędzy kratami dostrzegłam poruszające się cienie. Na ścianach i suficie wisały latarnie, ledwie oświetlając pozbawione okien pomieszczenie. Na tylnej ścianie zobaczyłam troje drewnianych drzwi.

Jeden ze strażników zauważył chyba, że się ruszam, bo łupnął łokciem swojego towarzysza i odwrócił się do mnie. Podeszli do kraty. Wyglądali jak bliźnięta. Mieli grube, kartoflowate rysy twarzy, wystające kwadratowe szczęki, łyse czerepy i wydętą czoła, wybrzuszone ponad błyszczącymi oczami o barwie klejnotów. Obaj zdawali się być mną niezwykle zainteresowani.

– Całkiem niezła sztuka, Bilal. To na pewno Mazikin? – powiedział ten o szafirowych

tęczówkach. – Nie pachnie, tak jak one.

– Sam wiesz, Hani, że nieźle dowalił Amidowi. Jak dla mnie to raczej Mazikin niż niezła sztuka.

– Na pewno będziemy to wiedzieli dopiero wtedy, kiedy Malachi z tym skończy – stwierdził Hani.

– Amid wie, że się ocknęło? – zaniepokoił się Bilal.

Hani zerknął przez ramię.

– Jeszcze nie. I mam nadzieję, że tak zostanie, dopóki Malachi nie przyjdzie i sam się tym nie zajmie.

Nagle wszyscy troje podskoczyliśmy, bo jedne z drzwi otworzyły się z hukiem i pojawił się w nich kolejny Strażnik. Ten, którego zraniłam.

– Słyszałem, że wezwano Malachiego – zagrmiał.

– Taka jest procedura, Amid. Do każdego schwytanego żywcem Mazikina musimy wezwać kapitana – powiedział Bialal przepraszająco.

– Sam to przesłucham – warknął Amid. Zdjął z kolka na ścianie pęk kluczy i przegrzebał je palcami. Znalazłszy odpowiedni, włożył go w dziurkę w drzwiach mojej celi.

Bilal położył mu dłoń na ramieniu.

– Opanuj się.

Amid strącił jego rękę.

– Przesłucham i założę się, że wyda mi wszystkie sekrety, zanim Malachi przekroczy nasze skromne progi. Wtedy zobaczymy, kto tu nad czym panuje.

Hani spojrział na Bilalą i pokręcił głową.

– Chodź, pójdziemy coś zjeść – zaproponował.

– Malachi nie będzie zadowolony.

Serce mi zamarło. Wyszli.

Amid szarpnięciem otworzył kratę i ostrożnie wszedł do celi. Leżałam spokojnie, ale nie potrafiłam ukryć bezsilnego drżenia.

– O, świetnie – zarechotał paskudnie. – Ocknąłeś się. – Stawiając mnie na nogi, omal nie wyrwał mi ramię z barków. – Przeniesiemy się gdzieś, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać sam na sam.

Wylókł mnie z celi i popchnął przodem. Mogłam tylko posłusznie stawiać nogę za nogą. Głowa mi pękała. Złapał mnie wielgachnymi łapskami za barki. W zakamarkach mojego umysłu zaczęła wrzeć smoła wspomnień. Próbowалам z nimi walczyć, potrząsnęłam głową, żeby je odegnąć. Wiedziałam, że będę potrzebowała trzeźwego myślenia i sprytu, aby się wykaraskać z tego żywa. Natychmiast okazało się, że dodatkowe wstrząsanie poobijanego mózgu nie jest



rozsądne. Fala torsji niemal znów pozbawiła mnie przytomności.

Amid poprowadził mnie do jednych z drzwi i przytrzymał za szyję ramieniem, kiedy je otwierał. Niektóre z gęstych, smolnych bąbli wspomnień pękły. Kiedy przysunął się za blisko do moich pleców, szarpnęłam się z całej siły. Kopnął mnie w nasadę kręgosłupa. Wylądowałam na boku na betonowej posadzce i natychmiast próbowałam niezgrabnie wstać. Miałam wrażenie, że pogruchotał mi kręgi. Posadzka naraz wydała mi się zachęcająco wygodna. Cofnęłam się przed podchodzącym Amidem pod ścianę.

– Przecież mówiłem, że chcę tylko porozmawiać – tłumaczył, wyciągając ku mnie rękę. – Zdejmę ci kaganiec i rękawiczki, a ty będziesz grzecznym potworkiem, zgoda? Spokojnie, Mazikinie, dam ci coś, czego pragniesz.

Stałam spokojnie, kiedy zdejmował krępujące mnie więzy, a kiedy skończył, natychmiast czmychnęłam jak najdalej.

– Dzięki – powiedziałam. Pokój był spory, ale jak na mój gust zdecydowanie za mały. – Jak twoja noga? – zapytałam, błędząc wzrokiem po ścianach. Nie było żadnego drugiego wyjścia. Amid burknął coś w odpowiedzi. Cały czas przyglądał mi się z przyprawiającą o mdłości mieszaniną rozbawienia i nienawiści. – A tak przy okazji – dodałam, przesuwając się o kilka cali w stronę drzwi. – Żeby było jasne. Nie nazywam się Mazikin tylko Lela.

Zmrużył zielone ślepią i przykląkł, żeby wyciągnąć przytroczony do kostki nóż.

– Możesz się nazywać, jak tam sobie zyczysz. – Nie spuszczać ze mnie wzroku, rzucił mi nóż pod nogi. – A teraz spróbuj mnie znów zadrapać.

*Kurde.*

Nie miałam wyboru. Podniosłam nóż, zastanawiając się jednocześnie, czy przypadkiem to samo ostrze nie zatone w ciągu następnych kilku minut w moim ciele. Wydawało się to całkiem prawdopodobne.

– Myślałam, że mamy rozmawiać. – Miałam nadzieję, że przybrałam wystarczająco przyjacielski ton. – Naprawdę mi przykro z powodu twojej nogi. Ale zaskoczyłeś mnie zupełnie. A potem zadziałał instynkt przetrwania i tak dalej. To nic osobistego.

Rozejrzałam się, usiłując wytyczyć taką drogę do drzwi, która pozwoliłaby mi pozostać poza jego zasięgiem. Znowu coś burknął w odpowiedzi i zaczął się do mnie zbliżać. Cholera. Facet mnie zabije, a ja nawet nie wiedziałam, z jakiego powodu, no, poza tym, że uciekłam przy naszym pierwszym spotkaniu. Wyglądało na to, że brał mnie za kogoś innego, bo ciągle nazywał mnie Mazikinem. A ja przecież nie miałam nic wspólnego z tymi gostkami od bułatów, których załatwił tamten drugi Strażnik. Pochyliłam się (częściowo także dlatego, że absolutnie mogłam stać prosto) i nagle uświadomiłam sobie, że nie ma żadnej drogi ucieczki.

Stał pomiędzy mną a drzwiami.

Przez głowę przemknęły mi szalone myśli. Czy po pośmiertnym życiu jest jakieś pośmiertne życie? Gdzie pójdę, jak mnie zabije? Przecież już nie żyłam. Jedna śmierć to mało? Jak dla mnie aż nadto. Desperacko starając się opóźnić chwilę mojej nieuchronnej ponownej śmierci, zamachnęłam się i z całej siły cisnęłam nożem.

Amid najwyraźniej nie spodziewał się, że zrobię coś tak kozackiego. Z głupią miną popatrzył na tkwiący w brzuchu nóż.

Potrzebowałam niespełna sekundy, żeby się zorientować w sytuacji – rana była zbyt płytka, by spowolnić tego cholernego nosorożca. Zanim jednak wyciągnął ostrze, odkuśtykałam pod najdalszą ścianę. Choć spodziewałam się lada moment poczuć nóż między zębami, nie potrafiłam kopnąć w tyłek mojego instynktu przetrwania.

Amid roześmiał się.

– Niezła sztuczka, Mazikinie. Ale lepiej, żebyś miał w zanadrzu coś lepszego.

Umykałam pod ścianami niczym żaloszny krab.

– No nie. A może jednak uwierzysz, że nie jestem żadnym Mazikinem?

– Nie – odpowiedział, naśladowując mój ton. Zatarasował sobą drzwi i rzucił nóż w najdalszy kąt pomieszczenia. – To co, kolejna próba?

– Nie. – Skuliłam się, przyparta do ściany.

– Szkoda. – Grzmotnął mnie w bok, posyłając na posadzkę. Dosłownie zapadłam się w siebie, zabrakło mi ironicznych uwag. Z trudem łapałam powietrze, zastanawiając się półprzytomnie, czy złamane zębra przebiły mi płuca. Amid chwycił mnie za kostkę u nogi i pociągnął ku sobie.

– Wstawaj, Mazikinie.

Naprawdę próbowałam to zrobić, zrobiłabym wszystko, żeby znów nie oberwać. Ale najwyraźniej robiłam to za wolno. Złapał mnie za włosy i szarpnął, stawiając na nogi, a potem przyparł w kąciku i pochylił się. Owionęło mnie ciepło jego oddechu i przeniosło w przeszłość.

*Leżałam na brzuchu, w ciemności, a jego ciężar wciskał mnie w pościel.*

Nie. Nigdy więcej. Nie dopuszczę do tego. Moja pięść wystrzeliła w górę i zderzyła się z nosem Amida, równocześnie prawą ręką sięgnęłam po jego pałkę. Wyrwałam ją, a kiedy zatoczył się do tyłu, przerzuciłam ją do lewej, bo prawej nie mogłam podnieść powyżej barku. Dałam desperackiego susa i grzmotnęłam przeciwnika pałką w twarz. Trzask rozszedł się drganiem po moim ramieniu. Zawył z bólu. Rzuciłam się ku drzwiom i już, już miałam je otworzyć, kiedy zaatakował.

Udało mi się załomotać i wezwać pomocy, ale tylko raz. Złapał mnie, lupnął moją głową o drzwi, potem szarpnął i cisnął o przeciwległą ścianę. Usiłowałam ponownie zamachnąć się pałką, ale nie mogłam oddychać, poza tym nic nie widziałam. Wywijalałam nią tylko bezradnie. Potem usłyszałam trzask pękającej kości nadgarstka, kiedy wykręcił mi rękę, wrywając swoją broń, ale

nie poczułam w pełni bólu, dopóki nie przygwoździł mnie znowu do ściany, przytrzymując moje ręce ponad głową.

Wrzeszczałam, błagając o pomoc, o litość, wywrzaskiwałam groźby. Rozżarzone kamienne ściany parzyły mnie w twarz, biodra, kolana, topiąc w traumatycznych wspomnieniach. Byłam tam, ale nie tam. Mimo szaleńczej szamotaniny umysł bezlitośnie rejestrował obrzydliwy napór cieleski, którym Amid przygniatał mnie do ściany. *Nie. Nie.*

Kopałam, ale gdzieś w pustkę. Przed oczami wirowały mi smugi światła i czerni. Czułam grube paluchy szarpiące moje włosy na karku, kiedy uderzał moją głowę o ścianę. Przestałam cokolwiek widzieć. Jęczałam i charczałam, dopóki starczyło mi powietrza w płucach. Amid był zbyt blisko, żebym zdołała wciągnąć powietrze. *Twarcz wciśnięta w różową pościel, uczucie duszenia. Nikt nie usłyszy moich krzyków.*

A potem wydarzyło się kilka rzeczy jednocześnie. Dopiero później ustaliłam ich kolejność. Drzwi rozleciały się w drzazgi, ścianami wstrząsnął potężny ryk wściekłości.

– Nie.

Przygniatający mnie ciężar zniknął. Cementowa posadzka powitała mnie jak starą przyjaciółkę. Rozległ się łomot metalu o ciało i kolejny, każdy zaakcentowany amidowym jękiem bólu. Ktoś kłócił się w niezrozumiałym języku. Może nawet angielskim, ale i tak nie mogłam nic zrozumieć.

Byłam zbyt zajęta umieraniem. Ponownym.

## ÓSMY

Leżałam na pościeli. Czyjeś palce dotykały mojej twarzy.

*Nie!* schrypięty głos. Mój głos.

Przywarłam do podłogi, serce waliło mi młotem. Miałam mokrą twarz. Otarłam ją zniecierpliwiona i skuliłam się za pustą pryczą. Zmięte prześcieradło owinęło się wokół mojego nagiego ciała.

Z miejsca, gdzie przycupnęłam, widziałam stół i dwa składane krzesła. Na blacie stała latarnia gazowa, bezskutecznie walcząca z mrokiem, w którym pogrążona była reszta pomieszczenia. Przesunęłam spojrzeniem po ścianach, aż dostrzegłam znajdujące się na lewo ode mnie drzwi. Zanim jednak miałam szansę rozważyć, czy ucieczka ma sens, rozległ się głos.

– Są zamknięte. Powinnaś wiedzieć. – Męski głos, wyraźny, szczekliwy akcent. Dobiegał z prawej strony, spod ściany. Owinęłam się szczelniej prześcieradłem i wystawiłam głowę ponad pryczę.

Siedział parę metrów ode mnie na składanym krześle, a jego twarz tonęła w cieniu.

– Wobec tego chyba nie chce ci się pić – stwierdził i z łupnięciem odstawił coś, prawdopodobnie kubek, na podłogę. Wydał mi się dziwnie znajomy.

– Chcesz tam siedzieć, nie ma sprawy – ciągnął. – Ale może jednak będzie ci wygodniej na łóżku. Sporo przeszłaś.

– Co się stało? – Założyłam, że domyśli się, o co mi chodzi. Zanim straciłam przytomność, byłam pewna, że umieram od wewnętrznych obrażeń. No i miałam strzaskany nadgarstek. Teraz wydawał się zdrowy. Całkiem zdrowy.

– Twoje fizyczne rany zostały uleczone.

– W takim razie macie tu wprost kosmiczny szpital – warknęłam. – Skąd w ogóle jakiegokolwiek obrażenia? Już nie żyję, prawda?

Zaśmiał się szyderczo.

– Jak my wszyscy. Ale oddychamy, krwawimy. Twoje tutejsze ciało może zostać uszkodzone tak samo jak to poprzednie. Możesz też zginąć. A nie wiadomo, gdzie potem wylądujesz.

Kiwnęłam głową.

– Masz tu czystą koszulę i spodnie. – Rzucił ubrania na pryczę, a razem z nimi cienkie pantofle.

Chwyciłam ciuchy.

– Odwróć się.

Roześmiał się.

– Żartujesz sobie chyba. Jak chcesz się ubrać, ubieraj się. A jak nie chcesz, to możesz sobie siedzieć na podłodze w prześcieradle. Tak czy owak, porozmawiamy sobie.

Tym razem to ja się roześmiałam, ale nawet dla mnie ten śmiech brzmiał nieco historycznie.

– Jak ostatnio jeden z was tak mówił, nie skończyło się na pogaduszkach.

– No tak. Przepraszam za tamto. Amid jest ostatnio podenerwowany i wybuchowy. A ty go upokorzyłaś. I to nie raz. Ale i tak zachował się niedopuszczalnie. To nie są nasze metody.

– Jakże się cieszę. – Łypałam na niego, siadając na podłodze. Zawiązałam sobie prześcieradło na karku, tworząc zasłonę okrywającą mnie z przodu. Wtedy dopiero wciągnęłam spodnie, a potem koszulę. Niestety, koszula przypominała namiot, a spodnie zwisały tak luźno, że w każdej chwili mogły opaść. – A pasek to już zbytek łaski?

– Owszem. – Strażnik wstał i pochylił się tak, że jego twarz znalazła się w kręgu światła. Nareszcie mogłam mu się przyjrzeć. – Tak przy okazji, nazywam się Malachi. – Wyciągnął rękę.

O cholera. To on. Strażnik od ulicznej jatki. Ten, który według nosorożcowatych bliźniaków miał wydobyc ze mnie prawdę. Ten sam, którego bali się i nienawidzili. I ten sam, który na oczach Nadii zamordował dwoje ludzi.

Miał miękkie rysy i gładką twarz, ale rysowała się na niej taka sama dzikość i zaczepność, które widziałam już wcześniej. W okolonych długimi, czarnymi rzęsami oczach, głębokich i przepastnych, dostrzegłam pewność siebie i groźbę. Zupełnie, jakby wcześniej już ocenił mnie pod kątem słabości i odfajkował wszelkie sposoby zabicia mnie, wobec czego mógł teraz odprężyć się i zachowywać przyjaźnie. Nie był ładny, był to raczej rodzaj surowego, niebezpiecznego piękna. Bez wątpienia jednak był niebezpieczny. Ostrożnie, jakbym głaskała żmiję albo rekina, uściśnęłam jego rękę.

– Lela.

Jego ręka była ciepła, a uścisk silny. Cofnęłam się szybko. Nie powstrzymał mnie, ale nie spuścił ze mnie wzroku.

– Miło mi, Lelo. A teraz powiedz mi, proszę, co robisz w moim mieście.

– Uhm... to, co inni. Zabiłam się – wyjaśniłam, usiłując przybrać ten żaloszny, obojętny wyraz twarzy, charakterystyczny dla tutejszych mieszkańców. Widziałam, co robił ludziom, którzy mu się stawiali, a nie miałam ochoty zawierać bliższej znajomości z jego ostrzem. Postanowiłam grać głupią, dopóki nie odgadnę magicznej kombinacji słów otwierających drzwi mojej klatki.

– Twoje zachowanie świadczy o czymś zupełnie innym – powiedział łagodnie. Przyniósł sobie krzesło do stołu i usiadł. Skrzyżował ramiona na piersi i odchylił się na oparcie. Nie miał zbroi ani żadnej widocznej broni, i prawdę mówiąc, wyglądał doskonale zwyczajnie w spranych spodniach i ciepłej koszulce z długim rękawem. Nie różnił się niczym od normalnego licealisty z ostatniej

klasy. Takiego w nieprawdopodobnej formie. Takiego, który po lekcjach morduje ludzi.

Spokojna, że siedzi w bezpiecznej odległości, przycupnęłam na pryczy. Byłam szczęśliwa, że nie muszę wreszcie przytrzymywać spodni.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – powiedziałam, nadal starając się uderzać w żalose tony.

Podniósł brwi, ale nie wydawał się zaskoczony.

– Czyżby? Wobec tego ja ci coś powiem. Poza Strażnikami mieszkają tu tylko dwa rodzaje istot zwracających uwagę na innych. Większość dusz w obrębie tych murów jest zbyt pochłonięta samymi sobą. Ale to chyba wiesz.

– A kto mówi, że nie jestem pochłonięta samą sobą?

– Wczoraj próbowałaś rozmawiać z wieloma ludźmi.

Bezwiednie wywróciłam oczami, a kiedy złapałam się na tym, znów próbowałam przybrać odpowiednią minę.

– A to przestępstwo?

– Ależ skąd. – Uśmiechnął się. – Ale zawsze zwraca naszą uwagę.

– Jestem tu od niedawna. Próbuję się zorientować w sytuacji.

– I znów zachowanie nietypowe dla tutejszych rezydentów. Z tego wynika, że możesz należeć to jednej z dwóch pozostałych grup istot. Albo jesteś Mazikinem, a wtedy cię zniszczę, albo jesteś już gotowa stanąć przed Sądem i odejść z miasta.

Na pewno nie chciałam zostać zniszczona. Ale też nie chciałam opuścić miasta. To znaczy chciałam i to bardzo, ale nie bez Nadii.

– Nie wiem, co to są te Mazikiny. Wiedziałybym, gdybym była jednym z nich, prawda? Ale nie chcę też jeszcze stąd iść. Muszę tu coś załatwić... – udawałam zamroczenie.

Rany, ale ze mnie fatalna aktorka.

Drgnął mu kącik ust, jakby z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

– Lela, kilkakrotnie zachowałaś się niezwykle agresywnie. Zaatakowałaś Strażnika, który próbował cię aresztować...

Podniosłam gwałtownie głowę.

– Zaraz, zaraz, nie mówił nic o aresztowaniu. Zajmowałam się swoimi sprawami, a on nagle na mnie napadł!

Oczy mu zabłyśły.

– Twierdzi, że zadawałaś się ze znanym naganiaczem Mazikinów.

– Co?! Pierwszy raz widziałam tego okropnego staruszka tuż przed tym, jak twój kumpel na mnie naskoczył.

– Co ci mówił? O czym rozmawialiście?

– Najpierw rzucił rasistowskim komentarzem, a potem chciał, żebym z nim gdzieś poszła.

– Mówił gdzie? – Malachi pochylił się, opierając łokcie na kolanach. Robił wrażenie poruszonego, jakby zaraz miał przystąpić do akcji. Cofnęłam się instynktownie.

– Nie zdążył. Twój przyjaciel, Amid, przerwał nam niegrzecznie. – Najwyraźniej mój niewyparzony jęzor był odważniejszy od reszty mnie.

Wyprostował się, wyraźnie rozczarowany.

– No cóż, gdyby wam nie przeszkodził, byłabyś teraz w poważnych tarapatach.

Prychnęłam, czując ogarniającą mnie złość.

– Jasne, dzięki. Dobrze, że nie jestem w poważnych tarapatach. Co z tobą? Rozumiem że pobicie na śmierć przez wielkiego trolla zalicza się tu do tych zabawnych, zupełnie niepoważnych tarapatów...

– Jeszcze raz przepraszam za Amida. Strażnicy wzięli cię za Mazikina. Nie usprawiedliwiam ich zachowania, ale są na krawędzi. – Składane krzesło zaszurało, kiedy wstał. Zaczął krążyć po pokoju. – Do normalnej działalności Mazikiny dodały w ciągu ostatniego miesiąca morderstwa pięciu Strażników, w tym najlepszego przyjaciela Amida. – Zanim w ogóle zorientowałam się, że się poruszył, już pochylał się nade mną, opierając dłońmi o skraj pryczy i przysuwając swoją twarz do mojej. Wciągnął nosem powietrze tak samo, jak wcześniej w przypadku Nadii. – Nie pachniesz jak oni. Ale nie pachniesz też jak inni. – Udało mi się nie drgnąć, choć przerażała mnie myśl, co jeszcze zrobi. Musnął mój policzek swoim. Mięśnie momentalnie mi się napięły, a skóra dosłownie zrobiła się za ciasna. Potrząsnęłam głową, starając się rozproszyć żar oblewający moją twarz. Cofnął się gwałtownie. – Jeśli im pomagasz, dojdę prawdy. Powiedz, co chcę wiedzieć, albo...

– Albo co? – zapytałam wyzywająco, nie cofając się przed groźbą czającą się w jego oczach. Byłam zadowolona z tego przypomnienia, że muszę być zwarta i gotowa. – Wpuścisz tu Amida, żeby sobie ze mną „porozmawiał”?

Fuknął sfrustrowany i podjął wędrówkę po pomieszczeniu.

– Moje zadanie polega na ochronie mieszkańców tego miasta.

– Jasne – mruknęłam. – I robisz to, podrywając im gardła.

– Co powiedziałaś?

– Nic. Na pewno przykładasz się do swojej pracy.

Zatrzymał się w pół kroku i wziął się pod boki.

– Muszę wiedzieć, dlaczego tu jesteś. Nie należysz tutaj, to oczywiste, ale też nie pragniesz opuścić miasta. Prawie każdy chce się stąd wydostać albo przynajmniej uciec w inny sposób. A skoro ty tego nie chcesz, muszę wiedzieć, co tu robisz. Może ci pomogę.

Tak bardzo pragnęłam odnaleźć Nadię, że przez ułamek sekundy rozważałam, czy nie mógłby mi pomóc. Widział przecież Nadię, może wiedział, gdzie jest. A potem w mojej głowie

pojawił się obraz przerażonej kobiety z przedmieścia. Zabił ją z zimną krwią. Nie, Malachi by mi nie pomógł, nie mogłam powierzyć mu losu Nadii. Swojego też nie.

– Pomóc? Dziwię się, że mnie jeszcze nie zabiłeś.

– A wyglądam na takiego, który chciałby cię zabić? – Uśmiechnął się uroczo, najwyraźniej próbując sprawić wrażenie zupełnie nieszkodliwego. Omal nie wybuchnęłam śmiechem. On również nie był zbyt dobrym aktorem. Nie doczekawszy się odpowiedzi, usiadł z powrotem na krześle. – No dobrze, skoro nie chcesz powiedzieć, dlaczego tu jesteś, zacznijmy od prostszych pytań. Choć najwyraźniej nie leży to w twoim zwyczaju, może postarasz się udzielić mi kilku bezpośrednich odpowiedzi? Byłaś w wojsku?

– Żarty sobie stroisz? Chodziłam do liceum.

– Do liceum. – Zamyślił się. – I jesteś Amerykanką, tak? Cywilem?

– Hm, tak, amerykańskim cywilem.

– Świetnie. Szczerza odpowiedź. Tylko tak dalej. Czy ktoś cię szkolił?

– Nie, nikt mnie nie szkolił. Chyba żeby liczyć zakład poprawczy na Rhode Island i sąd dla młodocianych przestępców. A co?

Malachi podniósł rękę i zaczął wyciągać, odginając palce.

– Ukradłaś Strażnikowi nóż. Jeśli się nie mylę, należał do Strażnika przy Bramie. To oznacza, że udało ci się tego dokonać w drodze do miasta. Uciekłaś Amidowi, mimo że cię złapał. Dźgnęłaś go w nogę, wybierając doskonale miejsce, żeby uniemożliwić mu pościg. Pod ogromną presją, ranna, zdołałaś cisnąć celnie nożem...

– Przecież nie trafiłam w żaden ważny organ...

– Pod ogromną presją – powtórzył łagodnie. – Po tym, jak zdruzgotał ci kilka kręgow i połamał żebra, uderzyłaś go z siłą i pod odpowiednim kątem, aby złamać nos. I to w zwarcu, mimo że on jest kilkakrotnie większy od ciebie. Potem pozbawiłaś go broni i strzaskałaś mu nią kość policzkową. To konkretne dowody na to, że jesteś świetnie wyszkolona. A co z miękkimi umiejętnościami? – Pokazał na mnie palcem. – Jesteś przebiegła, założę się, że wchodząc tu, miałaś plan. Jesteś bystrym obserwatorem, widzę to w twoich oczach, gdy mierzysz wzrokiem ten pokój. Nie zaprzestajesz walki nawet w obliczu zerowych szans na zwycięstwo i pomimo, nie wątpię, potwornego bólu. Miotłaś się nawet po tym, jak ściągnąłem z ciebie Amida i podniosłem cię z ziemi, i to mimo że twoje obrażenia mogły spowodować śmierć. Tak więc – przechodząc do podsumowania, pochylił się i wsparł łokcie na kolanach – mam teorię, że zostałaś wyszkolona, przygotowana i wysłana tu, żeby zinfiltrować miasto. Teraz tylko muszę wiedzieć, dlaczego.

O rany. Nigdy w życiu nikt się mnie tak nie nachwalił. Szkoda, że zrobiła to najbardziej niewłaściwa osoba w najbardziej niewłaściwym czasie. Opisał mnie, jakbym była jakimś



zabójczym szpiegiem-ninją. Strzeżcie się zlej SuperLeli, która przeniknęła do miasta, by zniszczyć je od środka!

Zacęłam chichotać.

– Z tych twoich wszystkich przesłanek wyciągnąłeś kompletnie wariackie wnioski.

W ułamku sekundy znalazł się na pryczy za mną i przygniótł mnie, unieruchamiając ręce długim ramieniem.

Bez zastanowienia podniosłam nogi i uderzyłam stopami o materac, jednocześnie wyginając grzbiet. Grzmotnął tyłem głowy o ścianę, ale był ode mnie o wiele wyższy i silniejszy. Pochylił się, przysięgając mi do niewygodnej pozycji z wyprostowanymi nogami, przez co odebrał mi możliwość posłużenia się nimi jak dźwignią. Walcząc z narastającą paniką, gwałtownie odchyliłam głowę, licząc, że uderzę go w twarz. Trafiłam jednak na twardą jak kamień krawędź barku. Ustawił się doskonale, uniemożliwiając mi jakikolwiek atak. Poprzez atramentowy kłęb gorączkowych myśli i wspomnień zarejestrowałam szmer wyciąganego ostrza.

Mogłam się domyślić, że jest jednak uzbrojony.

Czubkiem trzymanego w prawej ręce noża podciągnął mi rękaw zbyt wielkiej koszuli i odsłonił tatuaż. Zacęłam się trząść. Nienawidziłam czuć się słabo. A jego nienawidziłam jeszcze bardziej za to, że wywołał u mnie to uczucie.

– Miło mi się z tobą gawędziło, ale nie bierz mojego rozbawienia za cierpliwość – powiedział spokojnie, przerażającym tonem. Jego ciepły oddech owiał mi policzek. – Bardzo poważnie traktuję swoje obowiązki. A to oznacza, na nieszczęście dla ciebie, że uczynię wszystko, co konieczne, żeby odkryć prawdziwy cel twojego pobytu w mieście. – Zatrzymał ostrze tuż nad tatuażem. Zdławiłam jęk, usiłując się wyrwać, ale lekko przycisnął czubek noża do skóry. Zamarłam. – Tak lepiej. Dziękuję. Rozumiem, że ten portret jest dla ciebie ważny. Dlatego jeśli nie powiesz mi, co cię tu sprowadza, wytnę ci go z ręki i spalę na twoich oczach. Wierzysz, że to zrobię, Lelo?

Skinęłam potakująco. Z oczu popłynęły mi łzy bezsilnej złości, zwilżając jego policzek. Poczulałam, że się uśmiecha.

– Mów, albo zacznę ciąć.

Nie wątpiłam w jego groźbę. Widziałam, do czego jest zdolny. Gdybym nadal milczała, odebrałby mi Nadię już na zawsze.

– Przyszłam tu dla niej – jęknęłam. – Chcę ją stąd wydostać.

Odsunął ostrze, ale nie cofnął ręki. Ciągłe wisiało nad tatuażem niczym groźba.

– Kim ona jest?

– Nazywa się Nadia. To moja przyjaciółka. Zabiła się. Nawet nie wiem czemu. Ale jest tutaj i tak bardzo się boi. – Załkałam bezradnie i zawisłam na jego ramieniu. – Przekradłam się do

miasta, żeby ją zabrać.

Malachi siedział bez ruchu, milcząc.

Zaryzykowałam.

– Proszę, jak już mnie zabijesz, nie ścigaj jej. Nie wydostanie się stąd bez pomocy. Beze mnie. Nie stanowi dla ciebie zagrożenia.

– Wiem – stwierdził lekceważąco. Kiedy mówił, jego zarost drapał mój policzek. – Mówiłaś, że wkradłaś się do miasta. Czyli nie weszłaś Bramą Samobójców?

– Nie, to znaczy nie do końca. Kiedy... Kiedy umarłam, znalazłam się na zewnątrz, na polu. Ale zobaczyłam miasto i wiedziałam, że Nadia jest właśnie tu. Nie mogłam tam zostać, podczas gdy ona tkwi tu uwięziona.

– Chcesz powiedzieć, że przybyłaś na Wieś i z własnej woli przyszedłaś do miasta? Żeby uratować przyjaciółkę? – Sprawiał wrażenie zdumionego do granic możliwości.

– Tak. Wcale nie chciałam tu przychodzić, ale ona mnie przecież potrzebuje. Musiałam spróbować. – Wpatrywałam się w wytatuowane oblicze Nadii pewna, że nigdy już jej nie zobaczę, a moje lzy kapwały na wizerunek, stając się jej łzami.

– Nie chciałaś – powtórzył, a w jego głosie słychać było z milion pytań. Nie zadał ich jednak. Wyprostował się za to, dzięki czemu mogłam wreszcie odetchnąć. Nadal jednak otaczał mnie ramieniem, a palce na moim barku dotykały mnie delikatnie, nieomal pieśczośliwie, co stanowiło ostry kontrast z nożem, który trzymał w drugiej dłoni. Zerknęłam na jego twarz.

– Chyba ci wierzę – powiedział cicho, spoglądając na tatuaż. – Ale skąd wiedziałaś, co cię tu czeka?

Zanim się powstrzymałam, z gardła wydarł mi się pełen goryczy śmiech.

– Muszę przyznać, że absolutnie nie zdawałam sobie sprawy z tego, co mnie tu czeka.

– Zaplanowałaś to. Masz jej podobiznę na skórze, masz...

– Wytatuowałam ją sobie, bo chciałam, żeby zawsze była ze mną.

– Ale przecież wypytywałaś ludzi, czy ją widzieli, prawda?

– Tak.

Pokręcił głową.

– To skąd wiedziałaś, że w ogóle tu jest? Nikt na ziemi nie zna tego miejsca. Podejrzewają jego istnienie. Mówią o Czyścicu, Piekło, Narace, Hawiyah, Hadesie, Sheol, Gehennie. Każda z religii próbuje wyjaśnić, co dzieje się z samobójcą po śmierci, ale żadna nie wie tego na pewno. Wiele dusz, które tutaj przybywają, przez długi czas pozostaje w szoku. Skąd więc wiedziałaś, czego się spodziewać? – Jego ramię zacisnęło się wokół mnie, a uda, którymi mnie unieruchamiał, napięły.

Serce podeszło mi do gardła, niemal się dławiliłam. Byłam pewna, że nie dostanę drugiej

szansy, jeśli nie spodoba mu się odpowiedź, ale w moim umyśle nie było już miejsca na nic oprócz prawdy.

– Ja... Ja także próbowałam się kiedyś zabić. Wylądowałam przed Bramą i miałam przez nią przejść, ale ktoś przywrócił mnie do życia. Jednak od tamtej pory to miejsce nawiedzało mnie w snach. Nigdy tak naprawdę stąd nie odeszłam. Czasami nawet widziałam je na jawie, jakby cień na prawdziwym świecie. Bałam się go, nienawidziłam, ale dzięki temu chciałam żyć.

– Odwiedzałaś miasto jeszcze za życia?

Modląc się, by mi uwierzył, skinęłam głową.

– Słyszałem o takich przypadkach – rzekł w zamyśleniu. – O duchach, które włóczą się po mieście, chociaż nie są jego częścią. To ci, którzy podjęli nieudaną próbę samobójczą. Ale to nie wyjaśnia, skąd wiedziałaś o przyjaciółce.

– Kiedy Nadia umarła, zaczęłam mieć wizje o niej w tym mieście. Siedziałam w jej głowie, widziałam i czułam wszystko to, co ona. Byłam przy tym, jak przechodziła przez Bramę, a potem, jak błąkała się ulicami, głodna i przerażona. Wtedy widziałam rzeczy, których nie mogłam zobaczyć wcześniej, we własnych snach.

*Na przykład jak zabijasz ludzi.*

– Widziałaś Strażników. Wiedziałaś, gdzie trzymają broń.

– Tak. Kiedy postanowiłam tu przyjść, pomyślałam, że przyda mi się coś do obrony. Siebie i jej.

*Przed tobą.*

– A podobne wizje miewałaś już wcześniej?

– Pytasz, czy byłam medium albo czymś takim? Ech, nie.

Kilka minut upłynęło w milczeniu. Staralam się nie wiercić, ale jego oddech parzył mi skórę, a serce, bijące rytmicznie o mój kręgosłup, wprawiało moje wnętrzości w synchroniczne wibracje. To było przytłaczające. Za blisko. Za ciepło. Nie umiałam zinterpretować sprzecznych sygnałów własnego ciała, a co dopiero bijącego od niego żaru. W chwili, gdy już prawie straciłam nad sobą kontrolę, Malachi się odezwał.

– Puszczę cię teraz powoli. Nie chcę cię skrzywdzić i byłbym wdzięczny, gdybyś ty też nie próbowała mnie zranić, choć chyba zrozumiesz, jeśli to zrobisz.

Rozłożył ramiona, a ja wystrześliłam jak z procy, odwracając się dopiero pod ścianą. Cofnęłam się najdalej, jak się dało, i zasloniłam krzesłem.

Malachi westchnął, spoglądając na pobielale kostki moich zaciśniętych na oparciu dłoni.

– Nie próbuj mnie tym uderzyć, proszę.

– Co teraz? – zapytałam zadowolona, że mój głos jest spokojny i opanowany, i nie słyhać w nim wściekłości, rozpaczki i zagubienia, które w rzeczywistości mną targały.

Przez chwilę patrzył mi w oczy, a potem odwrócił wzrok.

– Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale to niewykonalna misja. Każdego dnia Bramę Samobójców przekraczają trzy tysiące ludzi. Widziałaś, jakie to miasto jest wielkie? Możesz szukać latami i nigdy jej nie znaleźć. A nawet jeśli jakimś cudem by ci się udało, istnieje stąd tylko jedna droga wyjścia. Trzeba stanąć przed Sędzią. Jeśli twoja przyjaciółka nie będzie gotowa, nie dostanie pozytywnego werdyktu i nie opuści miasta. Koniec pieśni.

Zacisnęłam zęby.

– Muszę ją znaleźć. Tylko dlatego tu jestem.

– Przykro mi, ale nie mogę ci na to pozwolić.

Przywarłam plecami do ściany i spod zmrużonych powiek sprawdziłam, czy nadal trzyma nóż. Nie trzymał. Obserwowałam go prawie przez cały czas, a jednak nie zauważyłam, kiedy schował ostrze.

Często szukałam w ludziach ich słabych punktów, bez trudu więc potrafiłam zorientować się, że ktoś ich nie posiada. Ale nagle dostrzegłam swoją szansę. Wlepiłam w niego wzrok. Po chwili dostrzegłam w jego badawczym spojrzeniu iskrę zaciekawienia, jego oczy poruszyły się, lekko przeslizgując po moim ciele i twarzy. Może i był na służbie, pilnował mnie i przesłuchiwał, ale i tak patrzył na mnie w ten sposób. Choć wzdrygałam się na samą myśl o tym, choć nienawidziłam, gdy mężczyźni to robili, przyszedł mi do głowy pewien podstępny, nieprzyzwoity pomysł. *Może mogłabyś wykorzystać to, żeby zdobyć klucz...*

Zarzucałam tę koncepcję i znów zerknęłam na drzwi, które niestety natychmiast zniknęły z mojego pola widzenia, zasłonięte jego barczystym ciałem.

– Nie rób tego, Lela. – Przygwoździł krzesło kolanem. – Byłaś na Wsi, wiesz, jak tam jest. Nie chcesz wrócić?

I co miałam mu odpowiedzieć? Oczywiście, że chciałam. Spuściłam głowę, nie potrafiłam patrzeć mu w oczy.

– Mało kto tutaj może ją zobaczyć, nawet będąc przy samych murach. Większość jest tak zatopiona we własnym smutku, że nie potrafią przejrzeć mroku. Ale ty możesz. Ty należysz do tamtego miejsca. – Nuta żalu, tęsknoty w jego głosie kazała mi podnieść głowę. Przynuszył się bliżej. – Mogę cię zabrać do Sędziego. Zaprowadzę cię osobiście.

Jak kurator. Fantastycznie.

– Stawałam już przed sądami. Niezbyt przyjemne doświadczenia.

– Tym razem będzie inaczej, wierz mi. Wydostaniesz się stąd.

Spojrzałam na niego i poczułam się tak, jakbym tonęła. Jakbym opadała bezwładnie na dno bezdennego morza i patrzyła na Nadię, która z każdą chwilą coraz bardziej oddala się ode mnie, staje coraz bardziej nieosiągalna. Każdy ma jakąś granicę, ja nie byłam wyjątkiem. Znużenie i

strach sprawiała, że zapragnęłam skapitulować. I tak nie widziałam sposobu na pokonanie Malachiego. A potem popatrzyłam na tatuaż.

Potrzasnęłam głową.

– Nie masz podstaw, by mnie tu zatrzymywać. Muszę ją odnaleźć.

Zaśmiał się gorzko i cofnął, zabierając kolano z krzesła.

– A ty myślisz, że gdzie jesteś? – prychnął drwiąco. – Amerykanie. Wasze przywiązanie do praw obywatelskich stało się naprawdę komiczne. Mogę cię tu trzymać, ile zechcę. Ale nie zrobię tego. Po prostu wyprawię cię z tego miasta, czy tego chcesz, czy nie.

To znaczyło, że musiałam wrócić do mojego sprytnego pomysłu. Moje protesty prowadziły donikąd, pozostawała więc politowania godna manipulacja. Sposób, który napełniał mnie przerażeniem. Odetchnęłam głęboko.

– Dobrze. – Wysłałam zza krzesła. – Niech ci będzie. Pójdę. Dziękuję za pomoc.

Obserwował z przymrużonymi oczami, jak podchodzę. Zmuszałam nogi do poruszania się, a z każdym krokiem lęk we mnie narastał. Naprawdę chciałam drażnić tego smoka?

Musiałam. Gdyby udało mi się wykraść klucz, jakoś bym się stąd wydostała. Bacznie śledził ruch mojej ręki, która powoli podnosiła się, żeby wreszcie spocząć na jego piersi. Miałam nadzieję, że jej drżenie odczyta na moją korzyść. Że rozedrganie weźmie za objaw pożądania, a nie strachu. Zachęcona zmianą rytmu, jaką zauważyłam w jego oddechu, reakcją oczu, które rozszerzyły się, gdy go dotknęłam, objęłam go drugą ręką w pasie, próbując jednocześnie namacać kółko z kluczami... i natrafiłam jedynie na mięśnie. Dużo mięśni.

Jego serce łomotało pod moją dłońią, a ja miałam nadzieję, że hormony wezmą górę, że Malachi zachowa się jak normalny nastolatek a nie Strażnik. Plamy zaczęły wirować mi przed oczami i wsparłam się czołem o jego klatkę piersiową.

*Nie stchórz teraz. Robisz to dla Nadii.*

Ujął mnie pod brodę i unióśł mi twarz, żeby nasze oczy się spotkały. Z trudem powstrzymałam się przed odruchowym cofnięciem. Przeraźliwie wolno pochylał głowę, aż jego usta zawisły tuż nad moimi. Patrzyłam w te niebezpieczne, ciemne oczy i czułam, jak przewraca mi się w żołądku.

Nie drgnij. Musisz zdobyć klucz.

Mój oddech stał się nierówny, urywany. Nie byłam pewna, czy uda mi się nie krzyknąć. To wszystko było zbyt intensywne, zbyt mylące. Zbyt realne, zbyt intymne. Zbyt niebezpieczne, zbyt oszalamiające. Skrzywdzi mnie? Będzie brutalny? Omal nie odskoczyłam pod wpływem obrazów podsuwanych mi przez wyobraźnię.

Ale w życiu niejedno przecież musiałam przetrwać, dlatego doskonale opanowałam umiejętność odłączania mózgu od ciała, kiedy tylko zaistniała taka konieczność.

Musiałam dać radę, dla niej. Nie chcąc już o tym myśleć, próbowałam sięgnąć ustami do jego warg, ale tylko przytrzymał mnie mocniej. Przez chwilę nie ruszał się, a potem przymknął oczy i wciągnął nosem powietrze. Ręka przesunęła się z mojego podbródka, dotknęła policzka. Wstrzymałam oddech, czekając, aż nasze wargi się zetkną, zastanawiając się, jak to jest, i zarazem obawiając się dowiedzieć.

– Wiem, co chcesz zrobić – szepnął niemal przy moich ustach. Zamarłam. Cofnął się zwinnie, wyraźnie rozbawiony. – Nie winię cię za to, że próbowałaś, ale to nie było potrzebne. Obawiam się, że zarobiłaś właśnie pobyt w celi. Przyjdę rano i zabiorę cię do Sanktuarium, do Sędziego.

Gapiałam się na niego z otwartymi ustami, czując upokorzenie, ale i wielką ulgę. Nie spuszczając ze mnie wzroku, dwukrotnie załomotał pięścią w drzwi. Natychmiast zadzwoniły klucze i ktoś z zewnątrz otworzył. A więc nie miał przy sobie klucza. Kazał się tu ze mną zamknąć. Poczulałam się jak patentowana idiotka.

W ten oto sposób zakończyła się moja krótka kariera uwodzicielki.

# DZIEWIĄTY

Krążyłam po celi, fantazując o Malachim. A konkretnie o tym, jak zabijam go na tysiąc sposobów. Dawno już nie czułam się tak wyprowadzona z równowagi przez drugą osobę, tak pozbawiona kontroli. A ja lubiłam mieć kontrolę nad wszystkim, co ze mną związane. Dlatego tak nienawidziłam prochów. I alkoholu. I większości dorosłych. Musiałam być zawsze o krok przed wszystkimi, bo był to jedyny sposób, by już nikt więcej mnie nie skrzywdził.

Ale Malachi jakby przewidywał każdy mój ruch. Jakby wiedział, który guzik nacisnąć, i robił to z uśmiechem na ustach. Wiłam się pod jego spojrzeniem. Tylko przez sekundę zastawiałam się, czy uda mi się uciec, kiedy po mnie przyjdzie. Pewnie i tak był przygotowany na to, że spróbuję.

Moja obecna niańka, Strażnik o imieniu Lutfi, jakiś czas temu zasnął z głową na stole. Głębokie, dudniące chrapanie drażniło mi uszy. Mało brakowało, a przez te kłębiące się w głowie myśli i ogłuszający charkot nie usłyszałabym cichego nawoływania więźnia z sąsiedniej celi.

– Hej, słyszysz mnie? – Głos dochodził gdzieś z tyłu.

Odwrociłam się gwałtownie. Obok stojącej pod ścianą ławy, w kącie, w ścianie działowej brakowało jednej cegły. Przyłożyłam twarz do otworu. Z drugiej strony wpatrywały się we mnie ciemne oczy.

– Mają cię stracić?

Wzdrygnęłam się.

– Chyba nie. Malachi mówił, że zabierze mnie przed oblicze Sędziego.

– Malachi – warknął więzień, nasączając każdą sylabę nienawiścią. – Malachi to zło wcielone. Zabije cię, dziewczyno.

– Gdyby chciał to zrobić, już dawno byłabym martwa.

Nie wiedziałam, dlaczego go bronię. Przecież, pomijając irytację, jaką we mnie obudził, nie mogłam mu nic zarzucić. Chciał tylko odesłać mnie na Wieś. Nie jego wina, że nie mogłam na to pozwolić, póki nie odnajdę Nadii.

– Malachi to bezwzględny typ. Sprawę, żebyś uwierzyła we wszystko, co mówi, a kiedy dostanie, czego chce, zabije cię. Razem z tymi swoimi Strażnikami zabili wielu z mojej rodziny – szept więźnia załamał się, zamieniając w cichy szloch.

– O Boże, tak mi przykro.

– Mnie też chcą zabić, ale Malachi będzie mnie najpierw torturował. Zawsze tak robi, dziewczyno.

– Jestem Lela.

– Lela. A ja Sil.

– Czemu cię tu zamknęli? – Popatrzyłam mu w oczy, zastanawiając się, czy jest tak niewinny jak ja.

– Jestem Mazikinem.

– Mnie też brali za Mazikina, ale nikt mi nie powiedział, co to takiego. Możesz mi wyjaśnić? Sil roześmiał się piskliwie.

– Dalej, sama zobacz.

Twarz w otworze zniknęła. Stał się nieco dalej. Wyglądał zupełnie jak... japoński biznesmen. Od garnitur po krawat. Tyle że w kagańcu i rękawicach. Przypomniałam sobie grupkę, która walczyła w uliczce z Malachim. Ich też nazywał Mazikinami.

– Hm, wyglądasz jak wszyscy tutaj.

Przesunął rękawicami po szczupłej sylwetce, wygładzając brudny, pomięty garnitur.

– Bo jesteśmy tacy jak inni. Tyle że zamierzamy stąd uciec.

– Malachi mówił, że Mazikiny zabiły pięciu Strażników.

Sil przytaknął skinieniem.

– Strażnicy nas nie rozumieją. Przybywamy ze straszego miejsca i kończymy w strasznym miejscu. To jest piekło, dziewczyno. A my chcemy się z niego wyzwolić. Ale Kapitan i jego Straże uważają, że Mazikiny nie zasługują na szczęście. – Pociągnął nosem i skrzywił się, jakby powstrzymywał lzy. – Robią nam okropne rzeczy. Zabijają na dobre. Na zawsze. – Podniósł głowę i popatrzył na mnie. Ciemne oczy spoglądały na mnie znad krawędzi kagańca. – Staramy się walczyć. Ale oni nie mają litości.

A więc Mazikini byli czymś w rodzaju ruchu oporu. Przypominając sobie walkę Malachiego z Ibramem i resztą, uznałam, że to nawet miało sens. Przyjrzałam się Silowi. Wyglądał całkiem niegroźnie. A Strażnicy, w zbrojach, uzbrojeni po zęby... To nie fair. Zerknęłam na śpiącego Litiego i bułał u jego pasa. Zadrżałam. Sil chyba to jakoś wyczuł.

– Słuchaj, dziewczyno. Lela. Muszę się stąd wydostać. Jeśli mi pomożesz, ciebie też wydostanę.

Ucieczka. Brzmiało nieźle. W mieście dałabym radę zniknąć. Wiedziałam już, jak unikać Strażników. Byłabym ostrożniejsza. Mogłabym znaleźć Nadię i udowodnić Malachiemu, że się mylił.

– Możesz na mnie liczyć, ale trzeba to zrobić teraz. Zaraz ma tu po mnie wrócić.

– Dasz radę rozwiązać mi rękawicę?

– Jasne.

Serce biło mi jak szalone. Przyjrzałam się Lutfiemu, ale sprawiał wrażenie pogrążonego w głębokim śnie. Chrapał głośno. Miałam na tyle wąskie dłonie, że zmieściły się w otworze. Sil



przytrzymał rękę przy dziurze i kierował mną, kiedy rozplątywałam rzemienie. Kilka minut później zdołałam rozwiązać jedną rękawicę. Drugą zajął się sam. Potem porozpinał sprzączki kagańca i gwałtownie zdarł go z twarzy. Odchylił głowę i odetchnął głęboko, z ulgą.

– Dziękuję.

Z zaskakującą zręcznością rozebrał kaganiec na kawałki i wkrótce miał kilka metalowych elementów.

– Chyba byłem przedtem inżynierem – stwierdził, nie przerywając pracy. Uderzyła mnie jego wypowiedź. Czyżby ludzie po jakimś czasie tutaj zapominali o swoim życiu? Odwrócił się do mnie. – Myślisz, że dasz radę wywabić Strażnika na zewnątrz?

– Poważnie?

Sil skinął stanowczo.

– Tak. Nie założyli ci kagańca. Nie jesteś takim więźniem jak ja. I podobasz im się. Słyszałem, jak o tym mówili. – *Bleee, ohyda.* – No i jesteś mniejsza, więc nie uzna cię za zagrożenie. Powiedz, że musisz iść do toalety. W korytarzu jest łazienka dla Strażników.

Plan wydawał się kiepski, ale desperacja popychała mnie do działania.

– A ty co zrobisz?

Uśmiechnął się, oglądając kawałki rozebranego kagańca.

– Zobaczysz. Nie martw się. Nikt nie ucierni i szybko się wydostaniemy. Daj mi trochę czasu. Obserwowałam, jak zakłada kaganiec i rękawice. Najwyraźniej chciał nadal wyglądać na związanego. Potem położył się na ławce.

– Teraz.

Odchrząknęłam. No to do roboty.

– Ej, Lutfi?

Strażnik poderwał się na baczność.

– Hm?

– Przepraszam, że cię budzę – powiedziałam bezradnie. – Ale muszę... Nie ma tu toalety, a... Muszę skorzystać.

– Och. – Zarumieniony Lutfi od razu zaczął wyglądać mniej groźnie. – Oczywiście. Ale obiecasz, że nie wywiniesz jakiegoś numeru? Proszę, nie złam mi nosa, malutka, ani nic takiego. – Zaśmiał się, jakby taka możliwość wydawała mu się wyjątkowo zabawna.

Zdjął z kołka pęk kluczy i otworzył moją celę. Cofnął się, przytracając sobie klucze do paska. Puścił mnie przodem, ale ogromną łapą przytrzymał za ramię. Był znacznie łagodniejszy od Amida.

Środkowe drzwi, na prawo, potem w lewo, kamienny korytarz, trzecie drzwi po lewej. To miejsce, podobnie jak całe miasto, przypominało cholerny labirynt. W szarej, zatęchłej łazience

znajdowała się umywalka z ciekącym kranem oraz gigantyczna muszla klozetowa. Wodę spuszczało się, ciągnąc za łańcuch.

Na szczęście nie potrzebowałam z niej korzystać. Nie czułam głodu ani pragnienia, więc... Siedząc w obskurnym pomieszczeniu, oglądałam dziwny zbiór porcelanowych figurek na ścianach. Większość przedstawiała młode różnych zwierząt. Lutfi uprzejmie zapewnił mi prywatność. Nie spieszyłam się, chcąc umożliwić Silowi zrobienie tego, co zaplanował. Żeby wypełnić czas, rozerwałam spodnie w talii i związałam utworzone końce, zmniejszając obwód i zarazem ryzyko, że spadną mi w chwili ucieczki. Serce tłukło mi się tak mocno, że bałam się o dopiero co zaleczone żebra.

Wreszcie Lutfi zapukał do drzwi.

– Uhhh, jak tam?

– Prawie skończyłam, dziękuję! – Odczekałam jeszcze minutę, a potem wyszłam. Kiedy prowadził mnie z powrotem do celi, jego policzki były jaskraworóżowe. Szłam tak powoli, jak tylko się dało, modląc się, by nie usłyszał mojego przyspieszonego oddechu bądź walącego mocno serca.

– Słyszałem, że niedługo idziesz do Sanktuarium zobaczyć się z Sędzią – zagaił. – Kapitan mówił, że wychodzisz. Cieszę się, mała. Będziesz zachwycona Wsią.

– Byłeś tam? – Miałam nadzieję, że zabrzmiało to przyjacielsko, a nie nerwowo.

– Och, nie. – W gardłowym głosie pobrzmiwała tęsknota. – Nie wolno nam tam chodzić. Zostaliśmy stworzeni, by pilnować Krainy Cieni, i będziemy to robić do śmierci. Ale widzę ją czasem za murami. Kiedyś tam pójdę. Ale jeszcze nie teraz.

Mrugnął do mnie, otwierając drzwi celi i szerokim gestem zapraszając do środka. Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch. Lutfi odepchnął mnie z jękiem.

– Uciekaj! – stęknął, kiedy upadałam.

Przeturlałam się i ujrzałam Sila, który wykorzystał chwilę, gdy Strażnik miał zajęte ręce, i chwycił jego broń, a potem użył jej z bezlitosną skutecznością. Lutfi runął na ziemię, nie wydając najmniejszego dźwięku. Jego głowa upadła nieco dalej, a ametystowe oczy patrzyły na mnie potępiająco.

– Otworzyłem zamek – oświadczył dumnie, z uśmiechem, trzymając w ręku zakrwawiony bułat. Podczas gdy zabierał martwemu Strażnikowi pas i zapinał go na sobie, ja siłowałam zdusić w sobie pewność, że właśnie popełniłam koszmarny błąd. Schowawszy bułat w pochwie, Sil zbliżył się do mnie z wyciągniętą ręką. Miał okropnie długie, szpiczaste palce. Zastanawiałam się, jak mogłam nie dostrzec tego wcześniej.

– Idziemy.

– Hm... Chyba dam radę sama...

– Nie. Przydasz się nam. Jesteś doskonała. – Chwył mnie za ramię i jednym szarpnięciem podniósł. Byłam zbyt oszołomiona, żeby się sprzeciwić. Nie potrafiłam oderwać oczu od martwego oblicza Lutfiego. Mogłabym przysiąc, że czuję metaliczny zapach jego krwi.

Sil brutalnie pociągnął mnie na korytarz, ale zamarł, kiedy nagle otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Strażnik. Malachi.

Miał na sobie skórzaną zbroję i wyglądał dokładnie tak jak wtedy, gdy ujrzałam go oczami przerażonej przyjaciółki. Tylko że wydawał się wyższy. I straszniejszy. I piękniejszy. Oczy utkwione miał w klamrze pancerza, którą zapinał na ramieniu. Jego usta wyginały się w tajemniczym uśmiechu. W tym ułamku sekundy, zanim nas zobaczył, zdążyłam poczuć ciekawość, co to za sekret wypogodził tę poważną twarz.

Nagle jego uśmiech zniknął, a usta zacisnęły się ponuro.

Mężczyźni przez moment wpatrywali się w siebie, a potem jednocześnie zareagowali. Malachi sięgnął po noże, a Sil chwycił mnie za szyję i zasłonił się mną jak tarczą. Jego palce drapały mi skórę. Wyczułam zapach kadzidła i czegoś jeszcze, czegoś zjełczałego. Dyszał mi prosto w kark. Jego usta znajdowały się cal od mojego gardła. Zalała mnie znajoma fala paniki. Musiałam się od niego uwolnić.

*Zostań, nie ruszaj się*, powtarzałam sobie, odganiając wspomnienia. Skup się. Spróbuj uciec. Odwiodłam łokieć, ale w tym momencie Malachi powstrzymał mnie.

– Lela, nie ruszaj się – powiedział bardzo spokojnie. – Nie walcz z nim. Mazikiny są jadowite.

Znieruchomiałam. Nie tylko z powodu tego, co powiedział, ale też dlatego, że w jego spokojnym tonie dosłyszałam nutę obawy. O mnie.

– Bardzo mądrze, Malachi. – Zadrżałam, kiedy Sil przesunął nos w zagłębienie nad obojczykiem. Malachi zacisnął szczęki. Lewy mięsień na żuchwie zaczął pulsować. Sil zachichotał. – Trzymaj te swoje brudne łapska z dala od noży, inaczej rozedrę jej gardło. – Sytuacja wyraźnie go bawiła.

Wpatrywałam się w Malachiego, pragnąc mu to wszystko wyjaśnić i jednocześnie wiedząc, że nie było żadnego sensownego wyjaśnienia. I znów okazałam się idiotką. Tak rozpaczliwie chciałam uciec, że nawet nie zauważyłam niebezpieczeństwa. Uwierzyłam w każde słowo Sila i zignorowałam wszystko, co mówił Malachi. Zlekceważyłam zagrożenie, narażając Lutfiego, który w ostatniej chwili życia starał się ocalić moje, radził mi, jak przetrwać.

– Tak lepiej – rzekł Sil, kiedy Malachi uniósł ręce do góry. – A teraz dziewczyna i ja wychodzimy, a ty tu zostajesz. Jeśli choć pomyślę, że za nami idziesz, zabiję ją, a zrobię to najwolniej, jak tylko się da. – Zaśmiał się, muskając palcami mój obojczyk. – Nie wyświadcę jej takiej grzeczności, jak na przykład Lutfiemu.

Oczy Malachiego zabłysły nienawiścią, ale nie było w nich zaskoczenia. Z pewnością już

wcześniej zauważył pas Strażnika na biodrach Mazikina.

– Nie pójdę – powiedział lodowatym tonem. – Wygląda na to, że woli iść z tobą niż ze mną do Sanktuarium, więc jest twoja. I tak bym ją zabił za to, że ci pomogła.

Serce podskoczyło mi z przerażenia, ale Sil chwycił mnie mocniej.

– Kłamca. Zdradziłeś się, Kapitanie. Gdybyś chciał ją zabić, już by nie żyła. Podobnie jak ja. Mazikiny nie są tak głupie, jak sądzisz.

Jęknęłam. Malachi pewnie będzie chciał mnie zabić, kiedy zobaczy pozbawione głowy ciało towarzysza, który umarł z zarumienionymi wstydliwie policzkami.

– Idziemy, dziewczyno. Dołączysz do mojej rodziny i poczujesz się jak nowa. Nie martw się. Chodźmy stąd. – Sil popychał mnie przed sobą. Najwyraźniej dobrze wiedział, dokąd zmierza, bo bez wahania włókł mnie niekończącym się korytarzem, mijając szereg drzwi. Byłam pewna, że lada chwila poczuję pomiędzy żebrami ostrze noża Malachiego, ale Strażnik stał bez ruchu, rozwścieczony, ale i wyraźnie zatroskany.

Sil zatrzymał się przed drzwiami, które moim zdaniem wyglądały dokładnie tak samo jak każde inne. Odpiął od pasa pęk kluczy i nie spuszczać oka z Malachiego, próbował dopasować któryś do zamka. Siódmy z kolei okazał się tym właściwym. Drzwi otworzyły się z podmuchem stęchłego powietrza. Wywlekana na uliczkę, zdołałam pochylić się, napierając na zaciśniętą na gardle dłoń.

– Przepraszam – usiłowałam krzyknąć, ale z krtani dobył mi się tylko zdławiony szept. Malachi nawet nie drgnął, a ja, widząc wyraz jego oczu, miałam ochotę rzucić się pędem. Ku niemu. Do ucieczki. Sama nie wiedziałam, co bardziej.

Sil ruszył biegiem, szarpnięciem pociągając mnie za sobą.

# DZIESIĄTY

Usiłowałam liczyć przecznice, ale Sil kluczył i włókł mnie przejściami przez budynki. Nie potrafiłabym nawet powiedzieć, jak długo biegliśmy.

– Możemy chwilę odpocząć? Proszę – wydyszałam, kiedy się zatrzymaliśmy.

– Masz szczęście – wydakał. – Kilkoro członków mojej rodziny ma tu na nas czekać. Zjemy coś, zanim ruszymy dalej.

Otarłam wolną ręką łzę. Drugą, obolałą już i podrapaną, Sil zaciskał w swojej spoconej, szponiastej dłoni. Nie przestawałam myśleć o ucieczce, ale od chwili opuszczenia Posterunku nie puścił mnie ani na moment. Na początku liczyłam, że Malachi ruszy za nami w pościg, zaatakuje znienacka i uratuje mnie. Nie wątpiłam, że dałby radę. Ale czas mijał, a ja byłam coraz bardziej przekonana, że Malachi ze mnie zrezygnował. Ta myśl sprawiła, że jakoś dziwnie zakłuło mnie w piersi, ale zignorowałam to uczucie – w końcu to samo spotykało mnie za życia. Zawsze liczyć mogłam jedynie na siebie. I teraz też sama musiałam sobie poradzić. Z całą pewnością nie chciałam iść tam, gdzie prowadził mnie Sil. Jego rodzina jakoś nie robiła na mnie wrażenia gościnnej.

Na następnej ulicy, na ganku jednego z szeregowców, siedział ogromny Samoaniec.

– Chimola! – Sil odsonił w uśmiechu lśniące zęby. – Gdzie reszta?

Olbrzym podniósł głowę i pomachał ręką. Ledwie na mnie spojrzął, a i tak zapragnęłam stać się niewidzialna. Potem bez słowa wskazał na wieżowiec po drugiej stronie ulicy, z którego akurat wyszły dwie trzymające się za ręce kobiety. Jedna z nich, młoda, wydawała się niezwykle krucha. Długie, jasne włosy opadały jej na ramiona kaskadą warkoczyków. Przypominała mi te białe dziewczyny, które wracały z wakacji na Jamajce przekonane, że świetnie im w warkoczykach.

Druga była starsza. Znacznie starsza. Sive włosy miała zakręcone na wałki. Wyglądało na to, że właśnie robiły sobie fryzury. Starsza pogładziła blondynkę po ramieniu i zagruchała, pomagając jej założyć zbyt duży pas z pochwą, kiedyś należący zapewne do jakiegoś Strażnika. Dziewczyna była tak drobna, że czubek przytroczonego ostrza szorował po ziemi. Ciekawe. Zastanawiałam się, czy blondynka ma na tyle długie ramiona, by dobyć bułata. Może gdybym dorwała ją sam na sam...

Nagle moją uwagę przyciągnęło jakieś dudnienie. Odwróciłam się i zobaczyłam galopującą ku mnie na czworakach staruchę.

Sil przytrzymał mnie mocno za rękę, dosłownie wbijając mi szpony w skórę.

– Dziewczyna patrzy na Lacey – warknęła kobieta.

– Spokojnie, Doris – łagodził Sil, głaskając staruchę po walkach. – Ta dziewczyna dołączy niedługo do naszej rodziny. Nie jest groźna. I spójrz na jej włosy!

Wodniste spojrzenie Doris strzeliło ku mojej szopie loków.

– Doskonała – wymamrotała, charcząc i mlaskając. Miała wyraźny akcent, chyba europejski. Może niemiecki? Z zaskakującą delikatnością położyła mi na głowie pokrytą plamami dłoń. – Dobra dziewczyna.

Wydała z siebie rechot, który przypominał chrapanie, i pognęła susami z powrotem do małej blondynki z wielkim mieczem. Ujęła jej twarz w dłonie, pocałowała mnie więcej w usta, a potem powiodła Lacey w stronę werandy, na której siedział Chimola. Super. Upiorna Frau chciała mnie uczesać. I pewnie nie tylko. Musiałam czym prędzej uciekać.

– Gdzie Juri? – zapytał Sil.

– Poluje – odpowiedziała śpiewnie Lacey, z wyraźnym południowym akcentem, i zaczęła bawić się walkiem Doris. Starucha usiadła na schodkach i posadziła sobie dziewczynę na kolanach. Sama nie wiedziałam, śmiać się, czy krzyżeć. Zwierzęce ruchy Doris były potwornie silne i szybkie.

Sil wydał gwizdzący dźwięk.

– Musimy się stąd szybko zbierać. Myślicie, że Straż nie będzie mnie szukać? Malachi wie, że uciekłem! Mielicie tu na mnie czekać. Gdzie wasza broń? Tylko Lacey jest przygotowana?

Doris z wilczym uśmiechem sięgnęła za słoniowatego Chimolę i pokazała dwa inne bułaty. Fantastycznie. Wszyscy zwierzakoludzie byli uzbrojeni w szable.

Ledwie to pomyślałam, a jakaś ręka wsunęła się pomiędzy mnie i Sila, a dłoń zamknęła się na mojej piersi. Zareagowałam natychmiast i to bardzo gwałtownie. Szarpnęłam Sila, zasłaniając się nim. Zamrugał trochę zdziwiony, ale niewystraszony czy zaskoczony.

– Juri! – powitał radośnie zboczeńca o haczykowatym nosie, podbródkiem wysuniętym mocno do przodu i sylwetce wspomagającego w amerykańskim footballu.

Na mój widok oczy Jurija na moment rozszerzyły się, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Potem uśmiechnął się szeroko.

– To ty!

Na dźwięk jego głosu przeszedł mnie lodowaty dreszcz. To ten właśnie głos sprawiał, że setki razy budziłam się z krzykiem. Juri postąpił ku mnie z błyszczącymi podnieceniem oczami. Znałam tę minę.

– Trzymaj się ode mnie z daleka! – warknęłam.

Zarechotał gardłowo, chrapliwie.

– Zawsze to mówiłaś, tuż przez zniknięciem. Ale teraz tu jesteś. We własnej osobie. – Znów

wyciągnął lapska, tym razem pogładził mnie po policzku.

Odsunęłam się gwałtownie. To był on, z całą pewnością. Potwór, który szeptał w moich koszmarach, starając się zatrzymać mnie już na zawsze w mrocznym mieście.

– Już nie jako duch – szepnął. A potem dodał tak gromko, że aż echo poniosło: – Jest moja!

– Za chuja! – wrzasnęłam spanikowana.

Mazikiny zaśmiały się chórem, ale najbardziej rozbawiony był Juri. Wyszczерzył się do mnie, a potem oblesnie oblizał usta.

– Moja – powtórzył, otwierając i zamykając wyciągnięte przed siebie ręce. Gdyby instykt samozachowawczy nie przytrzymał mnie w miejscu, z pewnością zrobiliby to Sil. Trzymał mnie tak mocno, że prędzej wyrwałabym sobie ramię, niż zdołałabym uciec.

– Masz jedzenie? – zapytał Juriego.

– Ta. – Juri zaczął wyciągać z papierowej torby różne nieapetyczne wiktuały. Reszta Mazikinów okrążyła go, zachłannie sięgając do torby.

Sil puścił mnie, całkiem angażując się w zdobycie swojej porcji.

– Ty, dziewczyno, siadaj tutaj. Jeśli się ruszysz, pošlę za tobą Doris.

Przeżuważając coś brązowego i soczystego Doris mrugnęła do mnie, odsłaniając zęby. Wiele mnie kosztowało, żeby nie puścić się pędem, ale udało mi się podejść powoli do krawężnika i usiąść. Chwilę później Doris przyniosła mi butelkę piwa z oderwaną etykietą.

– Woda – powiedziała. – Dobra dla ciebie.

Wzięłam butelkę i powąchałam zawartość. Zapach wydał mi się podejrzany. Za skarby świata nie tknęłabym niczego od tych zwierzoludzi. Ale sama butelka, to co innego – postanowiłam ją zatrzymać.

– Dzięki, Doris. – Uśmiechnęłam się z wdzięcznością, salutując jej butelką. – Dobra dla mnie.

Doris odsłoniła w uśmiechu zęby. Wzdrygnęłam się.

Oparłam się o słup latarni i ostrożnie rozejrzałam po ulicy. Dręczyło mnie pytanie, czy przypadkiem nie zaprzepaciłam swojej szansy na ucieczkę, kiedy byłam tylko z Silem. Zastanawiałam się, ilu takich świrów zaliczał do swojej rodziny. I dlaczego powtarzał, że ja też do niej dołączę. Nie miałam jednak zbyt wiele czasu na rozważania. Nie zamierzałam przekonać się, dlaczego, na ten swój dziwny sposób, tak się mną troskliwie zajmują.

Sprawdziłam wiązanie w pasie, zadowolona, że spodnie nie spadły mi podczas biegu. Doris wróciła do Sila pogrążonego w cichej rozmowie z pozostałymi. Stali jakieś dziesięć jardów ode mnie. Wszyscy uzbrojeni w bułaty, zęby i szpony. Zdążyłam się przekonać, że Sil jest szybkim biegaczem. Juri miał atletyczną budowę, jak sprinter, więc mógł być powolniejszy na dłuższych dystansach, a zwalisty Chimola na pewno nie dotrzymałby mi kroku. Lacey wyglądała na zwinną, ale może nie aż tak silną. Natomiast Doris, z tym swoim upiornym bieganiem na

czworakach, z pewnością dopadłaby mnie pierwsza. Przypomniałam sobie film, pokazujący w zwolnionym tempie, jak lew chwyta rączką gazelę.

Rozejrzałam się. Za mną ciągnął się nieprzerwany szereg domów. Żadnej bocznej uliczki. Przewaga dla Mazikinów. Przed nami wznosił się nowoczesny blok z wjazdami po obu stronach. Jeden z nich był całkiem zatarasowany śmietnikami, z których wylewały się sterty odpadków, drugi wyglądał na czysty. W razie czego może udałoby mi się zgubić ich w zaułkach.

Albo wbiec prosto w ślepą uliczkę.

Sfrustrowana stuknęłam lekko głową o latarnię.

Wcześniej ją usłyszałam, niż zobaczyłam. Mówiła po hiszpańsku. Ja nie. Nie rozumiałam tego języka. Powiedziano mi, że kiedy trafiłam do opieki społecznej, znałam tylko hiszpański, ale we wszystkich moich rodzinach zastępczych mówiło się tylko po angielsku i szybko zatraciłam tamtą część siebie.

Spojrzałam w stronę, skąd dobiegały słowa. Ulicą wlokła się ciemnoskóra nastolatka, mamrocząc coś do siebie. Kulila się okutana wielkim płaszczem. Kiedy weszła w zielonkawa plamę światła, zobaczyłam na jej twarzy to samo piętno rozpacz, które widziałam u prawie wszystkich tutaj.

Zamknęłam oczy, starając się chłonąć brzmienie języka, czerpać z niego pociechę, zrozumieć. Był śpiewny, rytmiczny, choć głos dziewczyny pobrzmiwał smutkiem i żalem. Skrzywiłam się i rozwarłam powieki, żeby zobaczyć, jak dziewczyna właśnie mnie mija. Miała długie włosy, które kaskadą sływały jej na plecy. Piątka Mazikinów śledziła ją spojrzeniami. Robili wrażenie zahipnotyzowanych. Dosłyszałam, jak Sil mruczy niewyraźnie: „Doskonała”. Chimola bez słowa kiwnął głową i ruszył za dziewczyną.

Byłam rozdarta. Z jednej strony Mazikiny zajęły się czymś innym. Dostałam szansę. Mogłam uciec. Ale miałabym pozwolić, żeby ta biedaczka dostała się w ich łapy? A gdyby to Nadię ktoś ścigał, chciał porwać? *Uciekaj!* szeptał egoistyczny instynkt samozachowawczy. *Uciekaj.* Może nie zrobią jej krzywdy. Może nawet nie będzie w ogóle uciekała, kiedy ściągnę na siebie uwagę Mazikinów. Tutejsi mieszkańcy nie przejmowali się zbytnio tym, co działo się wokół nich, może więc dziewczyna nie skorzysta nawet i moje poświęcenie na nic się nie zda. Mimo to zacisnęłam dłoń wokół szyjki butelki i wstałam. Zdażyłam zrobić tylko jeden krok, a Chimola już dogonił dziewczynę i położył jej rękę na ramieniu.

Zamrugalam, kiedy świat wokół mnie ruszył jak przyspieszony film w wysokiej rozdzielczości. Światło odbijające się od szyb okolicznych budynków mignęło na ostrzu, którym dziewczyna oderznęła ramię Chimoli, a potem długim cięciem dobiła wielkoluda. Sil zawył wściekle, dobywając szabli Lutfiego. W tym momencie dziewczyna zwróciła się w jego stronę. Jej twarz, jeszcze przed chwilą smutna, teraz rozjaśniła się złośliwą satysfakcją.



Ta dziewczyna absolutnie nie potrzebowała mojej pomocy.

Zerwałam się i pognałam po przekątnej w stronę zatarasowanej uliczki, zamierzając przedrzeć się za śmietniki i zniknąć jak najszybciej z pola widzenia. Po drodze stłukłam denko butelki o słup latarni. Zawsze to lepiej mieć coś ostrego w ręce. Zwłaszcza że usłyszałam pędzącą za mną Doris.

Nie miałam szans dopaść załtka ani nawet przebiec na drugą stronę ulicy. Odwróciłam się, by uzbrojona w tulipan stawić czoło obłąkanej staruszce i w tej samej chwili ona, warcząc, zmieniła kierunek.

Z wylotu alejki na lewo ode mnie wyszedł Malachi z obnażoną szablą. Omal nie zaszlochalam z ulgi. Na mój widok jego spojrzenie złagodniało, ale zdążył jedynie zerknąć na mnie, gdy dopadła go Doris.

– Lela! – Ze spokojną gracją parował ciosy zadawane przez staruchę bułata. – Rozłóż ją.

U moich stóp wylądowała jego pałka. Spojrzałam na nią, na butelkę, a potem na gnających ku nam Lacey i Juriego.

– Jasne. – Podniosłam zaskakująco ciężką pałkę i zasloniłam się nią, trzymając niczym jadowitą żmiję. *Żeby tylko nie wybić sobie oka.*

– Trzymaj ich na dystans – instruował mnie Malachi konwersacyjnym tonem, jakby popijał herbatkę, a nie potykał się właśnie na śmierć i życie. – Nie będą cię chcieli zabić. Zaraz tam będę.

– Jasne.

Lacey była tuż, tuż. Juri deptał jej po piętach, ale w ostatniej chwili skrzył ku walczącemu z Doris Malachiemu. Uznał widać, że Lacey poradzi sobie ze mną sama.

Chwyciłam pałkę pośrodku, a z obu jej stron wysunęły się co najmniej dwustopowe ostrza. Lacey zaatakowała. Wbrew twierdzeniom Malachiego, krasnalowaty Mazikin miał zdecydowanie mordercze intencje. Dzięki instynktowi udało mi się przechwycić laską cios z góry, kopnęłam Lacey w brzuch, odskoczyłam w bok i grzmotnęłam ją w głowę. Wrzasnęła i zamachnęła się bułatem, celując w moje nogi. Podskoczyłam. Ostrze otarło mi się o podeszwy. Odbiegłam kilka kroków w tył i na próbę machnęłam niezgrabnie laską.

Zauważyłam jeszcze, że Malachi ściera się w wirze walki z Doris i Jurijem, a potem znów zbliżyłam się do Lacey, zdecydowana zająć się swoją działką i przynajmniej rozbroić przeciwniczkę. Ale mała albinoska z zaskakującą zwinnością zerwała się na nogi.

Chwyciłam laskę bliżej końca i wzięłam zamach, chcąc utrzymać dystans między nami. Usiłowała przechwycić uderzenie bułatem, ale okazało się, że miałam rację – nie była zbyt silna. Kij trafił ją w bark. Zawyla z bólu. Niestety, zemścił się na mnie brak umiejętności. Odsłoniłam bok i Lacey skoczyła naprzód. Cofnęłam się, ale za późno. Poczułam piekący ból w biodrze.

Stłumiłam krzyk i zatoczyłam się w tył. Lacey minęła mnie chwycinnie, a ja, odzyskawszy równowagę, zamachnęłam się laską jak kijem beseballowym i uderzyłam ją mocno w głowę. Runęła na ziemię.

Spojrzałam na biodro – podarta koszulka przesiąknięta była już szkarlatem. Schyliłam się i szybko pochwyciłam bułat Lacey, ale odrzuciłam go od razu, bo natychmiast zdążyłam przeciąć sobie nogawkę. Wściekła, obolała, kopnęłam Lacey w bok. Potem jednocześnie rozległy się pełen furii ryk Doris i ostrzegawczy okrzyk Malachiego.

Ledwie udało mi się osłonić laską przed staruchą, która gnała na mnie z uniesionym ostrzem i odsłoniętymi zębami.

Nagle jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

Żuchwa jej opadła.

Doris gruchnęła na ziemię. Z jej pleców sterczały trzy ostrza. Malachi jednak zapłacił za to, że mnie obronił. Wytrącony z dłoni bułat zaszczękał o bruk. Malachi złapał Jurija za rękę z szablą. Mocowali się, walcząc o broń. Nagle zniknęli w głębi alejki, a mnie w tej samej chwili ktoś chwycił za kostkę. Uniosłam laskę niczym włócznię i dźgałam tak długo, póki ręka Doris nie opadła bezwładnie.

– Teraz już wiem, czemu podrzyna wam gardła – mruknęłam.

Zaułek rozbrzmiewał echem wysiłków Malachiego i Jurija usiłujących się pozabijać. Sil i niezajoma nie ustawali w walce, a żadne z nich nie przejawiało oznak zmęczenia.

I wtedy nagle Malachi zawył z bólu.

Chwyciłam laskę i przyciskając dłońią ranę na biodrze, pobiegłam w alejkę. Juri stał plecami do mnie. Wygrał szamotaninę o bułat, ale z barku sterczał mu czwarty nóż Strażnika. Malachi był bezbronny. A ja miałam jego laskę. Na widok cierpienia w jego oczach przeszył mnie lodowaty dreszcz. Krew sphywała mu po szyi, wsiąkając w kołnierz.

Na mój widok uśmiechnął się wyzywająco.

– Uderz go mocno, Lela. Nieważne, gdzie.

Juri najwyraźniej pomyślał, że Malachi blefuje, bo nawet się nie odwrócił. Powiedział coś, chyba po rosyjsku. Malachi z błyskiem w oku odparował w tym samym języku. Juri ruszył na niego z wściekłym warknięciem. Widać Malachi potrafił zdrowo przygadać.

Uniosłam kij.

– To za to, co mi zrobiłeś wcześniej, z boku.

Na dźwięk mego głosu Juri obrócił się gwałtownie. W tym momencie rąbnęłam go kijem w przegub. Upuścił bułat, ale zdążył uderzyć mnie barkiem. Upadłam na ziemię, uderzyłam głową o bruk, a kiedy już przestałam widzieć gwiazdy, Juri leżał obok. Malachi siedział mu na plecach, przyciskając kolanami atletyczne ramiona z boka, i wołał mnie po imieniu. Zmrużyłam oczy,

próbując odzyskać ostrość widzenia.

– Nic mi nie jest – wybełkotałam, wychwyciwszy w jego głosie rozpaczliwą nutę. Przypatrywał mi się kilka sekund, jakby upewniał się, że może mi uwierzyć. Potem szarpnięciem wyciągnął nóż z pleców Juriego, złapał go za tłuste włosy i gwałtownie odchylił głowę z wyraźnym zamiarem ostatecznego zakończenia pojedynku.

Juri wcale nie wydawał się przestraszony. Spojrzał mi prosto w oczy.

– Jesteś Moja – wycharczał, a potem jęknął, kiedy Malachi uderzył jego głową o bruk.

Cofnęłam się instynktownie, chcąc znaleźć się jak najdalej od jednego i drugiego. Malachi spojrział na mnie niezdecydowany.

– Lela, mogłabyś sprawdzić, co z Aną?

Coś w jego głosie kazało mi posłuchać, z trudem więc wstałam i chwiejnie ruszyłam ku ulicy. Dziewczyna, w której domyśliłam się owej Any, radziła sobie całkiem nieźle. Odwróciłam się, by przekazać to Malachiemu, ale on był już za mną, zasłaniając mi widok na alejkę i Juriego. Położył mi ręce na barkach i wyprowadził mnie z uliczki. Odwrócił się w stronę walczących i postąpił naprzód. W tej samej chwili Sil jakby wyczuł jego wzrok na sobie, bo odskoczył raptownie od Any i rzucił się do ucieczki.

Ana runęła za nim jak błyskawica.

– Zajmę się tym, Malachi! – krzyknęła przez ramię.

– Kto to?

– Koleżanka – odparł Malachi, odprowadzając ją wzrokiem. Przez ułamek sekundy myślałam, że pobiegnie za nią, ale został. Spojrzał na mnie z zaciśniętymi ustami. Nie potrafiłam odczytać wyrazu jego oczu. Znowu zamarłam; podczas gdy część mnie chciała ku niemu podbiec, inna rwała się do ucieczki. Rozstrzygając moje rozterki, zbliżył się i ukląkł przede mną.

– Mocno cię zraniła? – zapytał, podciągając mi koszulkę i delikatnie zsuwając spodnie z biodra. Ku własnemu zdumieniu nie oponowałam. Wsparłam się rękoma o jego barki, popatrzyłam w niebo i myślałam tylko o tym, czy złapie mnie, jakbym upadała.

– To chyba nic takiego – powiedziałam dosłownie w tej samej chwili, kiedy na widok mojego biodra zaklął głośno.

– Czy któryś cię ugryzł? – Przesunął dłońmi po moich ramionach i nogach, szukając obrażeń.

– Nie. – Popatrzyłam po sobie. Juri pobrudził mnie swoją krwią. Malachi miał ubrudzone nią całe ręce. – Nie powinniśmy jej z siebie zmyć? Nie zaszkodzi nam?

Popatrzył na mnie.

– A czy krew węża jest jadowita?

– Słucham?

– Krew Mazikinów nie stanowi problemu, Lelo. Jest nieszkodliwa. To ich zęby, ślina...

Popatrzyłam w dół i dopiero teraz zobaczyłam, skąd ta krew na jego kołnierzu. Nie miał tyle szczęścia co ja. Rana była głęboka i poszarpana. Krew nie przestawała wypływać, a na brzegach krystalizowała się jakaś biała substancja.

– O Boże, ukąsił cię – szepnęłam. Chciałam przechylić mu głowę i zobaczyć lepiej ranę, ale mnie odsunął. Wstał pospiesznie. – Usiądź i nabierz sił. Muszę tu dokończyć sprawę, a potem musimy iść.

– Ale jesteśmy bardzo daleko. Nie masz czegoś w rodzaju krótkofalówki albo coś? Nie możesz wezwać ludzi, żeby po ciebie przyszli?

Zmarszczył brwi.

– Krótko... telefonu, tak? – Wzruszył ramionami. – Nie mamy tu takich urządzeń.

– Czemu...?

Skrzywił się i zamknął oczy.

– Może porozmawiamy o tym później, ale teraz musimy iść. Szybko.

Nie patrzyłam, kiedy upewniał się, że Doris i Lacey już nie ożyją. Odwróciłam się dopiero wtedy, gdy usłyszałam cichą litanię. Patrzyłam zahipnotyzowana, jak pochyla się nad ciałami i z zamkniętymi oczami modli się, a może prosi o wybaczenie. Nigdy nie czułam się tak skołowana. W jednej chwili brutalny i bezlitosny, w następnej patrzył na swe ofiary z żalem w oczach. W jednej z rozbawionym uśmiechem unieruchamiał mnie siłą, a w następnej ryzykował życie, by mnie ocalić. Zazwyczaj potrafiłam rozszyfrować ludzi, wiedziałam, czego mogę się po nich spodziewać. W przypadku Malachiego... nie miałam pojęcia.

Pobierał swoją broń. Zanim pochował noże, otarł zakrwawione ostrza o spodnie. Złożył laskę i zatknął ją za pas. Zniknął w zaułku, a po chwili wyłonił się, niosąc dwa bułaty, swój i Juriego. Z widoczną biegłością przytroczył pochwę Juria do swego pasa i dopiero po tym wszystkim podszedł do mnie.

– Możesz iść?

Zaprezentowałam mu szeroki, promienny uśmiech.

– Jasne, to tylko draśnięcie.

Roześmiał się, a jego twarz przybrała ten sam dziwny wyraz, który widziałam już wcześniej.

– A możesz biec?

– Może. – Otaksowałam go wzrokiem. – A ty?

Spowaźniał.

– Na razie tak.

Serce mi się ścisnęło.

– Gdzie idziemy? Daleko?

– Musimy wrócić do Strażnicy. Nie wiem, ile mam czasu. Zresztą oboje potrzebujemy

Rafaela.

Do Strażnicy. Nie ma szans. Cofnęłam się niepewnie.

– Nie wiem, czy chcę...

Łypnął na mnie, autentycznie rozdrażniony.

– Przysięgam, że zaniosę cię tam, jeśli się uprzesz, a to nie będzie przyjemne ani dla mnie, ani dla ciebie. Masz głęboką ranę, aż do kości, a ja... Mam tylko kilka godzin. Jeśli na czas nie dotrę do Strażnicy, umrę. A nie pójdę bez ciebie. Tak więc proszę, choć tym razem współpracuj.

Wziąwszy pod uwagę fakt, że właśnie ocalił mnie przed straszliwym losem, który bez wątpienia miała zgotować mi banda upiornych stworzeń, postanowiłam się nie kłócić. Zwłaszcza że, wbrew wcześniejszym przysięgom, wcale nie chciałam, żeby umarł. Z tego, co mówił o swojej ranie, wywnioskowałam, że uda mi się uciec i nie będę musiała wchodzić do siedziby Straży. Chciałam jednak pomóc mu bezpiecznie dotrzeć na miejsce.

– Prowadź.

– Dziękuję.

Narzucił mordercze tempo. Biegąc zaułkami i ulicami miasta, zmuszałam się do ignorowania szarpiącego bólu w biodrze. Znów usiłowałam zapamiętać jakieś punkty orientacyjne, charakterystyczne miejsca i znów się zgubiłam. Minęła mniej więcej godzina i długi, równy krok Malachiego zaczął tracić rytm. W pewnej chwili Strażnik osunął się na schodki przed wejściem do ciemnego budynku o powybijanych oknach.

– Muszę odpocząć – wybełkotał. – Tylko minutkę.

– Pewnie – wydyszałam, siadając obok. – Jak chcesz.

Nie byłam pewna, czy dam radę jeszcze za nim nadążyć. Biegł przede mną, więc po raz pierwszy, odkąd ruszyliśmy w drogę powrotną, miałam okazję mu się przyjrzeć. I nie spodobało mi się to, co zobaczyłam. Jego oliwkowa cera przybrała trupioblady odcień, który podkreślała jeszcze czerń włosów.

– Jak się czujesz? – wyszcząkał. Cały się trząsł.

– Chyba lepiej niż ty. – Sięgnęłam nieśmiało do jego twarzy. Nie zareagował, kiedy musnęłam palcami jego policzek. Było tak, jak się obawiałam. Skórę miał wilgotną i zimną. Był w kiepskim stanie, a ja nie miałam pojęcia, jak daleko jeszcze do Posterunku. Nie miałam szans zawlec go tam, gdyby zemdlął.

– Rafael to jakiś lekarz?

Przytaknął skinieniem.

– Można tak powiedzieć. Uleczy cię. Bez trudu.

– A ciebie? – Potrzebował tego bardziej niż ja.

– Nie wiem – mruknął. – W tym stadium? Nie wiem.

Nie to chciałam usłyszeć. Wstałam.

– Idziemy. Już.

Nie ruszył się.

– Muszę odpocząć. Tylko minutę – powtórzył.

– Nie ma mowy. Już odpocząłeś. Wstawaj. Rusz się. – Wzięłam go za rękę i pociągnęłam. Dał się postawić na nogi. Wsunęłam się pod jego ramię i objęłam w pasie. – Musisz mi pomóc, inaczej tam nie zajdziemy. No, dalej. – Wsparł się na mnie i pozwolił prowadzić. – Mów, którądy.

Powlekliśmy się, teraz już w ślimaczym tempie, główną ulicą. Malachi mamrotał instrukcje, ale z każdą minutą mówił coraz ciszej. Z trudem powłóczył nogami.

– Zdrętwienie – wyszeptał, przystając. Oparł głowę o moją skroń i przymknął oczy. Staliśmy tak przez chwilę, aż dotarło do mnie, że nigdy wcześniej z własnej woli nie byłam tak blisko mężczyzny. Malachi wydawał się zadowolony z pozycji, w pół wisząc, w pół się na mnie wspierając, ale nie miałam wątpliwości, że długo się tak nie utrzyma na nogach.

– Daleko jeszcze?

– Nie. Ale chyba nie dam rady.

Znajdowaliśmy przed wejściem do jakiegoś budynku i to podsunęło mi pomysł. Byłam silna, ale nie na tyle, by nieść dwieście funtów mięśni Malachiego do Strażnicy.

– Posłuchaj. Zostawię cię tu, a ty powiesz mi, jak dojść do Strażnicy, dobrze?

– Nie. Zostaniesz ze mną. – Starał się, by brzmiało to jak polecenie, ale głos miał słaby i pełen bólu. Psuło to cały efekt.

– Przykro mi, ale nie. Bez ciebie pójdę szybciej, więc przestań się wyklócać. Są tu jakieś puste lokale w tym budynku?

– W każdym są – wystękał, poddając się.

– Wobec tego znajdziemy jakiś. – Musiałam go wciągnąć do środka. Usiłował mi pomóc, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Jego ręce na moich ramionach wydawały się bezwładne, jakby paraliż postępował.

Korytarz, oświetlony tak jak wszystko tutaj latarniami gazowymi, tonął w półmroku. Wokół panowała martwa cisza i gdyby nie zielonkawe światelka nad wejściami do mieszkań, byłabym przekonana, że budynek jest pusty. Trwało to wieki, ale wreszcie udało nam się znaleźć otwarte drzwi.

Z ulgą zauważyłam, że wytarty dywan w mieszkaniu nie jest zapleśniały, a ściany, choć bure, są bez zacieków. Wnętrze, wyposażone w tanie meble, przypominało domy komunalne, w których kiedyś mieszkałam. Z jedną dużą różnicą.

– Hej, w drzwiach nie ma zamka. Mam je czymś zastawić?

Malachi potrząsnął głową.

– Teraz już nikt tu nie może wejść – wychrypiał.

– Czemu? Bo jesteś Strażnikiem?

Znów zaprzeczył. Drobnym ruch, ale niewątpliwie wiele go kosztował.

– Kiedy mieszkanie zostaje zajęte, nikt inny nie może wejść.

Ulga omal nie podcięła mi nóg. Byliśmy bezpieczni. A co ważniejsze, to samo dotyczyło Nadii. Weszła do tamtego mieszkania, a teraz okazało się, że prześladowca nie mógł wejść za nią. Miałam nadzieję, że została w środku.

Wprowadziłam Malachiego do sypialni, w której znajdował się jeden wąski tapczan.

– Teraz masz leżeć – powiedziałam, opuszczając go ostrożnie na łóżko. Biodro rwało, a z resztą ciała też nie było najlepiej. Był piekielnie ciężki, ale nie miałam czasu na odpoczynek. Nie, jeśli chciałam mu pomóc.

Bezradnie złapał ze sprzączkę pancerza na piersi.

– Nie mogę oddychać.

– Dobrze. Pomogę ci się ułożyć wygodnie, a potem pójdę.

– Nie – jęknął, ale zignorowałam go i zabrałam się do roboty. Odsunęłam jego ręce i zaczęłam rozpinąć kolejno sprzączki pancerza. Niezdarnie zdjęłam z niego skórzaną osłonę, starając się przy tym nie urazić zranionej szyi. Nie udało mi się. Krzyknął tak przeraźliwie, że krzyknęłam razem z nim.

Zdjęłam napierśnik i sięgnęłam do pasa.

– Nie – zaprotestował słabo, ale jego ręce leżały bezwładnie wzdłuż ciała. Znów go nie posłuchałam, cała uwagę skupiłam na tym, co robiłam. Gdyby nie to, prawdopodobnie osunęłabym się na bury dywan, zmieniając w kupkę strachu, żalości i poczucia winy. To przeze mnie został ranny. Przez mnie mógł umrzeć.

– I tak nie możesz ruszać rękami, więc broń ci się nie przyda. – Zdjęłam pas i położyłam przy tapczanie. Potem położyłam dłoń na jego piersi. Oddychał bardzo płytko. Gors koszuli miał przesiąknięty krwią. Nie miałam pojęcia, że tak mocno krwawi. – Powiedz mi, jak ma dotrzeć na Posterunek.

– Bałam się, że nie zdążę przybyć na czas – wyszeptał. – Tak mi przykro, że zostałam ranna. Powiniem być szybszy.

Nie mogłam uwierzyć, że to on próbuje przeprosić mnie, szczególnie że powinien chcieć mnie zabić. Słyszając żal i smutek w jego głosie, pomyślałam, że to mogą być jego ostatnie słowa. Byłam wstrząśnięta.

– Marnujesz oddech i mój czas – powiedziałam opryskliwie. – A teraz mów, jak mam iść, albo zabiję cię własnymi rękami.

Zaśmiał się, kaszłąc.

– Jesteś niesamowita.

*Cholera.*

– No, dalej. Wyduś to z siebie. Wskazówki. Już.

– Popelnilem błąd, wsadzając cię z powrotem do celi. Ale w innym wypadku nie mógłbym...

Zdeterminowana wymierzyłam mu policzek. Nie bardzo to pomogło, ale nie miałam innego pomysłu. Nie wiedziałam, jak znaleźć Strażnicę, a bez tego nie mogłam mu pomóc. Ledwie zareagował, na co ja z kolei wpadłam w panikę. Pochyliłam się i ujęłam jego twarz w dłonie. Zamierzałam potrząsać nim tak długo, aż powie mi, jak iść.

Popatrzył na mnie błyszczącymi, brązowymi oczami.

– Jesteś taka piękna – wybełkotał, utwierdzając mnie w przekonaniu, że paraliż sięgnął ust i zmierza do mózgu.

*No super. Pierwszy raz w życiu facet mi mówi, że jestem piękna, kiedy jestem w piekle, a on majaczy.*

– Proszę, powiedz, jak mam iść. Fatalnie się będę czuła, jeśli umrzesz.

– Powiedz moje imię.

Wywróciłam oczami, z góry dyskredytując każde możliwe znaczenie tej prośby.

– Bredzisz.

Jęknął, kiedy jego pierś zadrżała od śmiechu.

– Okaż mi litość, spełnij życzenie umierającego. Chcę choć raz usłyszeć, jak je wymawiasz.

Proszę, powiedz moje imię, Lela. – Znieruchomiał na moment, jakby wymówienie mojego imienia całkowicie go wyczerpało. Przysunęłam się bliżej, przekonana, że umarł. Nie wiedzieć czemu ta myśl przeszła mnie dojmującym bólem.

Ale nagle uniośł powieki. Zatonęłam w jego oczach, zabrakło mi słów. Poza jednym. Pochyliłam głowę, aż zetknęliśmy się nosami, aż moja pierś przywarła do jego, aż całą sobą poczułam szybkie, nierówne bicie jego serca.

Odetchnęłam głęboko.

– Malachi.

Jego usta rozciągnęły się w tęsknym uśmiechu. A potem wyszeptał mi wskazówki.



# JEDENASTY

Wpadłam do Strażnicy, jakby mnie gonił sam Lucyfer. Siedziba Straży przypominała fort, niski, kwadratowy o grubych ścianach, z wysoką wieżą pośrodku. Z zewnątrz wydawała się wymarła, ale na spotkanie wyszło mi co najmniej czterech Strażników. Zastąpili mi drogę.

Podniosłam w górę bułat Malachiego i pomachałam nim.

– Malachiego ugryzł Mazikin. Potrzebuję Rafaela – wydyszałam, łapiąc się za biodro, które znów zaczęło krwawić.

Jeden ze Strażników zaśmiał się gardłowo.

– Na to chyba za późno, maleńka. Skoro masz szablę Malachiego, to znaczy, że już po nim.

Tylko tak mogłaś mu ją odebrać.

Potrząsnęłam gwałtownie głową, usiłując złapać oddech.

– Zostawiłam go w mieszkaniu, jakieś dwadzieścia przecznic stąd, ale kiepsko z nim. Mogę was zaprowadzić. Jest tu Rafael?

Strażnik, w którym rozpoznałam Haniego, wystąpił naprzód i przyjrzał mi się uważnie.

– Wyszłaś stąd z Mazikinem. Skąd mamy wiedzieć, że nie jesteś jednym z nich?

Czemu o tym nie pomyślałam? Pewnie dlatego Malachi nie chciał, żebym przychodziła tu bez niego. Ale gdyby uważał, że mi się nie uda, nie dałby mi wskazówek. Nie ustąpiłam. Skupiłam się na tym, żeby odpowiednio dobrać słowa, choć czułam, jakbym targowała się o moje życie po życiu.

– Skoro znacie Malachiego, dobrze wiecie, że nie zdołałabym mu siłą odebrać miecza. Dał mi go – oświadczyłam. – Proszę. Jest bardzo słaby. Potrzebuje pomocy.

– Może wejdiesz dalej – zaproponował Hani przyjaźnie, ale przejrzałam go. Kiepska gra aktorska była tu powszechna jak epidemia.

– Nie mamy za wiele czasu. Malachi umiera. Był ledwie przytomny, kiedy go zostawiałam. Zawołajcie Rafaela i możemy iść.

Hani zbliżył się i złapał mnie wielką łapą za ramię.

– Powiedziałem, żebyś weszła dalej.

Usiłowałam się wyrwać.

– Co z wami, ludzie? Czemu nie podnosicie alarmu, czemu się nie mobilizujecie, czy jak to tam się mówi?

Niektórzy Strażnicy mieli na tyle przyzwoitości, żeby przynajmniej wyglądać na nieco zawstydzonych, ale kilku zaśmiało się wrednie. Czemu nie biegle, żeby mu pomóc? Czemu nie

wzywali Rafaela? Hani zaczął mnie wlec w stronę aresztu, a inny Strażnik wyrwał mi z ręki bułkę Malachiego. Pamiętałam poprzednią wizytę na tyle dobrze, żeby nie mieć ochoty iść dalej. Kiedy jednak obejrzałam się przez ramię, okazało się, że Strażnicy obstawili drzwi. Nie mogłam się wycofać, pozostawało mi tylko jedno: zaprotestować ze wszystkich sił.

Kopnęłam Haniego w gołe nogi, a kiedy drgnął zaskoczony, grzmotnęłam go w klejnoty. Nie sądziłam, że taki olbrzym może tak cienko piszczeć, ale udało się, puścił mnie. Rzuciłam się biegiem w głąb Strażnicy, wołając Rafaela i waląc pięścią w każde drzwi, które mijalam. Za plecami słyszałam oddechy i ciężkie kroki, przynajmniej jeden ze Strażników mnie gonił. Do cholery. To zabolilo. W następnej chwili zatrzymała mnie przeszkoda, którą okazała się moja własna gigantyczna koszulka, nagle zaciskająca się wokół mojej piersi. To ścigający chwycił mnie za kołnierz. A potem, dupek, złapał mnie za włosy.

Miotalam się, usiłując wywinąć z uścisku umięśnionych ramion. Jedną ręką unieruchomiła mi tułów, drugą zasłoniła twarz, oślepiając i uniemożliwiając oddychanie. W głowie zawirowały mi mętne obrazy. Staralam się przypomnieć sobie, po co tu przyszłam i co robiłam, ale wszystko rozmyło się, a potem wybuchło krzykiem.

Przez chaos przebił się spokojny głos.

– Puść ją.

Strażnik natychmiast posłuchał. Upadłam na podłogę, na czworaka. Czulałam, jakby prawa noga miała mi zaraz odpaść. Spodnie przesiąkły krwią, nie mogłam przestać się trząść. Przycisnęłam czoło do zimnej posadzki, próbując zebrać myśli

– Coście jej tym razem zrobili? – zapytał łagodny głos. – Dopiero co ją wyleczyłem.

Oderwałam głowę od ziemi i zobaczyłam... Najbardziej przeciętnego człowieka pod słońcem. Ha. Nie wiem czemu, ale spodziewalam się kogoś o bardziej imponującej aparycji. Mężczyzna był może kilka cali wyższy ode mnie, miał kręcone brązowe włosy, szare oczy i piegi. A do tego oślepiająco piękny uśmiech. Choć w tamtej chwili pewność, że mam przed sobą Rafaela, mogła znacząco wpłynąć na to, jak go postrzegałam.

Jednym tchnieniem wyrzuciłam z siebie potok słów:

– Malachi jest chory. Jest w budynku, został ukąszony. Nie może oddychać. Mówił, że go uzdrowisz. Zaprowadzę cię.

Jeden ze Strażników burknął pogardliwie:

– Przyniosła jego szablę. Kapitan nigdy by jej nie oddał. Skąd mamy wiedzieć, Rafaelu, że nie wciąga cię w pułapkę?

Nie odwracając się, pokazałam mu środkowy palec. Czemu, u diabła, traciliśmy tu tyle czasu?

Rafael przyjrzał mi się uważnie.

– Jesteś ranna. – Wyciągnął do mnie rękę. – Chodź, pójdziemy do mojej kwatery i wyleczę cię.

Zagotowałam się z wściekłości. Odetchnęłam bardzo, bardzo głęboko, żeby ją zdławić. Gdybym teraz straciła panowanie nad sobą, Malachiego czekałaby pewna śmierć. A nawet nie podziękowałam mu za uratowanie życia. Nie przeprosiłam, że w ogóle doprowadziłam do sytuacji, w której potrzebowałam jego pomocy.

– Nic. Mi. Nie. Jest. – Wyskandowałam powoli i wyraźnie. – To drobiazg. – Wskazałam na biodro. – I powtórzę to jeszcze raz: Malachi leży kilka przecznic stąd i potrzebuje pomocy. Róbcie ze mną, co chcecie. Wsadźcie mnie do celi, załóżcie kaganiec, czy co tam. Możecie iść całym oddziałem, jeśli boicie się zasadzki, albo zakraść się chyłkiem, mam to gdzieś. Ale na litość boską, idźcie! – Ostatnie słowa wykrzyczałam z całej siły.

Rafael zrobił krok w tył.

Popatrzył po Strażnikach.

– Ona nie jest Mazikinem i to nie jest żadna zasadzka.

Tak! Wypowiedziałam chyba magiczne słowa.

Strażnicy cofnęli się jak jeden mąż, robiąc miejsce. Rafael schylił się i pomógł mi wstać. Nie broniał się, kiedy otoczył mnie ramieniem.

– Miał rację. Rzeczywiście jesteś twarda – mruknął, wyprowadzając mnie szybkim krokiem z korytarza, a potem na zewnątrz.

W kilka minut dotarliśmy pod drzwi mieszkania.

– Jak się tam dostaniemy? – zapytałam. – Malachi powiedział, że jak ktoś jest już w środku, to nikt inny nie może wejść.

Rafael wyminał mnie, sięgnął do klamki i otworzył.

– Ty weszłaś tam w towarzystwie członka Straży, więc dla ciebie to nie problem. – Przekroczył próg. – A ja mam specjalne przywileje.

Wpadłam do mieszkania, przerażona, że zbyt długo to wszystko trwało. Rafael deptał mi po piętach, kiedy przebiegałam przez salon do sypialni. Malachi leżał tak, jak go zostawiłam. Był tak blady, że rana na szyi wyglądała jeszcze gorzej. Nie ruszał się. Nie widziałam nawet, czy oddycha.

Rafael westchnął, patrząc na niego.

– Nie przesadziłaś, Lela. Możesz mu zdjąć nogolenniki i karwasze?

– Co zdjąć?

– Zbroję. Resztę zbroi.

– A, tak – wymamrotałam. Ukłękłam w nogach tapczanu, a Rafael zabrał się za oglądanie rany. Na kilka minut pochłonęło mnie rozpinanie klamerek przytrzymujących grube kawałki skóry na gołeniach Malachiego. Potem zdjęłam mu też buty. Staralam się nie myśleć o tym, że odkąd przyszliśmy, nie zauważyłam, by oddychał, i zabrałam się za zdejmowanie karwaszów.

Rafał pochylał się nad szyją i głową Malachiego, nucąc coś pod nosem. Wcześniej chciałam go zapytać, dlaczego nie zabrał ze sobą żadnych narzędzi, ale w tym momencie dziwaczność świata, który mnie otaczał, sięgnęła zenitu, więc kolejne piekielne dziwactwo nie miało już większego znaczenia. Było mi obojętne, w jaki sposób, byle tylko pomógł Malachiemu. Zdjęłam osłonę z przedramienia i wiedziona impulsem, chwyciłam dłoń Malachiego. Była szorstka i pokryta odciskami. Ścisnęłam mu palce i serce zakłuło mnie, gdy nie oddał uścisku.

Ostrożnie, nie chcąc przeszkadzać skupionemu Rafałowi, sięgnęłam do ostatniego kawałka zbroi. Wszystko schludnie ułożyłam obok łóżka. Wygładziłam ciemną, wilgotną od potu i krwi koszulę. Była zimna. Pokuściłam do łazienki, przegrzebałam szafkę i na samym spodzie znalazłam skarb – stary zielony koc, który wyglądał i cuchnął tak, jakby przeleżał tam co najmniej pół wieku.

Kiedy wróciłam, zastałam Rafała kucającego przy tapczanie i trzymającego piegowatą dłoń na pozornie nieruchomej piersi chorego.

– Jego serce bije, ale jest słaby. Bolało go coś, kiedy go zostawiałaś?

Coś w doborze słów, sposobie, w jaki zadał pytanie, sprawiło, że skuliłam się w sobie.

– Hm, chyba nie... W zasadzie to był całkowicie odrętwiały. I chyba bredził.

– Bredził? – zapytał Rafał tym swoim obojętnym, naukowym tonem. – Fascynujące.

– Fascynujące?! Mówisz, jakby był jakimś obiektem badawczym – warknęłam. – Nie widziałeś przedtem takich ran?

– Oczywiście, że widziałem. Niejeden raz. Ale majaczenie nie należy do typowych objawów. Dlatego zastanawiam się, czemu sądzisz, że bredził.

Oblałam się rumieńcem. Rafał uśmiechnął się i wymownie spojrzął na Malachiego.

– Cieszę się, że cię odnalazł.

Przysunęłam się i przykryłam Malachiego kocem.

– Czuję się okropnie – wyszeptałam. – Został ranny, bo chciał mnie ochronić.

Do tej pory jedynie Nadia i Diana usiłowały mnie chronić, ale tylko Malachi zaryzykował coś dla mnie. Coś, czyli jak się okazało, wszystko.

– Niepotrzebnie. Jestem pewien, iż uważał, że warto. Malachi, choć wygląda bardzo młodo, umie podejmować własne decyzje.

– Wydawało mi się tylko, czy Strażnikom na Posterunku nie spieszyło się, by go ratować? – Zastanawiałam się, czy to dlatego, że ruszył mi na pomoc po tym, co zrobiłam.

Rafał jakby czytał mi w myślach.

– Nie przejmuj się, to nie twoja wina. Malachi jest kontrowersyjną postacią w szeregach Straży. Dowodzi nimi, ale nie jest jednym z nich. Strażnicy zostali stworzeni do pracy w zespole, a on często działa sam, albo tylko z Aną, która jest zresztą, podobnie jak on, człowiekiem. Jest

najbardziej bezlitosny spośród nich, ale zarazem najbardziej przestrzega zasad. W ciągu ostatnich lat zmienił niektóre reguły postępowania z Mazikunami i reszcie Strażników się to nie podoba. Pochodzi z innego niż oni miejsca i czeka go inna przyszłość. Podobnie jak w przypadku innych dowódców-ludzi, podkomendnym trudno jest go zrozumieć, a część nawet się nie stara.

Wzięłam Malachiego za rękę, poczułam z nim szczególną wspólnotę. Splotłam jego długie palce z moimi.

– Wydobrzeże?

– Jeszcze nie wiem. Rana jest bardzo poważna, a jad wniknął głęboko.

Wzdrygnęłam się i odwróciłam wzrok, machinalnie wyglądając koc na piersi Malachiego. Rafael przykrył moją dłoń swoją.

– Pozwól, że cię uleczę, Lela. Jeśli miałbym sądzić po ubraniach, to, co znajduje się pod nimi, mocno ucierpiało.

Drgnęłam. Znów ten dziwny dobór słów.

– Długo to potrwa?

– Godzinę, może dwie.

– On potrzebuje twojej pomocy bardziej niż ja. Mną możesz się zająć, jak on poczuje się lepiej.

Rafael nie protestował. Ponownie pochylił się nad Malachim. Oparłam się o tapczan, zamknęłam oczy i zasłuchana w ciche, nieustanne nucenie, odpłynęłam w ciemność.

Obudziłam się gwałtownie, kiedy Rafael brał mnie na ręce. Powstrzymał mnie, zanim zdążyłam zaprotestować.

– Masz gorączkę. Wyleczę cię, zanim twój stan się pogorszy. Dla Malachiego na razie nie mogę zrobić nic więcej. I dobrze go znam. Zezłościłby się, gdyby się obudził i zobaczył, że twoja rana nie jest zaleczona.

Nie byłam w stanie się z nim klócić, oczy mi się same zamykały. Odpuściłam, pozwalając mu się zanieść do drugiego pokoju. Położył mnie na kanapie, ukląkł przy moim rannym biodrze i zamknął oczy, podejmując swoje pomrukiwanie. Było rytmiczne i miało niesamowitą, nierozpoznawalną melodię. Nagle poczułam w biodrze ciepło, jakbym zanurzyła się w gorącej wodzie. Uczucie było przyjemne, rozluźniłam się i pozwoliłam myślom odpłynąć. Woda stawała się coraz cieplejsza, aż zaczęła wrzeć. Coś skrzeczało, piszczowało, może czajnik? Nie, to ja.

Poprzez własne krzyki usłyszałam Rafaela.

– Wybacz, powinienem cię najpierw uśpić.

Świat znowu pogrążył się w ciemności.

Obudziłam się w ciszy. Wokół panował jak zwykle półmrok, trudno więc było się zorientować, ile czasu minęło.

Poruszyłam na próbę nogą. Byłam jednocześnie zaskoczona i ucieszona, że nic mnie nie boli. Wstałam i obejrzałam biodro. W miejscu rany jaśniała tylko wąska kreska. Na próbę przeniosłam ciężar z nogi na nogę i uspokojona poszłam do sypialni.

Rafael siedział na podłodze. Tak jak poprzednio, jego dłoń spoczywała na piersi Malachiego. Kłęb zakrwawionych ubrań leżał w kącie, a ciało chorego aż do pasa okrywał znaleziony przeze mnie koc. Wbiłam wzrok w podłogę.

– Muszę znaleźć jakieś ubranie. Ile spałam?

– Niedługo. – Rafael wskazał brodą komodę. – Zobacz, może tam znajdziesz coś, co będzie pasowało.

Roześmiałam się, przewracając oczami.

– Koniecznie. Ostatnio dostałam ciuchy w rozmiarze sto XL.

Udało mi się znaleźć szare spodnie, na tyle dobre, żeby mnie nie spowalniały, a także okropną zieloną koszulkę, przyciasną, ale względnie wygodną. Znalezioną na komodzie wystrzępioną wstążką związałam moje zwariowane włosy. Gotowa odwróciłam się do Rafaela, który obserwował mnie z obojętną ciekawością. Jakby na coś czekał. Zerknęłam na tapczan. Malachi nadal się nie ruszał.

– Co z nim?

– Lepiej. Jego stan jest stabilny.

Podeszłam bliżej.

– Czemu się nie budzi?

Rafael obrócił się i popatrzył na Malachiego.

– Czas pokaże. Cóż – rzekł energicznie, podnosząc się. – Muszę się zbierać, mam pacjentów.

– Co? Ale jak możesz go tak zostawić samego, zanim się wybudzi?

– Nie zostawiam go samego. Jest z tobą.

– No... ale... – *Powinnam już iść.*

– Wrócę później. Ale jeśli naprawdę musisz iść, nie krępuj się. Nikt cię nie zatrzyma. – Spojrzał na mnie szarymi, nieodgadzionymi oczami, potem obrócił się na pięcie i wyszedł.

Drzwi trzasnęły, a ja nadal jąkałam się jak idiotka.

*Powinnam iść. Teraz.*

Kiedy Malachi się obudzi, może nie chce mnie wypuścić. Może znowu wrzuci mnie do celi. Albo zmusi, żebym poszła do Sanktuarium. Nie pozwoli mi zrealizować celu, dla którego tu przybyłam. Mógł skazać Nadię na wieczne cierpienie. Kto powiedział, że cokolwiek się zmieniło?

Ale... Jak mogłabym zostawić go samego? Jak mogłabym zostawić na pastwę faceta, który ryzykował dla mnie życie, nawet po tym, jak przez moją głupotę zginął jeden z jego towarzyszy? Jak mogłabym porzucić go tu bezradnego? A jeśli obudzi się osłabiony, może

cierpiący i nie będzie nikogo, by mu pomóc?

– Postawiłeś mnie w niewygodnej sytuacji, bałwanie. Jak tylko Rafael wróci, znikam stąd. – *A do tej pory będę tu z tobą. Nie zostawię cię.*

Przyjąwszy na siebie zobowiązanie, przynajmniej do czasu przybycia jakiegoś zmiennika, odwróciłam się, aby po raz pierwszy dokładnie przyjrzeć się mojemu podopiecznemu. Oliwkowa cera nabrała odrobinę zdrowszego koloru. Szyja, tak paskudnie zraniona poprzedniego dnia, była teraz gładka, choć poznaczona czerwonymi i srebrnymi bliznami. Szramy pewnie zostaną mu już na zawsze. A przynajmniej do końca „życia” tutaj. Prześlizgnęłam się wzrokiem po jego barkach, klatce piersiowej, brzuchu... całych pokrytych zaschniętą krwią. Lewe ramię znaczyła gruba blizna, pamiątka po potyczce z Ibramem, ale nie zwróciłam na nią szczególnej uwagi. A to dlatego, że Malachi, nie przesadzając, miał najbardziej niesamowite męskie ciało, jakie miałam okazję widzieć z bliska. Nawet w telewizji. Nie potrafiłam oderwać od niego oczu. Najwyraźniej ganianie po mieście za jadowitymi zwierzołudźmi było niezłym sposobem na uzyskanie idealnej rzeźby.

– Rany, Lela, przestań się gapić. Skup się – napomniałam sama siebie. – No dobra, kapitanie, obmyjmy cię.

Kilka minut później wniosłam do sypialni miskę z wodą i ręcznik. Woda w tym mieście pachniała dziwnie, jakoś tak kwaskowato i metalicznie. Nie mogłam się nadziwić, że ktokolwiek może ją pić – w dodatku jedząc obrzydliwe jedzenie – i utrzymać się przy życiu. Ja nie jadłam nic od przybycia tutaj i... Zaraz, a to dziwne. Przebywałam w mieście od co najmniej dwóch dni i wcale nie byłam głodna.

Zmoczyłam ręcznik, odcisnęłam i zabrałam się do roboty. Zmywając dokładnie krew, nuciłam sobie pod nosem. Trzy razy zmieniałam wodę, zanim skończyłam. Żałowałam, że nie znalazłam żadnego porządnego mydła. To w łazience było szare i ohydne. Nie potrafiłabym użyć czegoś takiego.

Trochę więcej czasu i uwagi, niż było to konieczne, poświęciłam na obmycie szerokiej piersi i umięśnionego brzucha, ale nie straciłam panowania nad sobą – brzeg koca, zwinięty na wysokości talii Malachiego, był dla mnie granicą. I tak nigdy dotąd nie byłam w stanie w podobny sposób dotykać żadnego mężczyzny, ale ten leżał bezbronny i nie mógł się podnieść, by mnie skrzywdzić.

Zaczęłam obmywać jego ręce i wtedy to zobaczyłam. Tatuaż na lewym przedramieniu. Niewielki. Prawie go przeoczyłam.

Pięciocyfrowy numer, a pod spodem niewielki trójkąt.

Uważałam na lekcjach. Zazwyczaj. Teraz, ujrawszy tatuaż, przypomniałam sobie film, który oglądaliśmy w tym roku na lekcji historii. Wychudzeni ludzie stłoczeni za zasiekami

otaczającymi obozy koncentracyjne, ludzie o pustych oczach, w których nie było już nawet rozpacz. Niemcy, naziści, tatuowali im numery. Czy to możliwe, że...?

Przesunęłam palcem po cyfrach.

– Skąd pochodzisz, Malachi? Przez co przeszedłeś?

Skończywszy mycie, wysuszyłam go, a potem, widząc, że ma gęsią skórę, naciągnęłam koc aż pod szyję. Usiadłam u wezglowia. Twarz śpiącego Malachiego pozbawiona było tej srogości, jaka malowała się na niej zazwyczaj. Rysy złagodniały, wydawał się młodszy, jakby nikt nigdy jeszcze go nie skrzywdził. Wiedziałam, że to nieprawda, ale patrząc na tę spokojną twarz, potrafiłam wyobrazić sobie, że jego życie było lepsze niż w rzeczywistości.

Przesunęłam dłonią po jego szyi, po cieplej, gładkiej bliźnie, musnęłam palcami obojczyk, położyłam rękę na piersi, tuż nad równo bijącym sercem. Nie byłam w stanie zrezygnować z przyjemności, jaką było dotykanie jego skóry. Przyjemności właściwie zakazanej. Zastanawiałam się, czy odepchnąłby mnie, czy uznałby mój gest za naruszenie granicy nietykalności. Ja na jego miejscu właśnie tak bym to odebrała.

Jednak w jego spojrzeniu, w sposobie, w jaki na mnie patrzył wcześniej, było coś, co pozwoliło mi myśleć, że Malachi chciał, żebym go dotknęła. Nie żebym postępowала słusznie, ale – wstyd przyznać – była to moja szansa. Chciałam wiedzieć, jakby to było, gdybym sama tego chciała. Gdybym panowała nad przebiegiem zdarzeń.

Przybliżyłam twarz do jego twarzy, musnęłam palcami zuchwę. Zamknięte oczy były podkrążone. Wciągnęłam powietrze. Z bliska wyglądał tak młodo, tak nieskazitelnie. Nasze czoła zetknęły się, spojrzalam w dół, na jego usta.

Miałam siedemnaście lat i jeszcze nigdy nie całowałam się z chłopakiem. Po tym wszystkim, przez co przeszłam, nie pozwalałam nikomu zbliżyć się do mnie, szczególnie odkąd Rick...

Zacisnęłam zęby i odepchnęłam wspomnienia, nie chcąc pozwolić, by skalaly tę chwilę. Moją chwilę. Byłam z Malachim sama, nikt na mnie nie patrzył, a moja ciekawość rosła. Czy to naprawdę tak wspaniale, jak wszyscy mówili? Jakby to było? Jakby to było z Malachim?

Kierowana impulsem, musnęłam ustami jego usta. Poczulałam mrowienie i delikatnie oblizałam wargi. Spróbowałam raz jeszcze, przyciskając mocniej, niwecząc granicę pomiędzy nami.

*Hola. Stop.* Cofnęłam się zawstydzona, czułam, jak mocno bije mi serce.

– Co, u licha, się ze mną dzieje? – Akurat ja lepiej niż inni powinnam wiedzieć, jak to jest zostać pozbawionym wyboru, dlaczego więc mu to robiłam? – Wybacz mi, Malachi – szepnęłam, odsuwając się. – To się już nie powtórzy.

Żałowałam, że nie potrafię wyjaśnić, dlaczego w ogóle się to zdarzyło. Ujęłam go za rękę, powiodłam palcem po tatuażu i oparłam głowę o tapczan.



– Obudź się, proszę. Tylko się ocknij. Muszę ci podziękować, a potem będę mogła iść.

Wołałam go, trzymając za rękę, całymi minutami, godzinami, dniami, aż po raz kolejny zmorzyło mnie znużenie.

# DWUNASTY

**L**ela? – Suchy, ochryply głos wyrwał mnie ze snu jak porażenie prądem. – Co ty tu robisz? – zapytał, marszcząc brwi.

Zamrugalam, odganiając cisnące się do oczu łzy ulgi.

– Witaj z powrotem. Jak się czujesz?

Odetchnął i skrzywił się.

– Jakbym nie ruszał się od kilku dni. I jakbym nie miał ochoty ruszać się przez kilka następnych.

– Potrzebujesz czegoś? Wody?

– Nie. Nie piję tego. – Zamknął oczy i przesunął palcami po bliźnie na szyi. – Ile mnie nie było?

Wzięła kolejny głęboki oddech, a ja obserwowałam, jak jego pierś unosi się i opada.

– Nie wiem, jak płynie tutaj czas. Jak dla mnie zawsze panuje zmrok. Ale dość długo. *Zbyt długo.*

– Gdzie Rafael?

– Uleczył cię, a potem wyszedł... jakiś czas temu.

Malachi nie otworzył oczu, ale subtelne napięcie ciała powiedziało mi, że jest już czujny i próbuje zorientować się w sytuacji. Zaczęłam się wiercić na myśl, że mógłby poczuć moje dotknięcia na swojej skórze.

– Wyleczył cię przed wyjściem?

– Tak.

Nadal nie otwierając oczu, bardzo powoli, powiedział:

– A ty zostałam. Ze mną.

Nie odpowiedziałam. Oniemiała ze zgrozy obserwowałam, jak dotyka ust, a potem powoli przesuwa językiem po wargach. Omal nie zaczęłam przeproszać, ale to oznaczałoby przyznanie się do czegoś, co rozpaczliwie chciałam ukryć. Palilo mnie poczucie winy. Nie mogłam dłużej na to patrzeć, zacisnęłam powieki.

Westchnął. Spodziewałam się oskarżeń, ale stwierdził tylko:

– Nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę.

Odetchnęłam i poczułam, jak mięśnie drżą mi od długiego napięcia.

I w tym momencie dotarło do mnie, że nadal ściskam jego rękę.

Puściłam ją raptownie, jakby mnie ukąsił.

– Chciałam się tylko upewnić, że wydobrejesz – zaczęłam powtarzać wcześniej przygotowane wyjaśnienia, jednocześnie zerkając na jego twarz. – Nie mogłam cię tu zostawić samego. No i chciałam ci podziękować, że mnie uratowałeś. Zwłaszcza po tym, co zrobiłam.

Popatrzył na swoją rękę leżącą teraz przy boku, a potem na moją, zaciśniętą nerwowo na kolanie.

– Zrobiłaś to, co musiałaś. Nie pomyślałam, a przecież mogłem się spodziewać, że zrobisz dokładnie to, co zrobiłaś. Pochopnie umieściłem cię z powrotem w celi.

Łupnęłam na niego podejrzliwie.

– Nie wyglądasz mi na lekkomyślnego człowieka.

Spuścił głowę, ukrywając uśmiech.

– Bo zwykle taki nie jestem.

– Bałam się, że mnie zabijesz za to, co zrobiłam.

Jego twarz skurczyła się z bólu.

– Nie. Myśl o mnie, co chcesz, ale nie to. Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale nigdy nie chciałem twojej krzywdy. – Usiadł, spuszczając nogi na podłogę i okrywając się kocem.

Cofnęłam się pod ścianę.

– Muszę już iść – mruknęłam. Zaczął się podnosić, ale nie starczyło mu sił. Sapnął zniecierpliwiony. Bez wątplenia przywykł do pełnej kontroli nad własnym ciałem. – Jeszcze raz dziękuję za odbicie mnie Mazikinom, ale naprawdę, będę już szła...

Wyciągnął rękę, a jego palce zamknęły się na mojej dłoni. Delikatnie.

– Zanim pójdziesz, powiedz mi jedno. Dlaczego odrzuciłaś szansę na szczęście i przyszłaś tu, choć wiedziałaś, jakie to okropne miejsce? Czemu to zrobiłaś, skoro ona postanowiła odebrać sobie życie, zostawić ciebie i wszystkich, którzy ją kochali? Czemu przyszłaś za nią, ugrzęzłaś tu na własne życzenie, skoro ona sama podjęła taką decyzję?

Pomyślałam, że gdyby udało mi się to wyjaśnić, może pozwolilby mi odejść. Cofnęłam rękę i spojrzałam na swój tatuaż. Napotkałam wzrok Nadii. Zaciśnęłam powieki i oparłam głowę o ścianę.

– Zaczęłam chodzić do normalnej szkoły, zamiast do tej w poprawczaku. Dobrze wiedziałam, że będę wyrzutkiem. Zawsze tak było. A Nadia... była najpopularniejszą dziewczyną w liceum. Tego dnia, kiedy się poznałyśmy, pomogłam jej wywinąć się z paskudnej sytuacji. Nie uważałam jednak, że jest mi coś winna. Mogła mnie potem spokojnie zignorować. Każdy by tak zrobił. Ale ona odprowadziła mnie do klasy. Usiadła obok. Rozmawiała ze mną. To samo robiła następnego dnia i następnego. Z początku myślałam, że będę dla niej czymś w rodzaju kilkudniowego eksperymentu, ale ona wciąż ze mną była. I wydawało się, że lubi moje towarzystwo. – Wspomnienia ścisnęły mi gardło. – Raz jej przyjaciółka, Tegan, wyśmiewała mnie, mówiła, że

jestem nikim, że się do nich przyczepiłam, że chcę być popularna jak one. Nadia nic nie powiedziała. Nie musiała. Wystarczyło, że spojrzała na Tegan tym swoim znaczącym wzrokiem, jakby mówiła: – nie zadzieraj z Lełą, bo unicestwię twoje życie towarzyskie, rozgniotę na miazgę podeszwami moich szpilek od Jimmy'ego Choo. – Zachichotałam. – Gdyby nie ona, wróciłabym do poprawczaka za spranie tamtej dziewczuchy.

Otworzyłam oczy. Malachi patrzył na mnie, jakbym nagle zaczęła mówić obcym, całkiem niezrozumiałym językiem. Co miało sens, bo tak w sumie było. Spróbowałam raz jeszcze.

– Jestem tu ze względu na to, jak na mnie patrzyła, Malachi. Powinna się mnie bać. Zrobiłam kilka strasznych rzeczy. Większość ludzi zgodziłaby się, że jest się czego bać. Ale ona patrzyła na mnie inaczej, jakby widziała we mnie kogoś innego, kogoś wspaniałego, wartego poznania. I była jedyną osobą, której udawało się ze mnie wydobyć tego człowieka. Wiele mnie nauczyła, wiele mi dała. Ofiarowała mi coś wspaniałego. Wizję siebie samej, inną od tego, kim byłam. Lepszą mnie, ale wciąż mnie, rozumiesz? Dała mi marzenia o przyszłości, o tym, kim mogę się stać. Nie sądzę, żeby w ogóle zdawała sobie sprawę z tego, ile życia we mnie wlała. A przychodziło jej to z taką łatwością.

Otoczyłam się ramionami. Podjęłam decyzję, choć wypowiedzenie tego na głos sprawiało ból.

– Nie wiem, czy ja zrobiłam dla niej to samo. Raczej wątpię, inaczej by nas tu nie było. Ale to nieważne. Przed Nadią nie miałam nigdy przyjaciółki, dlatego zrobiłabym dla niej wszystko.

Malachi wstał, przytrzymując koc. Nawet prawie nagi i całkiem nieuzbrojony był niebezpieczny. Także dla trzeźwości mojego umysłu. Zebrałam się w sobie, zastanawiając się, czy spróbuję mnie zatrzymać. Zerknęłam spod oka na drzwi.

– Czekaj. – Mówił spokojnie, zabrzmiało to bardziej jak prośba niż polecenie. Zachwiał się niepewnie. Objęłam go w pasie i podtrzymałam, w obawie, że się przewróci. Gdy tylko go dotknęłam, wiedziałam, że popełniłam błąd.

Poczułam bijący od jego skóry żar, a moje palce przywarły do niego mocno, jakby posiadały własną wolę. Ze zdumieniem obserwowałam, jak dostaje gęsiej skórki i drży. Wsparty na moim ramieniu odzyskał równowagę. Kiedy musnął palcami moją szyję, odpałił równocześnie kilka lontów w moim mózgu. Miałam ochotę cofnąć się, uciekać, a jednocześnie chwycić go za rękę i trzymać już na zawsze.

Rozdarta sprzecznymi pragnieniami, odwróciłam się. Przybyłam tu dla Nadii. Ona była jedynym powodem. Ale chciałam też zostać. Nie w tym piekielnym mieście, nie z wizją wizyty w Sanktuarium, obojętne, co by tam na mnie czekało. Chciałam zostać z Malachim. Nie czułam się przy nim bezpieczna, a jednak wiedziałam, że potrafi mi zapewnić bezpieczeństwo. Nie miałam pojęcia, kim jest, skąd pochodzi, ale czułam, że się rozumiemy. I choć przerażała mnie myśl o dotykaniu go, rozpaczliwie pragnęłam dotknąć go jeszcze raz.

Pozbawiona kontroli. Czulałam się całkiem pozbawiona kontroli.

Ocknął się, z minuty na minutę odzyskiwał siły, nie miałam więc nawet jednego powodu, by zostać i wiele, by odejść. Trzymałam już rękę na klamce, kiedy się odezwał.

– Lela, zaczekaj. Pomogę ci. Pomogę ci ją odnaleźć. – Nie odwróciłam się. Zamarłam, czując bijące od niego ciepło, uświadamiając sobie, jak blisko stoi. – Nikt nie zna tego miasta lepiej ode mnie. Znam tutejsze zagrożenia. Mogę cię przed nimi ochronić. Pomogę też ci się wydostać.

– Dlaczego?

Zachichotał.

– Bo to najwyraźniej jedyny sposób, by pozbyć się ciebie z mojego pięknego miasta. Pozwolisz mi sobie pomóc?

Odwróciłam się. Zwykle potrafiłam ocenić, czy ktoś kłamie, czy coś ukrywa. Na jego twarzy dostrzegłam otwartość, powagę i całkowitą szczerłość. Wbrew sobie samej pozwoliłam zapłonąć nadziei. Z nim u boku naprawdę mogłam mieć jakieś szanse.

– Mówisz poważnie?

– Całkiem poważnie. Ale musisz robić to, co ci powiem. Jeśli mamy zrobić to razem, musisz mnie słuchać, inaczej narazisz na niebezpieczeństwo i siebie, i mnie. Będziesz musiała mi zaufać. Dasz radę?

We wszystkim tkwił gdzieś haczyk. Gdyby tylko wiedział, o co prosi. Uśmiechnęłam się smutno i pokręciłam głową.

– Za każdym razem, gdy komuś zaufam, to się na mnie mści.

Uniósł brwi i zacisnął szczęki.

– Lela, kto ci to zrobił? – Pytanie chyba wyrwało mu się mimowolnie, bo cofnął się, spuścił oczy i zbył je machnięciem ręki. – Nieważne. Nie musisz niczego obiecywać. Powiedz tylko, że się postarasz.

To mogłam.

– Postaram się.

# TRZYNASTY

Szliśmy ulicą, ja niosąc karwasze i nagolenniki, a Malachi pancierz. Miał na sobie najśmieszniejszy ubiór, jaki widziałam. Pasiaste spodnie, które znalazł w mieszkaniu, zwisały mu z wąskich bioder przytrzymywane jedynie pasem, ale nogawki nie sięgały nawet do kostek. Koszula, ciasna w barkach, wydymała się za to na brzuchu, ale tylko ta jedna miała rękawy na tyle długie, by zakryć ramiona aż po nadgarstki, a było to dla niego bardzo ważne.

Po drodze minął nas jakiś młody kudłacz tulący do piersi pakunek, który wyglądał, jak paczka koki. Mężczyzna miał zakrwawiony nos.

– Czy to jest to, o czym myślę?

Malachi spojrzął na faceta, który machinalnie otarł nos zaplamionym rękawem i ściskając swój skarb, wspiął się po schodach do pobliskiego budynku.

– Jeśli myślisz, że to człowiek, który nabył kilogram kokainy na potrzeby własne, to i owszem.

– Nie powinieneś go zgarnąć? Jesteś tu przecież gliną?

– Zgarnąć? Za co? Nie popełnia żadnego przestępstwa. A dokładniej, już je popełnił i teraz odsiaduje wyrok.

– Przecież umrze, jak weźmie tyle towaru.

Malachi spojrzął na mnie z ukosa.

– Niewykluczone. Ale i tak nie pomoże mu się to stąd wydostać. Zresztą, nie przejmowałbym się nim za bardzo, bo podejrzewam, że te narkotyki są słabe. Nie przyniosą mu zbytnej ulgi. Nic nie jest w stanie mu pomóc.

Pomyślałam o Nadii, o tym, jak nie mogła się doczekać, żeby wziąć tamte pigułki. Zaczęłam się zastanawiać, czy są tu sklepy opatrzone szyldem „NARKOTYKI”, takie jak te z napisem „JEDZENIE”, do których po prostu się wchodzi i bierze tyle towaru, ile dusza zapagnie.

– Jak to się dzieje, że wszystko tu jest takie dostępne?

– Ludzie mogą mieć wszystko, czego chcą. Nieograniczone ilości jedzenia, każdy rodzaj pornografii. – Wskazał na budynek, w którym zniknął kudłacz. – Narkotyki. Mieszkania. Czegokolwiek zapagną, cokolwiek sobie wyobrażą. Ale nic z tego im nie pomoże. Nie można stąd wyjść, dopóki się nie odpuści. Dopóki nie zaczniesz się szukać tego, co jest potrzebne, a nie tego, czego się pragnie.

– I to wszystko?

Zaśmiał się krótko.

– To trudniejsze, niż ci się wydaje. I nie można oszukać Sędziego.

– Nie rozumiem tego miejsca. Jedyne wyjście prowadzi przez Sanktuarium, a co, gdy ktoś umrze?

– Po śmierci pojawia się u Bram miejsca, do którego należysz, a potem cię weń zaganiają. – Malachi uniósł brew. – To miejsce dla samobójców, ale słyszałem, że są także inne. Dla ludzi z innymi... problemami.

Wyobraziłam sobie, do jakiego koszmarne miejsce trafi ktoś taki jak Rick. Poczułam się lepiej na myśl o tym, że spotka go to, na co zasłużył.

– To ma sens. A Wieś to...

– Po prostu inne miejsce. Takie, do którego chciałyby pójść większość z nas. – Podniósł oczy, spoglądając ponad murami, gdzie w oddali, ponad piękną krainą majaczyły ośnieżone szczyty wzgórz. – Kiedy sąd orzeknie, że jesteśmy gotowi.

– To czemu po prostu, bo ja wiem, nie pozwolił się zabić jakiemuś Mazikinowi? Czemu nie pozwoliłeś sobie umrzeć po ukąszeniu Juriego? Nie, żeby mu kibicowała, ale to byłaby bohaterska śmierć. Nie dostałbyś za to jakichś dodatkowych punktów?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem i wolę nie ryzykować. Jeśli umrze się przed czasem, trzeba zaczynać od nowa. Tak przynajmniej mi mówiono. – Na jego twarzy odbiło się skrywane cierpienie. – A ja chciałbym stąd wyjść tak szybko, jak się da.

Poczułam nieznaną, ciepłą uczucie rozpięające mi pierś. Wiedział, że w razie śmierci poniósłby straszne konsekwencje, a mimo to ryzykował, by mnie ocalić. Zerknęłam na nieregularną bliznę na jego szyi i wróciłam myślami do chwili, kiedy przesuwałam palcami po gładkiej skórze. Zarumieniłam się na samo wspomnienie, częściowo ze wstydu, że zrobiłam to bez jego zgody. A jednak figlarny uśmiezek czający się w kąciakach jego ust i ciekawość, z jaką na mnie patrzył, mówiły, że może dostałabym na to zgodę, gdybym o nią poprosiła. Przyspieszyłam kroku i przywołałam do porządku niesforne myśli.

– Zamierzasz wprowadzić mnie w plan odnalezienia mojej przyjaciółki?

– Pewnie – odparł, wydłużając krok i po raz setny podciągając spodnie. – Najpierw pójdziemy do Strażnicy, żeby przebrać się w coś sensownego. Obejrzymy mapę. I zorganizujemy dla ciebie jakąś broń.

– Może ty to wszystko załatwisz, a ja poczekam na zewnątrz?

Zatrzymał się i popatrzył na mnie chmurnie.

– Coś ci zrobili, jak poszłaś po Rafaela?

– Nie, nie. To znaczy nic takiego. Po prostu... oni chyba mnie nie znoszą.

Uniósł brwi.

– Czyżbym zadał niewłaściwe pytanie? Może powinienem zapytać, co TY im zrobiłaś?

– Zrozum – zaczęłam się tłumaczyć – nie chcieli mnie słuchać. Ty tam umierałaś, a oni stali jak te słupy. Możliwe, że... rąbnęłam Haniego we wrażliwe miejsce.

– Jesteś niesamowita. – Uśmiechnął się krzywo na widok mojego zmieszania. – W pozytywnym sensie, Lela. Dziękuję, że zdecydowałaś się wrócić do Strażnicy po tym wszystkim, co cię tam spotkało. Gdyby nie ty, nie przeżyłbym.

– Byłam ci to winna.

– Nic mi nie jesteś winna.

Nie mogłam znieść jego żywiołowego spojrzenia, odwróciłam więc wzrok i ruszyłam naprzód.

– Musimy się zgodzić, że nie zgadzamy się w tej kwestii. Ale jeśli tak bardzo chcesz okazać mi wdzięczność, dopilnuj, żeby trzymali łapska z dala ode mnie.

– Załatwione.

Do Strażnicy weszłam tuż za nim. Z ciemnych kątów wyszło nam na spotkanie czterech Strażników, w tym Hani. Zbliżali się szybko, nie spuszczając ze mnie rozjarzonych ślepi. Cofnęłam się, gotowa w każdej chwili dać nogę.

– Odprowadzimy ją do celi, kapitanie – powiedział Hani i już miał złapać mnie za ramię, kiedy zimny, ostry głos Malachiego osadził ich w miejscu.

– Ona jest ze mną.

Natychmiast stało się jasne, że cokolwiek o nim sądzą, boją się powiedzieć mu to prosto w twarz. A przecież byli od niego dwa razy więksi. Wycofali się pospiesznie, a Malachi bez słowa wskazał mi ręką korytarz. Tym razem to on szedł z tyłu, osłaniając mnie przed Strażnikami. Posuwałam się powoli, zastanawiając się, czy na mnie patrzy, i usiłując zrozumieć mowę przerywanego, nierównego bicia mojego serca.

W kwaterze Malachiego nie było okien ani żadnych ozdób. Pokój odzwierciedlał jego samego – nie było w nim nic zbędnego, nic niewykorzystanego. W kącie wąska prycza, obok dziwny wieszak, jakby na kapelusze; Malachi powiesił na nim zaplamioną krwią zbroję. W drugim kącie, naprzeciwko wieszaka, stało biurko, a na prawie pustym blacie leżały tylko wieczne pióro i książka, a raczej dziennik. Obok stała cała sterta takich samych, równiutko ułożonych dzienników. Bardzo wielu dzienników. Dwie ściany obwieszane były całym arsenałem różnorakich ostrzy i różnej długości kijów. Większą powierzchnię ostatniej, najdalszej ściany, zajmowała ogromna mapa.

Obserwowałam, jak Malachi w milczeniu krząta się po pokoju. Od kiedy stanął na nogi, błyskawicznie nabierał sił. Podszedł do ustawionego w nogach łóżka kufra i zaczął wyciągać z niego ubrania. Zmusiłam się, żeby oderwać od niego wzrok i odwróciłam się do mapy.

Przedstawiała miasto naszkicowane z niezwykłą porażającą dokładnością i opisane małymi



literami w jakimś obcym języku. Uklękłam i odszukałam umieszczoną na skraju Bramę Samobójców. Powiodłam palcami nad sfatygowaną płachtą, usiłując wytyczyć drogę, którą przebyłam, ale szybko pogubiłam się w gąszczu uliczek. To miasto nawet na mapie było potwornie zagmatwane. Tak pochłonęło mnie oglądanie, że kiedy Malachi złapał mnie za łokieć, odruchowo się wyrwałam.

– Przepraszam. – Podniósł ręce na znak, że nie chce mnie skrzywdzić. Ubrany już był w podniszczone spodnie i dopasowaną, ciemną koszulę, od której opiętego gorsu nie mogłam przez chwilę oderwać wzroku. Stał obok mnie i przyglądał się mapie. Po chwili wskazał palcem niewielki prostokąt znajdujący się po lewej stronie, na wysokości mojej talii.

– To Strażnica. – Przesunął palec na prawo. – Tu znalazł cię Amid. – Dziobnął miejsce na zachód od centrum miasta. – A tu znaleźliśmy cię z Aną.

– Gdzie mnie prowadzili?

– Prawdopodobnie do gniazda.

– Czyli gdzie?

– Tak dokładnie to nie wiem. I właśnie tego powinien się dowiedzieć. – Zmarszczył brwi i wbił wzrok w podłogę.

Nie chciałam naciskać, więc skupiłam się na mapie.

– Sam ją rysowałeś?

– Tak. Ale miasto ciągle się zmienia. Rozrasta się. Otaczają je mury, ale jest jak żywa istota. Staram się nadążać za zmianami.

– W którym miejscu zaczniemy szukać Nadii?

– To zależy od ciebie – powiedział. – Możesz mi opisać, co widziałaś w snach? Tych, które miałaś już po jej śmierci.

– Myślę, że wystarczy ci jeden mój sen. Przecież widziałaś ją, Malachi, nawet rozmawiałaś z nią.

Oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia. Wyciągnął rękę w kierunku mojego ramienia, ale powstrzymał się.

– Możesz mi ją pokazać?

Zaprezentowałam mu przedramię z tatuażem, a kiedy bacznie przyglądał się portretowi, zaczęłam wyjaśniać:

– Widziałaś cię jej oczami. Walczyłeś z jakimś Ibramem.

Zaskoczony Malachi machinalnie dotknął swego lewego ramienia.

– Widziałaś mnie? – Zamknął oczy, przywołując wspomnienia. – To dlatego nie chciałaś mi powiedzieć, po co tu przybyłaś. I dlatego tak łatwo uwierzyłaś, że zamierzam cię zabić. I uważałaś, że będę chciał złapać Nadię. Widziałaś, co się stało, ale nie rozumiałaś tego. Myślałaś,

że zabijam niewinnych ludzi, ale wszyscy w tamtym zaułku byli Mazikinami.

Uniosłam brew.

– Wiesz, podczas naszego spotkania w celi nie zachowywałeś się jak miły, układowy chłopiec. Groziłeś nawet, że wytniesz mi kawał ręki.

Spuścił wzrok.

– Nie zrobiłbym czegoś takiego, ale widać musiało to być dobry blef, bo przecież niełatwo cię zastraszyć. Zdziwiłem się nawet wtedy, że tak szybko mi uwierzyłaś. Teraz rozumiem dlaczego.

– Nadia bała się, że ją też zabijesz. Obie się tego bałyśmy.

Skinął głową.

– Dziewczyna z zaułka. Wybacz, nie rozpoznałem jej wcześniej. Rzeczywiście, przypominała tę z tatuażu, ale wyglądała... inaczej. – Zobaczył moją minę i dodał szybko: – To nic takiego, była po prostu... Cóż, wyglądała, jak wszyscy tutaj. Nie dbają zbyttnio o siebie. Wtedy wziąłem ją za Mazikina, ale to dlatego, że znalazłem ją tak blisko miejsca walki.

– A skąd wiedziałeś, że nie jest Mazikinem?

– One mają specyficzną woń – wyjaśnił i znów popatrzył na tatuaż.

– Kadzidło i coś gnijącego. – Wzdrygnęłam się na wspomnienie twarzy Sila tuż przy mojej szyi. Malachi przytaknął, ale moja reakcja nie umknęła jego uwadze. – Przykro mi, że zetknęłaś się z nimi na tyle blisko, by je poczuć. – Obszedł mnie i wskazał na notatkę sporządzoną w lewej górnej części mapy. – Spotkałem ją tu, w strefie Harag. Obawiam się, że twoja przyjaciółka zawędrowała w niebezpieczne okolice. Ostatnio roi się tam od Mazikinów. Sądzymy, że właśnie tam jest ich nowe gniazdo. Ale jeśli weszła do mieszkania, to póki w nim zostanie, nic jej nie będzie – dodał szybko, widząc przerażenie w moich oczach.

– Widziałam ją, jak wchodziła do mieszkania. Ale ktoś ją śledził. Chyba właśnie Mazikin. – Serce podskoczyło mi na wspomnienie tego gdaczącego rehotu za jej plecami.

– Pewnie tak. Czasami włóczą się korytarzami w tych budynkach, szukając rekrutów. Ale jeśli Nadia przekroczyła próg, nie mogli wejść za nią.

– A jeśli wyjdzie?

Jego mina mówiła wszystko. Serce mi się ścisnęło.

– Ten blok miał pomarańczowe ściany i różowe drzwi. Może to ci jakoś pomoże?

– Niestety, wszystkie budynki w tej strefie są tak pomalowane. To tylko potwierdza moje przypuszczenia, że była w Harag. – Podszedł do biurka, otworzył dziennik, przewertował strony i wskazał jeden wpis. – Z Imbramem walczyłem zaledwie siedem dni temu. Musiałaś to widzieć tuż przed tym, jak...

– To było tej nocy, kiedy umarłam. – Przelknęłam gulę narastającą w gardle. Naprawdę byłam

tu tak długo? Te piekielne koszmary i wizje stanowiły moją jedyną łączność z Nadią, czyli nie miałam z nią kontaktu od tygodnia. Choć widzenia te potęgowały udrękę i poczucie jakiegoś szaleństwa, wiele bym dała, by powróciły. Potrzebowałam kilku sekund, żeby przełknąć lzy i odzyskać panowanie nad sobą. Kiedy wreszcie podniosłam oczy na Malachiego, przypatrywał mi się z taką czułością, że mogłabym przysiąc, iż ma ochotę mnie dotknąć. Spojrzałam na jego nieruchome, zaciśnięte dłonie i niespodziewanie dla siebie samej poczułam rozczarowanie.

– Niedługo wyruszymy. Odnajdziemy ją – powiedział łagodnie, ale stanowczo. Podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał: – Rais, wezwij do mnie Anę. Powiedz, żeby przyszła do mojej kwatery.

– Jesteś pewny, że wróciła – zauważyłam.

– Zawsze wraca. Ale wątpię, czy udało jej się schwytać Sila. Jest irytująco szybki.

– Ana pójdzie z nami?

Malachi właśnie zapinał pas.

– Tak, będziemy jej potrzebowali. Ale chodzi też o to, że ma ubrania, które mogą na ciebie pasować. – Podszedł i stanął obok mnie przy biurku. – Lela, wiem, że spieszy ci się, by wyruszyć, i zgadzam się, musimy to zrobić jak najszybciej, ale jeśli ma się nam udać, musimy poczynić pewne przygotowania. Wiemy już, gdzie zacząć, a to dużo. Więcej, niż się spodziewałem. Ale tamta okolica to najbardziej niebezpieczny rejon miasta, najgorsze z możliwych miejsc. Jeśli pozwolisz, chciałbym zrobić wszystko, by zapewnić nam choćby szanse na bezpieczny powrót. Uzbrosisz się w cierpliwość i zaczekasz do jutra?

Proszę bardzo, nadszedł czas decyzji. Już wcześniej prosił, bym mu zaufała, ale nie w tak wielu słowach. Szukałam podpowiedzi w jego rysach, jakichś oznak kłamstwa lub zapowiedzi pułapki. I znów nie ujrzałam nic prócz determinacji i szczerości.

– Tak.

Uśmiechnął się, a ja nie przestawałam się na niego gapić, zafascynowana tym, jak twarz Malachiego zmieniła się z ponurej i zaciętej, w tajemniczą i piękną.

– Malachi – rozległ się jedwabisty, a jednak groźny głos.

Nie odwrócił się, ale uśmiech rozpromienił jego twarz.

– Ana! Cieszę się, że wróciłaś.

– Mogę powiedzieć to samo. Rafael wspominał, że byłeś w kiepskim stanie. – Ana weszła do pokoju, jakby była tu u siebie. I pewnie tak właśnie było. Na tę myśl poczułam jakies nieprzyjemne uklucie... w sercu. Odsunęłam na bok ból i popatrzyłam na nią uważnie.

Bez ciężkiego płaszcza, który maskował wszelkie krągłości, Anna okazała się obdarzona niezwykle kobiecą sylwetką, która jednak emanowała taką zwierzęcą siłą i pewnością siebie, że zaświerzyły mnie ręce. Byłam gotowa atakować.

Gładka, brązowa skóra jaśniejąca bursztynowymi odcieniami współgrała z kruczoczarnymi włosami zaplecionymi w grube warkocze i zebranymi z tyłu w koński ogon. Jej odrobinę skośne, kocie oczy, głębokie i czarne, skupione były teraz na mnie.

– Ty jesteś pewnie Lela. – Potem zwróciła się do Malachiego. – I co, warto było?

Malachi odpowiedział gardłowym dźwiękiem, który zabrzmiał jak warkot. Ana uśmiechnęła się, ale stanowczo nie była szczęśliwa.

– Tak przypuszczałam.

– Lela potrzebuje jakiegoś ubrania – oświadczył Malachi. – Idziemy w teren, więc trzeba ją będzie też wyposażyć. Wyruszamy jutro rano do północnej części miasta, do strefy Harag.

– Zabierasz ją do Harag? – zdumiała się Ana. – Przecież właśnie daliśmy sobie złożyć tyłki, żeby utrzymać ją z dala od Harag?

– Ana – szczerknął Malachi ostrzegawczo.

Zamilkła, ale popatrzyła na niego z wyraźną niechęcią. Spoglądałam to na niego, to na nią, usiłując rozgryźć, co takiego kryło się za tym tonem i tą miną.

– Będzie dzisiaj spała z tobą – zarządził twardo, w sposób niedopuszczający żadnych dyskusji. – Wieczorem trening. Tylko broń dystansowa. Zabierz ją, proszę, do siebie i daj jakieś ubrania, a ja tymczasem pójdę do Michaela. – Odwrócił się do mnie, ale już z łagodniejszą miną, jakby świadomie rozluźnił mięśnie twarzy, żeby mnie nie wystraszyć. – Michael jest naszym zbrojmistrzem. Po kolacji pójdziemy na trening. Dalaś sobie sama radę z małym Mazikinem, ale chciałbym ci pokazać kilka rzeczy, na wypadek, gdybyś musiała się zmierzyć z poważniejszym przeciwnikiem. Zostaniesz z Aną, dopóki nie wrócę?

Chyba naprawdę chciał mi dać wybór. Kolejna decyzja, kolejna prośba o zaufanie.

– Dobrze – zgodziłam się, patrząc na Anę, która stała ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami i spoglądała na Malachiego spod przymrużonych powiek.

*Zakładając, że mnie wcześniej nie zabije.*

Ale ona również zapanowała nad wyrazem twarzy i zwracając się do mnie, nie wyglądała już tak groźnie.

– Chodź, pozbędziemy się tej twojej ohydnej zielonej koszulki.

Wymaszerowała z pokoju. Zanim wyszłam, Malachi zdążył puścić do mnie oko. Potrzebowałam całej siły woli, żeby przekraczając próg, nie potknąć się o własne nogi.

# CZTERNASTY

Pokój Any był ciepły, przytulny i pachniał delikatnie cynamonem. Wbrew sobie rozluźniłam się trochę. W porównaniu do surowej, bezosobowej kwatery Malachiego, ta należąca do Any była oazą barw i nieporządku, najbardziej uroczym miejscem, na jakie natknęłam się w tym mieście. Ana miała wprawdzie arsenał śmiertelnych narzędzi, ale ściany obwieszane były licznymi obrazami. Choć ich kolory w porównaniu do tych ziemskich były przygaszone i stłumione, to pociągnięcia pędzlem zamaszyste i odważne. Zawijasy, pački, kreski na płótnach kojarzyły się z wojną. Albo z miłością. Nie mogłam się zdecydować, ale przejmowały mnie do głębi.

– Siadaj, Lela. Zajmiemy się tobą. Co się stało z twoimi włosami?

Automatycznie pomacałam się po głowie. Od śmierci nie widziałam się w lustrze.

– A co się stało?

– Ach. Zawsze są takie niesforne? Musimy je okiełznać, zanim gdziekolwiek pójdziemy. Aż się proszą, żeby za nie złapać.

– A twoje nie? – Łypnęłam na jej hebanowe sploty.

– Może i tak – uśmiechnęła się Ana. – Ale każdy, kto tego próbuje, traci kończynę.

W tym właśnie momencie uznałam, że lubię Anę. Odpowiedziałam jej uśmiechem.

– To może mnie nauczysz, jak to się robi?

Ana pokręciła przecząco głową i otworzyła stojący w nogach łóżka kufer. Rzeźbienia i zawile znaczki sprawiały, że skrzynia wyglądała na chińską. Albo japońską. Albo coś w tym stylu.

– Malachi mówił tylko o broni dystansowej.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie chce, by czyjekolwiek kończyny zbliżyły się do ciebie na tyle, byś mogła je urznąć. I pewnie nie chce też, żebyś przypadkiem urznęła swoje.

Przekrzywiłam głowę, przypominając sobie, jak omal nie odciąłam sobie nogi bułatem Lacey.

– Trudno się z nim nie zgodzić.

– Jak zwykle z Malachim. No, mam! – Ana wyprostowała się, wymachując drucianą szczotką. Obeszła mnie, a ja odwracałam się tak, żeby ani na chwilę nie znalazła się za moimi plecami. Ana otaksowała mnie wzrokiem. – To tylko szczotka, słonko.

– Odruch – wyjaśniłam, wzruszając ramionami.

Ana odsunęła krzesło od ściany.

– Siadaj.

Posłuchałam ją, a potem skupiłam się na malowidle wiszącym na ścianie naprzeciwko.

Pozornie chaotyczna plątana smug farby scaliła się i nagle z obrazu patrzyła na mnie twarz przystojnego, zabójczego Azjaty.

– Takeshi – powiedziała Ana miękko. Oddzieliła pasmo włosów i zaczęła rozczesywać je od końca. – Nauczył nas prawie wszystkiego, co umiemy.

Wychwyciłam nutę bólu w jej głosie i zerknęłam na bogato zdobiony kufer.

– To japońskie pismo?

Ana roześmiała się, ale trochę smutno.

– Malachi wspominał, że jesteś bystrym obserwatorem. Tak, japońskie. I tak, kufer należał do Takeshiego.

Ton pobrzmiwający żalem i czas przeszły wystarczyły, żebym przestała zadawać pytania. Siedziałam cicho, podczas gdy Ana rozczesywała mi włosy, zamieniając fruujące loki w łagodne fale.

– Może powiesz mi, co takiego zrobiłaś Malachiemu?

Zamknęłam oczy, modląc się, żeby moje policzki nie pokryły się rumieńcem na myśl o tym, co robiłam Malachiemu. Gorączkowo zastanawiałam się, o co konkretnie pyta Ana. Przelknęłam nerwowo ślinę.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Ana nie przestawała mnie czesać. Systematycznie rozdzielała palcami pasmo po paśmie i każde atakowała szczotką. Jeśli nawet zauważyła mój rumieniec, nic nie powiedziała.

– Zachowuje się jak nie on. Nie znam bardziej skrupulatnej osoby niż Malachi, ale w twoim wypadku jest inny, jakby coś mu się nie zgadzało.

– Może dlatego, że chciałby, bym, jako osoba wyjątkowo niezdolna, za wszelką cenę opuściła miasto. – Zdecydowanie nie byłam przygotowana na omawianie tej kwestii.

– Uhm. – Nie podejrzewałam, że można w zwykłym mruknięciu zawrzeć taką dozę sceptycyzmu. Ale litościwie zmieniła temat. – Przeszłaś jakieś szkolenie bojowe?

Prychnęłam.

– Czemu wszyscy mnie o to pytają? Jestem licealistką. A przynajmniej byłam. Teraz to chyba jestem niczym. Ale nie, nie miałam żadnego „szkolenia bojowego”. Choć potrafię się nieźle bronić.

– Zobaczymy. To dlatego Malachi chce, żebyś potrenowała z bronią, która utrzyma twoich przeciwników na dystans. Walka wręcz może wyrządzić spore szkody, ale ukąszenia Mazikinów dużo gorsze, a skoro idziemy aż do Harag, to małe szanse, żebyśmy zdążyli wrócić do Strażnicy i do Rafaela. Dlatego nauczysz się posługiwać kijem bo. Może też rzucać nożami. Zależy, na ile okażesz się pojętna, bo mamy mało czasu, jeśli chcemy wyruszyć jutro rano. – Zaczęła zaplatać mi warkocz. – Nie ruszaj się. Nie mam okazji czesać innych lasek. Dzięki temu czuję się teraz

jak dziewczyna. Nie popsuj mi tego.

Zdławiłam chichot. Nie, żebym sama miała nie wiadomo jakie doświadczenie w tych sprawach, ale to był najdziwniejszy babski wieczór, w jakim kiedykolwiek uczestniczyłam. *Najpierw pleciemy sobie warkocze, a potem atakujemy się rozmaitą bronią.* Z drugiej strony jednak, może i nie różnił się tak bardzo od spotkań przeciętnych nastolatek.

Skończywszy, Ana podała mi popękane lustro. Odbicie, które ujrzałam, skojarzyło mi się z jednym z obrazów Picassa, który widziałam w szkolnym podręczniku.

– Hm, chyba super?

– No, na pewno nie będą ci opadały na twarz. A teraz jakieś ubranie. Moje chyba będą na ciebie pasować. – Ponownie zanurkowałam w kufrze i po chwili wyciągnęłam całkiem przyzwoite buty oraz strój bardzo podobny do tego, który nosił Malachi. Zdjęłam ohydny zieloną koszulkę i założyłam granatowy top, który miękko przylgnął do mojej skóry. Spodnie były nieco zbyt obcisłe, ale i tak od przybycia tutaj nie miałam na sobie nic wygodniejszego. Ana obejrzała mnie od stóp do głów.

– Wyglądasz jak jeden ze Strażników. – Zaśmiała się na widok zgrozy malującej się na mojej twarzy. Żadna dziewczyna nie chciałaby, by porównano ją do nosorożca. – To znaczy, jak członek Straży.

– Czy tylko ty i Malachi jesteście tu...

– W tej chwili jesteśmy jedynymi ludźmi należącymi do Straży. – Nagle Ana udała niezwykle zajęta odkładaniem rzeczy do kufra. Po kilku minutach skończyła najwyraźniej niepotrzebne porządki. – Malachiego jeszcze nie ma, więc może pójdziemy coś zjeść, a potem wezmę cię na salę treningową.

– Wiesz, nie jestem zbyt głodna.

Ana spojrzała mi prosto w oczy.

– Ach, zapomniałam. To dlatego, że tutejsze jedzenie nie jest odpowiednie dla ciebie. Jesteś w złym miejscu. Malachi od razu się domyślił. Pewnie dlatego ma takiego bzika na punkcie wyprawienia cię stąd.

– Jak to jedzenie jest dla mnie nieodpowiednie? To dlatego nie jestem głodna?

– Niech zgadnę. W twoich oczach wszystko wygląda nieciekawie, nieapetycznie. Możesz mieć, co chcesz i ile dusza zapagnie, ale nic cię nie pociąga, tak?

Skrzywiłam się lekko, kiedy zupełnie nie w porę mignął mi w głowie obraz nagiego torsu Malachiego.

– Uhm, nic mnie tu nie pociąga – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

Ana spojrzała na mnie lekko zdziwiona.

– No właśnie, więc jesteś w nieodpowiednim miejscu. Większość tutejszych mieszkańców

gromadzi rzeczy, tak jak robili to na ziemi – jedzą, piją, palą, niektórzy nawet chomikują różne rzeczy w mieszkaniach i tarasują się w nich. Tylko ci, którzy są gotowi opuścić to miejsce, przestają konsumować.

– To znaczy?

– To znaczy, że musisz stąd odejść, inaczej się zagłodzisz, bo nie dostajesz tego, czego potrzebujesz.

– Co? Ale ja nie jestem głodna! – Ręce same dźgnęły mnie w brzuch, jakby kontrolował je ktoś inny.

– W porządku, Lela – uspokajała mnie Ana, z rozbawieniem przyglądając się moim nerwowym ruchom. – Trochę to potrwa. Masz czas. Ale góra kilka tygodni.

Nie zdawałam sobie sprawy, że mam jakiś termin przydatności.

– A gdybym jadła?

– Szkoda zachodu. I tak się nie najesz. Tutejsze jedzenie nie ma dla ciebie wartości odżywczych. Poza tym jest fatalne. Ciesz się, że nie musisz go w siebie wciskać, jak reszta z nas.

– Pochwyciła moje spojrzenie. – Wiesz, mogłabyś stanąć przed obliczem Sędziego, wrócić na Wieś, może trochę nabrać sił, a potem wrócić po przyjaciółkę...

Zacisnęłam pięści, powściągając chęć pokazania jej środkowego palca.

– Jasne. A Strażnicy przy Bramie otrzymają specjalny rozkaz powitania mnie z otwartymi ramionami, no nie?

Wzruszyła ramionami.

– Malachi kazał ci to zaproponować? – To byłoby na tyle, jeśli chodzi o zaufanie.

Zaprzeczyła.

– Pewnie rozważał to, ale najwyraźniej uznał, że ważniejsze jest, co o nim myślisz.

Węzeł w mojej piersi poluzował się trochę. Poczułam... ulgę. Uświadomiłam sobie, że chcę zaufać Malachiemu. Dumiałam o Malachim, skubiąc warkocz i naraz coś sobie przypomniałam.

– Malachi mówił, że nie pije tutejszej wody.

Ana posmutniała.

– A, tak. Czasami jeszcze je, ale pić przestał już kilka miesięcy temu. Szczęściarz. – Zazdrość wysłała z jej głosu życie. – Nie rozmawialiśmy o tym, ale wiem, co to oznacza. Jeszcze nie zaczęła tracić wagi, ale to kwestia czasu. Jest na koncówce.

– To znaczy, że się zagłodzi, czy co? – Pożałowałam, że nie wlałam mu w usta choć odrobiny wody, kiedy był nieprzytomny.

– Nie, to znaczy, że jego czas tutaj się kończy. Idzie na Wieś. – Uśmiech Any był nikły i zgaszony. – Myślę, że Malachi jest gotowy. Nie wiem, kiedy odejdzie, ale pewnie będę mogła to ocenić, gdy w ogóle przestanie jeść. – Wyprostowała się gwałtownie i wprawnymi palcami



poprawiła koński ogon. – Umieram z głodu. Chcesz iść ze mną do pomieszczenia jadalnego?

Mój mózg nadal produkował pytania, całe ich setki kłębiły mi się pod czaszką, ale wystarczył rzut oka na Anę i już wiedziałam, że rozmowa dobiegła końca. Trzymając język za zębami, ruszyłam korytarzem, równając do stanowczego kroku Any.

„Pomieszczenie jadalne” było dokładnie tym, co sugerowała nazwa, i przypominało sklep, który miałam już okazję odwiedzić. Określenie „nieapetyczne” było wyjątkowo delikatne. Ana zabrała parę przypadkowych produktów, w tym obeschniętą grudę sera, poczerniałego banana, kamienną bułkę i coś w rodzaju zupy, która wydzielala woń nieświeżych stóp – przynajmniej moim zdaniem. Naturalnie nie wspomniałam o tym Anie.

Przed innymi Strażnikami siedzącymi przy długich ławach piętrzyły się sterty jedzenia. Większość podobnych do klejnotów oczu śledziła nasz przemarsz przez ogromną salę. Czulałam się trochę jak w szkole podczas przerwy, tyle że siedzące przy stołach dzieciaki miały po siedem stóp wzrostu i były w pełni uzbrojone. Ana wyjęła z pochewki na udzie nóż i oskrobała nim pleśń z sera. Usiadłam naprzeciwko niej, gorączkowo myśląc. Jeśli nie opuszczę miasta w ciągu kilku tygodni, umrę z głodu. Malachi o tym nie wspomniał, ale to tłumaczyło pośpiech, z jakim starał się mnie stąd pozbyć. Mnie spieszyło się równie mocno, by stąd odejść, ale tylko z Nadią. Może Malachi wyszedłby wkrótce potem? Przypomniałam sobie, z jaką tęsknotą mówił o tym, co znajduje się poza murami. Cieszyłam się, że już niedługo opuści to miasto, i poświęciłam kilka chwil fantazjowaniu o uśmiechu, jakim na to zareaguje, i o tym, jak ten uśmiech zmieni jego surowe oblicze.

Ana jadła szybko i w milczeniu. Robiła wrażenie przygnębionej naszą rozmową o jedzeniu. Zastanawiałam się, czy wolałaby mieć mniejszy apetyt. Kiedy wstała, żeby wyrzucić resztki, w pomieszczeniu zaległa cisza. Ana zachowywała się, jakby tego nie dostrzegła. Gdy tylko wyszłyśmy, sala rozbrzmiała na nowo wesołym śmiechem i dźwiękami.

– To dlatego, że ich gasisz, czy może kręcisz? – zapytałam.

– I to, i to. Nie jestem pierwszą kobietą tutaj, ale od dłuższego czasu jedyną. Na tyle długiego, że kilku próbowało czegoś i gorzko tego żalowali. Na początku pilnowali mnie Malachi i Takeshi. Nigdzie nie ruszałam się bez nich. Ale Strażnicy dali mi tak naprawdę spokój dopiero wtedy, gdy nauczyłam się bronić sama.

– Umiałaś walczyć, zanim tu przyszłaś?

Ana zmierzyła mnie od stóp do głów.

– Wiesz, byłam chyba taka jak ty. To znaczy nie znam cię, ale na taką mi wyglądasz. Silna. Zaciekla. – Uśmiechnęła się zarazem chytrze i smutno. – Po przejściach.

Zacisnęłam zęby i odwróciłam wzrok. To takie oczywiste? Zupełnie, jakbym miała na czole napis: „Nie pasuję do normalnej społeczności”.

Tylko Nadia sprawiała, że czułam się inaczej. Że czułam się wystarczająco dobra, jakbym musiała jedynie rozszyfrować język normalnego świata i nauczyć się nim posługiwać, a nie zmieniać całą siebie, by się wpasować. Kiedyś powiedziała mi, że każdy z nas ma prymitywnego dzikusa pod skórą, tylko jedni potrafią ukrywać go lepiej, inni gorzej.

Chciałam być taka jak Nadia, pasować, ale nie musieć o to dbać, a nie na odwrót. Skoro jednak Nadia naprawdę wiedziała, co jest ważne, co jest prawdziwe, to czemu trudziła się udawaniem szczęśliwej i zadowolonej, skoro czuła się tak okropnie? Dlaczego faszerowała się lekami przeciwbólowymi? I dlaczego, do diabła, postanowiła mnie opuścić?

Jeśli Malachi i Ana byli naprawdę tak dobrzy, jak się wydawało, może będę miała okazję zapytać ją o to.

Ana poprowadziła mnie kamiennymi schodkami na dół. Płomyki gazowych lamp migotały w ciemności. Im niżej schodziłyśmy, tym zimniej się robiło. Kamienne ściany odbijały echem odgłos dudnienia i ostrego trzaskania. Brzmiało to tak, jakby ktoś walczył. Wreszcie dotarliśmy do drzwi.

– Robi rozgrzewkę – stwierdziła Ana mimochodem i otworzyła drzwi. W pomieszczeniu zaległa cisza.

Wszłam do długiej, bardzo wysokiej, prostokątnej sali. Oświetlały ją rzędy odpowiednio przystosowanych lamp gazowych osłoniętych solidną drucianą siatką, która zapewne miała chronić je przed różnymi latającymi przedmiotami. Malachi stał na drugim końcu sali i właśnie zakładał koszulkę, zasłaniając ten swój fantastyczny kaloryfer na brzuchu.

– Jak poszło z Michaelem? – zapytała Ana, podchodząc do niego.

Malachi wyrócił oczami i otarł rękawem spoconą twarz.

– Jak zwykle powalił mnie elokwencją. Ale będzie miał na rano zbroję dla Leli.

Spoglądałam to na jedno, to na drugie. Ostatnimi laty zaczęłam być naprawdę dumna z umiejętności samoobrony i zastraszania innych, dzięki czemu zostawiano mnie w spokoju. Ale wtedy, stojąc pomiędzy dwojgiem prawdziwych wojowników, poczułam się jak głupia licealistka.

Następne godziny dały mi się we znaki. Zaczęło się powoli. Malachi pokazał mi, jak posługiwać się kijem. Zademonstrował, jak chwytać, żeby uderzać i blokować podstawowe ataki. Kazał mi ćwiczyć obronę przed atakiem od frontu, z tyłu, uderzenia od góry i z dołu. Powtarzałam je raz po raz, a potem szybciej i szybciej. Gdy wreszcie uznał, że mam coraz mniejsze szanse, żeby walnąć się sama w głowę, i to w najmniej odpowiednim momencie, mięśnie drżały mi już z wysiłku i miałam wrażenie, że zaraz wypluję płuća.

– Czas przejść do obrony – oświadczyła Ana śpiewnie, występując naprzód z bułatem w dłoni. Wydyszałam przekleństwo i cofnęłam się o kilka chwiejnych kroków.

– Na początek tylko popatrz – rzekł Malachi, biorąc od Any bułat i wręczając jej kij. Mrugnęła

do niego i zawirowała z oszałamiającą szybkością. Malachi rzucił jej karcące spojrzenie. – Lela potrzebuje podstaw, nie dołuj jej.

Ana pokazała mu język i stanęła, sztywno trzymając kij.

Miałam nadzieję, że tylko wyobrażam sobie brak wdzięku w ruchach i przesadnie ciężkie tupanie, z jakimi Ana krążyła wokół przeciwnika, ale szczęki Malachiego zacisnęły się z irytacji.

No tak, naśmiewała się ze mnie.

Zanim zdążyłam odwrócić się i czmychnąć, Malachi skierował moją uwagę na inne tory.

– Nie wszystkie Mazikiny są uzbrojone, ale ostatnio kradną i gromadzą broń Strażników.

Wiemy o dwóch, którzy umieją biegle posługiwać się bułatem, jednego z nich poznałaś. Ach, nie, widziałaś ich obu. To Sil i Ibram. Było trzech, ale Juriego już nie ma wśród nas. – Powiedział to z ponurą satysfakcją, a i ja uśmiechnęłam się do siebie na myśl o tym. – Tak czy owak, jeśli zobaczysz któregoś z nich, bierz nogi za pas. Po prostu uciekaj. Skryj się za najbliższym rogim i nie przestawaj biec. W innych przypadkach staraj się rozbroić przeciwnika, a w najgorszym razie tylko obronić przed atakiem.

Odwrócił się i natarł na Anę, biegnąc na nią z uniesionym ostrzem. Ana wykonała kilka błyskawicznych ruchów kijem i wytrąciła Malachiemu ostrze z rąk.

– Nie do końca załapałam – przyznałam się.

– Oczywiście – rzekł Malachi, cofając się do pozycji wyjściowej. – Powtórzmy to wolniej.

Jeszcze kilka razy, ruch po ruchu, zademonstrowali mi, jak rozbroić stosunkowo niedoświadczonego przeciwnika z bułatem.

Są rzeczy, których nie uczą w liceach.

Malachi ponownie wręczył mi kij. Po jakichś kilkuset próbach, a przynajmniej mnie się wydawało, że tyle ich było, udało mi się wreszcie wykonać całą serię ruchów w normalnym tempie. Nauczyłam się nawet kilku różnych wersji tego manewru.

W końcu Malachi ogłosił, że wystarczy ćwiczeń z kijem. Osunęłam się na podłogę szczęśliwa, gotowa na prysznic i wypoczynek, kiedy jednak otworzyłam oczy, Malachi stał, wyciągając rękę, żeby pomóc mi wstać. Biła od niego niepewność, jakby się bał, że nie zechcę go dotknąć. Podałam mu dłoń, a kiedy jego długie palce zacisnęły się wokół niej, podciągnęłam się, wstając.

Uśmiechnął się do mnie nieśmiało.

– Co myślisz o nożach?

– Musisz pytać? Uwielbiam je. Kocham.

Zachichotał.

– To noże do rzucania – rzekł, podając mi jeden. – Widzisz? Mają dwa ostrza. Są inne niż noże myśliwskie. Łatwiej ci będzie nad nimi panować.

– To znaczy, że następnym razem mam trafić w jakiś ważny punkt?

Pokazał stojący kilka metrów od nas manekin.

– W ostateczności, Lela, jeśli nie zostanie ci nic innego. Ale tak, o to chodzi.

Ułamek sekundy później biedna kukła już nie żyła.

Ana była przynajmniej tak dobra jak Malachi. I lubiła się chyba popisywać, bo przebiegła jak burza wokół Sali, przyozdabiając manekina naszymi ostrzy. Wybuchnęłam śmiechem, kiedy naszpikowała nożami krocze kukły. Malachi poszarzał na twarzy.

– Przypomnij mi, żebym był dla ciebie miłszy – mruknął.

Malachi nie zamierzał mi odpuścić, miałam osiągnąć pewną biegłość.

– Rzucasz jak baseballista – roześmiał się. – Myślisz, że kto ty jesteś? Lefty Grove?

To chyba miało być śmieszne, ale ja tylko patrzyłam na niego zbita z tropu. Kim, u diabła, był ten Lefty Grove? Ana podeszła do niego i szepnęła:

– Zdradzasz się z wiekiem, staruszkule.

Natychmiast spowaźniał.

– Nieważne, ćwicz.

Jakieś tysiąc rzutów później zaczęłam zazdrościć podziurawionemu manekinowi, żalowałam, że nade mną nikt się nie zlituje. Prawe ramię bolało mnie od barku aż po czubki palców. Kark i plecy były spięte i paliły żywym ogniem. Ale pomijając niedogodności, umiałam już rzucać nożem. Kolejna przydatna umiejętność, której nie uczą w liceum.

Kiedy Malachi wreszcie dał mi spokój i zaczął zbierać noże, klapnęłam na ziemi, masując bark. Rozejrzałam się po zgromadzonej w sali broni. Bułat, kij, noże do rzucania. Nie byłam znawczynią, wiedzę czerpałam tylko z filmów, ale wydawało mi się, że taki arsenał nie pasuje do jednego stylu walki.

– Czemu akurat ta broń? Lepiej by się spisały wyrzutnia rakietowa i AK-47.

Malachi i Ana spojrzeli po sobie. Musiał widać wyczytać coś z jej twarzy, bo lekko skinął głową.

– Mnie wystarczy – rzekła Ana, schylając się po kij. Odniosła go na stojak. – Muszę przynieść sobie wody i wziąć prysznic. No i przygotować sprzęt na jutro. Dobrze ci poszło, Lela. Zobaczmy się później. – Żartobliwie klepnęła Malachiego w pośladek i wybiegła z sali w podskokach. Robiła wrażenie tak wypoczętej i rześkiej jak wtedy, kiedy tu wchodziłyśmy. Pozazdrościłam jej szczerze. To uczucie pogłębiło się jeszcze na myśl o swobodzie, z jaką dotykała Malachiego, jakby przez lata nabyła sobie do tego praw. Otarłam spocone dłonie o spodnie, usiłując wygnać z piersi obcy ból.

– Co do twojego pytania – zaczął Malachi, wsuwając noże do dużego futerału. – To kształtowało się wiekami. Niektórzy przynosili wiedzę i umiejętności posługiwania się bronią oraz różne style walki z ziemi, a potem przekazywali je innym. W ten sposób tradycje

pielęgnować kolejni Strażnicy, ucząc się od starszych. – Westchnął, jakby wspomnienia go przytłaczały. – Michael tworzy nowe rodzaje broni, żeby sprostać potrzebom ludzi. Pewnie to kwestia czasu, jak pojawią się Strażnicy posługujący się bronią palną. Ale mam nadzieję, że wtedy już mnie tu nie będzie.

Przeciągnął się. Miałam wrażenie, że odpychał od siebie wspomnienia, wracając do teraźniejszości.

– Nie wiem, skąd bułat. Słyszałem, że od tysiąceci stanowi tradycyjną broń Straży. Wszyscy Strażnicy uczą się nim posługiwać. Noże do rzucania przyniósł ze sobą pewien Amerykanin. Pochodził z Południa, z okresu Wojny Secesyjnej, i opuścił to miejsce wkrótce po tym, jak zostałem Strażnikiem. Ale nie są w powszechnym wyposażeniu, bo nie każdy potrafi rzucać nożami na tyle dobrze, by narobić szkód, a nie tylko podarować wrogowi dodatkową broń. Dlatego właśnie powinnaś sięgać do nich tylko w ostateczności. Ach, a w przypadku Ibrama w ogóle daj sobie z nimi spokój.

– Uhm, widziałam.

– Co do kija, rozpowszechnił go Takeshi. Potrafił zatrzymać nim wszystko. To on namówił Michaela na zmodyfikowanie palek. Ciężko byłoby biegać po mieście z kijem o pełnej długości. Inni Strażnicy mają takie zwykłe pałki, do kontroli tłumu i straszenia. Moja i Any są inne, jak sama widziałas, rozkładają się, tworząc kije. To dla nas lepsza broń, bo nie nosimy ciężkich zbroi. Dzięki nim możemy walczyć z kilkoma przeciwnikami równocześnie i trzymać ich kły z dala od naszej pięknej, delikatnej skóry.

Udałam niezwykle zajętą zawiązywaniem buta, żeby nie zauważył, jaką mam minę na myśl o jego pięknej, delikatnej skórze.

– Więc Takeshi był tu przed tobą?

– Tak, był moim i Any nauczycielem.

Podalam Malachiemu noże.

– Nadal jest pogrążona w żalobie po nim?

– Tak – odparł zaskoczony. – Minęły lata, ale ona chyba tak tego nie odbiera.

Chciałam zapytać, co się stało, ale zrezygnowałam na widok jego miny. Malachi, podobnie jak Ana, kiedy wypłynął temat Takeshiego, nagle zaczął być bardzo zajęty – przekładaniem noży w futerale. Kiedy zwinął go i odkładał, wstałam i, pogrążona w marzeniach o gorącym prysznicu, skierowałam się ku wyjściu.

– Nie skończyliśmy jeszcze, Lela. Jeśli nie uda ci się utrzymać napastnika na dystans, musisz umieć walczyć w kontakcie. Przechodzimy do ćwiczeń walki wręcz.

Zamarłam w pół kroku.

– A który to sadyta przyniósł ze sobą ten sposób?

Podniósł głowę i uśmiechnął się.

– Ja.

## PIĘTNASTY

Może i Takeshi nauczył Malachiego walki kijem, ale bezlitosnej skuteczności musiało nauczyć go krótkie, bez wątpienia brutalne życie ziemskie. Z bułatem był śmiertelnie niebezpieczny, ale jego ulubioną bronią musiało być własne ciało. I to nas łączyło. Z bronią czułam się niezręcznie, chyba bałam się, że prędzej zranię nią siebie niż przeciwnika. Swobodniej czułam się w walce wręcz i nieźle sobie w niej radziłam. Ale dzięki Malachiemu stałam się jeszcze lepsza.

– Podczas konfrontacji nie obowiązują żadne zasady. Musisz się bronić i błyskawicznie obezwładnić przeciwnika. Żadnych wymyślnych ciosów, każdy bezpośredni kontakt ograniczasz do minimum. Rób, co konieczne, żeby pokonać napastnika, bez względu na to, jak okrutne to by się wydawało. Tak jak w wypadku Haniego. – Uśmiechnął się szelmowsko. – To było świetne. Tylko, zanim zaczęłaś uciekać, powinnaś upewnić się, że leży.

Przewróciłam oczami.

– Gdybym to zrobiła, sześciu jego kumpli rozplaszczyłoby mnie na podłodze.

Zmarszczył brwi.

– Racja. Więc następnym razem uciekaj szybciej.

– Tak, panie dowódco – zsalutowałam mu żartobliwie.

– Kolejna sprawa. Walcz tym, co masz pod ręką. To chyba wiesz. Widziałem, jak chciałaś użyć tej butelki po piwie. Sprawdziłoby się, gdyby twoi napastnicy nie mieli szabli. Następnym razem w takim wypadku rzuć w nich tym, co masz w ręku i, jak już mówiłem, uciekaj szybciej.

– Rany, ależ to pomocne! A kiedy będę mogła cię walnąć?

– Ale ci się do tego spieszy – parsknął. – No dobrze, skoro tak bardzo chcesz.

Uczynił zapraszający gest ręką. Postąpiłam o krok, decydując się na cios w krocze. Skoro zadziało u Haniego...

Malachi zaśmiał się, blokując mój atak.

– Nieźła strategia, Lela, ale nie możesz być tak przewidywalna.

Ułamek sekundy później leżałam na podłodze z ręką wykręconą za plecami.

– Nie czekaj na to, co zrobi twój przeciwnik – poinstruował. – Działaj. No, wstawaj.

Skoczyłam na równe nogi i spróbowałam uderzyć go w szczękę, ale uchylił się, złapał mnie za kostki u nóg i szarpnięciem pozbawił równowagi. Uśmiechnął się z góry, opierając sobie moje stopy o uda.

– Gdyby ci się udało, prawdopodobnie ciebie bardziej bolałaby ręka niż mnie twarz. Nie zapominaj, że masz łokcie. Wstawaj.

Kiedy się podniosłam, zademonstrował mi, jak użyteczne mogą być łokcie. W ciągu sekundy znów leżałam na podłodze, rżąc.

Oparłam się czołem o posadzkę i usiłowałam rozmasować podwójny ból w piersi, jeden po uderzeniu, drugi sięgający znacznie głębiej. Widziałam, że się powstrzymywał. Nie traktował mnie szczególnie łagodnie, ale też nie chciał mi zrobić krzywdy. I za każdym razem, kiedy powalił mnie na ziemię, a potem pomagał wstać, trzymał mnie za rękę odrobinę dłużej, a jego spojrzenie stawało się cieplejsze. A mnie się to podobało. Bardziej, niż mogłam się spodziewać.

Ale to nie oznaczało, że nie chciałam się wykazać. Wstałam, zacisnęłam zęby i zaczęłam go okrążyć. Obserwował mnie z poważną miną, jakby traktował mnie serio. Zrobiłam zwód na prawo, a potem odskoczyłam w drugą stronę, okręciłam się i wykorzystując siłę rozpędu, grzmotnęłam go łokciem w brzuch. Miałam wrażenie, że uderzyłam w mur. Stęknął, ale nie miałam czasu się tym nacieszyć, bo natychmiast podstawił mi nogę, potem złapał za głowę i uniósł kolano.

– Niezły trick – wystękałam z nosem przyciśniętym do jego kolana.

– Ciężko popsuć dobrze wymierzony cios kolanem. – Opuścił nogę i uniósł moją twarz ku swojej. – Nic ci nie jest?

Staliśmy pierś w pierś, a jego dłonie nadal spoczywały na moich policzkach. Przestał się pilnować. Rozważałam kopnięcie w przyrodzenie, ale rozproszyło mnie delikatne muśnięcie kciuka. Wciągnęłam gwałtownie powietrze, oszołomiona żarem jego dotyku i wyrazem oczu. Serce biło mi mocno i nierówno. Wpatrywaliśmy się w siebie kilka sekund, aż zamrugał i opuścił ręce.

– Chodź – powiedział gwałtownie. – Nauczę cię, jak rozbroić przeciwnika z nożem.

I ćwiczyliśmy. Ćwiczyliśmy. Ćwiczyliśmy. Straciłam rachubę, ile razy znalazłam się na ziemi, ale co dziwne, czerpałam z tego treningu ogromną przyjemność. To były najlepsze chwile, jakie przeżyłam od przybycia do tego mrocznego miasta. Pełna nadziei, nie mogłam doczekać się wyruszenia na poszukiwania Nadii. Jak mogłoby się nie udać, skoro mieli mi pomagać Malachi i Ana?

A potem zaatakował od tyłu.

Stało się to niezwykle szybko, choć potem doszłam do wniosku, że mogłam się tego spodziewać. Może przez krążącą w żyłach adrenalinę, może przez to, że przestałam się pilnować i bronić przed wspomnieniami, a może dlatego, że złapał mnie za szyję przerażająco silnym uchwytem, ale gdy poczułam drugie jego ramię na piersi, a na plecach jego ciało, wszystko stopiło się w czerń, a ja zaczęłam wrzeszczeć, miotać się, na oślep kopać i drapać.

*Leżę twarzą w dół, nie mogę oddychać, zmiażdży mnie, zostawi bezbronną, pustą, nic niewartą, krwawiącą aż do następnego razu i nikt nie usłyszy moich krzyków.*



Kiedy otworzyłam oczy, siedziałam skulona w kącie. Czułam mrowienie w wargach, a przed oczami wirowały czarne platy. Rękami zasłaniałam głowę, broniąc się przed... Niczym. Wokół panowała cisza. Podniosłam oczy. Malachi stał kilka kroków ode mnie. Nie umiałam odczytać jego miny. Jego policzek i wierzch dłoni znaczyły czerwone szramy.

– Przepraszam – wyszeptał.

Poirytowana, zniecierpliwionym gestem otarłam łzy i odgarnęłam niesforne kosmyki włosów, które wymyknęły się z warkocza.

– Nie, to ja przepraszam. To żenujące. Wpadam w panikę, kiedy ktoś zaatakuję mnie od tyłu.

– Podniosłam się i stanęłam na drżących nogach plecami do ściany.

Malachi westchnął głęboko.

– Wiem. Zauważyłem to podczas przesłuchania. I widziałem w twoich oczach, kiedy Sil cię złapał. Ale i tak to zrobiłem, a nie powinienem.

– Nieprawda. Myślisz, że następny Mazikin, który mnie napadnie, zapyta grzecznie o pozwolenie na atak od tyłu?

– Czemu tym razem zareagowałaś tak gwałtownie? – Jego mina mówiła, że sam chyba nie jest pewien, czy chce usłyszeć odpowiedź.

– Nie wiem, czasami jest po prostu gorzej.

Skrzywił się.

– Nienawidzę tracić kontroli – wyszeptałam po chwili. – Nawet nie pamiętam, co się stało.

– Spanikowałaś. Puściłem od razu, kiedy zdałem sobie sprawę, co się dzieje, ale ty nie przestawałaś.

Wzięłam głęboki oddech, zerkając na drzwi. Odzyskałam czucie w ustach i znów widziałam normalnie. Ale nadal byłam roztrzęsiona i chciałam tylko uciekać.

– Ile to trwało?

– Krótko.

*Zbyt długo*, krzyczały jego przygarbione plecy i zaciśnięte w pięści dłonie.

– Musisz mi pokazać, co w takiej sytuacji mam robić – oświadczyłam stanowczo.

Milczał, wbijając wzrok w czubki butów.

– Musisz. Pokaż mi, co robić, może nauczę się panować nad sobą. Nie bać się, nie tracić świadomości. Skoro tak ci zależy, żebym umiała się bronić, powinieneś to dla mnie zrobić. –

Cisza była ogłuszająca. – Malachi.

Spojrzał, kiedy wypowiedziałam jego imię. Jego oczy przepełniał smutek.

– Nie chcę być tym, który to w tobie wywołuje, Lela. Nie chcę, żebyś patrzyła na mnie i widziała jego.

Przez ten smutek w jego głosie prawie że uległam, ale nienawidziłam tego uczucia bezsilności

i bezradności. Bałam się, czym może się to skończyć, gdyby stało się w obliczu wroga.

– Przykro mi. Ale tym bardziej musisz to dla mnie zrobić.

Odwrócił się ode mnie.

– Dobrze. Teraz?

– Tak.

– Zaczniemy powoli. Poprzednio zrobiłem to zbyt szybko.

– W porządku.

– Przejdź na środek sali. Zamknij oczy.

Posłuchałam go, napinając się, by zwalczyć mdłości. Ale tym razem zbliżył się, nie przestając wydawać instrukcji. Uchwyciłam się jego głosu i ślepo podążałam za wskazówkami. Pokazał mi, jak wykorzystać instynktowne odruchy ciała, jak wykorzystać słabość nadgarstka i określić najsłabsze punkty przeciwnika, by się od niego uwolnić. Nauczył mnie, jak odwrócić się i uderzyć, kiedy już będę wolna. Kazał mi powtarzać to do upadłego. Aż wreszcie zbliżył się po cichu i zaatakował, a ja nie spanikowałam, tylko zrobiłam unik.

Nie była to idealna obrona ani też pełna, czy definitywna. Ale dla mnie oznaczała zwycięstwo. Malachi nie robił wrażenia przekonanego, kiedy ocierał pot z czoła i sprzątał salę. Masował sobie kark, jakby był obolały. Ale byłam prawie pewna, że nie chodziło o ból fizyczny.

Osiągnęłam to, co chciałam, ale naraz poczułam wyrzuty sumienia, że go w ogóle o to prosiłam. Wyglądał tak, jakbym mu coś tym odebrała, a nie wiedziałam, jak mu oddać, jak poprawić mu samopoczucie. Zdałam sobie sprawę, że zupełnie go nie znam. Tylko wydawało mi się, że go już poznałam.

Pogasił lampy. Podszedł do drzwi i odwrócił się, sprawdzając, czy za nim idę. Znów poczułam to rozedrganie, ale tym razem dlatego, że nie miałam pojęcia, jak zażegnać to, co stało się z nim w ciągu ostatniej godziny. A tak rozpaczliwie tego pragnęłam.

– Hej, Malachi, wiem, że już późno i jutro wyruszamy, ale zanim pójdziemy... – Nabrałam powietrza i wyrzuciłam z siebie pospiesznie – Zastanawiałam się, czy... Może pokażesz mi, co robisz tu dla przyjemności?

To była najbardziej romantyczna rzecz, jaką kiedykolwiek powiedziałam chłopakowi. Kiedy jednak te słowa opuściły moje usta, zorientowałam się, jak głupio to zabrzmiało. Gdyby był jednym z chłopaków, których znałam do tej pory, zarechotałby, interpretując je w najgorszy z możliwych sposobów. I prawdopodobnie skończyłoby się to wszystko fatalnie.

Malachi wpatrywał się we mnie, jakby obracał moje słowa w głowie, pozwalając im kilka razy okrążyć mózg. A potem powiedział po prostu:

– Dobrze. Chodź.

Otworzył drzwi i zaczął wchodzić na górę, a ja za nim, przełykając ulgę niczym cukierek. Po

dotarciu na piętro kontynuował wspinaczkę. Wkrótce wdrapywaliśmy się krętymi schodami na wieżę, która sterczała ponad zabudowaniami Strażnicy. Moje obolałe po treningu uda rozpaczliwie protestowały, ale w milczeniu podążałam za Malachim, który narzucił rytmiczne tempo. Już chciałam się złamać i poprosić o odpoczynek, kiedy usłyszałam otwierające się nade mną drzwi i poczułam powiew, który zmierzwił mi włosy i osuszył pot. Malachi wyszedł na zewnątrz, a potem wyciągnął do mnie rękę. Ostatnie kroki zrobiłam przy jego pomocy.

Znajdowaliśmy się na szczycie wieży. Platforma była niewielka, ledwie mieściliśmy się na niej we dwójkę. Ograniczał ją sięgający mi do pasa murek. Pomiędzy ceglami, w zaprawie zakotwiczone metalową barierkę.

– Przychodzę tutaj – powiedział cicho.

Wokół rozciągało się milczące miasto. Wczepione we wzgórze, pożerało światło. Obróciłam się i pomyślałam, że właśnie stąd Malachi musiał szkicować swoją mapę. Z wieży był dobry widok, łatwiej je było objąć umysłem, przynajmniej do szczytu wzniesienia, gdzie wznosił się mur szarych wieżowców.

Malachi wskazał drapacze chmur.

– Pójdziemy tam, poza nie. Tam znajduje się najstarsza część miasta. Te budynki... Wiem, że to zabrzmi dziwnie, ale z każdym rokiem stają się wyższe. Te najdawniejsze, te pośrodku, są najwyższe. Niższe, bliżej murów, są najnowsze. Ale one także będą coraz wyższe. Bo widzisz, jeśli ktoś przybywa do miasta i chce domu, to ten dom rośnie. Możesz sobie zażyczyć pagodę, chatynkę, wieżę, a one po prostu wyrastają. Wystarczy tylko chcieć. Pragnąć. Pożądać. Budynki zaczynają żyć swoim życiem, karmiąc się pragnieniem. Ale to, co powstaje z takiego pragnienia, nigdy nie jest dobre albo satysfakcjonujące. Jest po prostu duże. Dlatego miasto rozrasta się, rozprzestrzenia, a wraz z nim rozprzestrzenia się nieszczęście. Zupełnie, jak choroba.

– Jest na nią jakiś lek?

– Oczywiście, ale nie każdy chce go przyjąć. Myślę, że niektórzy wolą tę chorobę. Jest czymś znajomym i nie chcą się jej pozbyć, nawet jeśli już wiedzą, że można ją wyleczyć. – W tonie Malachiego pobrzmiwał żal.

Pomyślałam o Nadii tkwiącej gdzieś tam w przepastnym mroku, pogrążonej we własnych żalach. Ale Malachi wyraźnie powiedział, że istnieje sposób wyleczenia Nadii ze smutku. Znów mogłaby być w pełni sobą. A ja zamierzałam dopilnować, by tak się stało.

Malachi oparł się o murek i wskazał biały budynek leżący na skraju miasta, ten sam, który przywoływał mnie zaraz po przekroczeniu Bramy. Nadal mnie wzywał, wabił do siebie.

– To Sanktuarium.

Cofnęłam się odruchowo. Budynek, który przyciągał mnie jak magnes, był jednocześnie tym, do którego nie chciałam jeszcze wchodzić.

– Dobrze wiedzieć – mruknęłam.

Zerwał się wiatr i Malachi przymknął oczy. Ten podmuch był namiastką świeżego powietrza. Obserwowałam, jak pierś Malachiego unosi się, kiedy wdycha je głęboko. Zwróciłam się na wschód. Budynek nie były tam bardzo wysokie, a poza nimi widać było mury miasta. Dalej majaczył las. Spomiędzy koron drzew zerwało się duże stado ptaków i poszybowało ponad dachem gęstych liści. Tuż nad lasem wisiał pызaty, jasny księżyc. Przynajmniej tak zakładałam, że jest jasny, bowiem wisząca nad miastem ciemna zasłona gasiła jego piękno, powlekała szarością i tłumiała blask.

– Ciemność jest częścią tego miasta – rzekł Malachi, widząc, jak wytyżam wzrok. – Ale gdy umiesz patrzeć, możesz odróżnić dzień od nocy. Możesz zobaczyć słońce. Nie dociera tutaj jego blask, ale nauczyłem się je widzieć.

– Jak długo tu jesteś? – Bałam się, że znam już odpowiedź, przynajmniej w przybliżeniu, jednak ze względu na niego chciałam się mylić.

– Dużo trudniej śledzić upływ lat niż przemijanie dni – westchnął. – I staram się o tym nie myśleć. Jaki rok jest teraz na ziemi?

Powiedziałam i natychmiast tego pożałowałam.

Spuścił wzrok.

– Och, w takim razie jestem tu bardzo długo. Dłużej, niż sądziłem. Nie chcę o tym mówić.

– Wybacz, nie zamierzałam być wścibska.

Kolejne westchnienie. Popatrzył na mnie, a potem odpowiedział z wahaniem:

– Jestem w tym mieście od około siedemdziesięciu lat.

Zrobiłam w duchu obliczenia i skinęłam głową, pasowało. To znaczyło, że umarł... że się zabił... na początku lat czterdziestych.

Patrzył na mnie uważnie, jakby starał się zrozumieć moją reakcję.

– Nie wyglądasz na zaskoczoną.

Wzięłam go za rękę. Drgnął, kiedy zaczęłam podciągać mu rękaw, ale powstrzymałam go stanowczym spojrzeniem. Podwinęłam rękaw do łokcia i przesunęłam kciukiem po tatuażu.

– Widziałam go, kiedy byłeś nieprzytomny. Nie miałam pewności, ale uczyłam się o tym w szkole. O nazistach i o tym, co robili ludziom w obozach koncentracyjnych.

– Ana mówiła, że uczą o tym w szkołach. Że nazywają to Holocaustem. Straszne słowo, ale pasuje. – Przekrzywił głowę, spoglądając na tatuaż. – Historia. A mnie czasem wydaje się, że to było wczoraj. A czasem, jakby tysiące lat temu. Ale zawsze słowo „historia” wydaje mi się zbyt duże. Historia to coś wielkiego, a dla mnie to była rodzina, sąsiednia okolica i moje miasto, które powoli zaczęło się kurczyć. Z początku nie zauważyłem, jak się zaciska, dusi, rozpada. Byłem za młody, żeby to zrozumieć. Ale gdy już myślałem, że nie może być gorzej, zrobiło się jeszcze

gorzej. A potem znowu i znowu.

Ucisnęłam jego rękę.

– Przykro mi. – Sama nie wiedziałam, czy większy żal czuję z powodu tego, co przeżył, czy dlatego, że skłoniłam go do rozmowy o tym.

– Nic nie szkodzi – zapewnił mnie, ale jego głos zdradzał kłamstwo. Oderwał wzrok od tatuażu i spojrzał na księżyc. Obserwowałam, jak wyraz jego twarzy zmienia się powoli z żalu w coś łagodniejszego.

Pragnienie.

Pragnął uciec. Właśnie w tej chwili odczuwał to pragnienie. Znałam to uczucie, sama nieraz wpatrywałam się w oderwany kawałek tapety, wyobrażając sobie, że przedzieram się na drugą stronę, jak najdalej od miejsca, w którym się znajdowałam, od tego, przez co przechodziłam. Ile razy to robiłam? Ile razy musiałam koncentrować się tak bardzo, że opuszczałam własne ciało? Ile razy uciekałam i nie rozbiłam się na milion kawałków?

Miałam wrażenie, że odszedł zbyt daleko, i musiałam zapytać:

– Jesteś tu?

– Nie – odszepnął.

Nie wiedziałam, czy mam się smucić, czy cieszyć, bo z jednej strony chciałam, żeby był ze mną, a z drugiej pragnęłam, żeby był wolny. Spełnienie równoczesne obu tych pragnień wydawało mi się niemożliwe. Dotknęłam jego twarzy, opuchniętych szram, w miejscach, gdzie go zadrapałam, twardej krawędzi szczęki, chropowato-jedwabistej skóry.

Zsunęłam dłoń na szeroki tors i rozłożyłam palce, chcąc chłonąć ciepło i czuć bicie serca. Obawiałam się, że mnie odepchnie, ale on rozłożył ramiona i kładąc ręce na barierce, otworzył się przede mną.

Objęłam go drugą ręką w talii i oparłam czoło o jego pierś. To samo dokładnie zrobiłam, gdy tak beznadziejnie usiłowałam go uwieść i zdobyć nieistniejący klucz. Tym razem jednak serce biło mi mocniej niż wtedy. Jemu też. Ale teraz nie chciałam niczego zdobyć w ten sposób. Pragnęłam tylko, żeby był tu ze mną. Kostki pobielaly mu, gdy zaciskał dłonie na barierce, jakby chciał się mocno przytrzymać. Albo powstrzymać. Ale nadal był nieobecny i nie wyglądało na to, żeby miał szybko wrócić. Dlatego też postanowiłam do niego dołączyć.

Wzięłam głęboki oddech, wciągając zapach jego skózanego pancerza i potu, a potem odwróciłam się i zapatrzyłam na las. Stał za mną, ale czułam się dobrze, bo po dzisiejszym wieczorze wiedziałam już, że nie zrobi mi krzywdy.

Mało tego, wiedziałam, że rola mojego napastnika sprawiła mu ból. Że odgrywał mojego demona po to tylko, bym mogła wygnać z siebie tego prawdziwego. A choć nie udało mi się go całkowicie przegnać, to jednak zdołałam uciszyć go na tyle, bym mogła teraz cofnąć się o krok i

poczuć, jak ciepło ciała Malachiego rozchodzi się wzdłuż mego kręgosłupa.. Sięgnęłam za siebie, oderwałam wczepione w barierkę dłonie i otoczyłam się jego ramionami. Stałam bezpieczna w jego objęciach. Nie drgnął nawet, tylko oddychał nieco szybciej, a serce biło mu nierówno. Pozwolił mi otulić się sobą jak kocem, jak zbroją.

– Malachi, mogę pobyc teraz z tobą tam, gdzie jesteś?

Poruszył się, bardzo powoli, jakby bał się obudzić we mnie wspomnienia i lęki. Ale tym razem z radością przyjął mocniejszy uścisk jego ramion i wtuliłam się w niego, kiedy wsparł brodę o czubek mojej głowy.

– Już myślałem, że nigdy o to nie zapytasz – powiedział cicho. – Tak.

# SZESNASTY

Wstawaj, Lela, czas na nas – zaczęła Ana.

Sapnęłam i odwróciłam się na drugi bok. Do późna w nocy siedziałam z Malachim na wieży, ale było tak cudownie, że nie żalowałam. Trzymał mnie w objęciach, milczeliśmy zapatrzeni w odległy las, snując swoje marzenia, oddychając unisono, a trwało to całymi godzinami. A może tylko kilka minut?

I tak trwało zbyt krótko.

Kiedy księżyc przewędrował niebo, Malachi puścił mnie, przypominając, że rankiem trzeba wstać. Był cichy, jakby nie całkiem wrócił ze swojej podróży poza mury miasta, a gdy tylko zaczęliśmy schodzić po schodach, znów wyraźnie z rozmysłem unikał zbędnego kontaktu fizycznego.

Miałam wrażenie, że coś straciłam, jakby między nami nagle wyrosła barykada. Sama ją zbudowałam, by się chronić, ale teraz w żaden sposób nie umiałam jej obejść.

– Wyskakuj z łóżka. – Ana kopnęła pryczę. – Nie mogę uwierzyć, że oddałam ci własne łóżko. Prawie w nim nie spałaś. Już myślałam, że się utopiłaś pod przysnycem. – Uniosłam powiekę. Ana zbierała ubrania, które rozrzuciłam po powrocie do pokoju po krótkim, zimnym przysnycu. Zmarszczyła nos. – Pachną Malachim.

Schowałam twarz w poduszkę.

– Daleko do tego Haragu? – spytałam w desperackiej próbie zmiany tematu.

Ana rzuciła we mnie czystymi ubraniami.

– Nie dotrzemy tam dzisiaj, chyba że Malachi zmusi nas do biegu. Ale myślę, że tym razem będzie chciał, byśmy oszczędzały siły.

Wciągnęłam koszulkę przez głowę.

– Hej, wczoraj powiedziałas Malachimemu, że dopiero co daliście sobie skopać tyłki, żeby trzymać mnie z dala od Haragu. Możesz mi to wyjaśnić?

– Móc mogę, ale wtedy Malachi zrobi się wredny. A chłopak ma talent do kreatywnego okazywania wredoty.

– No, Ana, proszę – skomlałam. – W ramach babskich plot. Nie masz wielu okazji do babskich plot, no nie?

Ana popatrzyła na mnie podejrzliwie.

– Ale nie wspomnisz mu o tym?

Potrząsnęłam głową, jednocześnie zakładając spodnie.

– No dobra, ale pamiętaj, ja też posiadam talenty, szczególnie w dziedzinie dźgania zaostrozonymi przedmiotami we wrażliwe miejsca. – Wyczarowała skądś nóż, zakręciła nim na palcach, a potem równie czarodziejsko gdzieś go schowała. – Od tych ostatnich morderstw Strażników priorytetem dla Malachiego jest odnalezienie gniazda Mazikinów. Pracuje nad tym od kilku tygodni. I już dwa razy został przez to ciężko ranny. Ma obsesję na tym punkcie. A ty, tą swoją kretyńską ucieczką z aresztu, dałaś mu szansę na odszukanie tej nory, jakiej dotąd nie miał.

– Bo Sil chciał mnie tam zabrać? – Zaczęło mnie mdlić, złapałam się za brzuch. Poczułam w sobie dziwną pustkę.

– Dokładnie. Wystarczyłoby, żeby Malachi was śledził i już byśmy ich mieli.

– To czemu tego nie zrobił?

Ana zawahała się, niepewnie przestępując z nogi na nogę.

– Słuchaj, Lela, w sumie to jakby cię lubię, więc trochę mi głupio, że nie zgadzam się z tym, co zrobił. Od wieków nie mieliśmy okazji, żeby zobaczyć, gdzie zabierają ludzi.

– No, rozumiem, ale czemu Malachi jej nie wykorzystał?

– Bo wtedy nie dałby już rady cię stamtąd wyciągnąć. Nie wiem, ilu Mazikinów jest w gnieździe, ale w ciągu tego roku strasznie się ich namnożyło. Sil, Ibram i do niedawna Juri stali się niezwykle silni. Ostatnio prowadzili bardzo aktywną łapankę, jakby przygotowywali się do ofensywy. Tak czy owak przewyższaliby nas liczebnie, zwłaszcza że nie mogliśmy zabrać ze sobą oddziału Strażników. Sil zabiłby cię, słysząc, że nadciągają. Było nas tylko dwoje, więc mogliśmy jedynie patrzeć, jak Sil wlecze cię do gniazda.

– A po jego odnalezieniu nie moglibyście wezwać posiłków?

– Pamiętaj, jak daleko leży Harag. Potrwałoby to co najmniej jeden dzień.

Przypomniałam sobie, jak dziwacznie traktowały mnie Mazikiny. Co prawda na ten swój upiorny sposób, ale jednak troszczyły się o mnie.

– Nie były wobec mnie okrutne ani nic takiego. Nie torturowali mnie. Pewnie wytrzymałabym z dzień czy dwa.

Ana spojrzała na mnie z politowaniem.

– Malachi ci nie powiedział, czym one są, prawda? Rany, więc naprawdę go wzięło. Lela. Skarbie. Oczywiście, że Mazikiny nie były okrutne. Uwielbiają takich ludzi jak ty. Ładnych i silnych. Dbalyby o ciebie. Aż do chwili, kiedy by cię nie przywiązały do stołu i nie przyzwały ducha Mazikina, żeby w ciebie wstąpił. A potem, cóż, koniec pieśni. Koniec Leli. Twoje ciało miałoby się dobrze, oddychałoby, poruszałoby się, ale ty? Nie byłoby cię już.

Oddech Any był krótki, urywany. Odwróciła się i gorączkowo otarła twarz. Przyciągnęłam kolana do piersi, starając się powstrzymać wyjątkowo dotkliwą falę mdłości.



– To dlatego wyglądają jak inni. Bo nimi są.

Ana popatrzyła na mnie lodowatym wzrokiem.

– Załapałaś. Kiedy Mazikin przejmie ciało, nie ma już odwrotu. Taki człowiek wygląda i mówi tak samo jak wcześniej. Posiada nawet część wspomnień i umiejętności. Ale duszy tej osoby nie ma już w ciele.

– Tak na zawsze? I co, zostaje rozwiana?

– Nie. – Skrzywiła się. – Zostaje wygnana do krainy Mazikinów, miejsca, z którego nawet same Mazikiny chcą rozpaczliwie uciec. Jeśli istnieje piekło, to właśnie tam.

– A więc ci ludzie lądują w piekle nie za czyny, które popełnili, tylko dlatego, że mieli pecha? – Zawsze uważałam, że w tej całej idei życia pozagrobowego jest jakaś sprawiedliwość, ale to akurat nie brzmiało uczciwie.

– Sądzimy, że istnieje sposób, żeby ich stamtąd uwolnić – rzekła Ana cicho. – To dlatego zabijamy Mazikiny, chociaż to też ma swoje konsekwencje. Kiedy zabijamy opętane ciało, duch Mazikina musi wrócić, skąd przybył. Wierzymy, że w ten sposób uwalniamy stamtąd duszę człowieka. Ale to także oznacza, że z czasem Mazikin powróci i przejmie ciało kogoś innego. Najsilniejsze zawsze wracają. Malachi walczył z Silem już w trzech różnych postaciach. A z Jurim... Jego i Malachiego łączy długa przeszłość. Malachi zabił go ze cztery razy, a i Juriemu raz czy dwa mało brakowało, żeby zabić Malachiego. Ostatnio Juri przejął nawet ciało Słowaka, żeby wydrwiwać Malachiego w jednym z jego ojczystych języków.

Mało znałam Juriego, ale to do niego pasowało.

– I nie ma innego sposobu, żeby przywrócić wygnaną duszę do opętanego ciała? A jakieś egzorcyzmy, czy coś?

Ana zaśmiała się szyderczo.

– Jeśli ktoś zamienia się w Mazikina, jedynym wyjściem jest zabicie go. Inaczej zbiera kolejne ofiary i robi się ich coraz więcej. Tu znajdują łatwy łup, a mimo to nie są zadowolone. Są jak wirus, chcą wydostać się z miasta i szerzyć chaos. Raz, wieki temu, udało im się to. Wtedy wysłano przeciw nim ludzi-strażników. Zdołali ich powstrzymać, ale kosztem wielu ofiar. Teraz do naszych obowiązków należy pilnowanie, by sytuacja się nie powtórzyła, a także ochrona mieszkańców tego miasta do chwili, gdy są już gotowi, aby stanąć przed obliczem Sędziego i odejść.

– Więc Malachi wykonywał swoje obowiązki, kiedy mnie uratował.

Ana potrząsnęła głową i znów popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Gdyby był szeregowym Strażnikiem, może. Ale Malachi jest naszym dowódcą. Musi patrzeć dalej, w przyszłość, widzieć szerszy obraz sytuacji i dokonywać trudnych wyborów, mając na względzie większe dobro. I jest w tym bardzo, bardzo dobry. Mimo to z jakiegoś powodu nie

chciał złożyć cię w ofierze. Wiedział, że albo zostaniesz opętana, albo zginiesz podczas jakiejś idiotycznej próby ucieczki, albo też będzie zmuszony spalić gniazdo z tobą w środku. Zdecydowanie nie chciał dopuścić do żadnej z tych sytuacji.

Mój żołądek zrobił dziwnego fikolka. Nigdy nie byłam dla nikogo warta takiego ryzyka.

– Ale dlaczego nie chciał, bym o tym wiedziała?

– Bo nie chciał, żebyś miała wyrzuty sumienia.

Gapiałam się na Anę, a kolejne kawałki układanki wskakiwały na miejsce.

– Bo za to, że nie odnalazł gniazda, inni płacą – wykrztusiłam, uświadamiając sobie konsekwencje wyboru Malachiego. Nie chciałam ponosić takiej odpowiedzialności. Miałam nadzieję, że nie żałował swojej decyzji. Spoglądając na portret Nadii, samotnej i bezbronnej, nie byłam do końca pewna, czy postąpił słusznie. Zeskoczyłam z pryczy i zaczęłam krążyć po pokoju.

Ana położyła mi rękę na ramieniu i nie zabrała jej, kiedy się cofnęłam. Zupełnie, jakby się tego spodziewała.

– Pamiętaj – ostrzegła mnie groźnie – obiecałaś, że nie zdradzisz, co ci powiedziałam.

– Nie zrobię tego. Ale po tym, co powiedziałaś, chciałabym ruszyć jak najszybciej.

Ana cofnęła dłoń.

– Ach tak, twoja przyjaciółka. Rozumiem, ale musimy poczekać na Malachiego. Niedługo przyjdzie i wtedy wyruszymy. – Usiadła na pryczy. – A skoro i tak czekamy... Ja ci zdradziłam kilka sekretów, teraz twoja kolej. To prawda, co mówił Malachi? Że opuściłaś Wieś i przyszedł tutaj, żeby wy dostać przyjaciółkę?

– Tak.

– Zdajesz sobie sprawę, jak głupio to dla mnie brzmi? Tam, na zewnątrz, jest ponoć niebo. Żadnych trosk, zagrożeń, cierpienia, żalów. Wszystko, czego potrzebujesz. Czemu miałabyś ryzykować, że stracisz to wszystko?

Wzruszyłam ramionami.

– Nadia posiadała wszystko, a mimo to nie zapomniała, jak być dobrym człowiekiem. Była łagodna, kochana i ...

– Tak, rozumiem, generalnie wspaniała. Ale i tak nie pojmuję...

Machnęłam ręką sfrustrowana.

– Dała mi przyszłość! Wcześniej, zanim ją poznałam, nie miałam żadnej przyszłości. Żyłam z dnia na dzień i to mi wystarczało. Nie wyobrażałam sobie, że mogłoby być inaczej. Ale ona pokazała mi, że to możliwe.

Ana oparła się o ścianę i skrzyżowała ramiona na piersiach. Nie potrafiłam odczytać jej miny, ale coś mi mówiło, że uderzyłam w czuły punkt. Przesunęłam ręką po rękawie, po tatuażu.

– Jak nie masz przyszłości, zachowujesz się zupełnie inaczej. Nie snujesz planów. Nie

podejmujesz prób. Po prostu... trwasz. Ona mi na to nie pozwalała. Popychała mnie, zadrdzała, marudziła. Czasami była piekielnie upierdliwa, ale nie pozwalała mi się poddawać. No i razem spędzałyśmy czas. Zabierała mnie w miejsca, w których nigdy wcześniej nie byłam. Śmiałyśmy się dużo. Nigdy z nikim się nie śmiałam. Z tym wszystkim życie wydawało się warte przeżycia, a przyszłość warta posiadania.

Otarłam twarz rękawem.

Kiedy odwróciłam się, Ana powiedziała cicho:

– Już rozumiem. Fajnie byłoby mieć przyszłość. – Odchrząknęła. – Malachi wspomniał, że miałeś sny i wizje o tym miejscu, jeszcze zanim umarłaś, ale powiedz, jak wiele widziałaś?

– Włóczyłam się tu w koszmarach przez prawie dwa lata. Ale niewiele wokół siebie widziałam. Jakbym błądziła we mgle.

Uniosła raptownie brwi.

– Byłaś duchem, tak? My ich nie widzimy, ale Mazikiny to potrafią. W gruncie rzeczy same są duchami, nawet gdy siedzą w czymś ciele. Pewnie dlatego mogą widzieć inne duchy, nawet te połączone z żyjącymi ludźmi. Kila lat temu widziałam to na własne oczy. Najstraszniejsza rzecz, jakiej byłam świadkiem. Mazikin głaskał powietrze i mówił, jakby ktoś tam stał. Namawiał tego ducha do pozostania, mówił, że jest doskonały, że powinien tu mieszkać, że tu będzie otoczony troską.

Zadrżałam na wspomnienie głosu Juriego, który sęczył mi do ucha te trujące słowa.

– Ten Mazikin był tak pochłonięty rozmową z duchem, że nawet nie zauważył, jak się podkradam. Poderżnęłam mu gardło. – Zawiesiła głos, na moment pogrążona we wspomnieniach, a potem znów skupiła się na mnie. – Zaraz, ale skoro podczas tych snów tak niewiele widziałaś, to skąd wiedziałaś o nożu Strażnika?

– Po śmierci Nadii moje sny się zmieniły. Widziałam wszystko jakby z jej perspektywy, ale ostro, jakbym nadal była sobą. Widziałam nad miastem kopułę mroku, widziałam Bramę Samobójców i Strażników. I widziałam, jak Mazikin próbuje pochwycić Nadię. Czekał, dlaczego niektóre z nich biegają na czterech kończynach?

– Te stare, tak? – zaśmiała się Ana. – Stare ciała są inne, nie poddają się tak dobrze opętaniu, dlatego biegają jak zwierzęta. Zawsze zastanawiałam się, czy prawdziwa forma Mazikinów nie przypomina bardziej zwierzęcej niż ludzkiej.

Wzdrygnęłam się.

– W jednej z wizji widziałam, jak Malachi zabija dwa Mazikiny i walczy z Ibramem. Nadia też tam była, obserwowała walkę z ukrycia. Malachi twierdzi, że to wydarzyło się w strefie Harag i dlatego tam idziemy.

Ana patrzyła na mnie zdumiona.

– Widziałaś to? Ale to było zaledwie tydzień temu.

– I czemu to takie dziwne?

– To znaczy, że nie jesteś tu dłużej niż tydzień. Kiedy ludzie przekraczają Bramę, zwykle są całkiem oszołomieni. Wiem to po sobie. Otrząsnęłam się szybciej niż inni, ale w pierwszym okresie byłam całkiem zagubiona... A ty nie, prawda? – Ana wypuściła głośno powietrze i potrząsnęła głową, jakby wreszcie uwierzyła. – To dlatego, że przyszedł tu z własnego wyboru. To musi być to. To znaczy rozumiem, dlaczego Nadia jest taka dla ciebie ważna, ale po prostu nie mieliśmy tu nikogo, kto przyszedłby z własnej woli, szukając kogoś bliskiego. Nic dziwnego, że Malachi jest tak tobą zafascynowany.

Z niewiadomych powodów uwaga Any przeszła mi pierś niczym nóż.

– Uhm – wychrypiałam. – Nic dziwnego.

Rozległo się głośne pukanie i Ana rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Pamiętaj, co mi obiecałaś.

Podskoczyła do drzwi i otworzyła.

Aż mnie zatchnęło, kiedy Malachi wszedł do pokoju. Miał na sobie czyste ubranie, najwyraźniej mundur – granatową dopasowaną koszulę i znoszone spodnie. Przez jego szeroką pierś biegł pas od torby, którą miał na plecach. Z dobiegających z niej klekotów i szczerku wywnioskowałam, że nosił w niej broń. Przygryzłam wargę i pochyliłam się, by zawiązać buty. Wyglądał naprawdę, naprawdę świetnie.

– Musimy zatrzymać się w pracowni Michaela i odebrać zbroję – powiedział do Any, a na mnie spojrzał z rezerwą. – Jesteś gotowa?

– Jak najbardziej! – odparłam z odrobiną przesadnym entuzjazmem.

Jeśli nawet zauważył moją nadaktywność, dał temu spokój.

– No, drogie panie, to w drogę.

Warsztat Michaela, zbrojmistrza, znajdował się na zachodnim krańcu Strażnicy, a prowadził doń długi, wyłożony marmurem korytarz oświetlony rzędami lamp gazowych wiszących na ozdobnych wysięgnikach. Malachi szedł przodem. Podeszwy jego butów skrzypiały na gładkiej, lśniącej posadzce.

Zerknął na mnie przez ramię.

– Nie przejmuj się Michaeliem. Taki już jest. Irytujący.

Ana prychnęła, ale nie skomentowała jego słów.

– Hm, Rafael, Michael... jest tu też gdzieś Gabriel? – zapytałam, zastanawiając się, czy wpadłam na jakiś trop.

Śmiech Any brzmiał odrobiną nerwowo.

– Nie, nie mamy tu obecnie żadnego Gabriela. A Michael to...

Malachi wykrzywił usta w uśmiešku.

– Jest specyficzny. Ale uwierz, ani teraz, ani nigdy wcześniej nie nosił aureoli.

Na końcu korytarza znajdowały się bogato rzeźbione drzwi, których pilnowali dwaj Strażnicy.

– Gazu, Sofian. – Malachi powitał każdego skinieniem. Odpowiedzieli tym samym i otworzyli przed nami drzwi.

– Od rana jest w świetnej formie, kapitanie – mruknął Sofian ostrzegawczo. Z pomieszczenia dobiegł nas chropawy głos:

– To ty, Malachi? Właż, ty cholerny cendapie – zrzędził ktoś z głębi.

– Jak on cię nazwał? – szepnęłam, rozglądając się wokół.

– W wolnym tłumaczeniu, idioto – odszepnęła Malachi, a Ana ponownie prychnęła.

Pomieszczenie wcale nie było maleńkim, staroświeckim warsztacikiem, jakiego się spodziewałam. Miałam pewnie w głowie utrwalone wyobrażenie pracowni świętego Mikołaja. Królestwo Michaela przypominało raczej fabrykę, gigantyczną halę produkcyjną zakładu metalurgicznego. Przed nami ciągnęły się rzędy półek uginających się od różnego rodzaju narzędzi mordy. Znajdującymi się na nich bulatami można by wyposażać całą armię. Wybór noży oszałamiał. Były krótkie, długie, zakrzywione, ząbkowane i takie z kolcami, albo innymi zadziorami. Poza tym całe stopy zbroi.

– Skąd tyle metalu? – zdziwiłam się.

– Tego nie wie nikt poza Michaeliem – odpowiedziała Ana.

– Malachi! Ty nędzny mądziolo, co za kapiszon traktuje tak okropnie tak piękną broń! – Michaelowi udało się przekrzywić ostrą, zgrzytliwą dźwięk, tak dokuczliwy, że aż się skrzywiłam i zakryłam uszy.

Malachi zamknął oczy, jakby modlił się o cierpliwość, i ruszył na tył warsztatu wzdłuż regału pełnego shurikenów.

Musiałam zapytać:

– Jak tym razem cię nazwał?

Malachi lypnął na mnie z ukosa i przewrócił oczami.

– Tak, jak wcześniej, idiotą. Zakręcił się ostatnio na brytyjski slang.

– Uwierz – odezwała się Ana. – To i tak lepiej niż przekleństwa po chińsku. Przez dwa lata wyzywał nas od huaidan i kuaxiawu. Ale najgorzej było, jak uczeplił się...

– Rosyjskiego – powiedzieli jednocześnie.

Michael stał przy kowadlu, dzierżąc w dłoni rozgrzany do czerwoności metalowy pręt. Był niesamowicie, zdumiewająco, przytłaczająco gruby. Przez chwilę zastanawiałam się, jak ktoś o takiej tuszy może poruszać się z taką łatwością. I jakim cudem udaje mu się uniknąć oparzenia tych wałków tłuszczu zwisających z kończyn, brzuszyska i podbródka. Obserwowałam pot

splywający z gór i dolin i zaczęłam postrzegać jego ruchy jako rodzaj pełnego gracji baletu. Im dłużej patrzyłam, tym piękniejszy się zdawał. Przypomnił mi się cudowny uśmiech Rafaela i o tym właśnie myślałam, kiedy Michael zauważył mnie po raz pierwszy.

Jego uśmiech był... nie tak cudowny.

– No, niech mnie kule biją – powiedział z leniwym zachwytem, na dźwięk którego Malachi zrobił pół kroku, zasłaniając mnie trochę. Michael pochylił się, żeby lepiej mnie zobaczyć, a ja ledwie oparłam się pokusie zasłonięcia się Malachim jak ludzką tarczą.

– Michaelu, to Lela, jak się pewnie domyślasz. Masz już dla niej tę zbroję?

Michael uniósł brwi.

– Bęczał. Wysiłiłbym się bardziej, gdybyś mi ją przyprowadził wczoraj. Natchnienie, rozumiesz.

Malachi wydał dźwięk, jakby miał zamiar warknąć, ale w ostatniej chwili zmitygował się i odchrząknął.

– Spiesz nam się trochę, więc jeśli możesz... – Odwrócił się, szukając wsparcia u Any, ale ta odeszła kilka regałów dalej i oglądała zestaw wyjątkowo ostrych noży.

Michael machnął poczerniałym już prętem.

– Wstrzymaj konie, barania głowo. Właśnie zrobiłem ci piąty kij i szósty raz w tym miesiącu przekulem twój bułat. Do tego ósmy komplet noży. Jakim cudem je tak wyginasz? Za mocno nimi rzucasz. I nawoskowałem ci trzecią zbroję! Następnym razem mógłbyś słabiej się wykrwawiać. Bezmyślny cap. Nie poganiaj mnie, pozwól docenić widoki. Mam dość twojej żalostnej gęby.

Zagryzłam wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, i w nadziei, że odrobina kobiecego czaru przyspieszy całą procedurę, wyszłam z za Malachiego.

– Miło cię poznać, Michaelu. Masz niesamowity talent, a twoja wydajność... Rany. Chyba nigdy nie odpoczywaś.

Michael wyszczerzył do mnie poszarzałe zęby i wskazał mnie końcem kija, który akurat obrabiał.

– Nareszcie ktoś, kto mnie docenia. Masz rację, kochana. Pracuję całymi dniami. I nocami. – Uczynił niepokojąco dziwaczny ruch, który mógł być wypchnięciem bioder, a przypominał bardziej burzenie fal oceanu. Patrzyłam jak zahipnotyzowana. Choć pewnie nie do końca zgodnie z jego intencjami.

Kątem oka ujrzałam, jak mięśnie na szczęce Malachiego zaczynają drgać. On niewątpliwie zinterpretował ruch Michaela zgodnie z intencjami zbrojmistrza i nie był tym zachwycony. Ale póki Michael trzymał swoje narzędzia i osobę na dystans, uznałam, że mogę mu posłodzić – o ile da nam to, po co przyszliśmy.

– Nie mów. – Uniosłam brew w eksperymentalnie uwodzicielskiej minie. Wydawał się łatwym celem. – Wobec tego jestem bardzo ciekawa, co masz dla mnie. Pokażesz?

Mięśnie na szczękach Malachiego przestały drgać, bo teraz usta miał niemądrze otwarte. Zerknęłam na niego, ale musiałam szybko odwrócić wzrok w obawie, że parsknę śmiechem.

Michael też wydawał się nieco zbity z tropu.

– Eee, cholewcia. Eee... Jest tam. Zamknij paszczę, głąbie – warknął, dostrzegając głupią minę Malachiego. – Panno Lelo, proszę za mną do biura. – Powiedział znów czarująco i wskazał drogę wzdłuż rzędu stojaków na broje.

– Poprosiłem Michaela, żeby zmodyfikował formę, której używa dla Any – powiedział Malachi.

– I nie żartowałeś z kształtami. Są imponujące – zagruchał Michael, wodząc wzrokiem po moim ciele. Okrągłymi oczami spjrzałam na Malachiego, który schował twarz w dłoń. Gdyby nie miał aż tak krótkich włosów, pewnie rwałby je teraz z głowy.

Brzuch zaczął mnie boleć od powstrzymywania się od śmiechu.

– Świetnie, Michaelu, może więc sprawdzimy, czy Malachi odpowiednio opisał rozmiar mojego biustu.

Malachi wydał zdławiony jęk i podążył za nami do stojaka, na którym wisiał czarny skórzany uniform. Przez chwilę gapiłam się bez słowa. Skóra, sprzączki.

*I teraz zacznie się moja kariera dominy.*

Michael zdjął pancerz z wieszaka.

– Dwanaście uncji na stopę kwadratową czystego kobiecego piękna – czulił się, gładząc front pancerza w sposób, na widok którego zapragnęłam się wykąpać w wybielaczu. Spanikowałam, widząc, jak rozpina klamerki i zaczyna się do mnie zbliżać. Na szczęście Malachi wyminął mnie i wyrwał mu pancerz z rąk.

Michael wymamrotał coś w rodzaju „dupek”, ale nie protestował.

– Na początku będzie trochę sztywny – wyjaśnił Malachi i podniósł broję, spoglądając mi w oczy, jakby chciał się upewnić, że zgodzę się na jego pomoc. Pozwoliłam mu ułożyć odpowiednio przód i tył pancerza, podnosząc tylko warkocz, żeby nie przeszkadzał. Malachi wprawnymi palcami zapiął małe sprzączki. Pancerz sięgał mi do bioder, a na dole rozszerzał się lekko, żeby nie krępować ruchów. Całość przypominała gorset, z tym, że nie była obcisła. Przeciwnie, pancerz pasował tak idealnie, że aż się zarumieniłam.

– Byłeś niezwykle dokładny – wymamrotałam. – Dobra robota.

– Ochroni cię przed większością ciosów noża i bułata – odpowiedział nieco ochryple. Czy naprawdę widziałam ten lekki rumieniec na policzkach?

Coś czarnego przeleciało przez pomieszczenie, trafiając Malachiego w głowę. Zamarł na

moment, kompletnie osłupiały.

– Obudź się, pacanie! – wrzasnął Michael.

– Łał! – roześmiała się Ana, wybiegając spomiędzy regałów z trzema nowymi nożami. – Ktoś zaskoczył Malachiego! Ostatnio zdarzyło się to chyba parę dziesięcioleci temu.

Malachiemu udało się uchylić przed kolejnym pociskiem i złapać dwa następne. Pociski okazały się nagolennikami i karwaszami. Ignorując docinki, znów spojrzął na mnie pytająco, zanim pomógł je założyć.

– Jak wyglądam? – zapytałam, napinając bicepsy i poruszając brwiami. Cieszyłam, że nigdzie w pobliżu nie ma lustra, pewna, że wyglądam, jak mądzioł. Albo kapiszon. Albo bęcwał. Tak, jeden z tych.

– Czegoś ci brakuje – odpowiedziała Ana, podając mi pas. Sama mi go zapięła, a potem przytroczyła palkę. – Teraz wyglądasz ślicznie. Wygląda ślicznie, prawda, chłopcy?

Malachi był pochłonięty rozmieszczaniem własnej broni i nawet nie podniósł głowy. Sama nie wiedziałam, czy poczułam rozczarowanie, czy też ulgę.

– Ach, nikt nie jest piękniejszy od ciebie, Ano, ale ujdzie – zagrzmiał Michael, chociaż wbrew słowom przez chwilę wyraźnie nie mógł oderwać ode mnie oczu. Kiedy mu się to udało, zauważył nowe zdobycze Any. – Pewnie chcesz je ze sobą zabrać?

– Wiesz, Michael, że dziewczyny lubią świecidełka. – Ana kusząco poruszyła biodrami i z niezwykłym wdziękiem schowała noże do pochew. Michael wzdrygnął się, aż zadygotała podłoga.

– Dziękujemy ci za pomoc, Michaelu – powiedział Malachi oficjalnym tonem. – Jak zwykle, wspaniale się spisałeś. –

Malachi założył zbroję, a na nią torbę. Wyglądał... To nie fair. Z trudem przelknęłam ślinę. Wyglądał niesamowicie, a ja jak mądzioł.

Michael najwyraźniej nie podzielał mojego zachwytu.

– Postaraj się tym razem nie zapaprać tego wszystkiego. I przynieś choć część w jednym kawałku.

– Będę się starał. Jak zwykle. Ale nie chcemy, żebyś się zanudził. Znasz to powiedzenie – beczynne ręce są warsztatem diabła.

Michael podniósł ręce i zaczął przebieierać palcami, puszczając do mnie przy tym oko.

– Nie martw się o moje beczynne ręce, chłopcze.

Uf, byłam kilka razy w kościele, ale nigdy nie słyszałam, żeby ktoś opisywał Michaela jako opasłego zbereźnika posługującego się kuchenną laciną. Mimo to był komiczny. Odmrugnęłam do niego. Malachi złapał mnie za rękę i powlókł pomiędzy regałami.

– Nie podpuszczaj go, proszę – wymamrotał.



## SIEDEMNASTY

Malachi oznajmił mi, że do centrum miasta dotrzemy około południa. Nie byłam w stanie stwierdzić, która jest godzina, bo jak zwykle panował mrok. Otaczały nas budynki zupełnie do siebie niepasujące i takie same smutne twarze.

Po mieście krążyły dwuosobowe patrole Strażników. Ich rozjarzone oczy przeczesywały tłum. Kiedy mijaliśmy ich, stawali na baczność i czekali na reakcję Malachiego. Dla mnie wszyscy Strażnicy wyglądali tak samo, ale on znał każdego z imienia. Zwykle witał ich skinieniem głowy albo wydawał parę instrukcji, i odsyłał w dalszą drogę. Jeden z napotkanych Strażników uśmiechnął się na mój widok oblesnie i powiedział:

– Widzę, że wypuścił się pan z jedną w miasto, kapitanie.

Na widok miny Malachiego cofnął się jednak i wyprężył. Zerknęłam pytająco na Anę, ale ona wpatrywała się w Strażnika z taką samą groźną intensywnością. Kiedy zapytałam, dlaczego nie wzięliśmy ze sobą kilku Strażników, odpowiedziała:

– Bo to nie jest oficjalna misja, prawda, kapitanie?

Malachi zignorował ją i szedł dalej.

Próbowałam zabić czas i napięcie, zadając pytania.

– Czemu nie macie telefonów i tym podobnych rzeczy?

– Nie zostaliśmy w nie wyposażeni – odparł Malachi. – Strażnicy otrzymują rysztunek od Michaela, a inne niezbędne rzeczy od Rafaela. Nie otrzymaliśmy telefonów.

Uśmiechnęłam na myśl, jak usiłuje rozgryźć komórkę.

– Ale mówiliście, że można tu wyhodować nawet całe budynki, dlaczego więc nie wyhodujecie sobie czegoś tak małego jak telefon? – Po cichu zaczęłam się zastanawiać, czy też bym tak mogła.

– Strażnicy nie tworzą dla siebie niczego – rzekła Ana. – To byłoby odebrane jako pogwałcenie regulaminu. Posiadamy pewne przywileje, na przykład możemy wchodzić do zajętych mieszkań, ale mamy też zasady.

– Nie kusilo was, żeby spróbować?

Malachi sapnął znicierpliwiony.

– Łatwo zwalczyć pokusę, jeśli ma się wybór pomiędzy telefonem a możliwością wcześniejszego odejścia na Wieś. – Zatrzymał się i odwrócił do mnie. – Kiedy nadejdzie twój

czas, chciałbym, żebyś mogła swobodnie odejść.

– Poważnie? Nie mówię przecież o luksusowej rezydencji tylko o zwykłym telefonie. Przecież to by ułatwiło życie tutaj, prawda?

Ana trąciła mnie ramieniem.

– Skoro myślisz, że życie tutaj powinno być łatwe, to może jednak nie jesteś gotowa odejść.

– Wystarczy, Ano – zbeształ ją Malachi, potem odwrócił się na pięcie i ruszył naprzód. – I, Lelo, telefon to żaden problem. Gdyby tylko tutejsi mieszkańcy chcieli się ze sobą kontaktować. A nawet jeśli któryś by zechciał, to do kogo miałby zadzwonić?

Nie umiałam odpowiedzieć. Przepływała obok nas niekończąca się rzeka ludzi o szklistych spojrzeń, wpatrzonych wyłącznie w ziemię pod nogami. Jedna kobieta siedziała na krawężniku w otoczeniu stosów butów. Na moich oczach na jej bosych stopach wyrosły oślizgłe szpilki. Kobieta zdjęła je, rzuciła na stos i pochylila się, wpatrując znowu w stopy.

Potrząsnęłam głową.

– A samochody? Komputery? Telewizory?

– Mamy telewizory. Są w każdym mieszkaniu – rzekła Ana. – Ludzie gapią się w nie tak samo, jak się obżerają. Sama czasem oglądam. Nie ma tu zbyt wielu rozrywek. Składnice KSIĄŻEK są beznadziejne. Druk jest za mały, no i nie znoszę wampirów.

Malachi poparł ją skinieniem głowy.

– Jeśli chodzi o samochody, to chyba nikt ich tu nie potrzebuje. Ludzie kręcą się po okolicy zaraz po przybyciu, ale jak już osiadą w jakimś miejscu, pozostają tam. Wszystko mają w obrębie jednej czy dwóch przecznic. Niektórzy nawet w ogóle nie wychodzą z mieszkań. Poza Strażnikami tylko Mazikiny poruszają się po większych obszarach miasta, ale ponieważ one nie są jego częścią, dzięki Bogu, nic dla nich nie rośnie. A komputery, wybaczyć, ale co to są te komputery?

Ana zaśmiała się i dała Malachiemu żartobliwego kuksańca.

– To coś jak ogromne kalkulatory, staruszku – popatrzyła na mnie z rozbawieniem. – Po co komu coś takiego? Ach, może jakiś księgowy... Mamy ich tu całkiem sporo. Ale nie, zauważylibyśmy, gdyby czyjeś mieszkanie było załadowane obwodami drukowanymi.

Malachi uśmiechnął się i wiedziałam, że zrozumiał, w czym rzecz. Ponadto serce zabiło mi mocniej.

– Coś mi mówi, że czasy się zmieniły, Ano.

– Uhm – potwierdziłam, gapiąc się wciąż na jego usta. – Nie zdziwiłabym się, gdybyście w niedalekiej przyszłości natrafili na coś takiego. Jeśli waszym zdaniem ludzie gapią się bez końca w telewizor, zczekajcie, aż zobaczycie Internet.

Ana wzruszyła ramionami.

– Cokolwiek to jest, pewnie nie działałoby poprawnie, jak wszystko tutaj.

Kiedy weszliśmy do centrum, zadarłam głowę, żeby sprawdzić wysokość tutejszych budynków. Nieomal czułam, jak oddychają, starzeją się, a mimo to nadal rosną napędzane pragnieniami i ambicjami ludzi, którzy sami nie wiedzą, czego chcą. W tym momencie porzuciłam plan stworzenia iPoda.

Centrum zamieszkiwali ci, którzy nie mieli ochoty sięgać myślami ponad to, czego pragnęli. Niektórzy żyli tu od wieków, a budynki wokół nich rosły, nawarstwiały się niczym tkanka na zablizniającej się ranie. Ana opowiadała, że podczas patroli widywała ludzi targających sterty śmieci do swoich wieżowców. Tutejsi mieszkańcy gotowi byli bronić swych skarbów po wsze czasy. Gromadzili rzeczy tak długo, aż nie mogli już wychodzić ze swoich mieszkań. Pozostawiali tam uwięzieni, pogrzebani pod tonami przedmiotów pożądania, usiłując zapchać pustkę, która na samym początku skłoniła ich do ucieczki od życia. A czym Nadia chciała zappełnić tę pustkę?

Od dłuższego czasu szliśmy w milczeniu pomiędzy drapaczami chmur tak wysokimi, że zdawały się łączyć gdzieś ponad naszymi głowami, zamykać nas pomiędzy sobą. Rozmieszczone wzdłuż chodników lampy stały w coraz większych odstępach i dawały coraz mniej światła.

Kilka razy potknęłam się na nierównym chodniku. Szłam już prawie po omacku.

– Rany, widzicie coś w ogóle? Nie obawiacie się, że Mazikiny się do nas podkradną w tej ciemnicy?

– Po pierwsze, dzięki za wiarę w nasze możliwości – zaśmiała się Ana. – A po drugie, to nie, nie ma się czego obawiać. Mazikiny omijają centrum szerokim łukiem. To za dużo, jak dla nich. Szczególnie dla nich.

Wytężyłam wzrok, żeby zobaczyć, co leży przed nami, ale widziałam tylko zupełną czerń.

– Nie wyglądają na takich, którzy boją się ciemności.

Malachi powstrzymał mnie przed kolejnym krokiem.

– To nie ciemność, Lela. Tylko to. Tuż przed nami. Mroczna wieża. Wyciągnij rękę.

Posłuchałam go i zaraz cofnęłam dłoń jak oparzona. Trudno powiedzieć, skąd to koszarne uczucie, ale dotykanie budynku wydawało się instynktownie, przytłaczająco, w najwyższym stopniu złe. Spojrzałam pytająco na Malachiego i mimo ciemności ujrzałam żal malujący się na jego twarzy.

– Musimy przez niego przejść – wyjaśnił. – Nie da się go obejść. Próbowaliśmy. Inni Strażnicy nie mają z tym problemu, ale nam, ludziom jest... trudniej.

Patrzyłam na niego zupełnie pustym wzrokiem. Nie pojmowałam, o czym mówi. Jak to, nie można obejść budynku? Cały dzień w końcu obchodziliśmy jakieś budynki.

– Ale... – Wskazałam na koniec ściany.

Malachi gestem dał mi znak, żebym spróbowała. Poszłam w stronę końca ściany, ale ta

rozciągała się i zakrzywiała, blokując przejście.

– Jak to możliwe?

Malachi westchnął.

– Wieża stoi w samym środku miasta. Prawdopodobnie została stworzona razem z tym miejscem. Wznosi się pośród całego tego nieszczęścia, pośród tych zagubionych ludzi. A skoro budynki mogą rosnąć dzięki pragnieniom ludzi, czemu by jeden z nich nie mógł powstać z ich lęków? To rodzaj wiru przenoszącego uczucia i wspomnienia...

– Powiedz to jasno i wyraźnie, Malachi – warknęła Ana. – Przejście przez ten budynek jest koszmarne. Będziesz się czuła okropnie, Lela, naprawdę strasznie. Ale musisz iść, nie wolno ci się zatrzymywać. Bez względu na to, co poczujesz, co sobie przypominisz, nie wolno ci się zatrzymać. To nie tak daleko.

Spoglądałam to na nią, to na Malachiego. Powinna zauważyć zmianę, jaka zaszła w nich podczas ostatnich godzin naszej wędrówki. Ana sprawiała wrażenie oszalałej, wręcz śmiertelnie zdeterminowanej. A Malachi był chorobliwie błądy i spocony.

Chciałam go wziąć za rękę, pocieszyć. Poczułam się jednak głupio, że w ogóle przyszło mi coś takiego do głowy, bo nagle Malachi wyprostował ramiona i uniosł brodę, skupiając wzrok na niskim, prostokątnym wejściu do budynku. Tak, chciałam go podnieść na duchu, ale pragnęłam też, żeby wziął mnie na ręce i przeniósł na drugą stronę tego okropnego miejsca.

Odwrócił się do mnie.

– Możemy zawrócić i obejść całe centrum, tylko zajmie to ze dwa dni. Dlatego wybraliśmy tę drogę. Ale jeśli chcesz, zawrócimy. Nie musimy przez to przechodzić. Żałuję, że ci wcześniej nie powiedziałem. Po prostu nie chciałem...

– Cię wystraszyć – dokończyła Ana, doskonale naśladowując jego akcent.

Malachi zamilkł i rzucił jej miazdzące spojrzenie, ale nie uległa.

– Malachi, spójrz wreszcie prawdzie w oczy. Ona nie jest małą dziewczynką. Ona...

– Stoi tutaj obok – przerwałam jej rozszłoszczona. – I spotka się z wami po drugiej stronie. – Wmaszerowałam do mrocznej wieży, chcąc mieć to za sobą, zanim lęk wypłynie na wierzch i zacznie mnie dusić.

Zanim drzwi zatrzasnęły się z hukiem, usłyszałam jeszcze jak Malachi woła mnie po imieniu.

# OSIEMNASTY

Wydało mi się, że w mieście panuje cisza, ale wcześniej nie rozumiałam, co to naprawdę znaczy – panuje cisza. Kiedy zrobiłam kilka kroków w przepastnym holu, pomyślałam, że tak właśnie musi czuć się człowiek głuchy. Zachwiałam się, a podeszwy moich butów nie wydały najmniejszego dźwięku. Uklękałam, żeby wziąć się w garść.

I natychmiast musiałam powstrzymać odruch wymiotny. Kiedy palcami dotknęłam podłogi, zrozumiałam, dlaczego tak trudno mi utrzymać równowagę – była miękka i oślizgła, jak coś żywego. Szybko podniosłam się i z obrzydzeniem otarłam dłonie o spodnie.

Idąc za wskazówkami Any, ruszyłam w głąb budynku. Przemknęła mi myśl, żeby poczekać na tamtych, ale gdy spojrzałam przez ramię, w ścianie nie było żadnych drzwi.

Gładka powierzchnia pulsowała, drżąc lekko.

*Kolejna dziwna dziwaczność. Idź naprzód. Nie zatrzymuj się, nie świruj.*

Powietrze było ciepłe, wilgotne, duszne. Oblepiało skórę, osiadało na języku, kwaśne i ohydne.

Nagle skojarzyłam ten zapach.

Spuściłam głowę i otoczyłam się ramionami, usiłując nie stracić panowania. Serce tłukło mi się w piersi boleśnie. Pomieszczenie wypełniał zapach Ricka. Jego oddech – przetrawione piwo i papierosy. Zapach jego skóry – stary pot i benzyna.

*Idź dalej, Lela, to nie jest prawdziwe.*

Potknęłam się, paznokcie wbiły mi się w dłonie. Przestałam walczyć z torsjami, które szarpały mną co kilka kroków.

Kiedy poczułam dotyk jego rąk, okręciłam się, straciłam równowagę i upadłam na plecy. Spojrzałam na siebie. Zbroja i buty zniknęły, zastąpione przez kusą, obcisłą koszulkę, którą Rick kazał zakładać mi na noc. Był tu. Znow zamierzał mnie skrzywdzić. Krzyknęłam w bezrozumnej grozie.

*Nie, nie, przekonywałam się w duchu. To nie dzieje się naprawdę.*

Chwilę poświęciłam na opanowanie się. Wytężyłam wzrok, usiłując dojrzeć dziwne rzeźbienia na suficie słabo oświetlonego lobby.

Poruszały się, cienie falowały. A jeśli rzucą się na mnie?

Nogi ślizgały mi się, kiedy usiłowałam znaleźć oparcie na oślizgłej podłodze.

*Oddychaj. Wstawaj. Wstawaj.*

Przestałam się miotać, zmusiłam się do wykonywania bardziej skoordynowanych ruchów. Powoli przekręciłam się na brzuch i podniosłam na czworaka. Cała byłam we krwi i śluzie.

Usiadłam, gorączkowo wycierając ręce i rozpaczliwie starając się pozbyć odrażającej mazi. Ale wspomnienia zwiślały ze mnie lepkiemi sznurami. Zaplątały się w palce, opłotły ręce. Nie mogłam pozbyć się tego zapachu.

A potem poczułam jego ciężar na plecach, wgniatający mnie w różową pościel, poczułam, jak wykręca mi ramiona, jak wciska moją twarz w poduszkę.

*To nie jest rzeczywiste*, powtarzałam niczym mantrę, z trudem gramoląc się w parnym powietrzu. Podniosłam się wreszcie, ale drżałam i szczękałam zębami. *Nie zatrzymuj się*. Ledwie unosiłam stopy, ślizgające się na mięsistej podłodze. Pomiędzy palcami przeciskała się galaretowata wydzielina.

*Nie dam się pokonać. Wspomnienia mnie nie zabiją. Jestem od nich silniejsza. Zacisnęłam zęby. Jestem od nich silniejsza i dlatego tu przyszedłam.*

Szłam naprzód, sztywna, stawiając opór jego napierającym rękom, jego ciału. Ach, Matko Święta, tak bardzo chciałam rzucić się na niego, jak tamtej nocy, kiedy wreszcie zaczęłam się bronić. Pragnęłam uderzyć go w twarz, kopać, ranić, zadawać ból. Czułam skurcze mięśni napiętych do granic wytrzymałości, gotowych do walki. Ale jego tam nie było, a jeśli poddałabym się odruchowi, straciłabym równowagę i znów upadła w maż. Idź. Już raz pokonałaś tego demona.

Głos Ricka powalił mnie na kolana. „To twoja wina, sama obnosiłaś te swoje wdzięki przede mną. Zamknij się, mała suko”.

Głos Ricka nie milkł ani na chwilę, przypominał mi te wszystkie powody, dla których na to zasłużyłam. I powody, dla których nikomu nigdy o tym nie powiem. I powody, dla których sama się o to prosiłam. I dlatego nikogo to nie obejdzie, bo jestem śmieciem, dziewczyną jednorazowego użytku.

Zacisnęłam palce na miękkiej podłodze. Zaczęła krwawić.

Głos Ricka stawał się coraz głośniejszy. Rozbrzmiewał w mojej głowie. Rick był ze mną.

Ścisnęłam głowę rękoma, wrywając przy tym włosy.

Musiłam go stamtąd wyciągnąć.

*Rozejrzyj się, znajdź wyjście*, rozległ się nagle inny głos. Głos Malachiego.

Zamarłam, usiłując przebić wzrokiem ciemność. Wszedł za mną? Przyszedł po mnie?

Nie, byłam sama. A jednak uczepliłam się rozpaczliwie tego głosu. Ból rozsadzający czaszkę zelżał nieco. Wystarczająco, bym wstała, dla równowagi rozkładając szeroko ręce.

*Znajdź wyjście. Nie przestawaj iść. To nie dzieje się naprawdę.*

Zrobiło się gorzej. Czułam każdy dotyk, każde popchnięcie, uszczyplenie, pochwycenie, uścisk, wykręcenie. Udało mi się przejść kilka kroków, zanim upadłam, zdumiona, że głowa mi się nie rozpadła. *Nie dam rady. Nie zniosę tego.*

Dasz radę, wyszeptał Malachi. Jego głos przedarł się przez mdlące pulsowanie w mojej czaszce. *To nie dzieje się naprawdę. Jesteś silna. Wstań. Już prawie ci się udało.*

Zawylałam znowu, tym razem z wściekłości – to był okrzyk bitewny. Podniosłam się, wbijając pięty w śliską skórę budynku.

Przy każdym kroku powtarzałam sobie: *Jestem silna.*

Przy każdym oddechu recytowałam: *To nie dzieje się naprawdę.*

Góra. Dół. Wciągnąć. Wypuścić.

Kiedy głos mnie zawodził i zaciskało się gardło, głos Malachiego podejmował wątek, kończąc zdania, dodając brakujące słowa.

Ale z każdym krokiem coraz więcej tkanki budynku przyklejało mi się do stóp. Coraz trudniej było je unosić.

Podłoga ciągnęła mnie w dół, wchłaniała, pożerała, trawiła. Chciałam się poddać. Nagle zrodziła się we mnie pewność, że jeśli przestanę walczyć, wszystko ustanie. Jeśli nie będę się opierała, będę mogła leżeć już na zawsze pogrzebana w ciszy.

Ten straszny budynek dawał mi wybór: koszmar skończy się, jeśli położę się, oddam mu się. Kusilo mnie to, byłam zmęczona. I wydawało się, że atak, który nie był już tylko wspomnieniem, nigdy się nie skończy. Nie wiedziałam, ile jeszcze zniosę, nie załamując się całkowicie. Pragnęłam odpoczynku. Snu.

Końca tego wszystkiego.

Przepełniona tym pragnieniem rozejrzałam się po ścianach, podłodze, suficie... Zobaczyłam ludzi, tysiące ludzi splecionych ze sobą, z zamkniętymi oczami, odpoczywających. Płatanina pleców, torsów, rąk, nóg i włosów. To oni tworzyli miękką powierzchnię pod moimi stopami, połączeni i obleczeni gładką, lepką błoną. To oni byli falującymi na suficie cieniami. Dzięki nim ten budynek był tak ogromny. Byli jego zdobyczami, pożywieniem, szkieletem. Śpiący snem wiecznym, bez cierpienia, bez... niczego.

Ten widok wcale mnie nie przeraził, wręcz pociągał. Ogarnęła mnie senność. Opadłam na kolano, pragnąc się jej poddać. Serce zwolniło rytm, gotowe ustać na zawsze.

*Nie poddawaj się, błagał głos Malachiego łamiący się z rozpaczy. Proszę, nie poddawaj się. Jestem tuż za drzwiami. Chcę cię zobaczyć. Muszę cię znowu ujrzeć. Proszę.*

Tyle było trzeba, żebym odnalazła siły, by podnieść się raz jeszcze. Sama myśl o tym, że Malachi może mnie potrzebować. Wystarczyło tylko iść naprzód, żeby go zobaczyć... Uderzyłam o coś twardego.

Drzwi.

Otworzyłam je jednym szarpnięciem i wypadłam na zewnątrz, odrętwiała, spazmatycznie chwytając powietrze.

Malachi złapał mnie w objęcia i przeniósł z dala od paszczy budynku. Usiadł na krawężniku i przytulił mnie do piersi. Nie miał na sobie zbroi. Jego zapach – czystości i skórzanego pancerza – wypełnił mi nozdrza, tłumiąc obrzydliwy smród Ricka. Wciągnęłam głęboko powietrze, nie mogłam się go nawąchać.

Malachi przesunął dłońmi po moim ciele i nagle uświadomiłam sobie, że nie mam na sobie tej potwornej koszuli nocnej, tylko uniform Straży. Ubranie i broń były czyste i nietknięte. Myślałam, że jestem pokryta mazią z budynku, ale nie, byłam całkiem sucha.

Malachi jęknął i dotknął moich palców. W milczeniu zdjął z nich zaplątane pasma długich, kręconych włosów. Opuszkami powiódł po nabiegłych krwią ranach, które pozostawiły moje własne paznokcie. Wreszcie ujął w dłoń moją twarz i obrócił ją ku sobie.

Wpatrywałam się w niego, tonąc w czarnobrazowych studniach jego oczu. Wypełniała je troska. O mnie. Nie potrafię opisać, co to dla mnie znaczyło. O mało nie rozplakałam się, ostatnim wysiłkiem woli udało mi się skupić na zlodowaciałych, pobielających palcach.

Malachi patrzył na mnie uważnie, jakby sprawdzał, czy jestem sobą.

– Słyszysz mnie? Nic ci nie jest?

– Co za syf – wybelkotałam chrapliwie.

– Tak, można to tak określić. – Przytulił mnie mocniej. Wspaniałe uczucie.

Po restarcie mój mózg zaczął znów działać, mogłam więc przetwarzać to, co widziałam. Malachi był bardzo blady.

– A ty? Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku. Przechodziłem przez to setki razy, więc nie było tak źle jak kiedyś. Przedostałem się całkiem szybko. Ale pierwszych kilka razy myślałem, że nie dam rady.

– Jak udało ci się mnie minąć? Przecież weszłam pierwsza.

– Pewnie przeszedłem obok ciebie, nawet nie wiedząc, kiedy. Tam każdy jest sam, wydany na pastwę walki z najgorszymi wspomnieniami. To dlatego Mazikiny boją się tego miejsca. Nie są w stanie znieść własnych wspomnień i tych należących do byłych właścicieli ciał. Nie udaje im się przejść.

Popatrzyłam na złowieszczą sylwetkę wieży, wyobrażając sobie, co Malachi mógł zobaczyć, przechodząc przez budynek. Dla mnie Holokaust był tylko historią, dla niego wspomnieniem.

Objęłam go i wtuliłam twarz w jego szyję, żalując, że nie potrafię odegnąć jego demonów, ochronić go. Czułam na policzku jego szybki puls, słyszałam urywany oddech.

Zamarł na moment, ale potem położył mi dłoń na potylicy, i trzymał mnie tak, uspokajając. A może uspokajając siebie.

– Zaczynałem się martwić – powiedział. – Wszedłem za tobą. Wołałem cię, żebyś wróciła, żebym mógł ci więcej wytłumaczyć, ale już zniknęłaś. Wybacz, że nie powiedziałem ci



wszystkiego wcześniej. Powinienem cię zatrzymać, kiedy pobiegłaś do drzwi. – Drżał, wciągając powietrze. – Długo tam byłaś.

– Prawie się poddałam. Widziałam... – Nie chciałam mówić mu, co widziałam.

Glaskał mnie przez chwilę po włosach, ale nagle przestał, jakby posunął się za daleko. Cofnął rękę.

– Wiem, co widziałaś. Niektórzy nie są w stanie doświadczyć ponownie najgorszych chwil swojego życia. Kładą się, poddają. Budynek...

– Pożera ich?

– Tak. – Popatrzył na mnie. – Ale to chyba nie sprawia im bólu.

– Nie, wyglądało to jak... niebyt. Jakby nie istnieli. Przez chwilę i mnie to kusilo. Pragnęłam, żeby wszystko ustało. Ale potem usłyszałam twój głos. – Urwałam, na widok jego uniesionych brwi. – Nie mówiłeś do mnie?

Pokręcił głową.

– Słyszałaś mój głos? Jesteś pewna, że mój?

– Tak. Dzięki temu dotarłam na drugą stronę. Powtarzałeś, żebym szła dalej. I... – Znowu urwałam, niepewna, czy powiedzieć więcej, skoro wyglądało na to, że wszystko sobie wyobraziłam.

Zadrżał.

– Nieważne – powiedziałam szybko. – Na pewno nic ci nie jest?

– Nie, teraz, gdy już tu jesteś, czuję się zdecydowanie lepiej. Chyba powinienem czuć się zaszczycony, że to mój głos pomógł ci przez to przejść.

Spuściłam głowę zakłopotana.

– Uhm, jasne. – Rozejrzałam się wokół. – A gdzie Ana?

– Zawsze przebiega przez budynek, a potem potrzebuje dłuższej chwili, żeby się pozbierać. Zaraz się pojawi.

Nagle zaczęło docierać do mnie, jak blisko siebie siedzimy. Jego ramiona otaczające mnie... wystarczyłby jeden ruch, by pokonać tę odrobinę dystansu, która nas jeszcze dzieliła. Oblałam się rumieńcem.

– Chyba już mi lepiej – zapewniłam go cicho.

Popatrzył na mnie pytająco i chyba też uświadomił sobie intymność naszej pozycji. A potem zauważył moje zaróżowione policzki.

– Wybacz – mruknął niewyraźnie. Posadził mnie na krawężniku i wstał, jakby nagle zapragnął przestrzeni. Podeszedł do leżącej nieopodal zbroi i zaczął ją zakładać. Każdy jego ruch był celowy i pełen wdzięku. Otarłam usta, zastanawiając się, czy mógł z takiej odległości zauważyć, że się ślinię.

– O, Lela, udało ci się. Dzielna dziewczyna – wołała Ana, zbliżając się do nas. Miała zaczerwioną twarz, jakby mocno ją tarła. Co widziała, przechodząc przez wieżę? Zauważyła, że się jej przyglądam, i przesunęła dłonią po policzku, jakby myślała, że została tam jeszcze jakaś uparta lza. Potem uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Cieszę się, że nie jesteś okaleczona śmiertelnie.

Skrzywiłam się, nie podobało mi się to określenie. Nie chciałam, żeby Malachi je usłyszał. Ale on udawał pochłoniętego przygotowaniami do dalszej drogi.

Ana wyciągnęła rękę, żeby pomóc mi wstać.

– Zawsze najtrudniejszy jest pierwszy raz. Teraz już wiesz, czego się spodziewać. I wiesz, że jesteś od tego silniejsza. – Przyjęłam jej pomoc i wstałam. Anna obejrzała mnie od stóp do głów. – Wieczorem musimy ci na nowo zapleść warkocz. Trochę się tam sponiewierałaś.

Sięgnęłam ręką do głowy i nagle zrozumiałam, o czym mówi. Musiałam wyglądać jak cały cyrk. Nie pomyślałam nawet o tym, tuląc się do Malachiego. On zawsze patrzył na mnie tak, że czułam się piękna. Teraz jednak czułam się dokładnie na odwrót.

Gorączkowo zerwałam gumkę przytrzymującą warkocz i przeczesalam włosy palcami. Pochyliłam się, potrasnęłam głową, pozwalając ciężkim lokom rozsypać się swobodnie. Podskoczyły radośnie wokół mojej twarzy, wyraźnie uszczęśliwione odzyskaną wolnością. Kiedy się wyprostowałam, Malachi wpatrywał się we mnie z miną, która zaparła mi dech w piersiach. Żar oblał mi policzki... i wszystko inne.

Malachi odwrócił się pospiesznie.

– No, panie, czas na nas. Musimy się postarać, żeby dotrzeć dzisiaj do Haragu. Zarzucił sobie na plecy torbę i ruszył ulicą.

## DZIEWIĘTNASTY

Po całym dniu Ana pomogła mi zdjąć zbroję. Wprawdzie po pewnym czasie, zgodnie z zapowiedzią Malachiego, pancerz zrobił się bardziej elastyczny i całkiem wygodny, i kiedy dotarliśmy do strefy Haragu, już nawet nie pamiętałam, że go noszę, ale po ściągnięciu poczułam różnicę. Wyzwolona, z westchnieniem runęłam na kanapę.

Ana zaśmiała się, widząc, jak się rozwaliałam.

– Zmężniej, kobito. Dzisiaj to było jeszcze nic.

– Jasne, bułka z masłem – zgodziłam się i zaczęłam rozglądać się po naszym tymczasowym domu. Mieszkanie znajdowało się na obrzeżach Haragu, kilka przecznic w głąb strefy. Malachi najwyraźniej spędzał tu ostatnio tyle czasu, że zajął sobie lokum. W strefie były Strażnice, ale on i Ana mieli kilka mieszkań, gdzie trzymali dodatkowy ekwipunek, zapasy i gdzie mogli zaleczyć łżejsze rany, czy odpocząć po długim patrolu.

Mieszkanie nie różniło od tego w pobliżu Strażnicy, w którym Malachi dochodził do siebie po ugryzieniu Mazikina. Składało się z pokoju i sypialni, w której stały wąski tapczan i komoda. Wyposażenie małego saloniku stanowiła kanapa, ława i telewizor na małym stoliku pod ścianą.

Podeszłam do wielkiego pudła starego telewizora i zajrzałam za nie, ciekawa, czy jest do czegoś podłączone. Nie widziałam tu jeszcze żadnego urządzenia mechanicznego czy elektronicznego. Ulice i budynki oświetlały lampy gazowe, nie było żadnych przełączników czy gniazdek. Kiedy zobaczyłam tył telewizora, wdrygnęłam się tak gwałtownie, że o mało co nie klapnęłam na ziemię. Owszem, odbiornik był połączony ze ścianą.

Pępowina. Przynajmniej w moich oczach wyglądała to jak pępowina.

Wycofałam się ostrożnie na kanapę, bardzo, bardzo szczęśliwa, że ostatnio nic nie jadłam. Kilka następných minut usiłowałam przekonać samą siebie, że nie znalazłam się w skąpo umeblowanym brzuchu żywej istoty.

Ana usiadła obok mnie i też zapatrzyła się w ekran.

– Same powtórki – powiedziała. – Rodzinka Bradych. Masa reklam środków do włosów.

– Poważnie?

– Tak. Przynajmniej przez kilka ostatnich lat.

Do pokoju wszedł Malachi, nadal w zbroi. W małym mieszkanku robił wrażenie jeszcze większego. Zaśmiał się, widząc nas wgapione w ekran.

– Byłem zdumiony, kiedy pewnego dnia zastąpiły radia. Nigdy ich nie włączam, ale Ana jest uzależniona od Rodzinki Bradych.

Lypnęłam na Anę z niedowierzaniem.

– Podejrzywałabym cię o lepszy gust.

– Ten serial naprawdę jest super. Wcześniej oglądałam same telenowele, ale kiedy podszlifowałam angielski, postanowiłam poszerzyć horyzonty. Nie chcę nawet wiedzieć, co leciałoby, gdybyś ty włączyła telewizor.

– Jak to? To programy są różne dla różnych ludzi?

– Oczywiście – rzekł Malachi. – Wyświetlają to, co się chce zobaczyć. Ale odbiór jest słaby.

– I nigdy nie pokazują moich ulubionych odcinków – dodała Ana, rzucając w Malachiego poduchą z kanapy.

Przewróciłam oczami. Jasne. Oglądasz to, co chcesz, ale obraz śnieży, jest dużo reklam i nigdy nie masz szans na obejrzenie najlepszych momentów. Telewizja w piekle.

Malachi przytroczył pałkę do pasa i popatrzył na mnie.

– Zrobię stąd szybki obchód na zachód, zobaczę, z jakim rodzajem aktywności Mazikinów przyjdzie nam się zmierzyć. To mieszkanie będzie naszą bazą, a jutro zaczniemy przeszukiwać strefę, dobrze? Jeśli będzie trzeba, będziemy chodzić od drzwi do drzwi.

– Dziękuję – powiedziałam cicho, wzruszona.

Uśmiechnął się do mnie, skinął Anie głową i wyszedł.

Ana wstała i poszła do kuchni. Otworzyła chlebak, ale wzdrygnęła się i zatrzasnęła go szybko. Przeszukała szafki, wyciągając puszkę warzyw i konserwę mięsną. Po kilku minutach bezowocnych poszukiwań otwieracza wyciągnęła nóż i rozcięła wieczka puszek. Obrzydliwy, mlaszczący odgłos jedzenia przekładanego do miski przypawił mnie o mdłości. Nie chciałam obrzydzać Anie posiłku, zabrałam więc swój wzburzony żołądek do salonu.

Rozsunęłam story i zobaczyłam, że Malachi idzie ulicą w głąb strefy. Poruszał się jak zwykle pewnie i zwinnie. Oparłam czoło o zimną szybę i śledziłam go wzrokiem tak długo, jak się dało.

– Niedługo wróci. Nie martw się o niego – powiedziała Ana obojętnie. Odwróciłam się. Grzebała łyżką w brązowej pałce. – Nikt go nie zauważy, jeśli nie będzie tego chciał.

– Wszyscy chyba wiedzą, kim jest. Mówią mu po imieniu – zauważyłam. Według mnie to zwiększało niebezpieczeństwo, że będą chcieli go zaatakować, a przecież poszedł sam, bez żadnego wsparcia.

– Oczywiście, że wiedzą. Dla Mazikinów jest jak śmiertelna epidemia. Od dekad ich dziesiątkuje i do niedawna udawało mu się utrzymywać ich populację na niskim poziomie.

– A ty? Jak to się stało, że nie wiedzą, kim ty jesteś? Chcieli cię złapać, więc pewnie nie wiedzą, że jesteś Strażnikiem.

Ana przerwała metodyczne nabieranie jedzenia i przeżuwanie.

– To dzięki Malachiemu. Nikt, kto mnie widział, nie przeżył. Sam przeprowadza każde

przesłuchanie. I w te najgorsze miejsca też chodzi sam. Tak jest lepiej, bo mogę służyć za przynętę. Teraz, oczywiście, to po herbacie, bo Sil uciekł.

Ogarnęło mnie poczucie winy. Zamknęła oczy.

– Przykro mi, Ano.

– To i tak nie mogło trwać bez końca. Mazikiny mają coś w rodzaju zbiorowej pamięci. Dziwię się, że tyle czasu nam się udawało. W każdym razie jest i druga strona takiego rozgłosu Malachiego. Mazikiny są bardzo ostrożne. Nawet jeśli go zauważą, co mało prawdopodobne, nie zaatakują, chyba że w większej grupie.

Znowu przewróciło mi się w żołądku.

– Dzięki za pocieszenie – powiedziałam kwaśno.

– Daj spokój, Lela, chłopak umie o sobie zadbać. Nie powinnaś się tak o niego zamartwiać.

*Ale się martwię, bo mi na nim zależy. Bardziej, niż powinno.*

– Nie zamartwiam się. Ale ty chyba powinnaś?

Ana z rezerwą pokręciła głową.

– Nie ma szans. Jesteśmy kolegami. Jeśli da się zabić, to przez własną głupotę.

– Teraz kłamiesz.

Ana wymierzyła we mnie łyżkę.

– Słuchaj, dziewczeczko, nie masz pojęcia, przez co przeszłam, więc lepiej trzymaj buzię na kłódkę.

Nie zaryzykowałam dalszej wymiany zdań. Wzruszyłam tylko ramionami i odwróciłam się do okna. Malachi zniknął z pola widzenia. Wpatrywałam się w miejsce, gdzie ostatnio go widziałam.

– Słuchaj, przepraszam – westchnęła Ana. – Nie mogę sobie pozwolić na uczucia do Malachiego. Znam go już prawie czterdzieści lat i przez ten czas walczyliśmy razem, śmiałyśmy się razem, razem lizaliśmy rany. Jest dla mnie jak brat. Ale nie mogę się nim przejmować jak bratem. Bo mogłabym tego nie przeżyć. Rozumiesz? Kiedyś odejdzie albo zostanie zabity. Tak czy owak zniknie.

Głos Any drżał, pobrzmiwały w nim tłumione łzy. Zaryzykowałam wypatroszenie łyżką.

– Nie mówisz już o Malachim.

Miska załomotała o zlew.

– Dobra. Chcesz wiedzieć? O mnie i Takeshim? To słuchaj i ucz się, bo nie myśl sobie, że nie widzę, co się dzieje między tobą i Malachim. – Przerwała mi, zanim zdołałam zaprotestować. – Zamknij się i słuchaj. Po pierwsze, musisz wiedzieć, że pochodzę z paskudnego miejsca. Salwador nie jest taki jak Ameryka. Po śmierci ojca matka od świtu do nocy harowała w polu, a ja razem z nią. Nie miałam jeszcze osiemnastu lat, a plecy i ręce bolały mnie tak, że czasem nie byłam w

stanie się ruszyć. Obserwowałam matkę, zapracowaną, zgarbioną, i wiedziałam, że tak wygląda moja przyszłość. Ale wiedziałam też, że istnieje inny świat. Rodzice posyłali mnie do szkoły w misji, czego zresztą później chyba żalowali, bo zaczęłam marzyć o wyjechaniu z Rancho Viejo. W górach nieopodal wioski znajdowała się baza Rewolucyjnej Armii Ludu. Mama przestrzegала, żebym się z nimi nie zdawała, ale zawsze byli mili, kiedy spotykałam ich w drodze po wodę. Opowiadali mi o lepszym życiu. I takiej ucieczki właśnie szukałam. Zaczęłam wymykać się do nich nocami. – Uśmiechnęła się smutno. – Nauczyli mnie trochę, jak walczyć. Nie sądziłam, że mi się to kiedyś przyda, ale dzięki temu czułam, że mam odrobinę kontroli nad własnym życiem. Nad sobą. Nie dawałam im w zamian wiele. Kilka tortilli, trochę fasoli. Mama denerwowałaby się, gdyby o tym wiedziała. I wiesz co? Miałaby rację. Bo kilka miesięcy później przybył do nas pluton egzekucyjny. Oskarżyli nas o pomaganie guerrilla, partyzantom. Nikt nie wiedział, o czym mówią. Nikt, poza mną. Ale siedziałam cicho, bo byłam zbyt głupia i samolubna, żeby powiedzieć.

Ana ukryła twarz w dłoniach. Mówiła bezbarwnym, cichym głosem, jakby każde słowo przenosiło ją coraz dalej w przeszłość.

– Kiedy zaczęli przeszukiwać domy, próbowałam uciec, ale złapali mnie i zaciągnęli z powrotem do matki. Walczyłam, ale zagrozili, że zrobią jej krzywdę, więc przestałam. Krzyczała, żeby mnie puścili, mówiła, że jestem porządną dziewczyną, że nigdy nie pomagałabym partyzantom. Tylko się śmiali. A potem zrobili nam straszne rzeczy. Myślałam, że od tego umrę, ale nie. Po wszystkim zaszlachtowali mamę, a jej krew obryzgiwała mi twarz, i żalowałam, że nie umarłam.

Zadrżałam i objęłam się ramionami.

– Zostawili mnie leżącą w kałuży jej krwi. Okaleczoną, załamaną. Mama umarła, wierząc we mnie. Broniąc mnie. A ja byłam tchórzem i nie zrobiłam tego samego dla niej. Równie dobrze sama mogłam się zabić. Wzięłam sznur, znalazłam drzewo i dokończyłam to, co zaczął pluton egzekucyjny. Kiedy tu trafiłam, nie byłam nawet zaskoczona. Byłam... Chciałam walczyć, kopać, szarpać wszystko, co stanęło mi na drodze. Ale Takeshi...

Zaskrzypiały sprężyny, usiadła obok mnie na kanapie.

– Pomógł mi się pozbierać, kiedy tu przyszłam. Na początku nie chciałam jego dobroci. To było dla mnie za wiele. Nie zasłużyłam na nią. Ale za każdym razem, kiedy wpadałam w szal, zawsze był przy mnie, gotów na więcej. Taki silny. Jakby był w stanie zmierzyć się z tym, co było we mnie najgorsze. Trwało to latami, ale wreszcie do mnie dotarł. A kiedy tak się stało, oddałam mu całe swoje serce. Kochałam go tak bardzo, że aż bolało, kiedy na niego patrzyłam. Pragnęłam go tak mocno, że aż czułam to pragnienie na języku. On też popełnił błąd, bo zakochał się we mnie. Patrzył na mnie jak na najcudowniejsze stworzenie na świecie. Nie

jakbym była coś warta, tylko jakbym była warta wszystkiego. – Wstała i spojrzała na mnie z tą swoją morderczą miną. – Kochał mnie tak bardzo, że całymi miesiącami ukrywał, że przestał jeść i pić. Widziałam, że traci na wadze, ale zawsze mnie zbywał i robił przedstawienia, jak to nie jest głodny, albo jak się zajada. Wolał zostać tu ze mną w tym piekle, niż iść beze mnie do raju. I wiesz, co się stało? Osłabł i podczas jednego z patroli zabrały go Mazikiny.

– O Boże, Ano, tak mi przykro. – Odwróciłam wzrok. Nie chciałam patrzeć jej w twarz, kiedy opowiadała mi o swej utraconej miłości.

– Tak. Razem z nim umarła większa część mnie. Więc jeśli sądzisz, że pozwolę umrzeć reszcie, jeśli Malachi zginie, to się grubo mylisz. On to rozumie. Też kochał Takeshiego. Chyba oboje uznaliśmy, że przywiązywanie się do ludzi jest tu zbyt niebezpieczne.

Położyłam dłoń na brudnym oknie, pozwalając kropli potu z mojej ręki spłynąć po szybie. Myślałam o Anie i Takeshim, o ich miłości w sercu wojny, o tym, że nie mogli ochronić jedno drugiego i wiedzieli, że czeka ich rozłąka, najpewniej brutalna.

Czy Takeshi popełnił błąd, postanawiając pozostać tu z ukochaną? Powinien był wybrać niebo zamiast niej? Czy Ana postąpiła źle, zakochując się w nim? Czy życie tutaj różniło się aż tak bardzo od życia ziemskiego? Czy Malachi, po tym wszystkim, przez co przeszedł w obu miejscach, mógł pozwolić sobie na troskę o kogoś, troskę wykraczającą poza obowiązki Strażnika?

Wydawało się, że właśnie do mnie czuł coś więcej. Za każdym razem, gdy na mnie spoglądał, kiedy wywoływałam na jego twarzy ten tajemny uśmiech, kiedy mnie dotykał, prawie od chwili naszego pierwszego spotkania. Cokolwiek zaistniało między nami, otaczało mnie niczym zbroją, sprawiało, że czułam się bezpieczna, choć jednocześnie pełna obaw. Nie wiedziałam, jak głębokie jest jego uczucie. Może wszystko źle interpretowałam. Ale szczerze mówiąc, ciężko byłoby mi się z nim pożegnać i odejść, kiedy nadejdzie ten czas.

Pocieszałam się słowami Any o tym, że czas Malachiego w tym mieście dobiega końca. Może dołączy do mnie i Nadii na Wsi. Zastanawiałam się, jaki będzie pozbawiony tej groźnej surowości. Bardzo chciałam się o tym przekonać.

Odwróciłam się, ścierając brud z ręki. Anna obserwowała mnie uważnie.

– Musisz uważać, Lela. To miejsce stworzono, by ludzie tu cierpieli. Tak ma być. Cierpisz tak bardzo, że kiedy stajesz przed obliczem Sędziego, akceptujesz werdykt bez względu na to, jaki by nie był. A to sprawia, że miłość tutaj jest bardzo niebezpieczna.

– Miło... – Wybuchłam wymuszonym śmiechem, naprawdę głośnym i piskliwym. No, może się trochę zadurzyłam. Ale miłość? Nawet nie byłam w stanie wyobrazić sobie, co to za uczucie. A już na pewno nie tutaj. I na pewno nie wtedy, gdy tam wciąż czekała na mnie Nadia.

A przede wszystkim dlatego, że pachniało mi to utratą kontroli.

- Chyba cię poniosło, Ano. Jestem tu od niecałych dwóch tygodni i wychodzę, jak tylko odnajdę Nadię. Niczego więcej mi nie trzeba.

Przemaszerowałam do łazienki. Pysznic był mi potrzebny prawie tak bardzo, jak ucieczka przed przenikliwym spojrzeniem Any, jej smutnym uśmiechem, tragiczną historią i ostrzeżeniami, których nie chciałam przyjąć do wiadomości.

- Jasne, wiem, po co tu jesteś. Tylko nie pomył tego, czego chcesz, z tym, czego potrzebujesz - usłyszałam, zamykając drzwi.



## DWUDZIESTY

**N**ie pomyśl tego, czego chcesz, z tym, czego potrzebujesz. Te słowa odbijały się echem w mojej głowie jeszcze kilka godzin później. O co jej chodziło?

Z niespokojnej drzemki wyrwało mnie trzaśnięcie drzwiami. Śniłam o Malachim walczącym z tysiącem Mazikinów o twarzy Nadii. Zerwałam się z kanapy, a potem zmusiłam do powolnej wędrówki ku sypialni. Wstyd mi było, że tak bardzo pragnę go ujrzeć. Otworzyłam drzwi. Stał po drugiej stronie i unosił właśnie rękę, żeby zapukać.

Cofnął się speszony, przeczesał palcami włosy.

– Ana poszła rozejrzeć się po okolicy na wschód od nas. Wróci za parę godzin.

Wszedł do salonu i usiadł na kanapie, opierając nogi o ławę. Wyglądał, jakby właśnie wyszedł spod prysznic. Mokre włosy sterczały mu w kępkach. Musiałam Przytrzymać się framugi, żeby nie podejść i ich nie przyglądzić.

Wskazał na kuchnię.

– Pewnie nie chcesz nic do jedzenia ani picia?

– Zdecydowanie nie. –

Poddałam się pokusie i usiadłam obok niego. Położył ramię na oparciu kanapy i przyjrzał mi się bacznie.

– Jak się czujesz?

Wzruszyłam ramionami.

– Jestem podekscytowana poszukiwaniami Nadii, ale boję się, że jej nie znajdziemy. Co, jeśli wyszła z mieszkania?

– Wtedy przeczeszeszemy każdy zakątek strefy – zapewnił mnie. – Jeśli tu jest, znajdziemy ją. A jeśli nie, zaczniemy przeszukiwać przyległe tereny. Ale wybrałem to właśnie mieszkanie, bo zaułek, w którym się ukrywała, znajduje się parę ulic stąd.

Przypomniałam sobie tę noc, kiedy widziałam go po raz pierwszy.

– Wiedziałaś, że jesteś groźny, wiesz? Nadia myślała, że tamci cię zabiją. Byłeś otoczony i ranny. Ale ja wiedziałam, że dasz sobie radę.

Oparł głowę i przymknął oczy.

– Skąd ta pewność? Sam sądziłem, że mnie zabiją.

– Domyśliłam się po tym, jak się ruszałeś – przyznałam.

– Zabawne, to samo pomyślałem o tobie, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy.

– Byłam taka straszna jako nieprzytomne zwłoki w twoich ramionach? – zachichotałam. –

Baleś się mnie?

Błysnął zabójczym uśmiechem. Miałam ochotę go pocałować. W ostatniej chwili złapałam się na tym, że się ku niemu pochylam, i cofnęłam się gwałtownie.

– Chodziło o to, że się nie poddałaś, że walczyłaś do końca. A jak tylko odzyskałaś przytomność, natychmiast byłaś czujna i zeskoczyłaś z pryczy owinięta w to prześcieradło. – Zaśmiał się chicho. – To dlatego dałem ci te wielkie ubrania i odmówiłem paska. I dlatego nie wzięłem ze sobą klucza do celi. Miałem przecucie, że jesteś gotowa na wszystko.

– Specjalnie dałeś mi te namioty? – zapytałam zaskoczona.

Uchylił powiekę i zerknął na mnie z ukosa.

– Oczywiście. Chciałem zapewnić sobie każdą możliwą przewagę. Poza tym śmiesznie wyglądałaś, trzymając spodnie.

Trzepnęłam go lekko w ramię.

– To było... podłe. I dziwne, że w ogóle zwracałeś sobie tym głowę.

– Dziwne? Lela, przecież gdybym miał ten klucz przy sobie, prawdopodobnie wyciągnęłabyś go ode mnie. – Poruszył się niespokojnie, rozsiadł wygodniej i założył ramiona na piersi. – Chcesz pooglądać telewizję albo coś?

Raczej coś. Trzepnęłam się za to w duchu.

– Jasne, a co leci?

– Sam jestem ciekaw. – Płynnym ruchem wstał, włączył telewizor i usiadł z powrotem. Na ekranie przesunęły się obrazy czołówki z Buffy. Zaśnieżone, ale i tak uśmiechnęłam się szeroko, omal nie klasnęłam w dłonie z uciechy. Jak dwulatka.

Malachi patrzył na ekran w zdumieniu.

– Cóż to u licha jest?

– „Buffy, postrach wampirów”. Stary serial, ale widziałam każdy odcinek.

Przez chwilę oglądaliśmy film w milczeniu. Jak można się było spodziewać, był to jeden z najmniej lubianych przeze mnie odcinków. O hienach. Nienawidzę hien. Są najokropniejszymi zwierzętami na świecie.

– Chyba wiem, dlaczego tak ci się podoba – rzekł Malachi. – Ta dziewczyna jest bardzo silna.

– Zawsze podobała mi się wizja dziewczyny umiejacej wbić kółek w serce drania.

– I te wampiry rozpadają się od tego w pył. Podoba mi się to. Szkoda, że Mazikiny tak nie robią – stwierdził z żalem.

– Albo ojcowie zastępczy – zawtórowałam.

Malachi nie oderwał wzroku od telewizora, ale zacisnął ręce na poduchach kanapy, aż mu knykcie pobieleły.

– Zastępczy – powtórzył. – Nie, żeby to zmieniało coś na lepsze, ale powiedz, proszę, że to

znaczy, że nie zrobił tego twój prawdziwy ojciec.

Westchnęłam ciężko.

– Tak, to nie był mój prawdziwy tata. Rodzice zastępczy opiekują się dziećmi, którymi nie mogą lub nie chcą zajmować się ich prawdziwi rodzice. Moja matka nie mogła. Była umysłowo chora. A ojciec? Nawet nie wiem, kim był. Nigdy nikomu tego nie powiedziała.

– A więc ten twój zastępczy ojciec wziął cię do siebie?

Żał mi się zrobiło tych poduszek.

– On był prawie na samym końcu długiej listy moich rodzin zastępczych. Nie pamiętam dobrze wszystkich, ale było ich kilka, zanim skończyłam dziesięć lat. A potem miałam chyba pecha. W żadnej nie zostałam na długo. W jednej bylam bita, a to zabronione. Pracownik opieki społecznej dowiedział się o tym od nauczycielki zaniepokojonej moimi siniakami. Co do reszty, jedna rodzina dostała nakaz eksmisji, jedna wyjechała ze stanu, jedna się rozwiodła, następna miała pod opieką trudne dziecko i nie była w stanie się mną zająć, a kolejna po jakimś czasie stwierdziła, że jednak nie chce być rodziną zastępczą. Przeprowadzałam się z domu do domu, aż wreszcie trafiłam do Ricka i Debbie.

Gapiłam się w telewizor, usiłując nie myśleć o tym za bardzo. Moja historia była naprawdę żałosna, ale do tego momentu potrafiłam opowiadać ją w miarę spokojnie.

Surowe oblicze Malachiego złagodniało. Patrzył na mnie, chcąc chyba sprawdzić, jak się czuję. Wzięłam się w garść, przygotowując na pytania o to, co wydarzyło się później. Wszyscy o to pytali, włącznie z Nadią i Dianą. Żołądek podszedł mi do gardła, kiedy patrzyłam, jak Malachi usiłuje dobrać odpowiednie słowa. Pochylił się ku mnie.

– Nie musisz mówić nic więcej – powiedział wreszcie. – Przykro mi, że cię skrzywdził, że tyle ci odebrał.

Obserwowałam go, czekając, aż się odsunie i zakłopotany zmieni temat. Ale on ani drgnął. Wpatrywał się we mnie, jakby czekając, czy coś jeszcze dodam. I ku własnemu zaskoczeniu, zrobiłam to.

Przyciągnęłam kolana pod brodę.

– Wiesz, co jest najgorsze? Prawie rok siedziałam w poprawczaku tylko dlatego, że odmówiłam zgody na obdukcję i nie powiedziałam, co mi zrobił. Chyba nie chciałam przyznać, że to się wydarzyło naprawdę.

Wyprostował się jak porażony prądem.

– Wsadzili cię do więzienia dla młodocianych?! Za co?!

Byłam przekonana, że wyobraża sobie miejsce dużo gorsze od Zakładu Poprawczego Rhode Island.

– Nie było tak źle, Malachi. To znaczy miejsce było ohydne i musiałam się stale pilnować. Ale

jestem twarda i po kilku miesiącach wszyscy to zrozumieli i dali mi spokój.

Przycisnął drżące dłonie do ud, jakby wiele wysiłku kosztowało go trzymanie ich na miejscu.

– Nie rozumiem. Dlaczego to ciebie zamknęli, skoro to on...

– To stało się tej nocy, kiedy próbowałam się zabić. Nie widziałam żadnego wyjścia. Znalazł mnie w ostatniej chwili i przywrócił do życia. Ale znalazłam się znów w tej samej sytuacji, i nie mogłam dłużej tego znieść. I jakby... wpadłam w szał. Sprałam go, złamałam mu nos, szczękę. Miał wstrząs mózgu. Chciałam go zabić. Zabiłabym go, ale w ostatniej chwili się powstrzymałam. Wtedy Debbie, moja matka zastępcza, wezwała policję. Pewnie dostałabym dużo lżejszą karę, gdybym im wszystko opowiedziała, ale nie potrafiłam. W zasadzie nie mogę uwierzyć, że mówię o tym teraz tobie.

Wtuliłam czoło w kolana i zasłoniłam głowę ramionami. Może źle postąpiłam, może nie powinnam tego mówić. Czy teraz, gdy potwierdziłam jego podejrzenia, będzie patrzył na mnie inaczej?

Okaleczona, tak mnie określiła Ana. A ja nie chciałam być okaleczona. Chciałam, by Malachi widział mnie całą, zdrową. Bez urazów.

A nie wykorzystaną.

Bardzo ostrożnie odsunął moje ręce i ujął palcami pod brodę. Wziął moją dłoń i zamknął ją w swoich.

– Proszę, nie ukrywaj się przede mną, Lela. – Miał tę nieśmiałą, fenomenalną minę, na widok której zamierało mi serce.

Założyłam kosmyk włosów za ucho i popatrzyłam na nasze dłonie. Moja była taka mała, kiedy spoczywała bezpiecznie w jego dłoniach. Miałam ochotę zwinąć się w kłębek i cała schować w tej garści, cieplej, spokojnej i odpoczywać minuty, godziny, dni. Pragnęłam się ukryć razem z nim. I nie chciałam już o tym tylko myśleć. Pragnęłam działać. Przysunęłam się i zanurkowałam pod jego ramię.

– Wybacz – szepnęłam. – Bardzo tego potrzebuję. Mogę?

Z westchnieniem odchylił się na oparcie i przytulił moją głowę do piersi.

– Możesz.

Siedzieliśmy tak w milczeniu, pozwalając, by zaśnieżone odcinki filmu rozpraszały nasze troski. Machinalnie gładził mnie po włosach, okręcał je sobie na palcach i wygładzał pasma spływające mi na plecy. Było mi dobrze. Lepiej niż dobrze. Normalnie. Bezpiecznie. Czysto, właściwie w pełni...

Nie tego się spodziewałam, schodząc do piekła.

– Mogę cię o coś spytać, Lela?

– Mmm – mruknęłam sennie, pijana wręcz przyjemnością, jaką było odpoczywanie w jego

ramionach.

– Co mówił mój głos, kiedy przechodziłaś przez wieżę? Co słyszałaś?

– Mówiłeś, że musisz mnie znowu zobaczyć. Ale nie przejmuj się, tylko sobie to wyobraziłam.

– Może. W wieży zawsze słyszałem głos mojego brata. Dokładnie wtedy, kiedy najbardziej go potrzebowałem, kiedy już, już miałem się poddać. Ale tym razem ten głos należał do ciebie.

– Naprawdę? – wymamrotałam. – I co takiego mówiłam?

– To samo. Że musisz mnie znowu zobaczyć.

– Pomogło?

– Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo.

Objęłam go mocniej w pasie, nie pragnąc niczego ponad to, co miałam w tej chwili. I nagle zdałam sobie sprawę, jakie to dziwne, biorąc pod uwagę to pełne nieszczęście miasto, w którym można było mieć wszystko, czego się zapragnęło, nigdy nie osiągając satysfakcji ze zdobycia tego.

Ta zwyczajna chwila, dotykanie go, wsluchiwanie się w jego oddech, jego ręka pieszcząca moje włosy – nie pragnęłam niczego więcej. Wypełniało mnie to ciepło, wibrujące w piersiach uczucie. Byłam nim w pełni usatysfakcjonowana.

Zastanawiałam się, że może właśnie tego potrzebowałam.

## DWUDZIESTY PIERWSZY

Kiedy się obudziłam, wokół panowała cisza. Śniłam, że pocieszam Malachiego łkającego nad ciałem Mazikina o moich rysach, o którym wiedział, że jest moją matką.

Nie otwierałam oczu, pozwalając budzącemu się mózgowi nawiązać połączenie z ciałem. Malachiego przy mnie nie było, leżałam na kanapie sama. Musiałam zasnąć wtulona w niego, czerpiąc to, czego potrzebowałam.

Byłam przykryta szorstkim, zatęchłym kocem. Postrzępione krawędzie łaskotały mnie w policzek. Zastanawiałam się, czy to on mnie przykrył. Sama myśl, że to możliwe, rozgrzała mnie bardziej, niż mógłby to zrobić najcieplejszy koc.

Zadumałam się nad ostatnimi dniami i zmianami, jakie mi przyniosły. Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek w życiu pozwalała ludziom na kontakt fizyczny w większym zakresie, niż to bywało konieczne. Zawsze spinałam się, kiedy ktoś miał mnie dotknąć, odwracałam, gdy ktokolwiek mimo to próbował i wybuchalam, rozmyślnie i całkiem wbrew sobie, bo dotyk ten przywodził wspomnienia, które pragnęłam pogrzebać. Dzięki temu mogłam się bronić, ale zarazem tworzyłam barierę powstrzymującą mnie przed zbliżeniem się do ludzi, w sensie fizycznym i emocjonalnym.

Pewnie to Ana miała na myśli, mówiąc o okaleczeniu.

Dotyczyło to też osób, którym na mnie zależało, jak choćby Nadii czy Diany. Ile razy wzdrygałam się, poklepana po plecach. Ile razy odsuwałam się, kiedy chciały mnie objąć. Nie byłam w stanie nad tym zapanować, mimo iż widziałam, jak bardzo je to rani.

Myślałam, że straciłam umiejętność cieszenia się dotykiem. Zakładałam nawet, że może nigdy jej nie posiadałam. I byłam pewna, że tak pozostanie do końca życia.

Z Malachim było inaczej. Instynkty działały tak samo, podnosiły alarm, kiedy mnie zaskoczył, ale od wyjścia z wieży i upokarzającego wyznania, co mnie spotkało, milczały. Mało tego, chciałam, żeby Malachi mnie dotknął. Byłam przekonana, że to jedyna rzecz zdolna mi pomóc. Przy nim czułam się dobrze. Czułam się wspaniale. Jakby jego kształt, zapach, faktura, ruchy, rytm zostały stworzone specjalnie dla mnie.

Cokolwiek do niego czułam, narodziło się we mnie nagle i w ciągu tych kilku dni urosło szybko i całkiem poza moją kontrolą. Z każdą spędzoną z nim chwilą, z każdym jego spokojnym, rozważnym działaniem, z każdym ostrożnym, delikatnym dotykiem zapadałam się coraz głębiej. Ale czy na pewno była to miłość? Skąd miałam wiedzieć, jakie to uczucie? Kochałam Nadię, ale to było coś innego i odczuwałam to całkiem inaczej. Moje uczucia do Nadii były

potężne. Przepelniały mnie determinacją i siłą. Uczucia wobec Malachiego natomiast były kruche, delikatne, pełne nadziei i bezbronności. Pragnęłam być blisko niego, oprzeć się na nim. Pragnęłam, by trzymał mnie w objęciach. Chciałam go też pocieszać, trzymać za rękę. A zeszej nocy byłam pewna, że chcę go pocałować, choć trochę się bałam, że stracę kontrolę nad sytuacją. Prawdę jednak mówiąc, już dawno ją utraciłam.

Przetarłam twarz, ścierając resztki snu.

Ana miała rację. To nie było miejsce ani czas na miłość czy szalone zadurzenie. Te uczucia mogły tylko przeszkodzić temu, co musiałam zrobić – odszukaniu Nadii i wydostaniu się stąd.

Akurat ten moment wybrał sobie Malachi, żeby wejść do mieszkania. Wyglądał wspaniale, taki silny i... zakrwawiony? Usiadłam gwałtownie, odrzucając koc. Znajdowaliśmy się tak daleko od Strażnicy i Rafaela.

– Co się stało? Jesteś ranny? Gdzie Ana?

Malachi zdawał się rozbawiony tą serią pytań, a potem popatrzył na rozdartą na ramieniu koszulę zaplamioną krwią.

– Spokojnie, Lela. Ana robi obchód na północ stąd. Ja byłem na zachodzie. Natknąłem się na grupę Mazikinów. W pewnej chwili musiałem się ukryć w jakimś magazynie i nadziałem się na deski. Szedłem za nimi, ale niestety ich zgubiłem. To – machnął łokciem – to nic. Już dobrze? Jesteś blada.

Znów przetarłam twarz.

– Nic mi nie jest. Bałam się, że zostałeś ukąszony – mruknęłam zakłopotana.

– Dzięki za troskę. – Brzmiało to na tyle szczerze, że zaryzykowałam zerknięcie spomiędzy palców. – Hej – powiedział, widząc, że na niego spoglądam. – Dobrze spałeś? Śniła ci się Buffy?

Przeciągnęłam się.

– Nie, żadnej Buffy. Ale spało mi się dobrze. Jaki mamy plan?

Poszedł do kuchni, obmył ranę, przyłożył do niej ręcznik kuchenny i wrócił.

– Anie jeszcze zejdzie, więc pomyślałem, że może poćwiczymy? Ruszemy na poszukiwania, jak tylko wróci. Okolica roi się od Mazikinów, więc wolałbym, żebyś była gotowa. Nie trenowałaś jeszcze walki w zbroi.

– Och, wspaniale. Witajcie wieki średnie. Daj mi kilka minut.

Pobiegłam do łazienki i aż jęknęłam na widok swojego odbicia w lustrze. Włosy wyglądały, jakby hiena zrobiła sobie w nich legowisko. Zamierzałam poprosić Anę, żeby znów je zaplotła, ale na razie musiałam poprzestać na kucyku. Kiedy wyszłam, Malachi miał już przygotowaną dla mnie zbroję i broń. Westchnęłam, patrząc na sprzączki. Pewnie rzepy to w piekle zbytek luksusu. Malachi bezbłędnie odszyfrował moją minę.

– Pomóc ci?

– Gdybym uważała, że trzeba ci kabaretowej rozrywki, odmówiłabym. Ale jeśli naprawdę chcesz, żebym poćwiczyła przed powrotem Any, jak najbardziej.

Założył mi przez głowę pancierz i szybko pozapinał klamerki. Potem włożył palce w wycięcie pod pachą i potrząsnął skórzaną osłoną. Przesunął wzrokiem po mojej pierś, a potem spojrzął na moją twarz.

– Nie za ciasno? Możesz wziąć swobodnie głęboki oddech?

Pochłonięta obserwowaniem kształtu jego warg i ciepłego blasku brązowych oczu, zmusiłam do pracy skołowacizną język.

– Uhm... Tak... Dobrze.

Zarumienił się, słysząc mój przyspieszony oddech. Nie dał mi się jednak napatrzeć na siebie, bo właśnie ukląkł i zaczął zapinać nagolenice. Zagapiłam się na jego kark, na fragment nagiej, gładkiej skóry widocznej pomiędzy kołnierzykiem a linią ciemnych włosów. Byłam przekonana, że okazałyby się wspaniale ciepła, gdybym jej dotknęła. Zaszczęziały mnie palce, aż musiałam zacisnąć je w pięści.

Malachi sięgnął po karwasze i podniósł się. Stojąc, mocował skórzane osłony na moich ramionach. Wykorzystałam to, że jest pochłonięty tym zadaniem, i swobodnie obserwowałam jego twarz, firanek rzęs, cień zarostu na policzkach, łagodne krzywizny ust. Do diabła! Był zabójczo piękny.

Malachi popatrzył na mnie i uniósł brew.

– Zakładam, że z pasem poradzisz sobie sama?

Wywróciłam oczami.

– No co ty, to zbyt trudne.

Sięgnęłam po pas, ale był szybszy. Z podstępny uśmiezkiem znowu ukląkł i założył mi pas, wyrównał, zapiął i umocował końcówkę w szlufce. Kiedy musnął palcami mój brzuch, omal nie zważyło mnie z nóg. Złapałam go za ręce i cofnęłam się, odpychając go.

Jego mina zmieniła się natychmiast z rozbawionej w przerażoną. Zerwał się na równe nogi i zrobił parę szybkich kroków w tył.

– Przepraszam Lela, nie chciałem przekroczyć...

– Nie... Nie, nic nie zrobiłeś. – Moje myśli galopowały, usiłując znaleźć wytłumaczenie takiej reakcji, które nie brzmiałoby jednak idiotycznie: *Właśnie zdałam sobie sprawę, że mogłabym tak stać i pozwalać ci się ubierać przez cały dzień.* Coś musiałam mu powiedzieć, był przecież przekonany, iż obudził we mnie jakieś koszmarnie wspomnienia.

– Malachi – powiedziałam uspokajająco i ujęłam go za rękę, gotowa zrobić wszystko, żeby tylko wymazać z jego twarzy ten wyraz. – Po prostu mnie zaskoczyłeś... Nie mam nic przeciwko twojemu dotykowi. –



*Proszę, zrób to znówu.*

Przyjrzał mi się badawczo, a potem musnął kciukiem moją dłoń.

– W porządku – powiedział, a po jego twarzy rozszedł się leniwy, wręcz boleśnie seksowny uśmiech. Serce zabiło mi szybciej. Ale nagle w jego spojrzeniu mignęło coś innego, jakby wahanie. Puścił mnie i zaczął zdejmować swoją zbroję.

– Jak to? – zdziwiłam się. – Nie będziemy ćwiczyć?

– Będziemy – odparł skupiony na rozpinaniu sprzączek na ramionach. – Ale Mazikiny nie noszą zbroi, więc i ja ją zdejmę na czas treningu. – W niecałą minutę uwolnił się z pancerza. – Chodź, pójdziemy na dach. Będziemy mieć więcej miejsca i nie zniszczymy chińskiej porcelany i antycznych mebli.

Parsknęłam śmiechem i poszłam za nim, modląc się, żebym znów nie zrobiła z siebie kretynki.

– Teren nie jest zbyt dobrze oświetlony – ocenił, rozglądając się wokół. – Ale musisz przywyknąć także do walki w ciemnościach. Wybacz, zaraz wracam. – Podszedł do starszego mężczyzny, który siedział pośrodku wysypanego żwirem dachu, tuląc do siebie dwie prawie puste butelki, chyba dżinu. Wciągnęłam nosem powietrze, sprawdzając, czy nie poczuję kadzidła albo zgnilizny, ale wychyciłam tylko woń jałowcówki. Malachi pochylił się, zaglądając pijackowi w twarz. – Będzie ci wygodniej w domu – zaproponował grzecznie.

– Jestem w domu – wybelkotał pijaczyna. Oczy mu zabyły, kiedy butelki napęły się mętnym płynem. Zaczął pić łąpczywie. Nie zareagował, kiedy Malachi wziął go na ręce, przeniósł na klatkę i posadził ostrożnie na schodach.

Drzwi się zamknęły, a Malachi wrócił do mnie, jak gdyby nigdy nic, jakby bez przerwy robił takie rzeczy.

– Najważniejsze w starciu z Mazikinem to unikanie jego zębów. To dlatego nosimy ochraniacze na rękach i nogach, całkiem skutecznie chronią przed ukąszeniem. Ale nie można zapominać też o ich szponach, są paskudne. Nie są jadowite jak zęby, ale zadrapania ropieją i paprzą się tygodniami.

Dotknęłam dłoni, w którą Sil wbił mi swoje szpony, szczęśliwa, że Rafael zdołał uleczyć mnie tak szybko. A moja wdzięczność jeszcze urosła, kiedy Malachi podniósł koszulę i pokazał mi plecy. Na skórze od żeber po krzyż biegły ukośnie cztery poszarpane szramy. Wzdrygnęłam się. Malachi spojrział przez ramię, uśmiechając się ponuro.

– Jurij. Zaskoczył mnie, kiedy nie miałem na sobie pancerza. Tam, w zaułku, to nie było nasze pierwsze spotkanie.

– Moje też nie. – Objęłam się i skuliłam.

W jego oczach zabyły iskry.

– Mówił coś do ciebie. Mówił, że...

Uciszyłam go gestem, nie chcąc znów słyszeć tamtych słów.

– Tak. Pewnie mnie widział już wcześniej, kiedy byłam tu jako duch. Poznał mnie. I chyba bardzo ucieszył się na mój widok.

*We własnej osobie*, wyszeptał Jurij.

Zadrżałam i odwróciłam się od Malachiego. Nie potrafiłam się z tego otrząsnąć. Potrzebowałam chwili, żeby wziąć się w garść.

– Ocaliłaś mnie tamtej nocy – powiedział Malachi miękko. – Jestem ci wdzięczny, że odebrałaś mu jego ostateczne zwycięstwo.

Odwróciłam się powoli.

– Ana mówiła, że lubi drwić z ciebie w twoim własnym języku, że kradnie ciała Słowaków, żeby to robić.

Malachi zaszurał nogami, sprawdzając przyczepność i stabilność zwirowej powierzchni.

– Słowacki nie jest moim językiem ojczystym. Nie do końca. Mówiło się nim w moim rodzinnym mieście.

– Zaraz, to iloma językami władasz?

Przygryzł wargę i uciekł spojrzeniem w bok. Widać było, że liczy w myślach.

– Siedmioma. Do tego znam wiele nieprzyzwoitych słów w dodatkowych dwunastu, a to dzięki Michaelowi.

Nagle poczułam się zbyt młoda i niewykształcona, ale mimo to nie porzuciłam tematu, chcąc dowiedzieć się o Malachim jak najwięcej.

– To jaki jest twój język ojczysty?

– W zasadzie są dwa. Jidysz, po ojcu, i romski po matce – Zaśmiał się gorzko. – Możesz sobie wyobrazić, jak to było być żydowskim Cyganem, kiedy do Bratysławy wkroczyli Niemcy. Wcześniej też nie było łatwo, ale później robiło się tylko gorzej.

– Jak wyglądała Bratysława, kiedy dorastałaś? – Za nic nie chciałam zdradzić, że nie wiem nawet, w jakim państwie leży to miasto.

Przekrzywił głowę i zmrużył oczy.

– Przeciągasz, Lela?

– No co ty. Jestem po prostu ciekawa. A co, nie możesz się doczekać, żeby ci złoila skórę? Trzeba było tak od razu.

Przyczaił się, a ja ledwo powstrzymałam się od cofnięcia. Ale moja reakcja wywołała na jego twarzy ten tajemniczy uśmiešek.

– Nie spinaj się. Rób to, co podpowiada ci instynkt.

*To oznacza, że powinnam się teraz z tobą całować, a nie walczyć.*

Moja przyzwoita, dorosła część mózgu rozpedziła szalejące hormony i kazała mi nad sobą panować. Ta burzliwa wewnętrzna awantura zdekoncentrowała mnie i dałam się zaskoczyć. W sekundzie znalazł się przy mnie, wyciągając zakrzywione palce w udawanym ataku Mazikina. Na szczęście zdołałam zanurkować pod jego ramieniem, odwrócić się i kopnąć go w nerki.

– Auć! – Zadowolony, pomasaował sobie krzyż. – Świetnie. Jeszcze raz.

Kolejna godzina była fantastyczną zabawą. Morderczą, ale zabawą. Tym razem dawał mniej wskazówek, ograniczając się raczej do podstawowych zasad, a nie instrukcji krok po kroku. Jego ataki były zabójczo kreatywne, ale nie bolesne czy przykre. Nie chciał mnie zranić, ale chciał, żebym walczyła zaciekle i nieczysto.

– Za długo się zastanawiasz, jak mnie wykończyć – narzekał. – Stajesz i czekasz, co zrobię. To samo zrobiłaś wtedy z tymi dwiema Mazikinkami. Nie rób tak, jeśli chcesz ponowić atak. Walcz do końca, uderzaj, póki nie przestaną się ruszać. Dopiero wtedy przestań.

Rzuciłam się na niego. Zrobił szybki unik w bok i chciał mnie chwycić za nogę, ale usunęłam się. Poślizgnęłam się jednak na żwirze, choć zdołałam utrzymać się w pionie. Problem w tym, że ten moment miotania się dał mu wyczekiwaną okazję, by skoczyć mi za plecy. Złapał mnie od tyłu za szyję, ale tym razem ledwie mnie to ruszyło. Wykręciłam się i nawet udało mi się pozbawić go równowagi. Oszołomiona zwycięstwem wykorzystałam chwilę, kiedy się zatoczył, wskoczyłam mu na plecy i uwiesiłam się na szyi. Zatoczył się, śmiejąc, potem przytrzymał mnie za kolana i zakręcił się. Pochyliłam się i lekko ukąsiłam go w bark, sama zaskoczona własnym zachowaniem. Jęknął ze zdumienia i opadł na kolano, wybuchając kolejną salwą śmiechu.

– Nieźle. Nie pomyślałam nigdy, że też mogę ugryźć Mazikina.

Też zaczęłam się śmiać, głównie z ulgi, że nie poczuł się urażony moimi wyglupami.

– Pewnie dlatego, że muszą paskudnie smakować – zauważyłam. Nie to, co ty. – A teraz, skoro i tak jesteś sparaliżowany jadem, opowiedz mi o Bratysławie.

– Dobrze, poddaję się. Zdaję się na twoją łaskę, więc okaż mi ją. Zejdź ze mnie, to opowiem ci o Bratysławie.

Ścisnęłam go mocniej, nie mogąc nasycić się tym wspaniałym uczuciem.

– Mówisz, że jednak nie powinnam cię kąsać, aż nie przestaniesz się ruszać? Cóż, twoja strata. – Puściłam go, zsuwając dłonie z jego szyi przez tors i barki. Zastanawiałam się przy tym, gdzie podziała się prawdziwa Lela. Chociaż – nie zaprzeczę – podobała mi się ta nowa, kokietyryjna istota, która chwilowo zajęła jej miejsce.

Odwrócił się i popatrzył na mnie z bardzo poważną miną.

– Muszę przyznać, że jesteś jednym z najbardziej nieczysto pogrywających przeciwników, z jakimi miałem do czynienia. – Usiadł na żwirze, otrzepując ręce. – A to naprawdę komplement. Wracając do Bratysławy. To piękne miasto. Położone jest na brzegach Dunaju. Jest bardzo stare,

ma długą historię, a w centrum, na wzgórzu, znajdują się ruiny zamku. Nie wiem, czy przetrwały wojnę. Wyobrażam sobie, że teraz miasto musi się bardzo różnić od tego, które pamiętam. Nie wiem nawet, do jakiego państwa należy. Kiedyś do Czechosłowacji, ale to się zmieniło podczas wojny.

Usiadłam przy nim.

– Malachi – zaczęłam łagodnie. – Nie chcę słuchać o Bratysławie tak w ogóle, tylko o twojej Bratysławie.

Uśmiechnął się smutno, zdając sobie sprawę, że przyłapałam go na wciskaniu mi tekstu z folderu dla turystów.

– Wąskie uliczki mojego miasta były wybrukowane kocimi łbami. Mieszkaliśmy nad warsztatem szewskim należącym do ojca. Ale rzadko tam bywałem. Zwykle ganiałem po mieście za moim bratem Heshalem i jego kolegami, usiłując dotrzymać im kroku.

– Byli grzecznymi chłopcami czy rozrabiakami?

– Byli dobrymi dziećmi, które później stały się groźne. – Malachi objął kolana ramionami i zapatrzył się w granatowoczarne niebo. – Miałem szesnaście lat, kiedy zmieniło się prawo i nie mogliśmy już chodzić do szkoły. Siedemnaście, kiedy powiedziano ojcu, że nie wolno mu posiadać warsztatu i przesiedlono nas do żydowskiej dzielnicy. Osiemnaście, kiedy kazali nam naszyć na ubrania gwiazdy. Jedna po drugiej przychodziły wielkie zmiany, ale cały czas zachodziły też te drobne. Cienie pod oczami ojca zrobiły się głębsze, ciemniejsze, matka schudła i przestała się śmiać. A ja i brat przestaliśmy wierzyć, że świat jest bezpiecznym miejscem. Po ulicach włóczyły się bandy. Nikt nie powstrzymywał ich przed atakowaniem nas i biciem. Dlatego mój brat razem z przyjaciółmi, przede wszystkim z takim jednym, Imim, zaczęli walczyć z nimi. Imi był zapaśnikiem, atletą. To on nauczył nas, jak się bronić. I jakiś czas nam się udawało.

– To tam nauczyłeś się tak walczyć?

– Tak, nauczyłem się walki ulicznej i przydało mi się to przez tych kilka ostatnich lat.

Kilka lat. Malachi robił to od kilku dekad, a zaczął, nim skończyło się jego krótkie życie. Nie zaznał spoczynku także po śmierci. Co zrobił, żeby sobie na to zasłużyć? Czy po prostu padł ofiarą nieszczęśliwego splotu okoliczności?

– Odpoczywasz tu czasem? No wiesz, przypuszczam, że nie ma tu wakacji...

Zaśmiał się.

– Pytasz, czy wyjeżdżam na urlop? Wydaje ci się, że gdzie jesteśmy? – Spoważniał, posmutniał. – Odpocznę, kiedy opuszczę to miasto.

– Ana mówiła, że przestałeś pić i prawie nie jesz. Mówiła, że to znak, że może niedługo będziesz gotowy do drogi.

Zagarnął długimi palcami kupkę żwiru.

– Aha, więc zauważyła. Cóż, to tylko pewna oznaka, nie żadna gwarancja. Miasto można opuścić, stając wcześniej przed obliczem Sędziego. To on decyduje, czy ktoś jest gotów odejść, a jego słowo jest prawem. Udam się do niego dopiero wtedy, gdy będę względnie pewien pozytywnego werdyktu. Ale czuję, że to już niedługo. – Popatrzył na mnie z uśmiechem. – Wcześniej jednak mamy zadanie do wykonania, prawda?

– Dziękuję, że robisz to dla mnie. I dla Nadii. – Dotknęłam jego twarzy. Zamknął oczy, kiedy przesuwałam opuszkami po jego kości policzkowej.

– Wiesz, że ty też musisz niedługo stąd odejść – powiedział cicho. – Nie dasz rady nakarmić się tutejszym jedzeniem, bo nie należysz do tego miejsca. Przez jakiś czas nic ci nie będzie, ale nie możesz zostać tu wiecznie, żeby jej szukać. Umarłabyś z głodu.

Ręka opadła mi na kolano.

– Ana mi o tym mówiła. To znaczy że i dla mnie, i dla ciebie ważne jest, żebyśmy znaleźli Nadię jak najszybciej.

Otworzył oczy, a ja zatonąłam w tym spojrzeniu, zatraciłam się w głębi tych czarnobrzązowych źrenic.

– Dla mnie i dla ciebie – powtórzył, jakby testował brzmienie tych słów.

W tym momencie wyobraziłam sobie, jak wędrujemy ramię w ramię, z Nadią u boku, podróżując po pięknej Wsi.

Razem.

## DWUDZIESTY DRUGI

Usiadłam bez sił na stopniu przed blokiem. Byłam wykończona i zniechęcona. Prowadziliśmy poszukiwania przez cały dzień. Obeszliśmy siedem wieżowców. I nic.

Ana i Malachi pukali do każdych drzwi, wchodzili do każdego mieszkania. W każdym znajdował się jeden lokator. Żaden nie odpowiedział, wypytywano o Nadzię, żaden nie był w stanie skupić na dłużej wzroku na moim tatuażu. Byli zbyt pochłonięci gapieniem się w telewizor, sterczeniem bez ruchu za stołem, łkaniem w salonie, obżeraniem się w kuchni albo dawaniem sobie w żyłę w łazience.

Jeden tłuścioch miotał się na łóżku w sypialni, a pod nim leżało bezgłowe ciało. Sądząc z charakterystycznych pasm śluzu, które drgały w rytm jego ruchów, sam sobie to ciało wyhodował. Ucieklam, musiałam odstać swoje w korytarzu i poczekać, aż miną mi mdłości na wspomnienie tego obrazu i moich wspomnień. Po tym wydarzeniu Malachi stwierdził, że szybciej nam pójdzie, jeśli nie będziemy wypytywać ludzi. Od tamtej pory wchodziliśmy tylko do mieszkań i kiedy okazywało się, że lokatorem nie jest Nadia, wychodziliśmy.

Choć przewidywałam, że poszukiwania będą długotrwałe, nie przygotowałam się na taką huśtawkę emocjonalną. Do każdego lokalu wchodziłam niesiona nadzieją i kilka sekund później wychodziłam przytłoczona rozczarowaniem. Wysysało to ze mnie energię.

Malachi dotknął mojego barku.

– Gotowa? Mam w planie na dzisiaj jeszcze pięć budynków.

Ana wyszła z bloku, kręcąc głową.

– Musimy ruszać, i to z życiem, inaczej zajmie nam to wieki.

Dźwignęłam się z westchnieniem.

– Chodźmy.

– Zdajesz sobie sprawę, że możemy tak chodzić wiele dni? – Malachi patrzył na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Tak, tylko... Nie sądziłam, że będę się tak czuła.

– Wiesz, Lela, myślałam, że jesteś twarda, ale teraz zaczynam w to wątpić – ofuknęła mnie

Ana. – Od początku wiedzieliśmy, że szukamy po omacku. Musisz się przygotować na to, że jej nie znajdziemy.

– Nie pomagasz – zganil ją Malachi.

Podparła się pod boki i ruszyła ku niemu.

– A co mam jej powiedzieć? Nie zamierzam ukrywać przed nią prawdy. Zaczynam się

zastanawiać, po co tu w ogóle jestem? Powinniśmy teraz szukać gniazda, a my usiłujemy w milionowym mieście znaleźć jedną dziewczynę.

– W takim razie idź – odparł obojętnie. – Jeśli tego...

Urwał, wpatrując się w coś nad nami. Podnosiłam właśnie głowę, żeby sprawdzić, co zwróciło jego uwagę, ale zderzyłam się z jego pancerzem. Bez słowa odciągnął mnie kilka kroków. Usłyszałam, jak Ana przeklina.

– Co... – zaparłam się dłońmi o skórzany pancerz, ale nie udało mi się wyrwać. A potem dobiegł mnie kolejny dźwięk, obrzydliwe plaśnięcie i chrupot. Zamarłam. Malachi obejmował mnie mocno, ciężko oddychając. Ręką przytrzymał mi głowę, przyciskając policzek do grawerowanej powierzchni zbroi.

– Nigdy do tego nie przywyknę – wydusiła Ana.

Malachi ujął mnie za brodę i popatrzył mi prosto w twarz. Jego oczy przepełniał smutek.

– Teraz się odwrócimy i pójdziemy w stronę innej ulicy, dobrze?

– Puść mnie, Malachi – próbowałam go odepchnąć. – Co się stało?

Nie chciał bądź nie był w stanie mnie puścić.

– Samobójstwo.

Ze zdumienia przestałam się wyrwać.

– Chcesz powiedzieć, że ktoś rzucił się z tego budynku i spadł tuż przy nas? – zapytałam piskliwie.

Nie przestając patrzeć mi w oczy, skinął potwierdzająco.

– Malachi, Lela, idziemy.

Kiwnął głowę w kierunku Any, a potem znów spojrzął na mnie.

– Teraz powoli cię puszczę. – Zabrzmiało to bardziej jak pytanie niż stwierdzenie.

– Nic mi nie jest. Nie musisz się tak nade mną rozczulać. – Miałam nadzieję, że nie zauważył, jak zaczęłam się pocić.

Uśmiechnął się, ale z odrobiną żalu.

– Wybacz, to był odruch. Postaram się trzymać ręce z daleka od ciebie. – Opuścił ramiona.

– No... nie o to mi chodziło – wymamrotałam.

Zdezorientowana, odwróciłam się w nieodpowiednią stronę. Mój wzrok padł wprost na pokiereszowane zwłoki. W pierwszej chwili leżącego trupa przysłonił mi obraz mnie samej spadającej z urwiska i uderzającej o coś. Bo uderzyłam mocno. Ogłuszył mnie ryk w uszach, nie dosłyszałam nawet własnego krzyku, a żadna myśl nie przedarła się przez wspomnienie, które właśnie do mnie dotarło – wspomnienie ostatniej chwili życia.

Ocknęłam się na tapczanie.

Wytężając wzrok w słabym świetle, zobaczyłam ułożony pod ścianą ekwipunek. Znajdowałam

się w sypialni, w naszym mieszkaniu-bazie. Leżałam bez ruchu, usiłując przypomnieć sobie, co stało się, kiedy Malachi mnie puścił, ale moją uwagę przyciągnęły dobiegające zza zamkniętych drzwi sypialni odgłosy rozmowy.

– ... wykonywać swoją robotę. Co w ciebie wstąpiło? Jeszcze tydzień temu znalezienie go było twoją obsesją i to rozumiałam. A teraz?

– Teraz mam cel dodatkowy.

Musiałam wyteńczyć słuch, żeby pochwycić słowa wypowiedane przez cicho przez Malachiego. Usiadłam, starając się zrobić to bezgłośnie.

– Wygodny sposób na ujęcie sprawy. Dzięki temu masz spokój, prawda? Malachi, zauważyłeś, ile błędów popełniłeś w ciągu tych paru dni? Ile razy zaniedbałeś obowiązki, żeby ją ratować? Założę się, że więcej niż przez te siedemdziesiąt lat.

Skrzywiłam się. Ana miała pewnie rację, a ja z każdym jej słowem miałam coraz większe wyrzuty sumienia, że odciągam Malachiego od jego powinności.

– Dobrze robię, pomagając jej. Jest silna i...

– Silna? Widziałeś, co się stało, jak zobaczyła tego faceta na chodniku? A może tylko mnie się wydawało, że niosłeś ją nieprzytomną przez pół miasta? A może...

– Tak? A jaka ty byłaś przez pierwsze tygodnie tutaj? – odwrąknął. – A może mam ci opowiedzieć o moich początkach? Wiem jedno, ani ty, ani ja nie byliśmy tak poukładani, jak ona. Ty porównujesz ją do nas takich, jakimi jesteśmy teraz.

– I taka powinna być, jeśli chce osiągnąć ten niedorzeczny cel, jaki sobie wyznaczyła – odparowała Ana.

– Jest wyjątkowa, sama musisz przyznać. I dlatego zgodziłaś się mi pomóc. Miała wizję swojej przyjaciółki, to znaczy, że albo posiadała te zdolności już wcześniej, albo celowo zostały jej dane. Tak czy owak, to niespotykane. Na dodatek wiedziała, co to za miejsce. Błąkała się tutaj w snach. Cierpiała przez to. Konieczność powrotu tutaj budziła w niej przerażenie, ale i tak to zrobiła. Z własnej woli zrezygnowała z wiecznej szczęśliwości, wygody, poczucia bezpieczeństwa, a uczyniła to, by odnaleźć przyjaciółkę.

– I to jedyny powód, dla którego jej pomagasz, tak?

Omiał ucho mi nie odpadło, kiedy wsłuchiwałam się w ciszę. Umierałam z ciekawości, żeby poznać jego odpowiedź. Musiał jakoś zareagować, bo Ana podjęła po chwili.

– Nie zwiedzisz mnie. Igrasz z ogniem, a akurat ty powinieneś wiedzieć najlepiej, do czego to prowadzi. Pomijając fakt, że jest wyjątkowa, nie możecie w to brnąć. To nie potrwa długo. Ona lada moment zacznie słabnąć. Co zrobisz, jeśli się uprze i nie będzie chciała odpuścić? Zwiążesz ją i zaniesiesz do Sanktuarium jak prosiaka na kiju? Jak daleko się posuniesz, żeby ją ocalić? Ile poświęcisz, nim to się skończy?



Wczepiłam się w boki tapczanu, żeby nie poddać się pokusie, nie skoczyć do drzwi i nie przycisnąć do nich ucha.

– Rób, co chcesz – odezwała się Ana po chwili milczenia. – Ja muszę się stąd wyrwać. Obejdę teren na północny zachód, niech chociaż jedno z nas robi to, co powinno.

Trzasnęły drzwi. Z bijącym sercem położyłam się i odwróciłam twarzą do ściany. Zwinęłam się w kłębek i zacisnęłam powieki.

Ana cały czas nie ukrywała swojego poirytowania zachowaniem Malachiego, ale nie domyślałam się ogromu jej frustracji. Najwyraźniej uważała, że Malachi popełnia ogromny błąd, pomagając mi w poszukiwaniach Nadii.

Drzwi do sypialni otworzyły się ze skrzypnięciem. Rozległy się ciche kroki, potem lekki szmer, kiedy Malachi klękał przy tapczanie. Wstrzymałam oddech, zastanawiając się, czy mnie dotknie. Pragnąc, by mnie dotknął. Westchnął, jakby przegrał jakąś prowadzoną w duchu bitwę. Przesunął dłonią po moich plecach, odnajdując pędzel loków poniżej gumki trzymającej warkocz. Gładził mnie lekko po włosach. Pozwoliłam sobie na króciutki oddech, nadal starając się nie poruszyć. Uśmiechnęłam się i równocześnie usiłowałam powstrzymać łzy. Kiedy w końcu poruszyłam się, żeby wytrzeć twarz, oderwał rękę jak oparzony. Odwróciłam się do niego.

– Jak się czujesz? – zapytał z rezerwą.

– Jest mi wstyd. Przepraszam, że tak ześwirowałam. – Zasłoniłam oczy, żeby pohamować wspomnienie, które poraziło mi mózg.

Pomiędzy palcami widziałam, jak Malachi podnosi, a potem ciężko opuszcza rękę i zaciska ją w pięść. Bał się mnie dotknąć bez wyraźnej zachęty.

Sięgnęłam i niepewnie ujęłam go za rękę. Rozprostowałam palce i złączyłam nasze dłonie. To był prawdziwy, ciepły kontakt. Mój rozszalały puls zwolnił do znośnego rytmu. Zapragnęłam więcej. Pragnęłam wpełznąć w niego cała, ukryć się w nim.

– Spadłam z urwiska – wyszeptalam, a potem popatrzyłam mu w oczy. – Uderzyłam o skały. Przypomniałam sobie to wszystko, jak zobaczyłam tego człowieka...

Zgięłam się w pół, ciężko dysząc, przyciskając twarz do jego kolan i naszych złączonych rąk. Objął mnie, przytulił, a potem dźwignął i jak dziecko zaniósł do saloniku. Usiadł na kanapie, sadzając mnie sobie na kolanach. Wcisnęłam twarz w jego szyję, powoli wyrównując rozszalały oddech i skupiając się na ciepłe dłoni, którą splótł z moją.

Kiedy fala paniki opadła, oparłam głowę o jego bark i zaczęłam uczyć się na pamięć ostrych rysów jego twarzy, linii grzbietu nosa, łuków brwi, zarysu szczęki. Machinalnie przesunęłam po nich palcem. Kiedy poczuł mój dotyk, zamknął oczy, wtulając się w moją dłoń.

– Malachi, co się stało z tym człowiekiem, który skoczył? Mówiłeś, że nigdy nie wiadomo, gdzie się trafi po śmierci tutaj...

Przekrzywił głowę, pozwalając, by moje palce przesunęły się po jego włosach.

– Jestem pewien, że pojawił się z powrotem pod Bramą Samobójców. Z tego, co wiem, samobójstwo nie jest skuteczną ucieczką z miasta. Zabijając się, trafiasz znów przed Bramę i znów cię tu zaganiają. Mamy tu kilku mieszkańców recydywistów, którzy są tak zaabsorbowani własnymi problemami, że nie zauważają nawet, iż za każdym razem trafiają w to samo miejsce. Strażnicy przy Bramie już ich rozpoznają. Tacy wielokrotni samobójcy muszą ciągle zaczynać od nowa.

– Ana wspominała, że Mazikiny też wracają, jeśli się je zabije. Nie da się ich pozbyć ostatecznie?

Malachi przyłożył moją rękę do blizny po ugryzieniu Juriego.

– Nie sądzę, żeby udało się tego dokonać podczas mojej służby. Jedynym sposobem na całkowite ich wyeliminowanie jest odesłanie wszystkich, co do jednego. Wystarczy, że jeden zostanie, i zaraz sprowadzi resztę. Nieraz wypalaliśmy gniazda Mazikinów, ale zawsze przynajmniej jeden gdzieś przetrwał. – Zaśmiał się cicho i smutno. – Może znają już wszystkie moje sztuczki.

Objęłam go i uściskałam. Przez tyle lat tak ciężko walczył, a i tak miał poczucie przegranej. Jakby zostawiał niedokończoną pracę. To było niesprawiedliwe. Wyglądało na to, że Mazikiny buszowały po tym mieście już od bardzo dawna. Ana mówiła, że samobójcy są dla nich łatwym łupem. Naraz coś mi przyszło do głowy.

– Hej, mówiłeś, że Mazikiny nie są w stanie przejść przez wieżę. Czemu ich tam nie wrzucacie?

Przycisnął moją rękę, jakby potrzebował takiej bliskości.

– Tak właśnie Strażnicy robili od dawna. Ale kilka lat temu przesłuchiwałem jednego Mazikina, który przyznał, że zabicie opętanego ciała wyzwala duszę ludzką z ich świata. Co więc, jeśli uwięzienie Mazikina w wieży oznacza wieczne uwięzienie ludzkiej duszy w ich świecie? Skazanie na niewolnictwo, na niekończące się cierpienie? Nie mogłem na to pozwolić, wiedząc, że istnieje sposób na ocalenie duszy. Nie wszyscy się ze mną zgadzają, nawet z Takeshim spierałem się o to całymi latami, bez skutku. Dalej robił po swojemu. Ale po tym, jak... Po jego śmierci to ja przejąłem dowództwo i zabroniłem Strażnikom wtrącania Mazikinów do wieży. – Wzruszył ramionami. – Nadal to robią, wiem o tym. Jeśli kogoś przyłapię, wymierzam karę, ale nie mogę być w wielu miejscach równocześnie. Dlatego ja nie pozostawiam żadnego Mazikina przy życiu. A jeśli naprawdę mogę wyzwolić duszę człowieka i pozwolić jej odejść do miejsca przeznaczenia?

– A czy wobec tego nie wróciłyby tutaj?

Zaprzeczył gestem.

– Nie zawsze. Zależy od tego, jakie postępy ten człowiek poczynił w tamtym miejscu. – Zawiesił głos, a kiedy znów się odezwał, miał chyba ściśnięte gardło, bo mówił ochryple. – Lela, wiesz, że jeśli wkrótce nie staniesz przed obliczem Sędziego, umrzesz. Rozumiesz?

– I gdzie pójdę?

– Jeśli na to pozwolisz, jeśli sama zagłodzisz się na śmierć, prawdopodobnie wrócisz tutaj. Ale nie będziesz taka jak teraz. Będziesz już należała do tego miasta, będziesz jednym z tutejszych samobójców. Ale możesz równie dobrze trafić na Wieś. Albo jeszcze gdzie indziej. Nikt tego nie wie.

*Nie chcę nigdzie odchodzić. Chcę zostać z tobą.*

Myśl ta niespodziewanie uderzyła mnie z całą swoją mocą i prawdziwością, że aż się szarpnęłam.

– Co się stało? – Znów chyba przestraszył się, że przekroczył jakąś granicę, bo natychmiast wypuścił mnie ze swych ramion.

– Nic. – Uspokoiliam go, z powrotem otulając się jego ramionami. Spoglądał na mnie pytająco, błagając o odpowiedź. Nie miałam jej. Miałam tylko własne pytania.

– Zmusisz mnie do opuszczenia miasta?

Zaprzeczył stanowczo.

– Nigdy do niczego cię nie zmuszę, przysięgam. Nie popełnię tego błędu po raz drugi. Ale poza tym, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś bezpiecznie się stąd wydostała.

– Ana uważa, że zaniedbujesz swoje obowiązki.

Twarz mu stężała.

– Ana jest świetnym współpracownikiem i partnerem i bardzo ją szanuję, ale nie zawsze się zgadzamy.

– Nie mam wyrzutów sumienia, że odciążam cię od tego, co powinieneś robić.

Musnął palcami moje policzki.

– Wobec tego nie przejmuj się. To właśnie powinienem robić.

Jego pieścizota wprawiała mnie w drżenie. Roześmiałam się.

– To właśnie powinieneś robić? Teraz?

Niepewnie odsunął rękę, ale szybko zorientował się, że żartowałam.

– Tak. I może jeszcze to. – Powiódł opuszkami od mojej skroni aż po szyję i uśmiechnął się, kiedy znów zadrżałam. Oczy mu zabłysły, kiedy zawiesił wzrok na moich ustach.

Do cholery z całą tą kontrolą. Pragnęłam go pocałować. Pragnęłam zatonać w nim, zapomnieć o wszystkim i nigdy nie wypłynąć na powierzchnię.

Zajrzał mi w oczy, sprawdzając moją reakcję, a potem nabrał tchu i pochylił się tak blisko, że prawie dotykał moich ust.

– I jeszcze t...

Drzwi otworzyły się z hukiem. Odskoczyliśmy od siebie i zerwaliśmy się z kanapy. Malachi odruchowo sięgnął po broń. Ja skuliłam się, śmiertelnie zaskoczona, z nerwami napiętymi jak postronki. Nie mieliśmy nawet czasu odetchnąć z ulgą na widok Any, bo ta z miejsca zaczęła wykrzykiwać:

– Malachi! Nie uwierzysz! Chyba właśnie znalazłam gniazdo Mazikinów! Jest jakieś sześć ulic stąd na północny zachód!

Malachi schował na wpół obnażony bułat.

– Jesteś pewna?

– Siedzę w tym już jakąś chwilę – odparła z przekąsem. – Mamy już za sobą kilka takich spraw, prawda? Budynek wygląda na opuszczony, ale w piwnicy coś się dzieje. Ukryłam się w kontenerze na śmieci. – Zmrużyła oczy i skrzywiła się do Malachiego. – W związku z tym będę potrzebowała nowej zbroi, bo ten smród nigdy nie wywietrzeje. Będziesz mnie wspierał u Michaela. A wracając do tematu, obserwowałam ten budynek. To jest to, skarbie. Widziałam, jak wchodzi tam cała ich banda, a jeden z nich miał bułat Strażnika. I był z nim jeden stary.

Wzdrygnęłam się na wspomnienie Doris i jej upiornych zwierzęcych susów.

Podekscytowany Malachi postąpił krok ku Anie.

– Widziałaś Sila albo Ibrama?

– Nie, nie było ich w środku. Widziałam wewnątrz przez jedno z okien.

– Ile ich jest?

– Kilkadziesiąt, ale... – Ana zerknęła na mnie dziwnie. – Lela, wybaczysz na moment?

– Proszę? Ach, jasne. – Ruszyłam ku drzwiom sypialni, nadal całkiem oszołomiona tym prawie pocałunkiem.

Powstrzymał mnie.

– Zostań. Ana, możesz mówić przy Leli, to dotyczy także i jej.

Ana spiorunowała go wzrokiem.

– Niech ci będzie – wycodziła. – Ale będziesz tego żałował. – Odwróciła się do mnie i wskazała mój tatuaż. – Chyba znalazłam twoją koleżankę.

– Gdzie?! – wykrztusiłam.

Ana zwróciła się do Malachiego.

– Jestem pewna, że była w tej grupie rekrutów, którzy wchodziłi do budynku.

– To znaczy, że jest opętana? – Poczułam, jak oczy wypełniają mi się łzami. To niemożliwe. Nie po tym wszystkim, przez co przeszłam.

– Nie, jeszcze nie. Płakała. Mazikiny są zwykle radosne, no, chyba że walczą. Z tego by wynikało, że nadal jest sobą.

Malachi i Ana wymienili spojrzenia.

– Propozycje? – zapytał Malachi.

– Pełny atak frontalny – odparła Ana. – Ściągniemy oddział z najbliższego posterunku i uderzymy całą siłą.

Malachi stanowczo pokręcił głową.

– Są dwa ale. Po pierwsze, najbliższy posterunek znajduje się trzydzieści ulic stąd. Nie mamy czasu, żeby tam iść, ogłosić alarm bojowy, zaczekać, aż się zbiorą i przyprowadzić ich tu. To potrwałoby całą noc. Po drugie, atak bezpośredni stanowiłby zagrożenie dla Nadii. Gdyby zginęła, pewnie znów pojawiłaby się przy Bramie, ale ta jest oddalona o dwa dni drogi, więc nie dalibyśmy rady zawiadomić tamtejszych Strażników, żeby ją zatrzymali. Weszłaby do miasta i przepadła na dobre. Inne propozycje?

– Brak. – Ana rozmasowała sobie kark. – Moglibyśmy próbować się zakraść do środka, ale ciebie rozpoznaliby na pewno, a mnie prawdopodobnie już też. Poza tym budynek jest zabezpieczony. Sprawdziłam parter. Odcięli wszystkie wejścia poza tym bezpośrednim z ulicy. Kanały też.

Wypuściłam wstrzymywany do tej pory oddech.

– Ja tam wejść.

Malachi obrócił się raptownie, parząc na mnie ze zgrozą.

– Nie ma mowy!

Mimowolnie cofnęłam się, wystraszona jego gwałtownością.

– Muszę to zrobić. Inaczej zabiorą ją i zostanie opętana. Sam mówiłeś, że dusza opętanego trafia do miejsca, które jest znacznie gorsze niż to tutaj. Muszę ją stamtąd wydostać.

Zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie. My damy sobie z tym radę, ty nie. Jak w ogóle możesz sugerować...

– Żartujesz?! – warknęłam. – Dobrze wiesz, że to jedyny powód mojego pobytu tutaj. – Malachi spuścił oczy. – Poza tym, po rozważeniu wszystkich „propozycji” to chyba najlepsze wyjście. Wy nie możecie tam wejść, ja tak. Ano, mówiłaś, że one lubią takich ludzi jak ja, więc...

– Lelo – zaczął Malachi twardo, podsycając tylko mój sprzeciw. – Są duże szanse, że nie wyjdiesz stamtąd żywa. W tych piwnicach są dziesiątki Mazikinów. Nie będziesz w stanie sama się przed nimi obronić. Nic nie zrobisz, jeśli będą chciały cię opętać. Musi być jakiś inny sposób.

– Nie jestem bezbronna. – Nie ustępowałam. – A z waszym wsparciem uda mi się stamtąd wydostać Nadię.

Odwróciłam się, żeby schować się w sypialni. Nie mogłam dłużej na niego patrzeć. Zabrałam się za przegrzebywanie komody. Zaraz za mną weszła Ana i zabrała się do wyciągania sprzętu i broni z szafy. Malachi zatrzymał się w progu.

– Co robisz?

– Szukam jakichś zwykłych ciuchów. – Ręce mi drżały, kiedy grzebałam w zatęchłych ubraniach.

– Nie pozwolę ci tego zrobić – oświadczył beznamiętnie.

Podeszłam do niego, jedną dłonią ujęłam się pod bok, drugą wymachiwałam mu przed nosem.

– Słucham? Czy to nie ty przypadkiem obiecywałeś mi przed chwilą, że nigdy mnie do niczego nie zmusisz? Co? Czyżbym nie doczytała jakiegoś drobnego druczku z dopiskiem, że kłamiesz?

– Nie powinno cię tu w ogóle być! – krzyknął, podchodząc do mnie. – Obiecałem, że pomogę ci ją znaleźć, a nie, że pomogę ci się zabić!

– Zamierzam ją stamtąd wydostać, słyszysz?! Nie odwrócę się od niej po raz drugi! –

*I nie pozwolę ci iść na misję samobójczą.*

Grzmotnął dłońmi w komodę, tak że znalazłam się między jego ramionami. Pochylił się, zbliżając twarz do mojej.

– To jakiś obłąd! Czemu w ogóle uważasz, że to ty właśnie stanowisz rozwiązanie problemu?

– Bo to najlepsza z propozycji!

– Czemu się tak narażasz? – Jego głos przeniknął mnie do kości. – Uważasz, że jesteś bezwartościowa? Jak możesz...

Zamknęłam mu usta dłonią. Chciałam, żeby przestał mówić, ale o mało co się nie rozplakałam, poczuwszy ciepło jego skóry. Zanurkowałam pod jego ramieniem i wycofałam się z rękami uniesionymi w górę. Musiałam odejść, bo byłam bliska wybuchu. Nie potrafiłam znieść tego, jak na mnie patrzył. Wyraz jego twarzy budził we mnie wściekłość i jednocześnie rozdzierał mi serce.

– Nie zamierzam się z tobą wyklócać, Malachi. Już postanowiłam.

– Nie mogę tego zrobić. Nie pomogę ci w tym szaleństwie. – Potrząsnął głową i omiół spojrzeniem pokój, unikając mojego wzroku.

– To najlepszy, najbezpieczniejszy plan na uwolnienie Nadii.

– Nie dla ciebie. – Przesunął dłonią po włosach, a jego oblicze wykrzywił grymas. – Nie mogę tego zrobić.

Odwrócił się i wyszedł z mieszkania.

## DWUDZIESTY TRZECI

Gapiałam się na zatrzaśnięte drzwi. Nie oczekiwałam, że będzie zachwycony moim planem, ale nie spodziewałam się też, że spanikuje. Odwróciłam się do Any i kilka razy bezgłośnie otworzyłam i zamknęłam usta.

– Miałam przeczucie, że do tego dojdzie. – Pokręciła głową. – Zbyt wiele od niego wymagasz.

– Przecież proszę go tylko, żebyśmy wybrali mniej ryzykowną opcję! Przecież nie mogę wam pozwolić tam iść i dać się zabić, skoro istnieje mniej ryzykowny sposób, żeby Nadię stamtąd wyciągnąć.

– Mniej ryzykowny? On widzi to całkiem inaczej. Nie wahałby się ani sekundy, gdyby miał ryzykować własne życie. Robi to dzień w dzień, a teraz ma jeszcze więcej powodów niż zwykle. Ale twoje? To dla niego nie do pomyślenia. Dopuścił to tego, by zaczęło mu na tobie zależeć, a teraz nie może sobie z tym poradzić. Tym swoim planem trafiłaś go na dziesiątki sposobów.

– Nie rozumiem, Ano. Przecież sama wiesz, że mam rację. To najlepszy sposób na uratowanie Nadii, prawda?

– Owszem – westchnęła.

– Malachi nie jest głupi i też to wie. Jestem tego pewna.

Ana podeszła do sterty ekwipunku.

– Jasne, że tak. Ale pamiętaj, że jego kalkulacje przestały się zgadzać. Nie jest w stanie rozważać tego na zimno, bo to dotyczy ciebie. W zasadzie mogę się założyć, że teraz myśli tylko o jednym. O tym, że robisz wszystko, aby spełnił jego najgorszy koszmar. Znowu.

– O czym ty mówisz?

– Pamiętasz, jak opowiadałam ci o Takeshim? O tym, że został opętany? – Ana zaczęła przekładać broń, starannie przygotowując uzbrojenie na każdą możliwą ewentualność. Obserwowałam ją, czując na plecach zimny dreszcz. Zamarła na chwilę ze spuszczoną głową, a potem przesunęła palcami po pancerzu, tuż nad sercem. – Kiedy nie wrócił z patrolu, zaczęliśmy go z Malachim szukać. Zobaczyliśmy go niedaleko Strażnicy, wracał do nas. Ogarnęła mnie taka ulga. Takeshi nigdy się nie spóźniał, więc szalałam z niepokoju. Zaczęłam ku niemu biec, Malachi ruszył za mną. Ale kiedy zbliżyliśmy się do Takeshiego, Malachi odepchnął mnie na bok i dobył bułata. – Zamknęła oczy i usiadła bez siły na podłodze. – Zapach. Poznał po zapachu. Też go czułam, ale zupełnie nie skojarzyłam. W tym momencie nie myślałam. I omal mnie to nie zabiło. Gdyby Malachi mnie nie odepchnął, jeden z noży Takeshiego utkwiłby mi w piersi. Zamiast tego trafił w ramię Malachiego. W pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć. Próbowałam

ich rozdzielić, nie potrafiłam zaakceptować faktu, że Takeshi jest opętany, że już go nie ma. Na początku Malachi musiał walczyć i z nim, i ze mną. – Wykrzywiła się z goryczą, odsunęła część pancerza i uniosła koszulę, pokazując długą szramę biegnącą przez żebra. – Dzięki temu przestałam się miotać i otrzeźwiałam. Ale Takeshi był tak osłabiony, że Mazikin okupujący jego ciało nie miał szans z Malachim. Nigdy nie zapomnę twarzy Malachiego, kiedy podcinał Takeshiemu gardło. Tak samo spojrzał na ciebie, zanim trzasnął drzwiami.

Ścisnęło mnie w żołądku.

– Boi się, że zamienię się w Mazikina, a on nie będzie w stanie tego powstrzymać. Boi się, że będzie musiał mnie zabić.

– Dokładnie. Inni Strażnicy chętnie odsyłają Mazikiny do wieży. To łatwe. Wepchnąć do środka, zatrzaskać drzwi, koniec pieśni. Ale Malachi zawsze je zabija. Wierzy, że w ten sposób wyzwala duszę opętanego człowieka. Po śmierci Takeshiego też chciałam w to uwierzyć. I wierzę. Nie czuję się źle, kiedy je zabijam. Ale z Malachim jest inaczej. Wiem, że zawsze bardzo to przeżywa. A tym razem byłoby jeszcze gorzej niż przy Takeshim, ze względu na to, co do ciebie czuje. – Ana wydawała się całkiem pochłonięta przypinaniem noży do kostek, ale dostrzegłam lśniąca strużkę na jej policzku.

– Jak to, gorzej? Przecież Takeshi był jego mentorem. Pracowali razem całymi latami. Mówiłaś, że Malachi go kochał. A mnie... Ledwie zna – wymamrotałam i zawiesiłam głós.

Ana rzuciła mi zniesmaczone spojrzenie, nie przerywając rozmieszczania broni w każdym możliwym miejscu na sobie.

– Rzuciłaś go na kolana, a wiem, że ty czujesz to samo. Jasne, masz inne priorytety, ale widzę to, kiedy na niego patrzysz. – Ana wyciągnęła nóż i wbiła go w drzwi, nie spuszczając ze mnie płonących, kocich oczu. – Teraz w głębi duszy umiera, bo będzie cię musiał posłać do tego gniazda. Pamiętasz, z jaką determinacją starał się temu zapobiec? Wie, że to najlepszy sposób, najbezpieczniejszy dla Nadii. Zrobi to z szacunku dla ciebie i dlatego, że chce cię zadowolić. Ponieważ dał ci słowo. Ale najbardziej pragnie teraz zabrać cię stąd najdalej, jak się da, i nigdy żadnemu Mazikinowi nie pozwolić cię tknąć.

Odetchnęłam i wyprostowałam ramiona. Ja pragnęłam tego samego; żeby mnie stąd zabrał. Ale musiałam przez to przejść. Przecież dlatego tu przybyłam.

– Muszę wydstać stamtąd Nadię. Nie pozwolę, żeby ją zabrały.

Ana kiwnęła głową.

– Zrobimy, co w naszej mocy. Ale bądź realistką. Teraz, kiedy jest z nimi, szanse są nawet mniejsze. Jedyne, co działa na naszą korzyść, to fakt, że nie ma tam Sila i Ibrama. Ale jest ich bardzo dużo, a my musimy działać na ślepo, bez wsparcia. Nie mamy czasu na obserwację, nie będziemy więc wiedzieć, z czym przyjdzie się nam zmierzyć. Wiem, że to najmniej ryzykowny



plan, ale i tak istnieje spora szansa, że żadne z nas nie wyjdzie stamtąd żywe. – Otworzyła jedno z pudeł wyciągniętych z szafy i ostrożnie wyjęła z niego zawartość – kilka czarnych kul wielkości piłek do golfa. Umieściła je w torbie. Zobaczywszy, że się im przyglądam, pokazała mi jedną. – To wynalazek Michaela, bardzo przydatny. Jedyny materiał wybuchowy w mieście. Wejdiesz, zabierzesz Nadię, a my będziemy czekać na zewnątrz. Zrobimy tam piekielną dywersję, a ty ją wyprowadzisz.

Poczułam, jakby na piersi zaparkowała mi ciężarówka. Wiedziałam, że mój plan był dla Any i Malachiego najmniej ryzykowny ze wszystkich, ale i tak, czego byśmy nie wymyślili, narażali życie dla mnie i Nadii. Byłam przerażona, za nas wszystkich. A na wspomnienie spotkania z Mazikinami, wspomnienie zapachu kadzidła i zgnilizny, palców zaciskających się na mojej ręce i ich zwierzęcych ruchów, miałam ochotę zwinąć się w kulkę i już nigdy nie poruszyć. Tylko jedno mogło mi pomóc. Tylko jedno, odkąd przyszedłam do miasta, dawało mi ukojenie, pociechę w tym piekielnym miejscu, czyniło silniejszą i bardziej zdeterminowaną, by stawić wszystkiemu czoło... Malachi. Ale on wybiegł z mieszkania.

– Będzie pewnie na dachu. Zawsze idzie na dach, kiedy musi się uspokoić – powiedziała Ana cicho. – Tylko się pospiesz. Nie możemy czekać zbyt długo. Pójdę tam i będę obserwowała piwnicę. Jeśli coś się zmieni, przyjdę po was.

Nie potrzebowałam większej zachęty. Kilka sekund później byłam na klatce schodowej. Ostatnie stopnie pokonałam, ciężko dysząc. Metalowe drzwi zazgrzytały, kiedy je otwierałam, ale Malachi nawet się nie odwrócił.

Stał na skraju dachu, opierając się o murek, i spoglądał na miasto. Podeszłam powoli, dając mu szansę, żeby spojrział na mnie, ale nie zrobił tego. Już miałam zapytać, czy znów uciekł poza mury, kiedy się odezwał:

– Po co tu przyszałaś? Myślałem, że będziesz się przygotowywała?

– Jestem gotowa.

Odwrócił się, zbyt szybko, żebym zdążyła się cofnąć. Wyciągnął rękę i szarpnięciem zdjął gumkę przytrzymującą mój warkocz, tak pieczołowicie zapleciony rankiem przez Anę.

– Co robisz? – Nie miałam szans na dalsze protesty, bo błyskawicznie rozczesał mi palcami włosy. – Ej! Przystań! – Bezskutecznie próbowałam odepchnąć jego ręce. – Co z tobą?

Opuścił ręce i cofnął się.

– Tak będziesz dla nich bardziej atrakcyjna – stwierdził drewnianym głosem.

Założyłam kosmyk włosów za ucho.

– Ana powiedziała mi, co musiałeś zrobić z Takeshim. – Mięśnie na jego żuchwie napięły się. – I chciałam ci powiedzieć, że rozumiem ryzyko. I rozumiem, co może będziesz musiał zrobić.

Zacisnął pięści.

– Niczego nie rozumiesz. Myślisz, że dając mi pozwolenie na poderżnięcie ci gardła, ułatwiasz cokolwiek?

– Pomyślałam, że to może pomóc. Nie chcę, żeby jakiś Mazikin chodził w moim ciele. Chcę, żebyś to zakończył, jeśli do tego dojdzie.

Prychnął drwiąco.

– Jakież to wspaniałomyślne z twojej strony, Lelo, szczególnie, że już dawno cię nie będzie. Zastanowiłaś się, zanim dałaś mi, tak od niechcienia, to swoje błogosławieństwo? Kiedy dopadnę Mazikina, który cię opęta, on będzie patrzył na mnie twoimi oczami. Jego skóra będzie tak gładka jak twoja, gdy jej dotknę. Kiedy ją przetnę, będzie krzyczał twoim głosem. A kiedy będę stał nad twoim ciałem, patrząc, jak krew moczy twoje piękne włosy, myślisz, że nie będę czuł się tak, jakbym zabił ciebie? – Głos mu się załamał, odwrócił się do mnie tyłem.

Przelknęłam gulę w gardle i położyłam dłonie na jego plecach, pewna, że kontakt fizyczny obojgu nam przyniesie pocieszenie.

Myliłam się.

– Nie dotykaj mnie.

Zabrałam ręce.

– Przepraszam. Myślałam...

Odwrócił się i pochylił ku mnie.

– Co, Lela? Myślałaś, że dotknięcie mnie wszystko załatwi? Nie wiesz, że za każdym razem, gdy to robisz, jest coraz gorzej?

Równie dobrze mógł mnie spoliczkować. Spuściłam oczy, żałując teraz, że nie ktoś inny jest w moim ciele.

– Skoro nie chcesz, żebym cię dotykała, to czemu nigdy mnie nie powstrzymałeś?

Zbliżył się, rozkładając w bezradnym geście trzęsące się ręce.

– Nie powiedziałem, że nie chcę, żebyś mnie dotykała! W tym tkwi problem. Za każdym razem, kiedy czuję na sobie twoje dłonie, chcę, żeby to trwało wiecznie. Ale jeśli teraz mnie dotkniesz, nie pozwolę ci nigdzie iść – dodał łagodniej. – Nie pozwolę ci po nią iść. Nie byłbym w stanie. Proszę, nie stawiaj mnie w tym położeniu. Nie każ mi łamać obietnicy. Nie utrudniaj tego bardziej... – Zaplótł ramiona na piersi. Wyglądał przez to tak bezbrinnie.

Bardzo chciałam uszanować jego prośbę, żeby trzymać się na dystans, ale lęk podsylił we mnie egoizm, a jego wyznanie dodało mi odwagi.

– Muszę iść tam po Nadię. Wiesz, że muszę. Wiesz, że to jedyny sposób, żeby w ogóle miała szansę, i wiesz, że to też najlepszy sposób ze względu na Anę. Ale jestem tak przerażona, że zaraz chyba umrę ze strachu i nie będę w stanie tego zrobić, jeśli cię nie dotknę. To jedyne, co daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Podjęłam ryzyko, że znów mnie odepchnie, i wyciągnęłam rękę.

– Lela – jęknął i cofnął się pod murek. – Nie prosź mnie o to.

Położyłam mu ręce w talii i przesunęłam na plecy, obejmując go. Zadrżał, kiedy go dotknęłam. Przytuliłam się policzkiem do jego piersi, chłonąc przez koszulę ciepło jego ciała, oddychając głęboko, by wciągnąć do płuc jego zapach i zachować go na zawsze.

– Pozwól mi, proszę, tylko parę minut.

Tak jak w noc na wieży Strażnicy rozłożył ramiona, pozwalając mi się dotykać, przejąć kontrolę. Zacisnął palce na ceglach, jakby miał zamiar je skruszyć. Spojrzał w górę, za zaslonę, która nad nami wisiała.

Drżącymi palcami przesunęłam po jego kości policzkowej. Powieki mu zadrgały i opadły. Przybliżyłam się jeszcze, aż czułam jego oddech we własnej piersi, aż jego serce łomotało tuż przy moim, aż to wszystko przestało mi wystarczać – zapragnęłam, żeby i on mnie dotykał. Całe to pragnienie, potrzeby, nadzieje i lęki przelałam w jedno słowo, najpotężniejsze, jakie przyszło mi do głowy:

– Malachi.

Jęknął chrapliwie, obejmując mnie, miażdżąc w uścisku. Jedną dłonią ujął mnie za kark. Uniósł głowę, a nasze spojrzenia spotkały się.

– Nie rób mi tego – wyszeptał, a potem mnie pocałował.

Nie miało to nic wspólnego z pocałunkiem, który mu skradłam, kiedy był nieprzytomny. Tamten był zaledwie echem, słodkim lecz pustym. Ten był czymś żywym. Dzikim i niebezpiecznym. Rozłożył skrzydła i poniósł nas ponad miastem, poza jego mury. Malachi smakował lasem, słońcem, smakował jak każde marzenie, które snułam o tej chwili.

Objęłam go za szyję, przyciągając do siebie. Na Boga, całkowicie straciłam kontrolę nad sytuacją, ale to było tak słodkie, tak piękne. Nie sądziłam, że kiedykolwiek pozwolę sobie na takie uczucie. Byłam przekonana, że nigdy czegoś takiego nie poczuję, że wydarto ze mnie tę zdolność, ale nie, istniała, czysta, nietknięta. Malachi poruszał się wraz ze mną, otwierał się na mnie, przytulał mnie. Wreszcie z jego gardła wydarł się ten dźwięk, seksowny, bezsilny, tak zniewalający, że upadłabym chyba, gdyby mnie nie trzymał. Wsunęłam palce w jego włosy, a on podniósł mnie, nie przerywając pocałunku.

Zgrzyt i trzask metalowych drzwi okrutnym szarpnięciem sprowadził mnie z powrotem do miasta. Kiedy odsuwałam się od Malachiego, nadal czułam leśny posmak na języku. Oparł się czołem o moje, ciężko dysząc.

– Nie rób mi tego – powtarzał cicho, tak cicho, że lewie słyszałam go poprzez huk własnego serca.

– Lela, Malachi, tracimy czas. Do gniazda przybył Sil. Nie możemy czekać, aż i Ibram tam

przyjdzie. – Śmiertelnie poważny głos Any przywrócił mnie do rzeczywistości, przypominając, co jest stawką dzisiejszego wieczoru.

Malachi opuścił mnie na ziemię, ale nie wypuścił z objęć. Jego ramiona zamknęły się wokół mnie jeszcze mocniej, a jego usta poruszały się bezgłośnie. Mocno zaciskał powieki, jakby cierpiał, jakby się modlił. Albo jedno i drugie.

– Musimy iść – mruknęłam, odpychając go lekko i zastanawiając się, czy spróbuje mnie powstrzymać i czy znajdę w sobie tyle siły, by mu się przeciwstawić. Ale puścił mnie. Znów oparł dłonie na murku. Odwróciłam się i zaczęłam iść, unikając wzroku Any.

Kiedy weszłam do budynku, ostatni raz spojrzałam przez ramię na Malachiego. Stał nadal w tym samym miejscu ze spuszczoną głową, ciężko oddychając i zaciskając palce na ceglach, miażdżąc je na pył.

## DWUDZIESTY CZWARTY

Wlokłam się ulicą, zatopiona w myślach, starając się upodobnić do reszty mieszkańców miasta. Łatwych łupów. Okazało się to nie takie trudne. Rzeczywiście dryfowałam myślami po oceanie zamętu, którego powodem był Malachi, i mało zwracałam uwagę na otoczenie.

Oblizalam usta, nadal czułam jego smak na wargach. O mało co nie zawołałam go po imieniu, o mało co nie zaczęłam błagać, żeby wyszedł z ukrycia i zabrał mnie stąd. Byłam pewna, że jest gdzieś blisko, i tak samo pewna, że pojawiłby się na moje wezwanie. Wystarczyło zawołać. Z trudem oparłam się pokusie, wiedząc, że jeden fałszywy gest może obrócić nasze wysiłki i plany wniwecz.

W zaułku nieopodal rozległo się echo czyichś kroków. Serce podeszło mi do gardła na widok wybiegającego z uliczki Mazikina. Stwór zatrzymał się gwałtownie, zastępując mi drogę. Był to ten sam staruszek-rasista, na którego natknęłam się tuż przed napaścią Amida.

– Ach! A myślałam, że Strażnicy cię dopadli – zagadał, podnosząc się z czworaków. Otarł brudne ręce o spodnie i złapał mnie za ramię. – Potrzebujesz jakiegoś lokum, dziewczyno. – Spiełam się, żeby powstrzymać odruch, który nakazywał grzmotnąć go pięścią w bezzębną szczękę.

– No... chyba tak.

– Masz szczęście. Mamy tu niedaleko schronienie. Znajdziesz tam wielu przyjaciół. Dużo młodych, jak ty. – Odwrócił się, nie puszczając mnie. – Mam tu jedną! – zawołał gdzieś w mrok.

Z zaułka wynurzył się kolejny Mazikin, młody o złotorudych włosach. Podeszedł do nas z uśmiechem. Z trudem przełknęłam ślinę, starając się opanować mdłości, o jakie przyprowadził mnie silny zapach zgnilizny.

– Dobra robota, Clarence. – Rudzielec dotknął moich włosów. – Ma ładne kolory na buźce, nie tak jak tamci, bladzi. Jest doskonała. Zabierzmy ją. Sil robi dzisiaj wsad. Niedługo zacznie.

Serce zabiło mi szybciej. *Wsad*. A co, jeśli już jest za późno? Co, jeśli Nadię opęta jakiś Mazikin, zanim do niej dotrę? Te myśli wyrównały mój krok i pozwoliły mi się nie opierać ciągnącemu mnie Mazikinowi. Ze wszystkich sił starałam się nie rozglądać na boki, choć kusiło mnie, by sprawdzić, czy uda mi się dostrzec choćby cień Malachiego, mojej deski ratunku, mojego... Tak. Był czymś znacznie więcej niż tylko deską ratunku, a ja może nie będę już miała szansy, żeby mu o tym powiedzieć.

Kilka minut później dotarliśmy do wielkiego budynku, który przypominał magazyn. Okna na parterze były ciemne, ale z piwnicznych, znajdujących się poniżej poziomu chodnika, bił chłodny,

zielonożółty blask.

Clarence i Rudzielec poprowadzili mnie krótkimi schodami w dół i otworzyli przede mną drzwi. Przez całą drogę, kolejnymi schodami w dół, a potem korytarzykiem w bok, Clarence nie odrywał gruzłowatych paluchów od mojego ramienia.

Znaleźliśmy się w wielkiej, otwartej przestrzeni piwnicznej. Strop podtrzymywały rozmieszczone co kilka metrów słupy. Wysoko umieszczone okna znajdowały się w ścianie naprzeciw wejścia. Na środku pomieszczenia stał stół konferencyjny, a zamiast krzeseł otaczały go niskie, ceramiczne misy. Gęsty dym, który się z nich wydobywał, zbierał się pod sufitem. W końcu dowiedziałam się, dlaczego Mazikinom towarzyszy zapach kadzidła. Do każdej z nóg stołu przywiązano sznury, których końce leżały na blacie.

Domyślałam się, do czego służy ten stół, i zamierzałam trzymać się od niego tak daleko, jak to tylko możliwe.

Piwnica pełna była Mazikinów wszelkich rozmiarów, kształtów i kolorów. Rozmawiały, śmiały się, błyskając kłami, przesuwaly dłońmi po ramionach i palcami po włosach towarzyszy. Mężczyźni, kobiety, starzy, młodzi, nie potrafili chyba rozmawiać, nie dotykając się przy tym. Niektórzy siłowali się dla zabawy, gonili zwierzęcymi susami, przewracali jeden drugiego i przepychali się. Przynajmniej dwie pary pod ścianą, niedaleko mnie, entuzjastycznie i głośno uprawiały nie tylko przepychanki.

*No nie, to coś...*

Z obrzydzeniem odwróciłam wzrok.

I wtedy ujrzałam Nadię.

Z jej szklistych oczu ściekły po policzkach łzy. Miała opuchniętą, poszarzałą twarz i wiszące w tłustych strąkach włosy. Spodziewałam się, że będzie wyglądała inaczej niż wtedy, gdy widziałam ją po raz ostatni, nieruchomą, doskonale piękną w trumnie, a mimo to serce zabolalo mnie na ten widok. I poczułam jeszcze silniejszą determinację, by ją stąd wydostać.

Siedziała na podłodze wraz z grupą ludzi, którzy patrzyli na otaczający ich ruch i chaos, ale wydawało się, że w ogóle go nie zauważają. Nie rozmawiali ze sobą, nie rozglądali się po piwnicy, nie przypatrywali Mazikinom z ciekawością czy strachem. Nie próbowali uciekać. Po prostu siedzieli zagapieni w dal, zaabsorbowani swoim nieszczęściem.

Clarence poprowadził mnie do nich.

– Zostań tu z pozostałymi nowymi. Nie martw się, ani się obejrzysz, a będziesz imprezowała razem z nami. – Mruknął do mnie i boleśnie ścisnął mi ramię,

– Uhm, dzięki. – Wyzwoliliłam się wreszcie i powlokłam ku grupce. – Siądę sobie tutaj.

Przepchnęłam się przez nieszczęśników, chcąc znaleźć się bliżej Nadii. Była już tuż, tuż, prawie mogłam jej dotknąć. Pewnie będzie zdumiona i zła, kiedy uświadomi sobie, że skoro

jestem w mieście, to oznacza jedno – także nie żyję. Wścieknę się, że na własne życzenie wpadłam w kłopoty, ale wszystko się zmieni, gdy zrozumie, przez co dla niej przeszedłam. Przeszanie gapić się tym nieobecny, szklanym wzrokiem i znów stanie się sobą. Wyciągnęłam rękę, żeby jej dotknąć.

– A tę gdzie znalazłeś? – Głos Sila odciągnął moją uwagę od przyjaciółki, uświadamiając, że powinnam baczniej obserwować otoczenie. Zamarłam na moment. Po chwili odwróciłam twarz do ściany, ale nie miałam złudzeń, że to coś da. Wiedziałam, że w tej właśnie chwili Sil wskazuje na mnie.

– Szła sobie ze dwie ulice stąd – wyjaśniał Clarence. – Niezła jest, prawda? Ty, z tymi włosami, chodź tu – zagruchał, wyraźnie pęczniąc z dumy. Złapał mnie i nie bacząc na siedzących pomiędzy nami ludzi, wywłócił z grupki.

Podniósłszy głowę, napotkałam badawczy wzrok Sila, ale pilnowałam się, żeby zachować obojętny wyraz twarzy.

– O. Cześć. Znam cię?

Uśmiechną się, przewracając oczami.

– Lela, prawda? Nie zapomnielibyśmy dziewczyny, która pomogła mi uniknąć niechybnej śmierci. I nie wątpię, że też dobrze mnie pamiętasz. Ostatnio, jak cię widziałem, zamierzałaś się pałką Malachiego na moją kochaną Lacey. Przyszedł po ciebie i przyprowadził tę swoją zadziorną przyjaciółkę. Wyglądało na to, że jesteście po ich stronie.

– Nie, zupełnie nie wiem, dlaczego mnie śledzili. Ale ten Malachi... Został ranny, jak walczył z Jurim, a ja mu uciekłam, kiedy chciał mnie zabrać z powrotem do Strażnicy.

Sil zachichotał piskliwie, tak przenikliwie, że aż się wzdrygnęłam.

– Uciekłaś Malachiemu? Trudno w to uwierzyć, mała.

– No tak, normalnie pewnie by się nie udało, ale z tego, co wiem, to ten Malachi może już nawet nie żyć. Kiedy widziałam go ostatnio, był nieprzytomny, nie ruszał się. Twój przyjaciel Jurij nieźle go ugryzł.

Sil nawinał sobie na palec kosmyk moich włosów i szarpnął mnie ku sobie.

– Hmm, nadal go na tobie czuję. – Błyskawicznie chwycił mnie za kark i w następnej chwili czułam jego nos na moim policzku. – Tak – szepnął, obwąchując mnie. – Cała nim śmierdzisz. Kiedy widziałeś go po raz ostatni?

Zrobiłam głęboki wdech, przeklinając w duchu. Oczywiście, że cała pachniałam Malachim, zaledwie godzinę temu wtulałam się w niego. I oddałabym wszystko, żeby powrócić do tej chwili. Przełknęłam ślinę i skupiłam się, by stać nieruchomo i nie zwymiotować, kiedy obrzydliwy oddech Sila owiewał mi twarz.

– Kilka dni temu. Leżał na tapczanie w jakimś pustym mieszkaniu niedaleko Strażnicy.

Wyszedłem stamtąd szybko. – Staralam się oddychać tak płytko, jak tylko się dało. – Mam nadzieję, że ten drań już nie żyje. A wy byliście dla mnie tacy dobrzy, więc pomyślałam, że was poszukam.

Sil przesunął się tak, że znajdowaliśmy się nos w nos, a jego zęby dosłownie milimetry od mojej brody. Złapał mnie jeszcze mocniej, a rozchichotana twarz stężała mu w grymasie okrucieństwa.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Widać, że nie powinno cię być w tym mieście. Możesz udawać, co tylko chcesz, ale wiedziałem to od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłem. To dlatego zadałem sobie tyle trudu, żeby cię wlec ze sobą, zamiast zabić na miejscu w Strażnicy. Jesteś silniejsza od innych. Będziesz wspaniałym gospodarzem dla kogoś z moich krewniaków. Ale jak na razie psujesz ten wyjątkowy dla nas wieczór. Po raz pierwszy od pięciuset lat jesteśmy tak bliscy wydostania się stąd... Mam ochotę rozszarpać ci gardło, tu i teraz.

Wiesz? Czy to miał na myśli?

Nie miałam jednak czasu na dumanie, bo Sil cofnął się raptownie i zmierzył mnie od stóp do głów.

– Dziwię się, że użył cię jako przynęty. Tak na ciebie patrzył... Ale jeśli to zasadzka, lepiej od razu się tobą zajmę. Zobaczymy, jak będzie na ciebie patrzył, kiedy poczuje na tobie nasz zapach. – Znowu rozbrzmiał jego piskliwy chichot, wwiercając mi się w uszy. – Ciekawe, czy się zawaha, jak będzie cię zabijał. Może tak i dzięki temu jeden z nas zajdzie go z zaskoczenia i oderżnie mu łeb! Clarence, pilnuj jej. Będzie druga, to nie potrwa długo. Jeśli się ruszy, ugryź ją. Nie będę o to zły.

Clarence zmarszczył się.

– Jest taka doskonała – pisnął. – Mam ją uszkodzić?

– Nic jej nie będzie. Jest silna, przetrwa te kilka chwil, nim wstąpi w nią jeden z naszych, a potem będzie już odporna na jad. Dlatego w razie kłopotów, gryź.

Sil popchnął mnie tak, że wylądowałam na grupce otępiąłych samobójców. Żadnej reakcji z ich strony, po prostu się rozsunęli. Usiadłam, nie spuszczać oczu z Sila. Zdecydowanym krokiem podszedł do jednej z par i rozdzielił kochanków szturchańcami. Nie słyszałam go, ale z ponaglących gestów wywnioskowałam, że odsyła ich na górę, żeby pilnowali okolicy. Albo sprowadzili Ibrama. Tak czy owak nie wróżyło to dobrze.

Miałam ochotę uciec i ostrzec Anę i Malachiego, że Mazikiny o nich wiedzą, ale powstrzymałam się, kiedy spojrzałam na Nadię. Nie spuszczać spojrzenia z Clarence'a, który bacznie mnie obserwował, znowu spróbowałam zbliżyć się do przyjaciółki.

– Hej, co ty wyprawiasz? Nie słyszałaś, co mówił Sil? Mam cię ukąsić?

Nie utrzymałam buzi na kłódkę.



– Masz w ogóle czym, koleś?

Natychmiast pożałowałam swojego niewyparzonego języka. Staruszek opadł na czworaka i wyszczerzył w uśmiechu cztery zęby.

Cztery ostre kły. Zostały spiłowane.

– Wystarczy, żeby ci pomieszać szyki, dziewczucho, więc siedź na miejscu i się nie ruszaj. Nie chcę cię uszkodzić.

Popatrzyłam na Nadię, która znajdowała się teraz poza moim zasięgiem. A potem znów na Clarence'a, łpiącego na mnie groźnie. Cholera. Utknęłam tu, nie mając pojęcia, kiedy Ana i Malachi zaatakują, ani czy podejrzliwość Mazikinów opóźni ich działania.

Sil, wyraźnie podekscytowany, zaczął biegać po piwnicy, zbierając grupkę Mazikinów. Skupili się wokół stołu i rozmawiali przyciszonymi głosami, zerkając raz po raz w moją stronę. Jeden z nich, w ciele kobiety, wskazał na nas palcem, a Sil przytaknął skinieniem. Podeszli do nas, zatrzymując się przed dobrze zbudowanym, śniadym dwudziestoparolatkiem. Kobieta, starsza Azjatka, kucnęła przed chłopakiem.

– Chodź ze mną, bracie. Zajmiemy się tobą. – Wzięła go za rękę i pomogła wstać.

– Zaczekaj – powstrzymał ją Sil, kładąc dłoń na barku chłopaka. – Juri lubi szczególny typ ciał. Tych ze wschodniej Europy.

Juri? Zamknęłam oczy, w duchu błagając Malachiego i Anę, żeby się pospieszyli. Kiedy rozchyliłam powieki, ujrzałam, jak Sil zagaduje chłopaka w jakimś obcym języku. Twarz młodego człowieka pozostała obojętna. Sil spróbował znowu, tym razem w innym, bardziej gardłowym języku. Chłopak nadal nie reagował. Sil spróbował raz jeszcze i mogłabym przysiąc, że w tym właśnie języku Juri zwracał się do Malachiego, kiedy walczyli w zaułku. Twarz chłopaka drgnęła lekko, a w oczach pojawiła się niska iskra zrozumienia.

– Ach, wspaniale – ucieszył się Sil. – To Słowak. Jest doskonały. Juri będzie zachwycony tym ciałem. – Wziął chłopaka za rękę i powiódł do stołu.

Nie tylko ja ich obserwowałam, Clarence także. Wykorzystałam okazję, żeby przysunąć się do Nadii. Dzieliło nas już tylko kilka osób. Sil wraz z towarzyszami zdjęli wybranemu chłopakowi koszulę i pomogli mu wejść na stół. Nie opierał się, robił dokładnie to, co mu kazano. Na udrepczonej, zadumanej twarzy ani na chwilę nie pojawił się choćby ślad przecucia, co go czekało.

Mazikiny sprawnie przywiązały ręce i nogi chłopaka, a potem jednocześnie zamieszały kadzidło w misach, wzbijając tumany mdlącego, słodkawego dymu. Później otoczyły stół kręgiem, złączyły dłonie i pochyliły głowy.

Obserwowałam to wszystko z narastającą świadomością tego, co się działo. Przyzywały Juriego.

Właśnie teraz. Już. Serce mi zamarło.

Zgromadzone wokół stołu Mazikiny zaczęły nucić, przykuwając uwagę wszystkich towarzyszy. Wkrótce cała rzesza Mazikinów wpatrywała się z uwagą w stół. Wykorzystałam ich nieuwagę i przepchnęłam się do Nadii. Dotarłam do niej w chwili, gdy murmurando sięgnęło szczytowej nuty.

Złapałam ją za ramiona.

– Nadia! – Spojrzała na mnie obojętnie, ale w głębi jej oczu dostrzegłam iskrę rozpoznania. Nie tego się spodziewałam, ale zawsze był to jakiś początek. – Nadia! Słyszysz mnie?

Brwi Nadii uniosły się pytająco.

– Lela? – wykrztusiła ochryple.

O rany. Omal nie osłabłam, tak mi ulżyło.

– Tak, to ja. Jestem tu. Wszystko będzie dobrze. – Chwyciłam ją w objęcia. Po raz pierwszy to ja ją uściśniłam. Nagle jednak zdałam sobie sprawę, że jest jakaś taka bezwolna. – Tak się o ciebie martwiłam. Wiem, przez co przechodzisz, ale teraz już będzie dobrze. Wyjdiesz z tego.

Odwrociłam się i zobaczyłam, jak chmura kadzidlanego dymu gęstnieje nad stołem, przybierając kształt istoty o baryłowym tułowiu i czterech kończynach. Chwyciłam Nadię mocniej.

– Chcę tylko, żeby to już się skończyło – zachlipała Nadia. – Powiedzieli mi, że pomogą, że potrafią to zakończyć.

– Kłamali – wycedziłam przez zaciśnięte zęby. – Ale teraz już wszystko będzie dobrze. Trzymaj się tylko blisko mnie. Mam przyjaciół, pomogą nam się stąd wydostać.

*Jeśli zdążą na czas.*

– Juri! – Okrzyk Sila przykuł moją uwagę do tego, co działo się przy stole. Sil unióś ramiona ku dymnej sylwetce i przemówił w języku, który brzmiał jak zlepek syków, pomruków i kaszlu.

Dymna istota zawisła na chwilę w powietrzu, a potem zagaściła się jeszcze bardziej. Ze zgrozą patrzyłam, jak wnika w człowieka leżącego na stole. Chłopak zaczął się miotać i skręcać. Wygiął się i napiął, unosząc tułów tak, że przez chwilę opierał się tylko na stopach i dłoniach. A potem znów opadł, szarpiąc się i drgając. Jego agonalne wrzaski rozbrzmiewały jeszcze kilka sekund, po czym ucichły, jak nożem uciął. Zgromadzone wokół stołu Mazikiny zaczęły klaskać, a potem przyłączyła się do nich cała reszta, wznosząc okrzyki radości.

Śniady chłopak wyciągnął szyję i czekał spokojnie, aż krewniacy odwiążą mu stopy i ręce. W jego oczach lśniły przebiegłość i okrucieństwo. Uwolniony Juri usiadł i objął Sila, który wyszeptał mu coś do ucha.

Juri zmrugał oczy i spojrzał w naszą stronę. Na mój widok uśmiechnął się szeroko.

– Moja.

## DWUDZIESTY PIĄTY

Tylko jedno słowo, a jednak z łatwością przedarło się przez stek przekleństw, który odtwarzał mi się w głowie jak zapętłony utwór w iPodzie.

Pospiesznie rozejrzałam się wokół, szukając czegoś, co mogłoby posłużyć jako broń, od czego w ogóle powinnam zacząć pobyt w tym zakazanym miejscu. Malachi byłby rozczarowany widząc, jak zawałam. Miałam nadzieję, że dostanę jeszcze od losu szansę na wyjaśnienia, choć w tym momencie nadzieja była nikła. Siedzący obok mnie mężczyzna miał pasek z masywną sprzączką. Oszacowałam, ile zajęłoby mi zdjęcie go z niego. W kącie leżał kawał cegły i zardzewiała puszka. Oceniałam odległość. Potem przyjrzałam się linom przy stole, szczególnie zwracając uwagę na węzły. I w tym momencie zdałam sobie sprawę, że na to wszystko jest już za późno. Juri i Sil zblizali się do mnie. Puściłam Nadię, odsunęłam się od niej i wstałam.

– Mamy dzisiaj niesamowite szczęście, przyjacielu – zaśmiał się Sil. – Nie dość, że mamy tę, którą tak chciałeś mieć, to jestem prawie pewien, że to dziewczyna Malachiego. Cała nim przesiąkła.

– Ona nie jest jego! – wrzasnął nowy Juri, a w jego oczach zapłonęła nienawiść.

Sil natychmiast spowaźniał.

Zanim zdążyłam się odsunąć, Juri objął mnie w tali. Przyciągnął mnie do siebie i wcisnął twarz w moją szyję, sunąc nosem od barku, aż po żuchwę. Próbowalam się wyrwać, ale był okropnie silny.

– Masz rację, Sil – powiedział gardłowo po angielsku. – Malachi tu był. Będzie wymagała sporo wysiłku, żeby usunąć z niej jego smród. – Zadrżał, jakby niezwykle podniecała go ta myśl. – Zabierzmy ją do stołu.

*Nie ma mowy.*

Skorzystałam z tego, że zwolnił uścisk, i z całej siły kopnęłam go kolanem w krocze.

Z jękiem zgiął się w pół. Puścił mnie. Odepchnęłam go i zdołałam zrobić dwa kroki w stronę Nadii, kiedy złapał mnie za nogę. Runęłam na podłogę pomiędzy dwóch samobójców. Nawet na mnie nie spojrzeli.

– Sil! Clarence! Kenzi! – warknął Juri. – Zabierzcie ją na stół!

Wezwane do pomocy Mazikiny rzuciły się na mnie. Jeden wykręcił mi ręce i przytrzymał je za plecami, a dwóch chwyciło mnie pod pachy i zaczęło wlec ku stołowi. Miotalam się i wyrывalam, modląc, by Malachi pospieszył się z dywersją. Już oczami wyobraźni widziałam, jak spełnia się mój najgorszy koszmar. Czemu, do diabła, tak zwleka?

Juri znów pojawił się przede mną. Przycisnął mnie do stołu, potem złapał za kołnierz i zaczął zdzierać ze mnie koszulę, ale gdy tylko jego towarzysze puścili mnie, z całej siły huknęłam go dłońmi w uszy. Zawył i rąbnął mnie w żołądek, zrzucając ze stołu. Oszołomiona bólem usiłowałam wpełznąć pod blat, ale jeden z Mazikinów złapał mnie za kostkę i szarpnął. Na szczęście zdążyłam złapać za rant miski z kadzidłem i pociągnąć ją za sobą. Kiedy zaczęli mnie podnosić, spięłam się w sobie i włożyłam rękę w żar. Wrzeszcząc z bólu, zgarnęłam garść rozżarzonych kawałków i rzuciłam je w twarz Mazikinów, usiłujących ponownie rozciągnąć mnie na blacie. Puścili natychmiast. Wyli i tarli rękami poparzone miejsca.

Ignorując przeraźliwy ból ręki, zeskoczyłam ze stołu z zamiarem przedostania się do Nadii. Ktoś znowu złapał mnie za nogi. Upadłam twarzą na blat. Kopiąc na oślep, zdołałam grzmotnąć Rudzielca prosto w twarz. Uderzył mnie łokciem w tył uda, na chwilę pozbawiając czucia w nodze. Przed moimi oczami pojawiły się twarze Sila i Juriego, szare od popiołu gęby z obnażonymi zębami. Złapali mnie za przeguby i przewrócili na plecy. Dwóch innych przytrzymało mnie za kostki.

Nagle budynkiem wstrząsnęła gwałtowna eksplozja. Zacisnęłam powieki i odwróciłam głowę, chroniąc twarz przed pyłem i odłamkami. To była jedyna szansa. Malachi i Ana znajdowali się na zewnątrz, wprowadzając swój plan w czyn. Zostało mi kilka minut, żeby wydostać Nadię. Wyrwałam się Silowi i Juriemu, którzy zaskoczeni gapili się w ogromną dziurę w ścianie. Kiedy kolejny wybuch zniszczył jeden ze słupów przy zewnętrznej ścianie, a pomieszczenie wypełniło się dymem i ogniem, Mazikiny trzymające nogi także mnie puściły i wrzeszcząc rozpierzchły się we wszystkich kierunkach. Tylko grupka samobójców pozostała na swoim miejscu. Przetoczyłam się na bok i zdrową ręką wyszarpnęłam zza pasa zaskoczonego Sila bułat. Zeskoczyłam ze stołu i pobiegłam w stronę Nadii, gotowa zabić każdego, kto będzie mnie gonił. Albo przynajmniej spróbować zabić.

Sil skoczył za mną. Był szybki, tak szybki, jak się tego obawiałam. Uskoczył, kiedy zamachnęłam się ostrzem i natychmiast, kiedy tylko się odsłoniłam, zaatakował z boku. Zwalił mnie z nóg. Z całej siły rąbnęłam go rękojeścią w czubek głowy. Wyjął, odchylił się, i niemal natychmiast usiadł na mnie okrakiem. Rąbnęłam go kolanem w plecy, a kiedy poleciał do przodu, nadział się na mój łokieć. Stoczył się ze mnie, ale kiedy obróciłam się, by wstać, stało się to najgorsze. Jego rozcapierzone, zagięte szpony przejechały po moim brzuchu, zostawiając na skórze palące szramy. Wrzasnęłam, kopnęłam go w twarz, w końcu pozbawiając przytomności.

*Zabij go, teraz,* wyszeptał mi w głowie głos Malachiego.

Zawahałam się. Nigdy nie zabiłam nikogo z zimną krwią, a nie miałam czasu stać i zastanawiać się, czy poradzę sobie z bólem, jaki czuł Malachi za każdym razem, gdy pozbawiał kogoś życia. Odwróciłam się do Nadii i upuściłam bułat, musiałam bowiem złapać ją zdrową

ręką.

Trzeci wybuch zawałił frontową ścianę budynku. Gruz zasypał wyrwę w murze, pozostawiając wąskie wyjście na ulicę jako jedyną drogę ucieczki. *Niech to szlag*. Ale przynajmniej wśród Mazikinów panował chaos. Skoczyłam ku Nadii i chwyciłam ją za rękę.

– Chodź, musimy się stąd wydostać.

– Czy to już niedługo się skończy? – zapytała, spoglądając na mnie szklanym wzrokiem. Zaczęłam się zastanawiać, czy może znów znalazła gdzieś jakieś pigułki albo je sobie wyhodowała.

– Pomogę ci – obiecałam. – Ale najpierw musisz pomóc sobie sama. Wstań i chodź ze mną.

Nadia pozwoliła się postawić na nogi i pociągnąć w stronę drzwi. I nagle usłyszałam najwspanialszy dźwięk na świecie. Poprzez wycie, wrzaski, tupanie i chrzęst gruzu przedarł się głos Malachiego. Wołał mnie po imieniu.

A raczej ryczał moje imię, na tyle głośno, by przekrzyczyć ten piekielny hałas. Był tak blisko, tuż za ścianą. Wystarczyło wdrapać się po schodach na górę.

Popchnęłam Nadie w stronę wyjścia na klatkę schodową. Zdążyłam zrobić za nią zaledwie dwa kroki, gdy dłoń Juriego zamknęła się na mojej kostce.

Uwiesiłam się na poręczy, usiłując wyzwolić się z jego uchwytu. Na próżno.

– Nadia! – krzyknęłam. – Idź dalej. Na górę. Wyjdź. Poznają cię. Idź!

Nadia odwróciła się, spoglądając na mnie otępiełym, nieobecnym wzrokiem, ale ruszyła do drzwi. Nie miałam czasu poczuć ulgi, bo Juri, poparzony, zakrwawiony, z twarzą wykrzywioną w grymasie wściekłości, złapał mnie za ramiona i szarpnął, odrywając od poręczy.

– To nowe ciało i tak już długo nie wytrzyma – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Więc równie dobrze mogę się nacieszyć ostatnimi chwilami.

Chwycił mnie za włosy i zaczął wlec w głąb pomieszczenia. Podłoga piwnicy była zasłana trupami i gruzem. Sil leżał bezwładnie pod ścianą. Z wyjątkiem kilku siedzących w kącie samobójców wokół nie było żywego ducha. Martwą ciszę zakłócały jedynie dochodzące z zewnątrz stłumione wrzaski, jęki i słabsze wybuchy. I głos Malachiego wykrzykującego raz po raz moje imię.

Juri przewrócił mnie na ziemię i rzucił się na mnie.

– Och, słyszę szacownego kapitana, słyszę. Woła cię. Bądź teraz grzeczną dziewczynką i odpowiedz mu.

Zagryzłam usta, zdecydowana nie dać mu tej satysfakcji. Ścisnął mnie za poparzoną rękę. Wrzasnęłam.

Uśmiechnął się, podniecony moim cierpieniem.

– Bardzo dobrze.

Próbowałam znów kopnąć go kolanem, ale tym razem się uchylił. Uderzył mnie za to pięścią w bok tak mocno, że zaparło mi dech w piersiach.

– Oj, widzę, że jesteś tak samo wredna jak on. Postaram się, żeby nie był rozczarowany, kiedy znajdzie twoje ciało, Lela. A skoro nie dam rady cię dzisiaj przemienić, pozostaje mi tylko zostawić na tobie mój wyraźny ślad. – Chwycił za gumkę moich spodni i zaczął je ze mnie zdzierać.

– Pomocy! – krzyknęłam w stronę samobójców. – Nie pozwólcie mu na to!

Nawet na mnie nie spojrzeli. Wiedziałam, że mi nie pomogą. Nie potrafili pomóc nawet sobie. Mieli dzisiaj zginąć. Możliwe, że później pojawią się znów pod Bramą i wrócą tu, żeby dokończyć to, po co zostali tu przysłani. Gdybym nie wypchnęła stąd Nadii, pewnie i ona znajdowałaby się teraz pomiędzy nimi, czekając, aż śmierć znowu ją zabierze.

Juri rozdrapywał rany pozostawione przez Sila, usiłując ściągnąć ze mnie spodnie. Miotalam się pod nim, krzyczałam, macając wokół ręką, by znaleźć cokolwiek, co pomogłoby mi z nim walczyć. Nie zamierzałam dopuścić, by dopiął swego. Wrzeszczałam do utraty tchu, a echa wspomnień zaczęły puchnąć w mojej głowie. Niewiele brakowało, a zadławiłyby mnie, zabrały z tego czasu i miejsca, uwięziły w ohydny łóżku z różową pościelą.

– Lela!

Odepchnęłam wspomnienia. Malachi wołał mnie i to pozwoliło mi wrócić do rzeczywistości. Kiedy Juri uniósł się, żeby rozpiąć spodnie, poderwałam biodra i w ten sposób udało mi się częściowo oswobodzić. Wystarczyło, żeby wykręcić się i uderzyć go łokciem w szyję, a potem wyciągnąć rękę i chwycić leżący nieopodal kawał betonu. Rąbnęłam go nim w twarz. Wyjąc z bólu, zamachnął się pięścią i uderzył mnie w policzek. Huknęłam go kawałem gruzu raz jeszcze, tym razem miażdżąc nos. Ale on nie przestawał mnie okładać, próbował gryźć i zedrzeć ze mnie spodnie.

Przed oczami wirowały mi już czarne platy, kiedy zadałam kolejny cios.

I jeszcze jeden.

I jeszcze.

Ktoś złapał mnie za ramiona.

– Lela, przestań. – Ktoś wyjął mi ze ścierpniętych palców kawał gruzu. Nie przestawałam krzyczeć. Kiedy w ogóle zaczęłam krzyczeć?

– Przestań – powiedział Malachi. – Już możesz przestać. On się nie rusza. Otwórz oczy.

Otworzyłam. Jego dzikie, groźne oblicze było najpiękniejszym, jakie kiedykolwiek widziałam. Ujął moją twarz w dłonie, i zwrócił ją ku sobie, tak że nie widziałam niczego poza nim.

– Musimy uciekać. Budynek lada moment runie. Możesz iść?

Zamrugalam, przypominając sobie najświeższe wydarzenia.

– Oczywiście – wychrypiałam. – Żaden problem.

– To chodź. – Sięgnął po moją rękę, ale cofnął ją, kiedy pisnęłam z bólu. Wyteńczył wzrok, żeby zobaczyć coś w ciemności. – Co z twoją dłonią?

– Oparzyłam się.

Zaklął i chwycił mnie za drugą.

– Idziemy. – Pociągnął mnie w stronę drzwi.

– Gdzie Nadia?

– Została z Aną. Musimy się pospieszyć.

Powiodł mnie do wyjścia. Na schodach objął mnie, delikatnie podtrzymując. Starał się dotykać mnie jak najlżej, jakby bał się mnie skrzywdzić. Co i tak nie miało znaczenia, bo cała byłam poobijana. Bolał mnie każdy fragment ciała. Podrapana skóra na brzuchu tępo pulsowała, a poparzona dłoń paliła żywym ogniem. Poszarpane spodnie zsuwały mi się z bioder, ale nawet nie mogłam związać strzępów, bo to wymagało obu rąk. Kiedy dotarliśmy na górę, Malachi pierwszy przekroczył próg. Kiedy jednak znalazłam się na zewnątrz, Malachi wepchnął mnie z powrotem do środka. Zachwiałam się i uderzyłam o klamkę. Podniosłam głowę i zobaczyłam, jak rozkłada pałkę. Otaczało nas przynajmniej osiem Mazikinów, którzy najwyraźniej czekali na jego wyjście z budynku. Nie sądziłam, że potrafią się tak zorganizować bez Sila... Chyba że dowodził nimi ktoś inny.

– Lela, zostań tam, proszę – rzekł Malachi spokojnie i wszedł pomiędzy wrogów, odciągając ich od drzwi i ode mnie.

Adrenalina zaczęła mi znów krążyć w żyłach. Już przytomniej rozejrzałam się wokół, szukając jedynej osoby, która mogła urządzić tę zasadzkę. Ibrama.

I rzeczywiście, dostrzegłam go walczącego zaciekle z Aną. Tymczasem Malachi zdołał pokonać już trzech przeciwników. Otoczony przez Mazikiny, wirował i zadawał ciosy z taką szybkością, że nie rejestrowałam nawet jego pojedynczych ruchów. Wymknęłam się na zewnątrz i rozejrzałam za Nadią. Kulila się przy kupie gruzu, kryjąc głowę w ramionach. Tuż za Aną i Ibramem, którzy usiłowali posiekać jedno drugiego na kawałeczki.

Zza stojącego nieopodal kontenera wyłoniły się dwa Mazikiny. Zbliżyły się szybko, wpatrzone we mnie. Potoczyłam wzrokiem w poszukiwaniu jakiegokolwiek bronii, choć wątpiłam, żeby to cokolwiek dało. Miałam tylko jedną sprawną rękę i prawdopodobnie jakieś wewnętrzne obrażenia. Malachi też ich dostrzegł. Nic nie powiedział, ale zaczął walczyć jeszcze zacieklej. Powalił trzech kolejnych przeciwników. Zostało mu jeszcze dwóch plus tych dwóch, którzy podchodzili do mnie z wyszczerzonymi kłami.

Moją uwagę ściągnął krzyk Any. Nagle otoczyła ją grupa Mazikinów, którzy wyskoczyli z pobliskiej uliczki, gdzieś zza magazynu.

Było ich kilkadziesiąt.

Zasadzka.

– Ana! – krzyknął Malachi, brutalnie wykańczając pozostałych przeciwników. Przeskoczył trupy Mazikinów, w locie dobywając noży. Ta dwójka, która wzięła sobie na cel mnie, nagle zmieniła kierunek i na czworaka popędziła ku Anie. Nie dobiegli za daleko, runęli równocześnie na ziemię z nożami w plecach. Nie poprawiło to w żaden sposób sytuacji Any. Ibram stał, z okrutnym uśmiechem przyglądając się rozwojowi sytuacji. Nawet z daleka widziałam, czemu. Mazikiny rzuciły się na nią całą zgrają, powaliły na ziemię i jak oszalałe zaczęły kasać ją i szarpać szponami.

– Rzucaj, Malachi! Rzucaj! – krzyczała Ana. – Zrób to!

Malachi, ignorując jej prośby, biegł w stronę ogniska bitwy. Ibram machnął ręką, a Mazikiny podniosły miotającą się Anę i zaczęły uciekać, wlokąc ją ze sobą.

– Rzucaj, Malachi, rzucaj! – krzyczała Ana, a w jej głosie słyszałam wyraźnie cierpienie i strach. – Nie pozwól, żeby mnie dostały!

Zachwiałam się, chcąc rzucić się naprzód. Byli już za daleko. Mogłam tylko stać i patrzeć ze zgrozą, jak uchodzą z Aną.

– Rzucaj! – krzyknęła znowu.

Malachi zatrzymał się nagle i zawył z żalu i wściekłości. Wrogów było zbyt wielu. Przynajmniej dwudziestu. Gnali ulicą, ciągnąc Anę coraz dalej. Na przedzie biegł Ibram, w którego rękę pobłyskiwał bułat. Malachi odwrócił się do mnie. Na jego twarzy malowała się bezsilna rozpacz. Wiedziałałam, że nie zatrzymała go myśl o ich przewadze liczebnej. Chciał biec za Aną, ale równocześnie nie chciał zostawić mnie samej, rannej i bezbronnej. Nie zdążyłam zrobić nic, by pomóc mu w podjęciu decyzji. Zresztą, co miałabym powiedzieć?

Idź, ratuj Anę i zgin!

Zostań ze mną, wydaj ją na pastwę Mazikinów, ale przeżyj!

Wpatrywałam się w niego jak sparaliżowana. Znowu dobiegł nas krzyk Any. Twarz Malachiego stężała w wyrazie stanowczości. Sięgnął po jedną z kul przytroczonych do pancerza i jednym płynnym ruchem rzucił ją daleko w uliczkę, którą uciekały Mazikiny. Kula wylądowała przed czołem grupy i eksplodowała z taką siłą, że aż powypadały szyby z okien budynków po obu stronach ulicy.

Fala eksplozji zwała mnie z nóg. Ogluszona podniosłam głowę. Malachi poderwał się i popędził w stronę miejsca jatki.

O Boże.

Przezwyciężając ból, dzwonienie w uszach i osłupienie, dzwignęłam się i chwiejnie ruszyłam za nim. Przekuśtykałam koło Nadii, która kulila się i płakała, zatykając uszy. Nie zatrzymałam



się. Nic jej się nie stało i byłam pewna, że nigdzie się nie ruszy.

Ulica rozbrzmiewała echem szczęk stali. Omal nie zawylałam ze złości. Ibram, nie dość, że jakimś cudem przeżył, to jeszcze był zdolny do walki. Ruszyłam biegiem. Pierwsze ciało leżało kilkadziesiąt stóp od centrum wybuchu.

Dotarłam do leja i biegłam dalej, przyglądając się każdej poranionej, poczerniałej twarzy mijanej po drodze. Malachi i Ibram walczyli kilka jardów dalej. Malachi był jak oszalały, bałam się, żeby nie popełnił jakiegoś głupiego błędu i nie dał się zabić. Jakies dziesięć stóp ode mnie jedna ze skulonych postaci poruszyła się, wydając chrapliwy jęk. Rozpoznałam ten głos.

– Ana! – Podbiegłam ku niej, tłumiąc płacz. Jej piękna twarz była potwornie poraniona. Szyja cała pogryziona, zapuchnięte powieki zakrywały oczy, z nosa, ust i uszu ciekła krew. Opadłam obok niej na kolana, gorączkowo zastanawiając się, jak mogłabym pomóc.

– Dopadliśmy go? – wyszemrała Ana.

– Malachi z nim walczy. Wygląda na to, że tylko Ibram przeżył – Uspokoilałam ją. Chciałam ją pogłaskać, ale nie mogłam jej dotknąć, bo cała była poraniona.

Ana bez trudu odczytała moje rozterki i zachichotała urywanie, gulgotliwie.

– W porządku, Lela. Nic nie czuję.

Nawet gdybym nie widziała jej wykrzywionej cierpieniem twarzy i tak bym jej nie uwierzyła. Chciałam, żeby to była prawda, ale jad nie mógł działać aż tak szybko. Nie zamierzałam jednak tracić czasu na sprzecznianie się z nią.

– Nie wiem, jak mam ci dziękować – wykrztusiłam. – Z Nadią wszystko w porządku. Ze mną też.

– Nieprawda – wycharczała. – Słyszę, że nie.

Ostrożnie ujęłam ją za rękę, najmniej pokaleczoną część jej ciała. Miała drobną dłoń, zwodniczo drobną, jeśli wziąć pod uwagę, jak bardzo była niebezpieczna.

– Wyjdę z tego. Skopałam kilka tyłków, Ano. Byłabyś ze mnie dumna.

– Grzeczna dziewczynka. Gdzie Malachi? – Łza spłynęła jej po policzku. Stękania, szczęk stali, okrzyki i odgłosy walki niosły się po ulicy, odbijając echem od budynków.

– Przyjdzie, jak tylko skończy.

Ana westchnęła i zakaszłała. Z ust chlusnęła jej krew.

– Musisz mu powiedzieć. Powiedz mu, że go kocham. Że zawsze go kochałam. Powiedz, że był moim prawdziwym bratem. Powiedz, że dziękuję za te tysiące razy, kiedy uratował mi życie, pomagał zachować zdrowe zmysły. Tylko on rozumiał.

Przez łzy ledwie widziałam zniszczone piękno Any.

– Przekażę mu.

– Dziękuję. I... Musisz jeszcze coś dla mnie zrobić.

– Cokolwiek zechcesz.

– Dopilnuj, żeby opuścił miasto. Zasługuje na to, żeby się stąd wydostać. Potrzebuje tego.

Proszę, bez względu na wszystko, dopilnuj tego.

– Dopilnuję – obiecałam. – Zrobię wszystko, co będzie trzeba.

W tym momencie rozległ się ryk Malachiego i ręka Any drgnęła. Ibram runął z okrzykiem na ziemię. Odgłos zderzenia się metalu z kością był słyszalny nawet z takiej odległości.

Ana uśmiechnęła się, a potem jej twarz zastygła na zawsze w wyrazie spokoju.

## DWUDZIESTY SZÓSTY

Owinęłam oparzoną dłoń ręcznikiem. Nie chciałam na nią patrzeć. Nie chciałam też, żeby Malachi na nią patrzył. Puściłam wodę do wanny, a łazienkę natychmiast wypełnił jej dziwny zapach. Staralam się nie myśleć o piekących szramach na brzuchu. Cała byłam obolała, ale ta rana rwała bezlitośnie.

Kiedy letniej wody nalalo się wystarczająco dużo, zakręciłam kran. Byłam tak zmęczona i brudna, że nawet kąpiel w tej cieczy wydawała się kusząca. Ale nie przygotowałam jej dla siebie.

– Chodź, Nadia. Od razu poczujesz się lepiej.

Pomogłam milczącej, biernej Nadii wejść do wanny, potem usiadłam na obramowaniu i polalam wodą jej głowę. Wyglądało na to, że Nadia nie myła się, odkąd przybyła do miasta. Ledwie co unosiła ręce, ledwie mrugała powiekami, ledwie co zauważała, że brud schodzi z niej płatami niczym druga skóra. Kiedy pomogłam jej wyjść z wanny, woda była szara i mętna.

– Może dałybyśmy radę pójść na górę pod prysznic?

Nadia zgodziła się potulnie.

Pomogłam jej się ubrać, a potem rozczesać długie, jasne włosy.

– No, nareszcie przypominasz siebie. – Chciałam ją uspokoić.

Zamknęła oczy i zaczęła płakać. Nigdy nie czułam się bardziej bezradna, a to nie byle co. Po tym wszystkim, po wysiłku, bólu, śmierci, poświęceniu, nadal nie wiedziałam, jak pomóc przyjaciółce. Zaczepnęłam tchu.

*Będzie lepiej. Jeszcze do niej nie dotarło, że jest bezpieczna, że może się odprężyć.*

Objęłam ją, chcąc wynagrodzić ten czas, kiedy się od niej opędzalam. Nigdy jej nie przytulałam, kiedy żyła. Zawsze była przylepą i pewnie trudno jej było pojąć, dlaczego tak ciężko mi to przeskoczyć. Zawsze w takich chwilach czułam, że sprawiam jej zawód. Ale Malachi mnie zmienił, teraz było mi dużo łatwiej. Otoczyłam ją ramionami, chcąc, by uścisk przemówił za mnie.

*Przepraszam, że wtedy odeszłam. Obiecuję, że to naprawię. Już cię nie zawiodę.*

Jeśli jednak za mnie przemawiał uścisk, to za nią jej reakcja. Nie odepchnęła mnie, ale też nie oddała go.

Przytuliłam ją mocniej, licząc, że może coś w niej zaskoczy. Pozostała bezwładna i cicha.

A potem przyszło mi do głowy, że naciskając, postępuję samolubnie, bo dzięki temu to ja poczułabym się lepiej. A ona na pewno potrzebowała czasu, odpoczynku. Puściłam ją. Stała przede mną, jakby nic się nie stało, i patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem. Wydawała się

tak pusta w środku, jak ja się czułam. Śmiertelnie znudzona wzięłam ją za rękę i zaprowadziłam do sypialni. Posadziłam na tapczanie.

– Przyniosę ci coś do jedzenia.

Z bólem serca weszłam do kuchni, bo Malachi jeszcze nie wrócił. Chciał dopilnować, żeby żaden z Mazikinów, włącznie z Silem, na pewno nie przeżył. Przekazałam mu, co powiedział Sil, o tym, jak blisko są wydostania się stąd, a Malachi zareagował tak jak przewidziałam, ponurą determinacją. Zamierzał poderżnąć gardło każdemu Mazikinowi, który przeżył bitwę. A potem wysadzić w powietrze resztki budynku, grzebiąc pod gruzami pozostałości gniazda.

No i na pewno chciał też pożegnać się z Aną, która przez ostatnie cztery dekady była jego towarzyszką broni. Przekazałam mu jej słowa, powiedziałam o wdzięczności, o miłości do niego. Skinął w milczeniu głową i odszedł.

Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będzie w stanie wybaczyć mi, że doprowadziłam do sytuacji, której skutkiem była śmierć Any. A także to, że przeze mnie nie ruszył jej na pomoc, gdy tego najbardziej potrzebowała. I że zabrałam mu cenny czas. Że stracił przeze mnie przewagę strategiczną. Że pozbawiłam go tak wielu rzeczy. Do tej pory zawsze tylko brałam od niego, wykorzystywałam do własnych celów i potrzeb. Nie miałam dla niego litości nawet wtedy, gdy błagał, żebym oszczędziła mu bliskości, która sprawiła, że wszystko stało się dla niego trudniejsze. Czy posłuchałam jego próśb? Nie. Oczekiwałam, że przetrwa to wszystko, ponieważ był najsilniejszą osobą, jaką spotkałam.

Przeszukując szafkę, zacisnęłam na chwilę nabiegłe łzami oczy. Oglądałam puszkę i zastanawiałam się, jak je otworzyć bez otwieracza. Wreszcie znalazłam jedną z koktajlem owocowym, która miała odciągana pokrywkę. Zaopatrzywszy się w łyżkę, zaniósłam zdobyc do sypialni.

– Musisz coś zjeść – powiedziałam do Nadii łagodnie. Pokręciła głową. – Musisz. Nakarmię cię. Otwieraj tylko usta.

Zajął mi to wieki, ale wreszcie wepchnęłam w nią całą porcję. Kiedy zjadła ostatnią łyżkę szarozielonej brei, odstawiłam puszkę, położyłam Nadię na tapczanie i okryłam ją kocem.

– Teraz się prześpij, a ja cię popilnuję.

Starałam się stłumić strach, o jaki przyprowadził mnie jej stan bliski katatonii. Nie tego się spodziewałam. Liczyłam, że ocknie się na mój widok, ale przeliczyłam się, bo moja obecność nie zrobiła na niej żadnego wrażenia.

Otuliłam ją dokładnie.

– Będę za drzwiami.

Kiedy weszłam do pokoju, Malachi siedział na kanapie z twarzą ukrytą w dłoniach. Musiał słyszeć moje kroki, ale nie podniósł głowy. Pewnie był wściekły. Pewnie mnie nawet nienawidził.

Ale nic nie mogłam poradzić na to, że pragnęłam być blisko niego. Zatrzymałam się, czekając na reakcję. Wreszcie odezwał się:

– Już po wszystkim. Ale... nie znalazłem ciała Sila. Chyba uciekł.

– Och, nie! – Aż się zachwiałam. Miałam okazję go zabić i nie wykorzystałam jej. Moja wina. Znowu. Jakie konsekwencje będzie miał ten mój błąd?

– Chcesz go szukać?

– Tak, ale nie dzisiaj. – Podniósł głowę i po raz pierwszy na mnie spojrzał. W jego oczach było tyle bólu, że poczułam, jak łzy zaczynają mi spływać po policzkach.

– Tak mi przykro, Malachi, przepraszam, za wszystko. – Ledwie udawało mi się wydobyć słowa z zaciśniętego gardła. Pragnęłam, by mnie objął, pocieszył, ale nie mogłam go o to prosić. Nie mogłabym już nigdy go o to poprosić.

– Nie musisz. Ana i ja dokonaliśmy własnych wyborów. Ja mogę z nimi żyć. – Jego głos był pozbawiony emocji, martwy.

– Jak myślisz, gdzie teraz jest Ana?

– Nie wiem. Jeśli wróci przed Bramę, Strażnicy ją zauważą i wyловіą z tłumu, ale... Nie będzie już taka sama. Kiedy wrócimy do Strażnicy, dowiem się, czy ktoś ją widział. – Znowu zwiesił głowę.

Chciałam mu dać choć odrobinę tego, co on ofiarował mnie. Choćby okrucieństwo pocieszenia. Ale bałam się, że na podstawie moich wcześniejszych poczynań odebrałby moje wysiłki jako objaw egoizmu. Zaciśnęłam w pięść zdrową dłoń.

Wstał i znowu wyglądał tak, jakby był za duży do tego pokoju. Gapiłam się w podłogę, bojąc się spojrzeć mu z oczy. Cierpiałam, bo tak bardzo go pragnęłam, tyle od niego chciałam, a wszystko to wiedząc, że to nie mnie potrzebuje. Że nie jestem dla niego dobra.

Porozpinał sprzączki pancerza, zdjął go, a potem pozbył się reszty zbroi. Wszystko płoczył obok kanapy. Wpatrywałam się w jego buty, które ruszyły w moim kierunku. Ujął mnie pod brodę i uniósł twarz.

– Hej, a jak ty się czujesz?

*Okropnie. Wszystko mnie boli. Tak bardzo cię potrzebuję.*

– Dobrze.

– Nieprawda. Pokaż rękę.

– Nic mi nie jest. – Teraz wpatrywałam się w gors jego koszuli. Było to łatwiejsze, niż spojrzenie mu w twarz.

– Nie okłamuj mnie – poprosił cicho.

Cofnęłam się, przytłoczona bijącym od niego ciepłem. Przytłoczona bliskością, której nie dane mi było poczuć.

– Lela – westchnął. – Staram się, naprawdę. Nie rób mi tego.

– Czego? Muszę iść pod prysznic – wybąkałam i umknęłam do łazienki tak szybko, jak tylko poniosły mnie poobijane nogi. Nie próbowałam już powstrzymać łez. Był dla mnie zbyt miły.

Zdjęłam poszarpane ubranie i skrzywiłam się na widok zadrapań na brzuchu. Trzy szramy długie na kilka cali. Sączyła się z nich krew, a skóra wokół była czerwona, spuchnięta i tkliwa. Lewą dłoń pokrywały bąble oparzenia. Skóra była tak głęboko spalona, że straciłam czucie w ranach. Przynajmniej tyle dobrego, że nie bolały. Nie byłam lekarzem, ale i tak wiedziałam, że jestem w bardzo kiepskim stanie.

Odwrociłam się do kurków. Liczyłam, że obmycie ran i reszty mojego żalosego ciała choć trochę pomoże.

Ale rany tak bolały, że co chwilę musiałam opierać się o ścianę i oddychać głęboko, żeby nie zemdleć. Wreszcie poczucie bezsilności sprawiło, że z oczu popłynęły mi istne potoki łez. Usiadłam w brodziku i skuliłam się, mogąc myśleć jedynie o Malachim, Anie i o tym, co zrobiłam. Kiedy w końcu wyszłam spod prysznic, trzęsąc się z osłabienia, okazało się, że wcale nie czuję się lepiej. Założyłam jakąś starą, wielką, flanelową piżamę, którą znalazłam w komodzie. Potrzebowałam dobrej chwili, żeby uporać się z guzikami.

W końcu otworzyłam drzwi i okazało się, że Malachi siedzi dosłownie na progu. Omal się o niego nie potknęłam. Zerwał się na równe nogi.

– Przepraszam, że tak długo to trwało – powiedziałam, znowu wyrzucając sobie w duchu, że jestem samolubna. – Pewnie też marzysz tylko o prysznicu.

– Wykąpałem się w sąsiednim mieszkaniu.

Zagapiłam się na jego opięty granatową koszulką tors. Stał tak blisko, że wystarczyło paść w jego ramiona. Och, Boże, co za pokusa.

– Nie wyglądasz za dobrze – wyrwał mnie z zadumy. – Pozwolisz mi teraz obejrzeć tę rękę?

– Nie.

– Dlaczego? – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Nic mi nie będzie, bez trudu dojdę do Strażnicy. A ty? Jesteś ranny?

– Kilka zadrapań, nic poważnego. Ale martwię się o ciebie.

Potrząsnęłam głową.

– Niepotrzebnie. Mam to, po co przyszłam. Teraz tylko pójdziemy do Sędziego i będziesz miał z głowy i mnie, i wszystkie zmartwienia.

Ujął moją twarz w dłonie.

– Proszę. Wiesz, że nie umiem się przestać o ciebie martwić. I nie wiem, jak dać ci to, czego potrzebujesz, dopóki mi tego nie powiesz.

– Nie musisz mi niczego dawać. Daleś mi już wystarczająco dużo. Zbyt wiele. – Próbowałam

się wykręcić, ale przytrzymał mnie mocniej.

– Dobrze, wobec tego ja ci powiem, czego potrzebuję. Wysłuchasz mnie? Jesteś zainteresowana?

Popatrzyłam na niego zawstydzona, że sama o to nie zapytałam.

– Oczywiście, powiedz, czego potrzebujesz.

Wsparł się czołem o moje.

– Potrzebuję ciebie. Potrzebuję pewności, że jesteś bezpieczna, cała i zdrowa. Potrzebuję, żeby nic ci nie było, bo chwilowo to jedyna rzecz, dzięki której jeszcze nie postradałem zdrowych zmysłów. I potrzebuję zobaczyć, co z twoją ręką.

Bez dalszych wyjaśnień wziął mnie na ręce i zaniósł na kanapę. Nie protestowałam. Jak mogłabym się sprzeciwić, skoro w ten sposób stawiał sprawę? Nie wierzyłam, że to, co mówi, jest prawdą, ale w tym momencie nie miałam siły mu tego powiedzieć. Posadził mnie i ujął za przegub poparzonej ręki.

Bardzo ostrożnie rozprostował mi palce. Byłam bardzo czujna, dlatego usłyszałam, jak głęboko westchnął. Potem wstał i przyniósł niewielką torbę, z której wyjął opatrunki, nożyczki i inne przedmioty pierwszej pomocy. Odwróciłam głowę, żeby nie patrzeć na to, co robi.

– Jak to się stało? – zapytał spokojnie, tylko z ledwie słyszalnym drżeniem w głosie.

– Wokół stołu, którego używały jako ołtarza czy czegoś w tym stylu, stały takie wielkie misy z kadzidłem. Próbowali mnie położyć na tym stole, więc obrzuciłam ich żarem. Tylko to przyszło mi do głowy. Teraz w sumie trochę żałuję.

Bardzo delikatnie wtarł mi w dłoń silnie pachnącą maść. Oddychałam głęboko, żeby nie zemdleć z bólu.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać.

– Podziwiasz mój talent do robienia sobie krzywdy czy podnoszenia się po każdym laniu, jakie obrywam? – Popatrzyłam ciekawa jego miny, ale miał pochyloną głowę.

– Jedno i drugie. Musiało być bardzo źle, skoro zrobiłaś coś takiego. Byli blisko, prawda?

– Tak. Gdybyście w tamtej chwili nie rzucili tych ładunków wybuchowych, byłabym już w krainie Mazikinów.

Malachi zaczął bandażować mi rękę.

– Kilka Mazikinów wyszło z magazynu krótko po tym, jak ty weszłaś. Przyłapały nas na rozmieszczaniu ładunków, więc musieliśmy je uciszyć. Mimo to jeden jakoś się wyślizgnął i przedostał do Ibrama, który najwyraźniej miał ze sobą małą armię. Potem rozpetęło się piekło. Przykro mi, że trwało to tak długo, że zdołały cię dopaść. Zakładałem, że będziesz miała więcej czasu.

– To nic. Sama na to liczyłam. Ale Sil zauważył mnie prawie od razu, i szybko się zorientował,

że byłam z tobą.

Malachi zamarł w trakcie mocowania bandaża przyłepcem.

– Co?

– Wyczuli na mnie twój zapach.

– Nie... Nie pomyślałem o tym. Wybacz. – Przechesał palcami włosy i zagapił się w sufit.

– Czemu mnie przepraszasz? Przecież to ja się uparłam, żeby cię dotykać. I wcale tego nie żałuję. Nie potrafiłabym, nawet gdybym chciała. – *A chciałabym pachnieć tobą każdego dnia.* Potrzasnęłam głową, żeby otrzeźwieć. – Ale bardzo ich to poruszyło. Szczególnie Sila i Juriego.

Malachi powiódł po mnie wzrokiem od stóp do głów, przyjrzał się okaleczeniu, a na jego twarzy znów pojawił się wyraz zgrozy.

– Juriego?

– Sil chyba na mój widok przyspieszył plany ściągnięcia go tutaj. A Juri na mój widok... No wiesz. Zachowywał się, jakbym była jego własnością. Poza tym chciał wykorzystać okazję, żeby dopiec tobie. – Zadrzałam i spojrzałam na Malachiego, chcąc widokiem jego twarzy zagłuszyć wstrętne wspomnienia.

Oczy Malachiego pociemniały, nie potrafiłam odczytać ich wyrazu.

– To był Juri w nowym ciele, tak? Rozerwał ci spodnie. Próbował...

Nie zniosłabym tego słowa padającego z jego ust, więc mu przerwałam.

Popatrzyłam na rękę, obolałą, ale owiniętą czystym bandażem. Przelknęłam z trudem ślinę.

– Zabiłam go?

Dotknął mojego policzka, a potem wplótł palce w moje mokre włosy, spoglądając ze smutnym zrozumieniem.

– Tak.

Wciągnęłam ze świstem powietrze do płuc. Zabiłam człowieka. Rozwaliłam mu twarz kawałkiem betonu. Sprawiał, że jego serce przestało bić. I... Nic nie czułam. Ani tryumfu, ani też żalu.

Palce w moich włosach poruszyły się.

– Czy on... Czy zdążył...

– Nie.

Przygarbił się, jakby napięcie opuściło jego barki.

– To dobrze.

Popatrzyłam na niego nieufnie.

– A gdyby mu się udało?

Spojrzał mi prosto w oczy, z przejęciem.

– Nie zmieniliby to tego, jak na ciebie patrzę. Ale jeśli jeszcze kiedyś go spotkam, dopilnuję,



by cierpiał za to, co próbował ci zrobić. – Poglądził mnie po włosach. – Lela... – Westchnął i potrząsnął głową. Przez chwilę milczał, zanim się znowu odezwał. – Bałem się, że już nigdy cię nie zobaczę. A kiedy Nadia wyszła sama, omal nie oszalałem ze strachu o ciebie.

Zaśmiałam się chrapliwie.

– Potężny Malachi jest zdolny do odczuwania strachu?

Pocałował mnie w policzek. Drapał mnie zarostem, szepcząc do ucha:

– Jeśli chodzi o ciebie, jestem zdolny do wszystkiego.

Przeszył mnie dreszcz, a jednocześnie poczułam zamęt w głowie. Nie potrafiłam zrozumieć, jak to możliwe, że po tym wszystkim, co tak dokumentnie spieprzyłam, on nadal jest dla mnie taki dobry. Odsunął się, popatrzył mi w oczy, a jego mina mówiła sama za siebie. Prosił o pozwolenie, błagał, żebym dała mu zgodę.

Poczucie winy, żal, miłość, pożądanie, smutek, wszystko to przetoczyło mi się przez głowę. Nie chciałam już myśleć o niczym, szczególnie, kiedy jego oddech musnął mi skórę, ale bałam się popełnienia kolejnej pomyłki. Tyle złego już narobiłam. Pozwoliłam uciec Silowi. Odpowiadałam za śmierć Any. A za wszystko płacił Malachi.

– Popełniłam dzisiaj tyle błędów. Tak mi przykro...

Tyle zdołałam wyszeptać, a resztkę przełknęłam, kiedy mnie pocałował. Nasze usta się połączyły, a w mojej głowie zapanowała błoga cisza. Zniknęły ból i lęk. Był tylko on. Tylko on i ja, i wielka przestrzeń Wsi, niebo i cała wieczność przed nami.

– Nie potrzebuję twoich przeprosin – wyszemrał tuż przy moich wargach. – Potrzebuję tego.

Otoczyłam ręką jego kark, przyciągając go bliżej. Przesunął dłońią po moich żebrach, po brzuchu...

Syknęłam z bólu i nagle wszystko wróciło.

Malachi szarpnął się w tył, ciężko dyszał. Oczy zaokrągliły mu się ze zgrozy, kiedy popatrzył na mój brzuch. Także spojrzałam i aż skrzywiłam się na widok trzech podłużnych plam krwi.

Twarz Malachiego stężała w kamień. Rozpiął mi bluzę, stanowczo odtrącając moje ręce niezdarnie próbujące go powstrzymać. Na widok ran aż jęknął. Unieruchomił mnie szybko, powstrzymując przed odwróceniem się.

– Czy to jest to, co myślę?

Wzdrygnęłam się, słysząc ten ton i widząc groźny grymas. Kiwnęłam potakująco głową. Jego oczy zapłonęły gniewem.

– Powinnaś od razu mi o tym powiedzieć.

– To nic. Najpierw musiałam zająć się Nadią, a ty miałaś ważniejsze rzeczy do roboty.

Zaklął i sięgnął do torby aptecznej. Wyciągnął kolejną maść i zaczął smarować nią mój brzuch i rany. Tym razem był znacznie mniej delikatny, a specyfik szczypał tak piekielnie, że aż

syczałam z bólu.

Malachi łypnął na mnie groźnie, ale nic nie powiedział. W jego marsowym spojrzeniu zauważyłam iskrę zatroskania.

– Czemu sobie to robisz? Nie pamiętasz, co ci mówiłem o zadrapaniach Mazikinów? Musimy ruszać. Natychmiast.

Złapałam go za rękę.

– Nie. Nadia śpi. Musi odpocząć.

– A ty musisz jak najszybciej dotrzeć do Rafaela. –

Wyrwał się i zaczął krążyć po pokoju, zbierając nasze rzeczy.

Na myśl o przeprowianiu się w tej chwili przez miasto zachciało mi się płakać. A Nadia naprawdę potrzebowała snu. Była taka zmęczona.

– Słuchaj, muszę trochę odpocząć, proszę cię. – Nie przestając chodzić, zakładał zbroję. – Tylko parę godzin. Oberwałam dzisiaj. Malachi.

Spojrzał na mnie.

– Masz dwie godziny. Potem idziemy.

– Nie zostaniesz?

Gwałtownymi ruchami pozapinał resztę klamerek i już w pełnym uzbrojeniu podszedł do drzwi. Szarpnął je i nie odwracając się, burknął:

– Nie. Muszę coś zabić.

## DWUDZIEŚTY SIÓDMY

Kilka godzin później wleliśmy się brukowaną ulicą na południe. Kiedy Malachi obudził mnie po powrocie, widać było po jego minie, że nadal jest na mnie wściekły. Ze wszystkich sił starałam się iść, udając, że nic mnie nie boli, bo każda moja oznaka cierpienia potęgowała jego morderczy nastrój. W efekcie szczęki bolały mnie od zaciskania i powstrzymywania jęków, które usiłowały wyrwać mi się z ust przy każdym kroku.

Prowadziłam Nadię za rękę, bo kiedy ją puszczałam, natychmiast się zatrzymywała. Malachi maszerował obok, ale nie spojrzał na mnie, odkąd opuściliśmy mieszkanie. Na dużym skrzyżowaniu skręcił w lewo. Szłam za nim, dopóki nie podniosłam wzroku i nie ujrzałam majaczącej przed nami sylwetki wieży. Zatrzymałam się.

– O nie.

Malachi obejrzał się przez ramię.

– To najkrótsza droga. Tędy dotrzemy do Strażnicy przed nocą.

Kategorycznie potrząsnęłam głową i ścisnęłam rękę Nadii.

– Ona przez to nie przejdzie. Nie da rady.

– Musisz jak najszybciej otrzymać pomoc Rafaela. – Malachi podszedł i przyłożył mi dłoń do czoła. Zaczynasz mieć gorączkę. Zakażenie jest poważne, może cię zabić.

Cofnęłam się, strząsając jego rękę.

– Nie mamy wyboru. Po prostu przeprowadź nas inną drogą tak szybko, jak to tylko możliwe.

Złapał mnie za barki.

– Lela, obojście wieży zajmie nam prawie dwa dni. Możesz nie mieć tyle czasu.

– Jakie są szanse, że dotrę do Strażnicy żywa, jeśli pójdziemy dookoła?

– Mniej niż dwadzieścia procent.

Przewróciłam oczami.

– Ty niedowiarku! Mówiłeś, że cię zadziwiam, ale najwyraźniej we mnie nie wierzysz. – Jego palce zacisnęły się mocno, boleśnie dając mi znać, że wystawiam jego cierpliwość na ciężką próbę. – Niech mi będzie. Dwadzieścia procent. A teraz spójrz na Nadię. Spójrz na nią.

Teraz to on wyrócił oczami, ale zrobił, co kazałam. Nadia patrzyła w dal, zupełnie nie zwracając uwagi na naszą wymianę zdań. Znów miała zwężone źrenice, a jej policzki znaczyły ślady łez. Malachi odwrócił się do mnie, ale jego twarz niczego nie zdradzała.

– A teraz powiedz, jakie ona ma szanse na przejście przez wieżę. Spójrz mi w oczy i powiedz, że ten upiorny budynek nie pożre mojej przyjaciółki – powiedziałam ostro, choć tak naprawdę

pragnęłam tylko wtulić się w niego, szukając u niego pocieszenia i dając mu je w obliczu tej beznadziejnej sytuacji.

Sztywno pokręcił głową.

– Straciłem już Anę – rzekł chrapliwie. Przesunął dłonie wyżej i kciukami muskał moją szyję, potem wsparł się czołem o moje czoło i przytknął oczy. – Gdybym stracił ciebie... – Potem nagle puścił mnie i odwrócił się plecami. Pomaszerował prosto, obierając drogę pozwalającą ominąć centrum, a wraz z nim mroczną wieżę. Powlokłam się za nim, uginając się pod ciężarem kosztownego zwycięstwa.

Chcąc skrócić czas, mówiłam do Nadii, przypominałam wspólnie spędzone chwile. Trajkotałam bez końca o tym, jak po raz pierwszy zabrała mnie do Newport i zmusiła do jedzenia małży, jak chciała nauczyć mnie jednej z figur cheerleaderskich i upadłam, porządnie się objając, jak pewnego razu zamiast uczyć się do egzaminu z historii, cały wieczór budowałyśmy wieżę Eiffela z długich lukrecyjnych Twizzlersów. Czekałam na jakąś oznakę, choćby najmniejszą, powracającej świadomości, na cokolwiek, co świadczyłoby o tym, że wraca do siebie. Ale cały czas pozostawała zamknięta w sobie, niedostępna. Nie przestawała płakać, a jedyne, co mówiła, to „kiedy to się skończy”. Za każdym razem, kiedy padało to pytanie, serce biło mi mocniej z gniewu i strachu. Nie tak to miało wyglądać.

Malachi narzucił zabójcze tempo. Nie kazał nam biec, ale nie dawał chwili na odpoczynek. Raz tylko pozwolił mi się zatrzymać, żeby napić Nadię. Mroził miną i tonem. Unikał jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego.

Zastanawiałam się, czy tak nie jest dla niego lepiej i czy nie powinien tak postąpić już wieki temu. Czy to chroniło go przed tym, co czułam. Przed bólem serca, które krajało mi się za każdym razem, kiedy omijał mnie spojrzeniem, przed ściskaniem w piersi, które dusiło mnie, gdy przechodził obok, nie zatrzymując się, przed pieczeniem w oczach, do których napływały łzy na myśl o tym, jak bardzo pragnęłam wesprzeć się na nim, poczuć dotyk jego dłoni, smak ust.

Powinłam być zadowolona, bo przecież tak było dla niego lepiej. Zabrałam mu tak wiele i dobrze, że nie zamierzał pozwolić mi odebrać sobie jeszcze więcej.

Z czasem przestałam zwracać uwagę na fale dreszczy i gorączkę, które osłabiały mnie coraz bardziej. Szłam ze wzrokiem przyklejonym do pleców Malachiego, który miarowym krokiem prowadził nas przez miasto. Wlokłam się za nim, ciągnąc Nadię. Miałam wrażenie, że cały czas biegnę, choć tak naprawdę z trudem za nim nadążałam. Serce tłukło mi się szybciej i szybciej, traciłam oddech. Moje własne stopy oddalały się od głowy, która coraz lżejsza unosiła się w powietrze, rozciągając mi szyję, była niczym balon napęczniony helem na długim sznurku.

Nagle zaskoczona uświadomiłam sobie, że leżę na ziemi. Nie miałam pojęcia, jak się tam znalazłam. Malachi podniósł mnie bez słowa i wziął na ręce.

– Żeby tylko Nadia szła za nami – wybełkotałam.

Kiwnął potakująco.

Moja głowa podskakiwała na jego ramieniu. Wpatrywałam się w jego profil.

– Wybacz, że sprawiłam ci ból.

Szedł dalej, z hardą miną, nawet na mnie nie spojrział.

Chciałam go dotknąć, pogładzić po policzku, ale nie byłam w stanie unieść ręki. Westchnęłam.

– Jesteś tak cholernie piękny, Malachi. Mogłabym patrzeć na ciebie milion lat i nigdy by mi się to nie znudziło.

Mięśnie na jego szczęce zaczęły drgać. Zmrużyłam oczy, żeby lepiej widzieć. Wszystko było takie zamazane. Zachichotałam rozbawiona problemami z widzeniem, rozsądek jednak podpowiadał mi, że to zły znak. Że może widzę go po raz ostatni. Zaczęłam strasznie żałować, że nie mam ze sobą aparatu fotograficznego.

– Gdybym nie miała już okazji ci tego powiedzieć, to już teraz bardzo dziękuję.

– Zamknij się. – Przygarnął mnie do piersi. – Nie chcę tego słuchać.

– Nigdy jeszcze nie chciałam, żeby ktoś mnie dotykał. Nikt poza tobą. – Wycharczałam.

Chciałam nabrać powietrza, ale było zbyt gęste. Topiłam się w nim.

– Bredzisz, Lela. Oszczędzaj siły – powiedział ostro, ale głos mu drżał.

– Jak chcesz.

Prychnął.

– Jak chcesz? Teraz to jestem pewien, że bredzisz. – Mimo to podniósł mnie i przytrzymał bliżej, wtulając sobie moją twarz w szyję. – Za parę godzin będziemy w Strażnicy – powiedział cicho. – Zostań ze mną.

Uśmiechnęłam się.

– Nigdzie się nie wybieram.

## DWUDZIEŚTY ÓSMY

Nigdzie się nie wybieram. Te właśnie słowa zapamiętałam, zanim świat ostatecznie skurczył się, dusząc mnie, i nim osunęłam się w ciemność. Spadanie w otchłań przerywały przebliski wspomnień, a większość dotyczyła Malachiego. Ta cząstka mózgu, która była ostoją racjonalności, dumiała nad ironią tego, zważywszy, jak krótko go znałam. Nie potrafiłam myśleć o nikim innym. Tylko jego twarz cokolwiek dla mnie znaczyła. Tylko ją potrafiłam przywołać bez trudu, odruchowo, jakby wspomnienie jej było dla mnie tym samym co oddychanie. Gdziekolwiek zmierzałam, zabierałam tam ze sobą jego cząstkę. Dana mi dobrowolnie czy też nie, była moja, mogłam ją hołubić, tulić, czerpać z niej pokrzepienie.

Od czasu do czasu przez mgłę przedzierały się jakieś głosy, ale rozpoznawałam tylko ten należący do niego. Nie rozróżniałam słów, ale wystarczyło, że jest ze mną, gdziekolwiek się znajdowałam. Nie czułam żadnego bólu, oprócz irytującego żalu, że choć on dał mi tak wiele, ja nie dałam mu w zamian prawie nic. Bardzo chciałam dać mu coś od siebie, to, co było we mnie najlepsze, nawet jeśli było to żalosne, pokiereszowane, zwichrowane, niewarte posiadania. Postanowiłam, że jeśli dostanę jeszcze jedną szansę, to dam mu to, jeśli tylko poprosi, jeśli będzie tego potrzebował.

Ktoś mnie dotykał, a ja nie mogłam go powstrzymać. Miałam mglistą świadomość, że jestem przenoszona, niesiona, przesuwana, obracana. Nie byłam w stanie otworzyć ust, żeby zapytać, co się dzieje, nie byłam w stanie przekazać, że jestem świadoma, że czuję. Chciałam zapytać o Nadię, upewnić się, że nic jej nie jest. Chciałam zapytać o Anę, ale przypominałam sobie, że nie żyje. Chciałam porozmawiać z Dianą, ale uzmysłowiłam sobie, że ona przecież żyje.

Ale ponad wszystko pragnęłam Malachiego.

*Malachi.*

– Nie ma go tu, Lela. – Łagodny głos. Piękny. Ale nie jego. Odplynęłam.

*Malachi?*

– Lela, zostań ze mną. Otwórz oczy. – Piękny głos, nienależący jednak do Malachiego, przemówił ponownie. Ktoś pogładził mnie po policzku.

– Malachi? – Mój głos brzmiał jak nie mój. Raczej jak smużka głosu, a nie prawdziwy głos.

– Nie, Lela. To ja, Rafael. Możesz na mnie spojrzeć?

Z trudem uniosłam powieki. Każda ważyła chyba tonę.

– Lela, wracaj do nas. Masz tu niedokończone sprawy.

– Co? – Otworzyłam oczy. Obcy pokój. Obcy tapczan. Lampa stojąca obok. Człowiek stojący

obok lampy. Rafael.

Uśmiechnął się tym swoim niesamowitym uśmiechem.

– Witaj z powrotem.

– Udało mi się dotrzeć do Strażnicy? – Szczegóły wydawały mi się zamazane. Pamiętałam tylko, że długo szłam. Pokręcił głową.

– Oddychałaś, owszem, ale to wszystko. Malachi niósł cię po tym, jak straciłaś przytomność.

– Nadia? – wychrypiałam.

– Jest tutaj. Malachi jej pilnuje. Zajmował się nią całymi dniami. Zostawia ją tylko, kiedy idzie na patrol albo przychodzi tutaj.

Uniosłam dłoń do oczu. Po oparzeniach pozostały tylko nikle blizny. Miałam wrażenie, jakbym była pokawalkowana, jakby fragmenty mnie rozproszyły się gdzieś.

– Dniami?

– Byłaś w kiepskim stanie, kiedy cię przyniósł. Zakażenie było daleko posunięte. Miałas obrażenia wewnętrzne, no i ta ręka. Do tego jesteś słaba, bo nie możesz się tu posilić. Nie byłem pewien, czy uda mi się cię sprowadzić.

– Co z Aną? Ktoś ją widział? Znaleźliście ją?

Coś zaiskrzyło w jego oczach.

– Nie. Nie wróciła do miasta. Malachi osobiście przepisał każdego ze Strażników.

Spojrzałam na niego uważnie.

– Przecież powiedziałeś, że był bardzo zajęty.

– Tak. I bardzo tego potrzebował.

Zagryzłam wargę.

– Bardzo jest na mnie zły?

– Sama go o to zapytaj. Kazałem go zawołać, kiedy zaczęłaś się wybudzać. Powinien tu być lada chwila.

Zalała mnie fala radości i strachu. Moja twarz musiała zdradzić uczucia, bo Rafael ścisnął mi rękę i zapytał:

– Mam przy tobie zostać?

Pukanie zatrzymało kołowrót gorączkowych myśli. Rafael jeszcze raz uściskał mnie pocieszająco i wstał.

– Proszę – zawołał.

Kiedy Malachi przestąpił próg, wstrzymałam na chwilę oddech. Żadne słowa nie były w stanie opisać jego spojrzenia. No, może jedno.

Niepewność.

Zerknął na Rafaela, który pospieszył z zapewnieniem:

– Wyjdź z tego. Jest przytomna. – Poklepał go po ramieniu i wyszedł.

Malachi nie miał na sobie zbroi, ale domyśliłam się, że dopiero co wrócił z obchodu, wniósł bowiem zapach ulicy, potu i wyprawionej skóry. Zamknęłam oczy, zaciągając się tą wonią.

– Lela?

Uniosłam powieki.

– Malachi?

Usiadł na krześle przy tapczanie, nie bardzo chyba wiedząc, co ze sobą zrobić. Przesunęłam ku niemu rękę i przekręciłam ją wnętrzem do góry. Wpatrywał się w nią kilka sekund, a potem z wyraźnym wahaniem, jakby bał się, położył na niej swoją.

Gdy spoglądał na nasze splecione palce, coś w nim pękło. Zacisnął powieki i wykrzywił się, mocno zwiirając szczęki. Potem pochylił się i położył głowę na mojej poduszce. Wplotłam palce w jego gęste czarne włosy nad karkiem. Objął mnie w pasie i przysunął ku sobie. Zaczął się lekko trząść, a kiedy usłyszałam jego drżący oddech wiedziałam, że płacze.

Otoczyłam go ramieniem.

– Malachi, przepraszam cię. Za wszystko.

– Przestań.

Trzymałam go w ramionach, aż jego ciche łkanie i drżenie całkiem ustały.

– Wiesz, jak długo byłaś nieprzytomna? – zapytał stłumionym głosem. – Rafael ci powiedział?

– Hmm, kilka dni?

– Dwanaście dni. Byłaś nieprzytomna przez dwanaście dni.

Aż mnie zatkało.

– Przepraszam – wydusiłam po chwili.

Podniósł głowę i szybko otarł łzy. Przez moment wpatrywał się we mnie, mrużąc oczy.

– Czemu ciągle przepraszasz?

– Bo ciągle się na mnie złościś. A ja nie wiem, jak to naprawić.

Zaśmiał się chrapliwie, nosowo.

– To proste, naprawdę. A przynajmniej powinno być proste. Bądź cała i zdrowa. Dasz radę?

– Postaram się. – Poglądziłam go po policzku, ocierając ostatnią łzę. – Tęskniłeś za mną?

Przewrócił oczami.

– Naprawdę muszę odpowiadać na to pytanie?

– Ja za tobą tęskniłam. – Czulałam się głupio, byłam zakłopotana. Nigdy niczego podobnego nie mówiłam. Ostrożnie usiadłam, podpierając się rękami, miękkimi jak rozgotowany makaron.

Wziął w palce pasmo moich nieokiełzanych włosów.

– A wydawało mi się, że jesteś na tyle nieprzytomna, że nie możesz za cokolwiek tęsknić.

– W zasadzie tak, ale nie do końca. – Ujęłam jego rękę i przytuliłam do policzka. – Ty nie



opuściłeś moich myśli.

Wstał i usiadł obok mnie na tapczanie.

– Czy tęskniłem? – Ujął w dłonie moją twarz i pocałował mnie lekko. Wystarczyło jednak, żeby puls skoczył mi ponad wszelkie normy. Wyzначył pocałunkami linię od kącika moich ust aż po nasadę szyi. – Cieszę się, że byłem w twojej głowie, bo ja omal swojej nie straciłem.

– Wybacz...

– Przestań, Lela.

A potem świat skurczył się do jego ust. Objęłam go, pozwoliłam posadzić się na kolanach i opasałam go nogami.

Wróciły mi zmysły, węch, smak, czucie, wróciły nagle, buchając płomieniem w mózgu. Wszystko złączyło się jak podczas zwarć w iskrach i błyskach, momenty, gdy wplótł mi dłoń we włosy, otoczył ramieniem i przyciągnął do siebie mocno. Wszystko stało się takie nieskomplikowane. Był tylko on. Tylko jego dłonie, jego usta. To, jak się dzięki niemu czułam – niczym najcudowniejsza istota na ziemi, nieskalana i cała.

Rafał odchrząknął. Zamarliśmy, a potem jednocześnie otworzyliśmy oczy. Malachi pocałował mnie jeszcze raz, delikatnie, po czym zwrócił już surową, kamienną twarz do intruza.

– Musimy porozmawiać, Malachi.

Malachi objął mnie mocniej. Najwyraźniej nie czuł się zażenowany faktem, że Rafał zaskoczył nas w takiej sytuacji. Nie odpowiadało mu jedynie to, że nam przeszkadzono.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego.

– Inaczej nie przeszkadzałbym wam. Dostaliśmy informację o wyłomie we wschodniej części muru.

Zsunęłam się z kolan Malachiego, pozwalając mu wstać, ale on nie puścił mojej ręki.

– To potwierdzona informacja czy podejrzenie?

– Podejrzenie. Ale zbiegło się ze śmiercią kolejnego Strażnika, Emira.

– Sprawdzę to. Niech Rais zbierze oddział, spotkamy się na placu apelowym.

Rafał kiwnął głową i wyszedł.

Malachi zwrócił się do mnie z przeproszącą miną.

– To już trzecie w tym tygodniu zgłoszenie o naruszeniu obwarowań. Coś się dzieje. Muszę iść.

– Wiem – powiedziałam cicho, choć nie umiałam zmusić się do puszczenia jego ręki.

– Posłuchaj, nie zdążyliśmy o tym porozmawiać, ale powinnaś iść do Nadii. – Znów przy mnie usiadł.

– Co z nią? – Zapytałam, z obawą wyczekując odpowiedzi.

– Spędziłem z nią trochę czasu – zaczął ostrożnie. – Wydaje mi się, że jest odrobinę lepiej.

Umieściłiśmy ją w kwaterze Any.

Pogładziłam go po policzku.

– Dziękuję, że się nią zająłeś.

– Tylko to mogłem zrobić – Zamknął oczy i wtulił się w moją dłoń.

– Nie chcę, żebyś szedł. – Przynurłam się tak, żeby nasze czoła się zetknęły. – Wybacz.

Wiem, że to samolubne.

Uśmiechnął się.

– Możesz być samolubna. Dzięki temu czuję, że mnie pragniesz, a... – zaśmiał się cicho – bardzo chcę, żebyś mnie pragnęła.

Odsunęłam się trochę, zdziwiona, ale Malachi natychmiast zlikwidował ten dystans, wsuwając palce w moje włosy i przyciągając mnie do pocałunku. Musnął ustami moje wargi, raz, drugi, zalewając moje ciało żarem.

– Kocham twój smak – wyszeptał.

Pocałowałam go. Pragnęłam go w całości, pragnęłam się nim owinąć niczym płaszczem. I chciałam, żeby wszyscy o nas wiedzieli. Zdawałam sobie sprawę, że to obłąd, ale nie potrafiłam się tym przejmować w chwili, gdy nasze języki się spotykały, a jego jęk przeciążył wszystkie bezpieczniki w moim ciele.

– Lela – wyszeptał bez tchu. – Niedługo wrócę. Nie zajmie mi to więcej jak pół dnia.

– Ale musisz iść..

– Tak.

Wypuściłam go z ramion i obserwowałam, jak przez moment wierci się zmieszany, a potem wstaje. Kilka sekund wpatrywał się w podłogę, po czym wziął mnie za rękę.

– Jak wrócę, będziemy musieli porozmawiać, dobrze?

– Dobrze. – Przyjrzałam mu się bacznie, starając się powstrzymać własną wyobraźnię, która podsuwała mi tysiące tematów, jakie mógł chcieć ze mną omówić. Ale jego mina nie zdradzała niczego. Po prostu pocałował mnie zdecydowanie zbyt przelotnie i wyszedł.

Szłam korytarzem, kierując się w stronę kwatery Any, ale co kilka metrów musiałam przystawać i opierać się o ścianę, żeby złapać oddech. Byłam taka słaba. Zastanawiałam się, ile jeszcze mam czasu, zanim całkiem opadnę z sił. Zanim umrę z głodu. Sądząc po tym, jak się czułam, zostały mi raczej dni niż tygodnie. Mój czas się kończył.

Musiałam jak najszybciej wydostać stąd Nadię, inaczej istniało ryzyko, że zostanie tu w mieście sama i bezradna. Może mogłabym poczekać na Malachiego pod murami? Może mogłybyśmy obozować z Nadią gdzieś w pobliżu, dopóki Malachi nie zostanie zwolniony ze służby. Może właśnie o tym chciał porozmawiać. Może przyszło mu do głowy coś podobnego.

Skręciłam w ślepy korytarzyk, w którym znajdował się pokój Any. Drzwi pilnował jeden ze

zwalistych Strażników. Stał nieruchomo ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Natychmiast go rozpoznałam.

Amid.

Co u licha? Jak mogli postawić tego furiata pod drzwiami Nadii? Zupełnie, jakby była jakąś kryminalistką!

– Co ty tu robisz? – Mój głos brzmiał surowo i chrapliwie. Amid poderwał głowę, a jego oczy barwy morza wypełniła pogarda.

– Pilnuję twojej przyjaciółeczki, żeby nie uciekła.

– Nie zrobiła nic złego – warknęłam i zbliżyłam się, przytrzymując ściany, całą energię wkładając w nadanie tonowi ostrości.

– Nie jestem Sędzią, kochanico Mazikinów. Jestem tylko Strażnikiem – odszczeknął się.

– Idź stąd. No już. Sama się nią zajmę. – Wskazałam mu gestem korytarz.

Pokręcił głową.

– Nie ty wydajesz mi rozkazy.

Przymknęłam oczy i wzięłam kilka głębokich oddechów, żałując szczerze, że nie mogę kopnąć tego nosorożca tam, gdzie faceta boli najbardziej.

– Słuchaj, to moja przyjaciółka. Byłaby przerażona, gdyby wyszła i natknęła się na ciebie. Może iść na przerwę, zjedz coś. Nic się nie stanie, jak zrobisz sobie chwilę wolnego.

Amid chrząknął, poszedł parę kroków korytarzem i zerknął za zakręt. A potem po prostu poszedł sobie, mamrocząc pod nosem, jak podejrzewałam, straszliwe obelgi pod moim adresem.

Oparłam się o drzwi i nacisnęłam klamkę, całkiem nieprzygotowana na falę zapachu, która mnie przywitała. Była to mieszanina woni cynamonu i wyprawnej skóry. Ana. Otarłam łzę z policzka. Gdzie poszła po śmierci? Czy odnalazła Takeshiego? Czy byli teraz na Wsi, razem? Miałam taką nadzieję. Nie chciałam rozważać innych opcji.

Nadia pochylała się nad biurkiem, pisząc coś.

– Cześć – zawołałam. – Lepiej się czujesz?

Odwróciła się zaskoczona, a oczy jej zaokrągliły się ze zdumienia na mój widok. Malachi miał rację, wyglądała znacznie lepiej. Miała czyste, rozczesane włosy i porządne, choć niezbyt dopasowane ubranie.

– Lela? Malachi mówił, że jesteś nieprzytomna.

Pokuśtykałam ku niej, przetykając łzy. Jej twarz, jej głos... Nadia wyglądała i brzmiała jak dawniej, jak za życia.

– Ocknęłam się – zdołałam wydusić. – Co porabiałas?

Nadia przewróciła szybko zapisaną kartkę i uśmiechnęła się. Uśmiech nie sięgnął jej oczu, ale do tego przywykłam.

– Dochodziłam do siebie – powiedziała. – Malachi był wspaniały.

– Jadłaś coś?

Skinęła potwierdzająco.

– Mówił, że to pierwsze, o co zapytasz. Tak, przynosił mi jedzenie i za każdym razem przepraszał, że jest takie ohydne. Jest słodki, jak na takie ciacho. Wiesz, zwykle tacy przystojniacy to dranie.

Moja piękna przyjaciółka uważała, że mój chłopak jest ciachem. Hm.

– Malachi jest jedyny w swoim rodzaju.

Nadia przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie tym swoim przenikliwym, wszytkowiedzącym spojrzeniem. A bałam się, że już nigdy tego nie zobaczę. Omal się nie popłakałam. Tak bardzo za nią tęskniłam.

– Lela, on ma na twoim punkcie regularnego bzika. Przestań w siebie wątpić, bo dziwnie wtedy brzmisz.

Rozplakałam się. Moja Nadia. Cała ona.

Podniosła się z krzesła i wyciągnęła ramiona, ale czekała, aż do niej podejść. Wyglądała odrobinę niepewnie, znów jednak chciała spróbować, a tym razem nie zamierzałam sprawić jej zawodu. Podeszłam i objęłam ją serdecznie.

– Tak się cieszę, że udało nam się ciebie odnaleźć.

– Ale nie zrobiłaś sobie nic złego, żeby się tu dostać?

– Nie, nie, po prostu... To był wypadek. Ale kiedy już się tu znalazłam, postanowiłam cię poszukać. Wiedziałam o tym miejscu, wybaczone, że cię nie ostrzegłam. Wierz mi, dobrze wiem, przez co przechodzisz. Wszystko się zmieni, kiedy wydostaniemy się na Wieś. Zaczekaj tylko, aż to zobaczysz...

Musiałam zamilknąć, bo ścisła mnie tak mocno, że ledwo oddychałam. Odsunęłam się, by na nią spojrzeć, ale jej twarz była dziwnie zamazana.

– Nic ci nie jest? – zapytała, kiedy się zachwiałam. – Jesteś taka blada.

Nie byłam w stanie utrzymać się na nogach, więc pozwoliłam zaprowadzić się do pryczy i usiadłam. Przed oczami wirowały mi czarne platy.

– Trochę mi się kręci w głowie. Chyba zużyłam całą energię na odesłanie Amida spod twoich drzwi. – Potarłam oczy, w nadziei, że świat przestanie wirować.

– Amida? Tego Strażnika? – Nadia wyjrzała na korytarz. Widziałam tylko jej rozmazaną sylwetkę.

– Tak – wydyszałam.

Nadia pochyliła się nade mną. Jej twarz majaczyła pomiędzy ciemnymi plamami.

– Połóż się lepiej. – Popchnęła mnie, a ja opadłam na pryczę.

Pogladziła mnie po policzku, przyglądając mi się z troską.

– Zawołam lekarza. Jak on się nazywa?

To dobry znak – była w stanie troszczyć się już nie tylko o siebie. Naprawdę było z nią lepiej. Wszystko szło ku lepszemu.

– Rafael. – Zasłoniłam twarz dłońmi, żałując, że nie dałam sobie jeszcze kilku godzin, nim wybrałam się na włóczęgę po Strażnicy. Ale wszystko było warte zobaczenia Nadii w tak dobrej formie. – Wybacz. Chyba się przeliczyłam z siłami.

Ścisnęła mnie za rękę i trzymała tak przez chwilę, zanim wyszła.

– Nic się nie stało. Pójdę po Rafaela. Zaczekaj.

Usłyszałam, jak otwiera, a potem zamyka za sobą drzwi. Leżałam bez ruchu, skupiając się na oddychaniu, powoli przezwyciężając napływające fale mdłości. Poza złym samopoczuciem fizycznym, wszystko inne było fantastyczne. Nadia znów była sobą.

Kilka minut później rozjaśniło mi się w głowie na tyle, że mogłam usiąść. Zamierzałam powiedzieć Rafaelowi, że już mi lepiej i nie potrzebuję pomocy. Chcąc to sprawdzić, wstałam i zrobiłam kilka kroków. Trochę mi się jeszcze nogi trzęsły, ale to nic.

Mój wzrok przyciągnęła leżąca na biurku kartka. Nad czym też Nadia tak pracowała? Podeszłam bliżej, wiedząc, że powinnam zapanować nad własnym wścibstwem, ale nie mogłam się powstrzymać. Tak mało wiedziałam o tym, co się z nią dzieje. Schowałam głowę w piasek wtedy, kiedy najbardziej mnie potrzebowała, więc może wścibska przyjaciółka nie była najgorszą rzeczą na świecie. Odwróciłam kartkę.

*Droga Lelo,*

*Dziękuję, że tak bardzo starałaś się mnie uratować. Jesteś prawdziwą przyjaciółką. Zawsze nią byłaś, nawet wtedy, gdy na to nie zasługiwałam. Ten ostatni rok był wart przeżycia tylko dzięki Tobie. Ale w końcu to wszystko stało się dla mnie za trudne. Byłam tylko imitacją i prędzej czy później wszyscy by to odkryli. Włącznie z Tobą. Byłam pusta w środku, byłam ładną, pustą skorupą. Zawsze taka byłam i już nie mogłam dłużej tego znieść. Teraz jestem tutaj i wcale nie jest lepiej. Muszę z tym skończyć. Jeśli to czytasz, już mnie nie ma. Proszę, nie idź za mną.*

Ledwie doczytałam do końca, a już kuśtykałam przez korytarz, wykrzykując imię Nadii, wołając Rafaela, Malachiego, wszystkich po kolei. Byłam zaledwie w połowie korytarza, kiedy upadłam. Zaczęłam się czołgać, jęcząc chrapliwie.

Dałam się oszukać.

Nie przeszło mi przez myśl, że Nadia może planować coś takiego. Nie mieściło mi się to w głowie. Tak bardzo chciałam wierzyć w poprawę jej stanu, że zignorowałam wszelkie oznaki... Znowu.

– Jestem idiotką – płakałam, waląc czołem w posadzkę. Łzy spływały na ziemię, mieszając się z kurzem.

Rozległ się rumor. Podniosłam głowę. To Malachi biegł ku mnie, widać jeszcze nie zdążył opuścić Strażnicy. Wyciągnęłam do niego rękę. Pomógł mi wstać i przytulił mnie.

– Odeszła – wybełkotałam, zanim miał szansę się odezwać. – Powiedziała, że idzie po Rafaela, ale zostawiła list. Odeszła – lkałam rozpaczliwie.

Malachi uniósł mi twarz, żebym na niego popatrzyła.

– Przed jej drzwiami stał Strażnik. Jak jej się udało uciec?

– Odesłałam go – szepnęłam, uświadamiając sobie nagle, dlaczego tak naprawdę Amid pełnił straż przy jej pokoju. Nie żartował, mówiąc, że pilnuje, by nie uciekła. A ja okazałam się kretynką pierwszej wody. Stał tam, by zapobiec właśnie czemuś takiemu. A ja nawet nie pomyślałam, że to może się stać.

– Przepraszam, nie pomyślałam.

– Rafael! – zawołał Malachi. Rozejrzał się i przyzwał jednego ze Strażników. – Rais, sprowadź Rafaela. Pospiesz się. – Odwrócił się do mnie i delikatnie otarł mi łzy. – Znajdę ją. Nie mogła odejść daleko. Nie martw się, proszę.

Zza zakrętu korytarza wyłonił się Rafael, jak zwykle pogodny, ale wyraźnie spieszył się.

– Lela, chodź ze mną. – Zachowywał się tak, jakby wiedział, co się stało. – Zajmę się nią, Malachi. Możesz iść.

Malachi rzucił mu nieprzeniknione spojrzenie, pocałował mnie w czoło i pobiegł, w ciągu kilku sekund znikając mi z pola widzenia.

Zachwiałam się, Rafael mnie podtrzymał.

– Cholera – wymamrotałam, starając się utrzymać prosto. Nie znosiłam, kiedy Malachi odchodził, taki silny, niezależny, i zostawiał mnie głupią, bezużyteczną. Znowu popełniłam błąd.

– Lela, musisz zrozumieć, że nie możesz rozwiązać wszystkich problemów – mruknął Rafael spokojnie, choć równie dobrze mógł mi przyłożyć w splot słoneczny. Ja rozwiązaniem dla wszystkich problemów? Byłam cholerną przyczyną wszystkich problemów!

Objął mnie ramieniem, a ja byłam zbyt słaba i zawstydzona, żeby mu się wyrwać. Zaprowadził mnie do pokoju i pomógł się położyć.

– Malachi znajdzie ją bez trudu. Wiesz, że jest świetny w tropieniu ludzi. To już czwarta próba ucieczki Nadii, więc będzie wiedział, gdzie jej szukać.

– Ale dlaczego? Dlaczego to zrobiła? Przecież jest tu bezpieczna. Tak się bała, kiedy była sama w mieście.

Rafael westchnął i otulił mnie kocami.

– Ale tam nie jest zmuszona do akceptowania faktu, że komuś na niej zależy.

– Słucham?

– Twoja przyjaciółka uważa, że jest odstręczająca, niegodna uczuć. Tak działa depresja. Jest też przekonana, że nikt jej nie rozumie. Ignoruje dowody świadczące o tym, że jest inaczej, a to popycha ją do podejmowania rozpaczliwych decyzji. – Rafael ujął mnie za rękę. Jego była bardzo ciepła, gorąca.

– Przyszłam tu za nią. Poświęciłam dla niej wszystko. Mogłabym ją odzyskać, gdybym tylko miała więcej czasu. – Nie chciałam pogodzić się z prawdą. Wierzyłam, że na Wsi, pod ciepłym, jasnym słońcem, Nadia dojdzie do siebie. Bo jak ktokolwiek mógłby poczuć się lepiej w tym mieście wiecznie osnutym mrokiem?

Rafael poklepał mnie po ręce.

– Lela, każdy musi odpracować swoją lekcję życia. – Uśmiechnął się tym swoim nieopisanie pięknym uśmiechem, który za każdym razem mnie oszałamiał. – Zdrzemniesz się?

Odwrociłam twarz do poduszki. W głowie tętniły mi strach i frustracja. Nie mogłam znieść tej galopady myśli.

– Tak.

Rafael bez słowa położył mi dłoń na czole i nagle zapadła ciemność.

## DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kiedy się obudziłam, Malachi siedział na krześle obok tapczanu, opierając głowę obok mojej. Pozycja wyglądała na strasznie niewygodną, a mimo to spał.

Obserwowałam go, wspominając chwile, kiedy leżał nieprzytomny, a ja tak bardzo pragnęłam, żeby się ocknął. Teraz chciałam, żeby spał jak najdłużej. Miał głębokie cienie pod oczami, graniczące z jednej strony z linią czarnych rzęs. Podejrzywałam, że nie wyspał się porządnie, odkąd się spotkaliśmy. Jego kości policzkowe wydawały się bardziej wystające niż wtedy, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, a policzki, choć miały zdrowy kolor, były zapadnięte. Zastanawiałam się, czy to z powodu utraty wagi, czy ciało podpowiadało mu, że czas opuścić miasto, a może był po prostu wyczerpany. Zawsze wydawał mi się niezniszczalny, ale teraz ujrzałam prawdę. Był człowiekiem tak jak ja.

Pogłaskałam go po czarnych włosach i pocałowałam w czubek nosa.

Gwałtownie otworzył oczy.

– Nie śpisz już – wyszeptał.

– Znalazłeś ją?

– Tak, zdążyłem.

Serce mi zamarło.

– Jak to, „zdążyłeś”?

Kiedy popatrzył na mnie, zrozumiałam, co miał na myśli.

– Była na dachu wieżowca kilka ulic stąd. Znalazłem ją w ostatniej chwili.

Usiadłam sztywno.

– Chcesz powiedzieć, że znów chciała to zrobić? Tak?

Po chwili wahania przytaknęła.

Moja przyjaciółka popełniła samobójstwo. Przyszłam do piekła, żeby ją uratować. Zabiłam kogoś, sama niemal zginęłam. Zginęła wspaniała osoba, poświeciła się, żeby ja mogła uratować Nadię. A potem moja przyjaciółka znów usiłuje targnąć się na własne życie.

Zaczęłam wymachiwać rękami jak wariatka.

– To niewiarygodne! Co z nią jest, do cholery? Nie rozumiem, jak mogła to zrobić? Przyszłam tu po nią. Tyle dla niej zrobiłam, a ona, kurwa, uciekła ode mnie! A ty?! – wrzeszczałam, wskazując palcem Malachiego, który siedział bez ruchu. – Ty powiedziałeś mi, że jest z nią już lepiej! Czemu tak powiedziałeś?

Wyprostował się.



– Bo tak było. Ale to nie znaczy, że z tego wyszła. To nie takie proste i trzeba na to dużo czasu.

– Jakim cudem ktoś, kto próbuje popełnić samobójstwo, może czuć się lepiej?

– Bo chorzy na depresję, kiedy mają więcej energii, robią czasem bardzo głupie rzeczy. Jej się właśnie polepszyło, miała więcej siły.

– To nie ma najmniejszego sensu.

– Ależ ma.

– Jak możesz jej bronić?

Zerwał się, wywracając krzesło. Hałas uciszył mnie na chwilę.

– Bo byłem taki jak ona! Rozumiem ją! A ty nie – warknął, cofając się. – Zapomniałaś, jak to jest. Jesteś teraz silna, dawno już masz to za sobą. Ale przypomnij sobie, Lela, co skłoniło cię do targnięcia się na własne życie. Niektórzy nie potrafią tak bezustannie walczyć, pragną tylko uciec. Niektórzy nie są gotowi, nie są w stanie znaleźć sposobu na uporanie się z przeciwnościami. Czasami nie mają nikogo, kto by im pomógł. Czasami nie potrafią poprosić o pomoc. A czasem czują, że nie mają wyboru, że muszą to zakończyć. Wydaje im się, że nie ma innej drogi. Czasami nie widzą nic poza tym. – Jego gniew nagle przerodził się w lęk, jakby bał się, że po tym, co powiedział, inaczej na niego spojrzę. Przez chwilę wpatrywał się w podłogę, a potem odetchnął głęboko i podniósł głowę. – Nadia nie jest jeszcze gotowa, by stanąć przed obliczem Sędziego. W tym stanie nie dostanie pozwolenia na opuszczenie miasta.

Nie. Nie. Nie mów na głos tego, co i tak wiem.

– Powinna tu zostać – ciągnął. – Znajdziemy kogoś, kto się nią zaopiekuje, dopóki nie będzie gotowa.

– Mylisz się – załkałam. – Widziałeś ją, widziałeś, jak cierpi. Nie może tu zostać. Zasługuje na litość. Zasługuje na to, żeby stąd wyjść.

Popatrzył na mnie, a potem potrząsnął głową, wrócił i usiadł na tapczanie.

– Mówisz o litości, jakby Nadii się ona należała. Jakby zasłużyła na nią cierpieniem. Ale to nie działa w ten sposób.

Odepchnęłam jego rękę.

– Jeśli ktoś zasługuje na litość, to właśnie ona. Jest dobra, Malachi, jest najlepszym człowiekiem, jakiego znałam. Jest miła, łagodna. Nigdy nie zrobiła nic złego!

Pochylił się nade mną, patrząc mi w oczy, ponury, groźny.

– Powiedz mi więc – zaczął powoli, akcentując każde słowo – powiedz, czy ty w swoim życiu zaznałaś litości? Nie zasłużyłaś na nią w przeciwieństwie do Nadii? Czy ojczym okazał ci litość? A ludzie w zakładzie poprawczym? A ja? Nie zasłużyłem na nią? A moja rodzina? Moi rodacy? Nie zasługiwaliśmy? – Zaśmiał się gorzko. – Litość nie jest czymś, co się należy. Litość jest darem

jednego człowieka dla drugiego. Nie można na nią zasłużyć. Nie możesz twierdzić, że Nadia ma do niej większe prawo niż miliony dusz, które tu przebywają. – Odwrócił wzrok, zatrzymując spojrzenie na gazowej lampie stojącej przy łóżku. – Kiedy tu przybyłem, byłem taki jak ona. Nie wiem, kiedy zacząłem się z tego otrząsać, bo moje wspomnienia z tamtego czasu są mgliste. Ale kiedy wróciła mi świadomość, poczułem gniew. Straszny gniew. Nie mogłem pojąć, dlaczego po tym wszystkim, przez co przeszedłem, po tym, ile wycierpiałem, znalazłem się tutaj, w tym piekle. Jediną moją zbrodnią była ucieczka.

Wyraz jego twarzy, smutek, bezradność zdmuchnęły mój gniew jak świeczkę. Położyłam mu dłoń na ramieniu. Westchnął, ale nie przestał wpatrywać się w lampę.

– Ile miałeś lat?

– Prawie dziewiętnaście.

– Gdzie byłeś?

– W Oświęcimiu – wyszeptał.

– Jak to zrobiłeś?

Nabrał powietrza.

– Na ogrodzeniu elektrycznym. Otaczało obóz, zatrzymywało nas w środku, a niektórym pomagało uciec w jedyny możliwy tam sposób.

O Boże. Przynisnęłam się do niego, objęłam, a on jak zawsze po prostu przytulił się do mnie. Myśl, że sobie to zrobił, bolała, ale tak bardzo chciałam zrozumieć.

– Dlaczego?

– Nie byłem tam bardzo długo. Ale zacząłem chorować. Wszyscy chorowaliśmy. W pociągu wiozącym nas do obozu zmarł mój ojciec. Był za słaby. A mama... Zabrali ją od nas razem ze starszymi i dziećmi zaraz po przybyciu na miejsce. Ale miałem Heshela. Byliśmy razem, a mój brat był silny. Powiedział, że przetrwamy. Że będziemy pracować, jeść to, co nam dadzą, że się przystosujemy, przeżyjemy, a potem uciekniemy do Palestyny. To było nasze marzenie, spełnilibyśmy je, gdyby udało nam się wcześniej wydostać z Bratysławy. Imiemu, koledze brata, udało się, wyjechał wcześniej. A nasza rodzina została i pętla zacisnęła się wokół nas. – Malachi otarł twarz rękawem, a potem przymknął powieki. – Heshel miał w sobie tyle wiary. Zawsze mnie zagrzewał do walki, mnie i innych. Byłby świetnym przywódcą. To było jego przeznaczenie. Pewnego ranka podczas apelu strażnicy byli wyjątkowo wściekli, bo ktoś coś ukradł. Nie pamiętam już, o co chodziło. Ale postanowili dać nam nauczkę. Zaczęli strzelać do losowo wybranych ludzi. Chwiałem się, byłem chory, słaby, wiedziałem, że padnie na mnie. Heshel również to wiedział, dlatego... – Malachi urwał, jakby nagle nie mógł oddychać. Zamknęłam oczy i razem z nim nabrałam tchu. – Zaczął się kręcić, kaszleć, zataczać, ściągnął na siebie ich uwagę, a oni... – Mocno go przytuliłam. Nie płakał, ale grymas na twarzy

odzwierciedlał wspomnienie tamtego bólu. – Potem nie potrafiłem już sobie wyobrazić, jak miałbym dalej żyć. Śmierć wydawała mi się nieuchronna. Wiedziałem, że i tak wszyscy umrzemy. Byłem wściekły. Nie tak miało wyglądać moje życie, nie tak miało się skończyć. Byłem silny tak jak mój brat. Otrzymaliśmy stosowną edukację, mieliśmy pieniądze, byliśmy porządni. Ale oto skończyliśmy w takim miejscu, traktowani jak zwierzęta. Nie widziałem wyjścia z tej sytuacji, a bez brata nie potrafiłem znaleźć w sobie woli, by dalej żyć. Dwa dni po jego śmierci rzuciłem się na ogrodzenie. – Zaśmiał się smutno. – Myślałem, że znów go zobaczę, myślałem, że będzie na mnie czekał w Olam Ha-Ba, w zaświatach. – Podniósł się gwałtownie, wyzwalając z moich objęć, i zaczął krążyć po pokoju. – Przeżyłem szok, kiedy wróciła mi świadomość. Nie trafiłem do Olam Ha-Ba, a więc gdzie? Do Sheolu? Gehenny? Miejsca dla grzeszników? Ale przecież nigdy nie zrobiłem nic złego! Powinienem znaleźć się w jakimś dobrym miejscu! Byłem wściekły, że moje naiwne oczekiwania zostały tak zawiedzione. Byłem wtedy taki, jak teraz Nadia, przebudzony, świadomy, miałem więcej energii, ale nie było ze mną jeszcze w porządku. Różnica między nami jest taka, że ona ma tendencje samobójcze, a ja kierowałem swoją agresję na innych. Dlatego zrobiłem coś głupiego, wdarłem się przemocą do Sanktuarium.

– Co zrobiłeś? – Nie mogłam uwierzyć.

– Trudno nie zauważyć budynku Sanktuarium. Zapytałem jednego ze Strażników, co to za miejsce, a on opowiedział mi o Sędzim. Postanowiłem stanąć przed jego obliczem i zażądać prawa do opuszczenia tego miejsca i spotkania się z bratem. Domagać się odesłania mnie tam, gdzie powinienem być, bo przecież zasłużyłem na to po tym wszystkim, przez co przeszedłem. – Schylił się i podniósł przewrócone krzesło. Postawił je przy tapczanie i zacisnął palce na oparciu. – Kiedy wtargnąłem do Sanktuarium, jeden ze Strażników próbował mnie zatrzymać. Powaliłem go i szedłem dalej. Pokonałem jeszcze trzech, zanim mnie zatrzymali, ale i tak zdołali to zrobić dopiero na sali, kiedy biegłem między ławkami do trybuny.

– Widziałeś się z Sędzią?

– Owszem – skrzywił się. – Czekał na mnie. Pogratulował mi pokonania Strażników. A potem zapytał, czy jestem gotów wysłuchać jego wyroku. Oczywiście, że byłem. Oczekiwałem przecież, że mnie uwolni! Kto nie zlitowałby się, wysłuchawszy mojej historii?

– Pewnie właśnie Sędzia. – Uśmiechnęłam się smutno.

Malachi przytaknęła.

– Skazał mnie na służbę. Skazał mnie na to. – Potoczył ręką po ścianach, a potem wskazał na siebie.

– Na jak długo?

– Dopóki nie będę gotów, żeby odejść. Z Aną było podobnie. I z Takeshim też. Każde z nas

skazano na dowodzenie Strażą przez dziesięciolecia, a może stulecia, albo do kolejnej śmierci, bo byliśmy na tyle silni, żeby wywalczyć sobie drogę do Sędziego i na tyle głupi, by oczekiwać, że odzyskamy wolność, gdy tam dotrzemy.

Myśli, które od ucieczki Nadii spychałam uparcie w głąb umysłu, teraz wypłynęły na powierzchnię. Malachi obserwował mnie uważnie.

– Nie traktuj tego lekko, Lela. Nadia może ponieść dotkliwe konsekwencje, jeśli pójdzie przed oblicze Sędziego w takim stanie, w jakim jest teraz.

I nagle moje obawy eksplodowały niczym wulkan.

Miał rację. Miał całkowitą rację.

Zdawałam sobie z tego sprawę, tylko nie chciałam przyznać się nawet przed sobą. Nie dało się tego obejść. Byłam absolutnie przekonana, że Nadia musi opuścić to miasto, że to jedyny sposób, by poczuła się lepiej. Ale jeśli chciałam ją stąd wydostać, nie mogłam posłać jej do Sędziego i liczyć na łut szczęścia. Musiałam się bardziej postarać. W dodatku musiałam zrobić to szybko, bo kończył mi się czas.

Malachi usiadł i wziął mnie za rękę. Tym razem nie protestowałam, bo sparaliżowały mnie niedowierzanie i żal. A kiedy popatrzył na mnie z taką nadzieją, taki bezbronny, omal nie jęknęłam, bo czułam, jak pęka mi serce.

– Niedługo stanę przed obliczem Sędziego – zaczął cicho. – Sądzę, że jestem gotów. I... I pomyślałem sobie, że może... Zastanawiałem się...

Przybliżyłam się i pocałowałam go, wiedząc, że nie byłabym w stanie wysłuchać tego, co chciał powiedzieć. Nie byłabym w stanie odmówić mu, gdyby zapytał. Miał opuścić miasto. Chciał, żebym poszła razem z nim. Chciał, żebyśmy razem przemierzali miejsce, do którego trafilibyśmy. Ale ja musiałam zabrać Nadię do Sędziego. Zamierzałam zaproponować siebie w zamian za nią. Błagać o litość i zaoferować siebie jako zapłatę. To był jedyny sposób na wydostanie jej stąd.

Pchnęłam go na plecy. Tak rozpaczliwie pragnęłam poczuć przy sobie jego ciało, odwrócić jego uwagę od mojego żalu, od bólu rozdartego serca. Ana miała rację, jak zawsze – pomyliłam to, czego chciałam, z tym, czego potrzebowałam. Pragnęłam uzdrowić Nadię, być jej rycerzem w lśniącej zbroi czy też jakimś jego żeńskim odpowiednikiem.

Potrzebowałam natomiast Malachiego, potrzebowałam pozwolić, by mnie chronił, pozwolić mu się poznać i odwdzińczyć mu tym samym.

Ale było już za późno. Powzięłam pewne decyzje, jeszcze zanim go poznałam. Nie zamierzałam zawieść mojej przyjaciółki po raz drugi. A to oznaczało, że zawiodę Malachiego.

Omali nie wybuchłam płaczem, rozchyliłam jednak wargi, posmakowałam go i pozwoliłam się unieść wrażeniom. Wplótł mi dłonie we włosy i jęknął.

– Chyba nigdy nie miałem okazji powiedzieć ci, jak bardzo Kocham twoje włosy – wydyszał.

Zaczęłam się śmiać.

– Mówisz poważnie? Przecież to nieokiełznana szopa!

– Są tak samo nieokiełznane jak ty. I tak samo jak ty nigdy się nie poddają – zachichotał. – I tak samo jak ciebie, nie da się ich powstrzymać.

Zagarnął na nas moje włosy, robiąc z nich zasłonę wokół naszych twarzy. Czuliśmy się jak we własnym klubie. Dostępnym tylko dla członków. Przez chwilę zaśmiewaliśmy się, leżąc tak pierś w pierś.

– Skoro już jesteśmy tacy odrodzeni od świata, może wyznasz mi jakiś sekret? – zaproponowałam.

– A wiesz – uśmiechnął się tym swoim zabójczo groźnym uśmiechem – niech będzie. Proszę: gdybym nie zamknął cię wtedy w celi, pocałowałbym cię. I nie mógłbym przestać. Gdybyś mnie wtedy poprosiła, wręczyłbym ci klucze i jeszcze dał się grzmotnąć w czaszkę. I tak uważałbym, że to warte twojego pocałunku.

– To czemu mnie powstrzymałeś?

– Widziałem, że tego nie chcesz, że się boisz. Wtedy zrozumiałem, jak bardzo chciałbym, żebyś czuła wobec mnie coś innego.

*I nie masz pojęcia, jak silne jest teraz to „coś innego”. I jak okropnie się teraz z tym czuję.*

Skubnęłam go ustami w szyję, tuż pod żuchwą. Ięknął i przytulił mnie mocniej. Przesunęłam językiem wzdłuż szyi. Z jego gardła wyrwał się kolejny jęk. Był mój. Nie mógł mi odmówić.

– Malachi, zostań ze mną dzisiaj w nocy.

Zamarł. Jego milczenie przeciągało się wystarczająco długo, żebym zaczęła się denerwować.

– Jesteś pewna? Bo... – wyjąkał w końcu.

– Tak, właśnie tego pragnę. Proszę, zostań ze mną.

Bo kiedy jutro wyruszysz na patrol, ja pójdę do Sanktuarium. Zostanę tu uwięziona na wiele lat i to właśnie teraz, gdy ty opuszczasz to miejsce.

Malachi przesunął dłońmi po moich bokach i przytrzymał mocno, a ja całowałam go bez przerwy, do utraty tchu. Całkiem już straciłam kontrolę nad wydarzeniami i nie byłam jeszcze gotowa na więcej. Potrzebowałam czasu, żeby oswoić się z myślą, że ktoś będzie dotykał mnie w ten sposób. Ale czas był czymś, czego nie miałam.

Czułam, jak serce tłucze mu się w piersi. Wyglądał tak, jakby zbierał siły do czegoś.

– Lela... Jesteś najpiękniejszą, najbardziej upartą, najwspanialszą, najbardziej irytującą i najsilniejszą dziewczyną, jaką spotkałem. – Nabrał tchu. – I chciałbym...

Pocałowałam go. Znowu. Podejrzywałam, co chce powiedzieć, i nie mogłam mu na to pozwolić. Nie mogłam dopuścić, żeby mi to powiedział, a potem odkrył, że odeszłam.

Wolałam mieć to wspomnienie nas razem, bo tylko to nam zostało.

## TRZYDZIESTY

Zaraz po wyjściu Malachiego, który musiał „załatwić jeszcze parę spraw”, wstałam i zaczęłam krążyć po pokoju. Postanowiłam odwiedzić Nadię, żeby nie oszaleć, czekając na jego ostatni powrót. Żebyśmy mogli spędzić razem tych parę ostatnich godzin. On będzie myślał, że to początek. Ja wiedziałam, że to koniec.

Zaczęłam przemykać przez labirynt korytarzy do kwatery Any. Kiedy zbliżyłam się do pomieszczeń aresztu, usłyszałam podniesiony głos Malachiego. Nogi same mi się zatrzymały. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam iść dalej, czy byłby zły, widząc, że wyszłam z pokoju i znów włóczę się po Strażnicy, ale nagle usłyszałam coś, co kazało mi zostać.

– Proszę tylko o parę godzin, to chyba nie tak wiele?

Rafaël mówił spokojnie, lecz stanowczo.

– Prosisz mnie o wiele więcej. Nie mogę ci w tym pomóc.

– Nie rozumiesz! Ona by na to nie pozwoliła. Nigdy by się nie zgodziła.

– A rozmawiałeś z nią o tym?

Pełen goryczy śmiech Malachiego odbił się echem od ścian.

– Widać, że nie znasz Leli. Wypatroszy każdego, kto wejdzie pomiędzy nią i Nadię, łącznie ze mną. Mogę się założyć, że właśnie w tej chwili planuje, jak poświęcić się dla Nadii. Widziałem to w jej oczach. Poznałem po zachowaniu. I po tym, czego nie pozwoliła mi powiedzieć. – Westchnął, a potem zaczął ostrzeż: – Nie pozwolę jej tego zrobić.

– Nie spiesz się, Malachi. Tego nie da się cofnąć.

– Liczyłem, że Nadia szybciej do siebie dojdzie. Że przestanie być kotwicą Leli. Ale po tym, co zrobiła dzisiaj, wiem, że jest niegotowa. Jeszcze daleko jej do tego. A Lela opada z sił, głoduje. Czuję dzisiaj każde jej żebro. Jest blada jak duch. Ledwie stoi na nogach. Jest bardzo silna, ale jej czas się skończył! A nie odejdzie bez Nadii. Ostrzegalem ją, Rafaëlu. Powiedziałem wszystko, co trzeba było jej powiedzieć.

– Jesteś pewien, że dobrze postępujesz?

– Jestem pewien – oświadczył Malachi dobitnie. – Jeśli uśpisz Lelę na parę godzin, będę mógł spokojnie załatwić sprawę z Nadią. A potem, kiedy Lela się obudzi, będzie mogła iść tam, gdzie powinna być od samego początku.

*Co do... Załatwić sprawę z Nadią?*

– Malachi, bądźże rozsądny, nie możesz...

– Kiedy się obudzi, zabierz ją prosto do Sanktuarium. Przeczekał gdzieś, żeby mnie nie

widziała. Nie musi wiedzieć, co zrobiłem. Możesz...

– Nie chcesz konfrontacji, tak? Tchorzostwo nie jest w twoim stylu, kapitanie.

Aż podskoczyłam, kiedy metal uderzył o kamień.

– Nie możesz jej po prostu zabrać?! – wrzasnął Malachi.

Zatkałam usta ręką, żeby nie krzyknąć. Słowa zniknęły mi z głowy, została tylko ściana białego szumu, hałas tłumiący każdą myśl. Zamierzał skrzywdzić Nadie. Chciał ją zabić, odesłać do Bramy, żeby zaczęła od nowa, żebym nie mogła już jej odnaleźć. Znów przeoczyłam wszelkie oznaki. Myślałam, że mi pomoże. Myślałem, że mogę mu zaufać.

– Uważam, że źle postępujesz – stwierdził Rafael z niezmiennym spokojem.

– Wiem, co myślisz, ale nie pytam cię o zdanie. Pytam tylko, czy możesz pomóc jej się stąd wydostać.

– Oczywiście, że mogę – zbył go lekko Rafael.

Malachi westchnął.

– Uspisz Lelę? – zapytał smutno. – Daj mi kilka godzin...

Nie chciałam już tego słuchać. Prześlizgnęłam się obok uchylonych drzwi aresztu i pobiegłam korytarzem. Nie odrywałam dłoni od ust, bojąc się, żeby nie wydostał się z nich okrzyk żalości. Po drodze nie natknęłam się na nikogo, za to drzwi do kwatery Any pilnował Rais.

– Znowu naruszenie murów – wydyszałam. – Malachi cię wzywa. Zbiera oddział, a mnie wysłał do pilnowania Nadii, żebyś mógł z nim iść.

Rais lypnął na mnie spod przymrużonych powiek.

– No idź! – Ponagliłam go. – Kapitan potrzebuje każdego Strażnika, który jest na miejscu. Obudź pozostałych. Mają być wszyscy, ale ciebie wymienił z imienia.

Rais wyprostował dumnie pierś i uśmiechnął się.

– Dziękuję. Twoja przyjaciółka jest spokojna, nie będziesz z nią miała problemów. – Odwrócił się i ruszył biegiem, tak ciężko tupiąc, że aż zadrzała posadzka pod moimi stopami.

Oparłam się o ścianę, próbując wyrównać oddech i przygotowując się na następny ruch. Szarpnęłam za drzwi. Nadia leżała skulona na pryczy, ale podniosła głowę, kiedy wparowałam z hukiem do pokoju.

Zdarłam z niej koc.

– Rusz tyłek, Nadia, czas z tym skończyć. Dostaniesz to, czego chciałaś.

– Naprawdę? – Nadia zamrugła zdziwiona.

– Oczywiście. Teraz już rozumiem. Ale musisz mi pomóc. Możesz wstać i iść ze mną? Znam jedno takie miejsce, do którego musimy się dostać.

Nadia usiadła pospiesznie.

– Chodźmy – powiedziała z zaciętą miną.



Pomaszerowałam prosto do szafki Anny i zaczęłam przerzucać jej ekwipunek. Pod ścianą zauważyłam moją broń. Zajęło mi to chwilę, ale zdołałam założyć pancerz. Naciągnęłam nań koszulę Any, żeby żaden ze Strażników nie zobaczył, co mam na sobie. Zapięłam pas i przytroczyłam do niego mały nóż, tak na wszelki wypadek. Wzulałam też buty Any. Wszystko pachniało nią. Musiałam wycierać napływające do oczu łzy. Zastanawiałam się, co by zrobiła, gdyby tu była. Pomogłaby mi? A może pomogłaby raczej Malachiemu w zabiciu Nadii? Nie miałam bladego pojęcia. I nie chciałam wiedzieć.

– Gdzie idziemy? – Nadia obserwowała mnie bacznie.

– Idziemy tam, gdzie dostaniesz to, czego tak chcesz. Koniec. Nie chcesz, żeby to się wszystko skończyło?

Popatrzyła na mnie podejrzliwie.

– Czemu mi pomagasz?

Wzruszyłam ramionami.

– Bo cię kocham.

Przekrzywiła głowę, jakby naprawdę usiłowała to przetrwać. Zdałam sobie sprawę, że nigdy jej tego nie powiedziałam. Czyż nie jestem idiotką? Niech policzę, na ile sposobów.

Prowadziłam Nadię za rękę, pewna, że za każdym zakrętem czai się Malachi. Tak łatwo mnie przejrzał. Lada moment odkryje, że mnie nie ma, a potem ruszy za nami w pościg.

Fatalnie czułam się, nie mając go po swojej stronie. I przerażało mnie, że od teraz jest moim przeciwnikiem. Wiedziłam, że nie chciał mnie skrzywdzić. Usiłował mi pomóc. Ale najwyraźniej zupełnie mnie nie rozumiał, skoro uważał, że zabicie mojej przyjaciółki jest na to najlepszym sposobem.

Gdyby nas schwytał, z pewnością nie dostałabym kolejnej szansy na wyprowadzenie stąd Nadii. Mogłam liczyć tylko na to, że Rais szybko rozniesie informację o naruszeniu murów i mieć nadzieję, że ta informacja zaprzętnie uwagę Malachiego. Pędziłam z bijącym sercem. Zatrzymałam się kilka jardów przed wyjściem.

– Teraz wyjdziemy stąd, jak gdyby nigdy nic – pouczyłam Nadię. – Wyobraź sobie, że idziemy na spacer, dobrze?

Przytaknęła.

Tak jak przewidywałam, kiedy tylko położyłam dłoń na klamce, z ciemnego kąta wyłonił się Hani.

– Masz pozwolenie Malachiego, żeby ją stąd wyprowadzić? Dopiero co ją tu przytaskał.

Uśmiechnęłam się do niego słodko.

– Dogadałyśmy się z Nadią, prawda? – Zwróciłam się do przyjaciółki, która potulnie pokiwała głową. Potem popatrzyłam na Haniego już całkiem poważnie. – Czemu uważasz, że zrobiłabym

coś bez pozwolenia Malachiego? Przecież oboje dobrze wiemy, jak reaguje, kiedy ktoś się sprzeciwia jego rozkazom.

Hani się wzdrygnął.

– Idźcie.

– Dzięki, Hani, miłego dnia – powiedziałam wesoło i pociągnęłam Nadię na ulicę.

– Gdzie idziemy? – dopytywała się Nadia, najwyraźniej wątpiąc w moją szczerą chęć pomocy.

– Po prostu idź za mną. – Zamknęłam oczy, przypominając sobie układ miasta widziany z wieży strażniczej. – Tędy. – Znow wzięłam Nadię za rękę i zaczęłam bieć w stronę, gdzie widziałam Sanktuarium.

Choć Malachi nie pokazał mi, gdzie się znajduje ten budynek, mogłabym przysiąc, że go wyczuwam. Zupełnie jakby jakaś uczepiona do mojego serca lina ciągnęła mnie ku niemu. Liczyłam, że dzięki temu się nie zgubię. Może za kilkadziesiąt lat też będę znała to miasto tak dobrze jak Malachi. Może też stanę się takim dobrym Strażnikiem jak on.

I może, może pozwolą mi zająć jego kwaterę, kiedy już opuści miasto. Może pozwolą mi mieszkać w tamtym pokoju wraz ze wspomnieniami o nim. Zastanawiałam się, jak długo utrzyma się tam jego zapach. Wiedziałam, że to głupota myśleć o tym teraz, kiedy zamierzałam zrobić to, co właśnie robiłam, ale nie mogłam się powstrzymać.

Przebiegłyśmy kilkadziesiąt ulic, potem skręciłam pomiędzy dwie piętrowe rudery i nagle wpadłyśmy w coś mokrego, podobnego do cementu. Przystanąłam, wystraszona grzmiotem i drżeniem ziemi pod stopami. Do podeszew butów przykleiła mi się jakaś szara, oślizgła substancja, która zaczęła zbierać się i podwajać swoją objętość. Cofnęłam się gwałtownie, kiedy tuż przed nami wyrósł embrioniczny budynek. Miał wysokość dorosłego człowieka, ale rozrastał się szybko, tarasując nam przejście. Ściskając rękę Nadii, odwróciłam się i wpadłam na kędzierzawą, kościstą kobietę. Przewróciła się, ale nawet nie próbowała wstać. Po prostu leżała na ziemi, wpatrując się w pulsujący, słuzowaty budynek.

– Chcę mieć własny dom – mruknęła pod nosem raczej do siebie niż do kogoś innego.

– Zmieniamy trasę, Nadia – powiedziałam i pociągnęłam ją w bok. Udało nam się obejść dumną właścicielkę nieruchomości i jej oślizgły, nowo narodzony budynek mieszkalny, kiedy z bocznej uliczki wyskoczył Mazikín. Podbiegł na czworaka i zastąpił nam drogę, sycząc i szczerząc swoje cztery zęby.

– To ty! – warknął. – Wyczułem cię z daleka. Wymordowałaś mi rodzinę, dziewucho.

Nadia z piskiem ukryła się za moimi plecami. Choć tak bardzo pragnęła końca, zagryzienie przez Clarence'a wyraźnie nie było jej w smak. Nie dziwiłam się. Dla mnie też nie brzmiało to zachęcająco. Wepchnęłam więc ją za pobliski kontener na śmieci i odsunęłam się, żałując tylko, że nie jestem silniejsza. Albo chociaż mniej słaba.

– Nie wymordowałam ci rodziny. Najwyżej jednego krewniaka, ale sam się o to prosił. – Stałam mocniej na nogach i zerknęłam w stronę wylotu alejki. – Czyli zostałeś sam, tak? – Może i miałam szansę pokonać jednego śmierdzącego starca, ale na więcej nie było mnie stać.

Clarence warknął i spał się do skoku.

– Sił i reszta już dawno uciekli, głupia dziewczucho. Wreszcie udało nam się wydostać poza te wstrętne mury. Dopiero teraz się zacznie. Zaraz sam do nich dołączę. Sił się ucieszy, kiedy mu powiem, że przed odejściem zdążyłem cię zniszczyć.

Uśmiechnęłam się ponuro, ale w duszy aż jęknęłam na myśl o problemach, z jakimi będę musiała się zmierzyć, kiedy zostanę Strażnikiem. Siłowi się udało. Mazikiny rozmnożą się i będą sprawiały kłopoty po obu stronach muru. To miała być tylko przygrywka do bitew, które będę musiała stoczyć. Miałam nadzieję, że po wyroku, kiedy już będę należała do tego miasta, nabiorę sił, żeby sprostać wyzwaniom.

Do pierwszej potyczki musiałam jednak przystąpić tu i teraz, zmęczona, słaba i otumaniona z żalu po zdradzie, jakiej dopuścił się Malachi. Ale nie zapomniałam, czego mnie nauczył. Kiwnęłam głową na Mazikina.

– No, dalej, Clarence. Pochwal się tymi swoimi ostrymi ząbkami.

Clarence wyszczerzył kły. Nadia krzyknęła przestraszona. Clarence przypuścił szarżę i grzmotnął mnie bykiem w żebra, spychając na kontener. Wyrwał mi przy tym kawał skóry z pancerza. *Dzięki, Michaelu.*

Uniosłam łokieć i huknęłam pochylonego Mazikina pomiędzy łopatki. Wywrócił mnie na ziemię i umknął, zanim go złapałam. Potem rzucił się ku Nadii, ale zdążyłam się zerwać i skopałam mu tyłek. Dosłownie. Zawył i runął na chodnik. Pozbierał się szybko i ponownie mnie zaatakował. Tym razem odsunęłam się, chwyciłam go za barki i uderzyłam kolaniem w twarz. Po pierwszym ciosie stracił marne resztki zębów. Po drugim, przytomność.

Stałam nad nim, ujmując w dłoń rękojeść noża. Nie chciałam tego robić, ale popełniłam już tyle błędów, że nie mogłam sobie pozwolić na kolejny. Poza tym doszłam do wniosku, że lepiej się przyzwyczajają. Klęknęłam i zrobiłam to, co konieczne. Nadia znów krzyknęła. A ja znów nic nie poczułam.

Podalam jej zakrwawioną, trzęsącą się rękę.

– Chodź, Nadia, musimy iść.

Byłyśmy już blisko. Ulice stały się jaśniejsze, a chodnikami szło więcej ludzi. I więcej Strażników. Obserwowali mnie podejrzliwie, ale wiedziałam, że to dlatego, że ciągnę ze sobą Nadię, że jesteśmy razem, a nie dlatego, że wiedzieli, kim jestem. Nie było możliwości, żeby Malachi zdołał już zawiadomić ich o mojej ucieczce. Po raz pierwszy z wdzięcznością pomyślałam o braku nowoczesnej technologii w piekle.

Oślepiając biały budynek znajdował się tuż przed nami. Przyspieszyłam kroku.

– Już prawie jesteśmy na miejscu, Nadia – wydyszałam. – Niedługo będzie po wszystkim.

Jak oszalała zaczęłam wdrapywać się po schodach i w biegu wpadłam na Rafaela. Złapał mnie tymi swoimi niesamowicie ciepłymi rękami i zatrzymał.

– Udało ci się.

Usiłowałam mu się wyrwać. Zaszłam za daleko, żeby teraz się poddać.

– Puść mnie – poprosiłam. – Wiem, co planujecie, ale nie pozwolę ci na to. Proszę. Muszę tam wejść.

– Wcale cię nie zatrzymuję – zapewnił, cofając dłonie.

Rozejrzałam się, przekonana, że lada moment zza węgła wychynie Malachi z nożami w rękę. Nie zamierzałam pozwolić mu odebrać sobie Nadii. Nie zamierzałam pozwolić mu jej skrzywdzić.

– Nie ma go tu, Lela. Jeszcze nie dotarł. Ale musisz się pospieszyć. Na pewno jest już w drodze.

Popatrzyłam na Rafaela z ukosa. Coś mnie tknęło.

– Jakim cudem przybyłeś tu tak szybko?

Olśnił mnie pięknym uśmiechem.

– Chodź. Twój proces został przyspieszony. –

Wziął mnie pod ramię i powiodł po schodach, pozwalając ciągnąć za sobą Nadię. Z budynku aż na ulicę wychodziła kolejka ludzi. Wyglądali całkiem inaczej niż ci, których do tej pory widywałam. Byli czujni, uważni. Ich twarze jaśniały, skóra prawie promieniała. Rozmawiali ze sobą, niektórzy byli pogrążeni w ożywionej dyskusji, inni śmiali się i gestykulowali energicznie. Byli podekscytowani i pełni nadziei.

Rafaël przepchnął się przez tłumek. Weszliśmy przez ogromne, rzeźbione, drewniane wrota do holu o wysokich, witrażowych oknach. Szklane kompozycje przedstawiały oceany, góry, anioły i... Czyżby hyeny?

Słońce przenikające przez skomplikowane wzory malowało na marmurowej posadzce kolorową mozaikę. Słońce. Nie było go nigdzie indziej w tym mieście, ale tu świeciło jasno i intensywnie.

Stanęliśmy przed kolejnymi ogromnymi podwojami. Wysokie na kilkadziesiąt stóp skrzydła drzwi sięgały katedralnego sklepienia.

– Wiem, co sobie wyobrażasz, ale mylisz się – powiedział Rafael, przesuwał się na sam przód kolejki.

– Aha, ja się myślę, a ty *jestes* tylko lekarzem? – zapytałam nieobecny tonem, pochłonięta oglądaniem wspaniałego i budzącego lęk wnętrza. Malachi miał rację. Nie przypominało to

żadnego sądu, w którym byłam.

Nadia wydawała się w ogóle nie zwracać uwagi na otoczenie. Nawet się nie rozglądała. Po prostu czekała. Niczym leming szykujący się do skoku z urwiska. Nie przypominała ludzi czekających w kolejce, by stanąć przed obliczem Sędziego. Serce mi się ścisnęło. Nawet jeśli uda mi się ją stąd uwolnić, to czy poradzi sobie sama?

– Nie, mylisz się co do Malachiego – sprostował Rafael.

Gapiałam się w podłogę, potulnie kiwając głową.

– Tak, wiem. Myliłam się, co do niego. Ale teraz już wszystko rozumiem.

– Czyżby?

– Słyszałam was. Słyszałam, co planuje.

Rafael zachichotał cicho.

– Tak, zakochany mężczyzna popełnia różne szaleństwa.

Aż mnie zatkało na chwilę ze zdumienia.

– No, szaleństwo nie jest w tym przypadku najodpowiedniejszym określeniem. Lepsze byłoby „morderstwo”, nie uważasz?

Ogromne wierzeje zaczęły się otwierać. Z lękiem obserwowałam ich powolny ruch.

– Nie. Raczej „nieprzemyślany uczynek”. Ale przy tym szlachetny. Bezinteresowny. Ofiarny.

– Macie tu strasznie dziwne kanony wartości – burknęłam, kiedy sala stanęła nareszcie otworem.

Rafael zaśmiał się znowu. Spojrzałam na niego i odruchowo zrobiłam krok w tył. Jego oblicze płonęło, rozświetlone blaskiem słońca przesianego przez witraże, jego nieziemskie piękno budziło lęk i było zupełnie nieludzkie.

Jasna cholera.

– Posłuchaj, dziewczynko. – Głos Rafaela odbił się echem od marmurów i uderzył we mnie, wibrując w moim ciele. – Malachi nigdy nie skrzywdziłby Nadii.

Rafael zawsze wydawał mi się wcieleniem łagodności, ale teraz nagle zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, do czego jest zdolny. W tej chwili wyglądał tak, jakby jednym ruchem brwi mógł zmieścić cały budynek. Może naprawdę był *tym* Rafaelem. Może właśnie wkurzyłam archaniola?

– Dlaczego w takim razie mu nie pomogłeś? – pisałam.

W ułamku sekundy znów się zmienił, powracając do swej zwyczajnej, piegowatej fizjonomii. Stało się to tak szybko, że nie miałam już pewności, czy nie wyobraziłam sobie przypadkiem tego, czym był przed chwilą. Popatrzyłam na niego spod zmrużonym powiek.

– Ponieważ przeznaczeniem Malachiego jest coś innego, Lelo – rzekł, jakby to powinno być dla mnie oczywiste. Wskazał brodą Nadię i wzruszył ramionami. – Na pewno nie poświęć się dla

niej.

Równie dobrze mógł mnie grzmotnąć w głowę.

– Poświęcenie? – wyszeptałam, a świat zawirował wokół własnej osi. Nie chciał skrzywdzić Nadii. Zamierzał poświęcić siebie samego, żeby dać jej wolność. Zrobił to dla mnie. Żebym ja nie musiała. – O mój...

– No właśnie – rzucił Rafael tonem swobodnej konwersacji, po czym wepchnął mnie i Nadię na salę sądową.

## TRZYDZIESTY PIERWSZY

Wlokłam Nadię przejściem, choć nie widziałam, co znajduje się na końcu sali. Wydawała się nie mieć kresu. Wszystko było tu nieskazitelnie białe, nie dało się rozróżnić nawet ścian od sufitu i podłogi. W parę jardów stali Strażnicy. Żaden nawet nie mrugnął, kiedy przechodziliśmy.

– To tu? – dopytywała się Nadia.

– Tak, to tutaj – potwierdziłam. Osloniłam ręką oczy, wyętzając wzrok i wbijając go w oślepiającą jasność. Kiedy minęliśmy ostatniego Strażnika, w oddali dojrzałam niewielkie białe biurko i siedzącą przy nim postać. – Porozmawiamy z tym... Tym...

Nie potrafiłam znaleźć właściwego określenia dla osoby, na którą patrzyłam. Z bliska okazało się, że to kobieta, co bardzo mnie zaskoczyło, bo Malachi mówił o Sędzim jako o mężczyźnie.

Jednak przede mną siedziała bez wątpienia kobieta. W dodatku przypominała Dianę. Na tle śnieżnobiałych ścian jej czarna skóra i szaty stanowiły ciemną plamę, głębką i kojącą. Kobieta miała siwe włosy i uśmiechała się przyjaźnie. Dziwne, ale przez to wyglądała jeszcze bardziej przerażająco.

– Lela i Nadia. Przybyłyście nieco wcześniej, niż się spodziewałam, ale jesteście mile widziane.

– Jej głos był miękki i aksamitny jak karmel. – Zacznijmy przesłuchanie – podjęła ostrzej, głośniejsze, a wypowiedziane przez nią słowa zadzwoniły mi w głowie. – Zasada jest taka. Przedstawiasz swoje racje, a ja ogłaszam werdykt. Która z was zacznie? – Uśmiechnęła się i spojrzała na Nadię, ale ta wpatrywała się w podłogę.

Sędzia popatrzyła na mnie i wybuchnęła śmiechem.

– Słonko, czemu tak na mnie patrzysz?

– No, myślałam, że będzie pa.. – Naraz pojawiła mi się w głowie straszna myśl. A co, jeśli to mężczyzna, tylko taki zniewieściały, albo transwestyta? Co, jeśli ją... go... urażę?

Sędzia aż złapała się za boki, a jej śmiech odbił się echem od białych ścian.

– Jesteś taka zabawna, Lelo. Jestem kobietą. Pomyślałam, że tak byś wołała. No i miałam ochotę założyć szpilki.

Gapiłam się na nią, zastanawiając się, dlaczego nagle chciałabym paść przed nią na kolana i ukryć twarz. Przystała się śmiać. Przekrzywiła głowę i otaksowała mnie badawczym spojrzeniem.

*Ćmo, poznaj świecę.*

– Przedstaw swoją sprawę – powiedziała.

– Wysoki Sądzie – zaczęłam niepewnie – jestem tu, aby prosić o, eeee, rozważenie...

udzielenia pozwolenia Nadii na opuszczenie miasta – wyrzuciłam z siebie jednym tchem i zachwiałam się.

Sędzia pokręciła głową i uśmiechnęła się lekko.

– Słonko, nie sądzę, żeby twoja przyjaciółka była na to gotowa.

Serce mi zamarło, ale... usta nadal miałam sprawne.

– Ale ona potrzebuje...

Śmiech Sędzi był tym razem ostrzejszy, jakby suchy. Ranił mi uszy. Nadia opadła na posadzkę i zakryła uszy dłońmi. Chciałam jej pomóc, ale ręce i nogi przestały mnie słuchać. Sędzia pochyliła się ku mnie, jakby nie dotykała stopami podłogi. Poruszała się płynnie i bezszelestnie, miałam wrażenie, że unosi się w powietrzu, ale trudno było to stwierdzić, bo falujące szaty zakrywały wszystko.

– Uważasz, że wiesz, czego jej trzeba? Dziecko, nie wiesz nawet tego, czego sama potrzebujesz. Przyszłaś tu, myśląc, że zawrzesz ze mną układ. Liczysz, że uda ci się mnie przekonać, żebym ot tak, wypuściła twoją przyjaciółkę. Nie wiesz najwyraźniej, z kim masz do czynienia.

– Nie oczekuję, że Nadia zostanie wypuszczona ot tak.

Oczy Sędzi zabłysły drapieżnie. Odniosłam wrażenie, że mogłaby zjeść mnie na śniadanie. Albo jako przekąskę.

– Nie zamierzam cię zjeść, słonko – parsknęła.

Stanowiła dziwną mieszankę łagodności i surowości. Patrząc na nią, pragnęłam, żeby mnie przytuliła, a jednocześnie miałam ochotę wziąć nogi za pas.

– Lelo, czy chcesz, żebym cię wypuściła? Wiesz, że to zrobię. Nie należysz do tego miasta. Może kiedyś go potrzebowałaś, ale to już dawno za tobą. – Sędzia uniosła rękę i przed nami roztoczył się krajobraz Wsi. Jego piękno zapierało dech w piersiach. Mienił się złotem, był łagodny i tętnił życiem. Na jego widok ścisnęło mi się serce.

– Chcesz tam iść? – zapytała miękko.

– Tak. –

Nabrałam tchu, żeby wyartykułować propozycję, z którą przyszłam. Jeszcze tylko sekundę poświęciłam na myśl o Malachim. Jeszcze nie otrząsnęłam się po tym, co powiedział Rafael i nadal ciężko mi było znieść świadomość, że odchodzę bez pożegnania, bez podziękowania, bez przebaczenia za to, że źle go oceniłam. Lada chwila miałam zobowiązać się do czegoś, co rozdzieli nas na bardzo długo, jeśli nie na zawsze. Przemknęła mi przez głowę szalona nadzieja, że może mógłby zaczekać na mnie poza murami, ale szybko ją odrzuciłam – była samolubna, jak to zwykle ja. Z jakiej racji miałby poświęcać się dla mnie jeszcze bardziej? Nie. Tak było lepiej dla wszystkich. Ja tu zostanę, a on odejdzie. Będzie wolny, swobodny, bez tego ciężaru,



jakim dla niego byłam. Nareszcie nikt nie będzie mu ciążył, ranił go...

– Moja droga, opanuj wreszcie ten swój nadaktywny mózg i pomyśl, gdzie jesteś. Skup się, słonko. Powiedz, co masz mi do powiedzenia.

– Chcę, żeby Wysoki Sąd uwolnił Nadię, a w zamian zatrzymał mnie. – Zabrzmiało to odważniej, niż się czułam, choć i tak wiedziałam, że jej nie oszukam.

Oczy zaiskrzyły jej krwiożerczym rozbawieniem, na widok którego zatrząsły mi się nogi.

– Hmm. Uważasz, że stanowisz rozwiązanie tego problemu. Chcesz mieć wszystko pod kontrolą, naprawić szkody. To właśnie sprowadziło cię do miasta.

– Śniłam o tym miejscu już wcześniej, ale po śmierci Nadii wszystko się zmieniło. Byłam w jej głowie. I to mnie tu sprowadziło, wizje Nadii – wykrztusiłam. – Może przypadkiem Wysoki Sąd miał z tym coś wspólnego?

Usta jej drgnęły, jakby powstrzymywała śmiech.

– Odnosisz wrażenie, że zostałam zmuszona do przyścia tutaj? – Jej głos kipiał zarazem śmiechem i groźbą.

Serce zatrzepotało mi w piersi.

– Nie – wyszeptalam.

Wykrzywiła się drwiąco.

– Sama podjęłaś tę decyzję, wizje do niczego cię nie zmuszały. Mogłaś wybrać, mogłaś zostać w łóżku. Wiedziałaś, jak tu jest, a mimo to przyszłaś. Mogłaś też wybrać Wies. Ale tego też nie zrobiłaś. Sprowadziła cię tu wiara, że możesz uzdrowić Nadię, że jesteś magiczną pigułką, którą powinna wziąć.

Już miałam się zacząć z nią kłócić, ale powstrzymałam się i przemyślałam to, co powiedziała. Popelniając te wszystkie moje ofiarne uczynki, bazowałam na przekonaniu, że stanowią rozwiązanie problemu. A z tego, co wydarzyło się od chwili odnalezienia Nadii, wynikało, że to Sędzia ma rację. Uważałam, że potrafię uratować Nadię, ale nic, co zrobiłam, nie zmieniło jej sytuacji. Nie byłam w stanie uzdrowić mojej chorej przyjaciółki. Nawet tutaj, nawet teraz.

– Ale ja mogę to zrobić, słonko. I pozwolę, żebyś mi pomogła. Wiele przeszłaś, byłaś bardzo dzielna. Wiem, że dobrze skończysz. Dlatego otrzymasz ode mnie dar.

Sędzia przysunęła się do skulonej na posadzce, bezwładnej Nadii i położyła jej ręce na barkach.

– Spójrz na mnie – rzekła i Nadia podniosła na nią oczy. Sędzia pogłaskała ją po głowie, jakby moja przyjaciółka była małym dzieckiem. – A teraz wstań i podejdź tu.

Nadia dźwignęła się na nogi i postąpiła ku mnie. Miała spuszczone wzrok i wyglądała, jakby było jej słabo. Sędzia objęła ją ramieniem.

– Lela ma do ciebie kilka pytań. – Wskazała na mnie brodą. – No, dalej, słonko.

Nabrałam tchu i pozwoliłam wysypać się słowom.

– Dlaczego to zrobiłaś? To przeze mnie? Przez to, że byłam wtedy dla ciebie taka wredna? Przez to, że odeszłam?

Nadia wpatrywała się we mnie ze smutkiem takim dziwnym, szklistym wzrokiem. Już miałam się odwrócić. Już miałam zacząć błagać, żeby mi nie odpowiadała. Nie byłam pewna, czy chcę usłyszeć, co ma do powiedzenia.

Sędzia westchnęła i pocałowała Nadię w policzek. Oczy Nadii nabrały wyrazu, wyprostowała się i popatrzyła na mnie.

– Oczywiście, że to nie przez ciebie. Tylko dzięki tobie wytrzymałam tak długo. Mówiłam ci, że chciałam odkryć twój sekret. Czy wiesz, ile razy patrzyłam na ciebie, udając, że spoglądałam w lustro? Tak bardzo pragnęłam być silna jak ty. Długo czerpałam od ciebie tę siłę, pozwalała mi żyć. Ale dłużej już nie mogłam, Lela. Byłam taka zmęczona i nie chciałam już więcej cię oszukiwać. Zrozum, to wszystko było nieprawdziwe. Moje życie, ja sama. Przyjaźniłaś się z kimś, kto nie istniał. Uważałaś mnie za miłą, radosną osobę, ale ja taka nie byłam. Sądziłaś, że znam odpowiedzi, ale myliłaś się. Myślałaś, że będę przy tobie, że dotrzymam ci kroku, ale ja nie dawałam rady. Wiedziałam, że jeśli poznałabyś kiedykolwiek prawdziwą mnie, odeszłabyś. Jak każdy. Nie potrafiłam już dłużej wszystkich oszukiwać, udawanie stało się takie bolesne. – Nadia zamrugnęła, jakby zaskoczona faktem, że wypowiedziała aż tyle składnych zdań za jednym razem.

Ale bez względu na to, ile tych zdań było, dla mnie nie miały one sensu. Jak mogła wierzyć w coś takiego?

– Nie musiałaś niczego udawać. Kochaliśmy cię...

– Nie, kochaliście iluzję.

Naprawdę ją kochałam, ale w tej chwili miałam najszczerzą ochotę ją trzepnąć. Przecież nie byłam głupia, potrafiłam rozpoznać prawdziwą osobę od udawanej. Oczywiście, że potrafiłam. Żalowałam tylko, że nie okazałam jej tego, kiedy żyła. Ale nie zrobiłam tego. Oszukiwałam samą siebie, że wystarczy ją rozweselić i zaraz będzie lepiej. Tak jak inni udawałam, że nie widzę prawdziwej Nadii, bo za bardzo mnie to przerażało. Może przypominało mi to własną niegdysiejszą rozpacz i poczucie beznadziei. Może nie mogłam znieść myślenia o niej w tych kategoriach. Bałam się, że ode mnie odejdzie i właśnie to w końcu się stało.

Sędzia zatrzymała mój potok myśli.

– Pokaż jej – nakazała mi.

– Ale co?

– Swoją rękę.

Spojrzałam na Nadię i poczułam się nagle zakłopotana, że pod rękawem ukrywam wizerunek jej twarzy. Wydawało się to takie nieważne, żalosne i już było na to za późno.

Sędzia roześmiała się na głos.

– Słońce, jesteś jak serial, od którego trudno się oderwać. Nie jest za późno, ale będzie, jeśli nie potraktujesz mnie w końcu poważnie. Weź się w garść i pokaż przyjaciółce tatuaż, zanim się rozzłoszczę. – Przestała się uśmiechać i wbiła we mnie to swoje przenikliwe, prześwietlające duszę spojrzenie. *Ajj*. Pospiesznie podciągnęłam rękaw i wyciągnęłam rękę.

– A teraz powiedz Nadii, dlaczego tu jesteś.

Milczałam nadal wściekła. Na nią. Na siebie.

– Słonko, masz jedyną okazję – rzekła Sędzia. – Zaufaj mi. Nie zmarnuj szansy, którą ci daję.

Usłyszałam ostrzegawcze nuty w jej tonie. Nerwowo przełknęłam ślinę. Nadia wpatrywała się w moje przedramię. W porządku, niech będzie. Może zdołałam jej wynagrodzić te wszystkie zawody, jakie jej sprawiłam.

– Może i miałam wolę życia, ale nie żyłam naprawdę. Ty mnie ocaliłaś, choć nie wiedziałam, że potrzebuję ocalenia. Pokazałaś mi taką przyszłość, o której nawet dla siebie nie marzyłam. Dopiero wtedy zaczęłam prawdziwe życie. – Nadia skrzywiła się, ale potem popatrzyła na mnie, więc ciągnęłam. – Nie byłabym tu z tobą, w tym zwariowanym miejscu, gdybyś nie zrobiła dla mnie tego wszystkiego. Przyszłam dlatego, że tyle dla mnie znaczysz. Przyszłam, bo cię kocham. I nigdy nie uważałam, że jesteś doskonała. Widzisz swoją twarz na tatuażu? Wreszcie ujrzałam prawdziwą siebie i wiesz co? Właśnie taką cię kocham. Tę prawdziwą, tę, po którą tu przyszłam. Posłuchaj, wybac mi, że się odcięłam, kiedy miałaś problemy, że bałam się dopuścić do siebie, co naprawdę się z tobą dzieje. Wybac, że uciekłam. Może nie byłoby nas tu, gdybym cię wysłuchała, gdybym podjęła wyzwanie. Przepraszam, że tak to spieprzyłam, ale naprawdę cię kocham. I tak bardzo żałuję, że nie powiedziałam ci tego za życia.

Nadia gapiała się na mnie, a w jej oczach coś mignęło, jakby udało mi się ją poruszyć. Ale było to tylko mignięcie. Żadne objawienie, żadne wielkie dzwony.

Spojrzałam bezradnie na Sędzię.

– Nie wiem, co jeszcze powiedzieć.

– Może na razie tak to nie wygląda, ale wierz mi, wystarczyło. To dobry początek. – Sędzia odwróciła się do Nadii i położyła jej na policzku dłoń o długich, polakierowanych na fioletowo paznokciach.

– Nadio. Przepelnia cię ból. Spójrz na mnie. Chcesz poczuć się lepiej?

Powiedz, że tak. Powiedz, że tak. Ale Nadia wydawała się niepewna. Nie mogłam w to uwierzyć!

I po chwili, nagle, przypomniałam sobie coś.

Malachi mówił, że niektórym łatwiej jest pozostać w chorobie, niż wyzdrowieć. Nadii łatwiej było zaakceptować fakt, że jest samotna i beznadziejna, niż uwierzyć, że jest warta miłości.

Było mi jej tak żal, że aż zachciało mi się płakać. I naraz zdałam sobie sprawę, że Sędzia zrobiła to wszystko dla mnie, nie dla Nadii. Nie mogłam pomóc Nadii, nie było takiej możliwości. Nadia musiała sama dojść do pewnych wniosków, nie mogłam zrobić tego za nią. Jedyne, co leżało w mojej mocy, to wyznanie, co do niej czuję i jak wiele dla mnie znaczy. Sędzia umożliwiła mi tylko wysłuchanie Nadii i wyznanie jej swoich uczuć. To był ten dar, szansa zrozumienia przyjaciółki i wybaczenia jej tego, że mnie opuściła.

Sędzia delikatnie ujęła Nadię za ramię i odwróciła ją ku mieniącej się barwami Wsi.

– Widzisz to, co jest przed tobą?

– Nie wiem – szepnęła Nadia, mrużąc oczy.

– Popatrz – poinstruowała ją Sędzia. – Ujrzyj to, co przed tobą.

Nadia jęknęła i rozplakała się.

Sędzia popatrzyła na mnie przez ramię.

– Dobrze, Lelo, przyjmuję twoją propozycję. Nadia zostanie wypuszczona. Uznaj to za zwolnienie warunkowe. A ty...

Podwoje otworzyły się z hukiem, wpuszczając do środka falę hałasu.

– Czekaj!

Odwróciłam się gwałtownie. Zobaczyłam, jak Malachi wymachuje kijem, kładąc czterech Strażników stojących najbliżej drzwi. Poruszał się z zabójczą precyzją, a na jego obliczu malowały się straszliwa determinacja i rozpacz. Musiałam zatkać sobie usta dłonią, żeby go nie zawołać. Z całej siły musiałam się powstrzymać, żeby do niego nie pobiec.

– Malachi – szepnęła Sędzia chrypliwie, biorąc się pod boki. Ona najwyraźniej nie była pod wrażeniem.

– Malachi, Malachi – mamrotali Strażnicy, rozglądając się wokół czujnie. Ci bliżej drzwi cofnęli się jak jeden mąż, a reszta postąpiła za ich przykładem, usuwając się przed zabójczymi wymachami kija.

Widząc, że nikt nie zamierza go powstrzymać, Malachi odrzucił kij i zaczął biec w naszą stronę, nie spuszczać oczu z Sędzi.

– Nie! Proszę! Błagam o posłuchanie! – krzyczał. Wyhamował parę jardów ode mnie i padł na kolana, unosząc w górę ręce.

Sędzia zaśmiała się, spoglądając na niego z góry.

– Zmienileś się od czasu, kiedy wpadłeś tu po raz pierwszy, ale widzę, że nadal masz słabość do melodramatycznych wejść.

Malachi spuścił głowę i oparł się rękami o uda.

– Wybacz – wydyszał. – Chcę zwrócić się z prośbą o wysłuchanie.

– Pod tym względem też się nie zmienileś, nadal jesteś tak samo arogancki. Przerwałeś mi

przesłuchanie, chłopcze. – Głos Sędzi zagrzmiał zwielokrotnionym echem, jakby jednocześnie przemawiało tysiąc Sędzich. Zasłoniłam na chwilę uszy.

Malachi drgnął, ale nie podniósł głowy.

– Wybacz mi moją arogancję. Błagam, wysłuchaj mnie.

Sędzia zbyła go machnięciem ręki.

– Możesz poczekać, aż wydam wyrok na te dwie. – Jednak jej uśmiech przeczył słowom.

Czekała.

Och, nie! Malachi zaraz...

– Chcę zaofiarować siebie.

Uśmiech Sędzi stał się jeszcze bardziej promienny, a jej oczy zaiskrzyły satysfakcją. Błysnęły białe jak ściana zęby.

– Wysłucham cię.

Malachi podniósł na nią wzrok.

– Zobowiązuję się służyć ci w zamian za uwolnienie tych dziewcząt.

Sędzia wskazała na Nadię.

– Wolność tej została już opłacona.

Malachiemu zaokrągliły się oczy.

Nie – odwrócił się do mnie. – Lela, proszę, nie. Nie masz pojęcia, co robisz. Nie wiesz, jak to jest ciągle próbować dorównać Strażnikom. Wieczne zagrożenie, wyczerpanie, samotność – Jego twarz wykrzywiła się w grymasie cierpienia. – Proszę, nie rób tego.

– Muszę – uśmiechnęłam się do niego smutno.

Malachi zwrócił się do Sędzi z hardą miną.

– Mazikiny zrobiły wyłom w murze. Tylko ja mogę sobie z tym poradzić, szczególnie teraz, gdy nie ma już Any. Potrzebujesz mnie. Lela nie będzie w stanie, jest nowa, musi się jeszcze wiele nauczyć...

– No nie wiem – powiedziała Sędzia, przeciągając zgłoski. Podpłynęła i położyła mi rękę na ramieniu. – Lela jest bardzo zdolna. Nie doceniasz jej.

Malachi zamknął oczy i skinął.

– Tak, wiem, do czego jest zdolna. Ale ja będę lepszy. Służyłem tu już siedemdziesiąt lat. A to będzie przełomowy okres.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – zagruchała Sędzia, machinalnie gładząc mnie po włosach. – Powiedz mi, Malachi, co skłoniło cię do wdarcia się tutaj po raz drugi? Nikt w całej historii nie był na tyle bezczelny. Co cię tu przywiodło?

– Przecież wiesz.

Sędzia zatrzymała dłoń w pół ruchu, a potem złapała w palce garść moich włosów. Nie

pociągnęła za nie, ale mimo to nie odważyłam się nawet drgnąć.

– Oczywiście, że wiem. Ale chcę to usłyszeć od ciebie, chłopcze. Rozchmurz się! To twoja szansa, żeby powiedzieć jej, co leży ci na sercu. Tym razem ci nie przerwie.

Malachi westchnął, spoglądając na mnie z taką miną, że mimo dzielącego nas dystansu, przepaliło mi się kilka obwodów w mózgu.

– Jestem tu ze względu na to, jak na mnie patrzyła. Powinna się mnie bać. Zrobiłem kilka strasznych rzeczy. Większość ludzi uznałaby, że jest się czego bać.

Patrzyłam na niego zdumiona, z jaką łatwością powtarza moje słowa.

– Ale ona patrzyła na mnie inaczej, jakby widziała we mnie kogoś innego, kogoś wspaniałego, wartego poznania. I była jedyną osobą, której udawało się ze mnie wydobyć tego człowieka. Wiele mnie nauczyła, wiele mi dała. Ofiarowała mi coś wspaniałego. Wizję siebie samego, inną od tego, kim byłem. Lepszego mnie, ale wciąż mnie. Dała mi marzenia o przyszłości, o tym, kim mogę się stać. Nie sądzę, żeby w ogóle zdawała sobie sprawę z tego, ile życia we mnie wlała. Przychodziło jej to z taką łatwością.

Objął się ramionami, jakby obawiał się rozpaść. Wiedziałam, co zaraz nastąpi. Omal nie rzuciłam się ku niemu, ale powstrzymała mnie ręka Sędzi wpleciona w moje włosy.

– Nie wiem, czy ja zrobiłem dla niej to samo – ciągnął cicho. – Skoro tu jesteśmy, to raczej wątpię. Ale to nieważne. Nie zmienia to moich uczuć wobec niej. Kocham ją i zrobiłbym dla niej wszystko.

Nikt przez całe życie nie powiedział mi tego. Nikt mi jeszcze nie powiedział, że mnie kocha. A teraz zrobił to ten chłopak, obcy, groźny, cudowny chłopak.

Sędzia puściła mnie i zaklaskała kilka razy.

– Jakież to słodkie, Malachi. Tym razem zakłóciłeś moją pracę i pobiliś Strażników z bezinteresownych powodów. To postęp.

Malachi uniósł brwi, a w jego oczach zapłonęła nadzieja.

Zgasła jednak, kiedy Sędzia wypowiedziała kolejne słowa.

– Ale to nie zależy od ciebie. Lela, to twój wybór. – Zwróciła na mnie czarne oczy. Skurczyłam się w sobie. – Zdecydujesz o jego losie i o swoim własnym. Jeśli pozwolisz mu pełnić tu służbę po wsze czasy, ty i Nadia będziecie mogły odejść. Jeśli nie, zostaniesz tu tak długo, jak będziesz mi potrzebna. Nadia będzie mogła odejść, ale ty zostaniesz i podejmiesz się obowiązków.

Popatrzyłam na Nadię, która zdrowa i szczęśliwa będzie grzała się w złotym słońcu na Wsi. Mogłam z nią iść, unikając przeżywania bólu i grozy służenia w Straży. Nie musiałabym już nigdy walczyć. Spokój i szczęście były na wyciągnięcie ręki. Mogłam mieć to, czego nie znalazłam podczas ziemskiego życia.

Tyle że... Były jeszcze te chwile spędzone z Malachim, kiedy wszystko nagle znalazło swoje

miejsce. Te chwile dały poznać przedsmak szczęścia, miłości, całkowitego zadowolenia. Patrzałam na niego, widziałam jego błagalne spojrzenie, którym prosił, bym się go wyrzekła, bym porzuciła go, zapomniała o nim, odeszła z Nadią i była szczęśliwa. Jak mogłabym zrobić coś podobnego? Dał mi tak wiele w zamian za tak niewiele. Okazało się, że była to jedyna rzecz, jaką mogłam mu ofiarować. Słowa Any rozbrzmiały mi w głowie:

„Dopilnuj, żeby opuścił miasto. Proszę, bez względu na wszystko, dopilnuj tego”.

– Zrobię wszystko, co będzie trzeba – szepnęłam.

– Proszę? – dopytywała się Sędzia. – Mów głośniej, słonko. – Jej przepastne czarne oczy błyszczały oczekiwaniem.

Popatrzyłam na Malachiego, usiłując zapamiętać każdy szczegół jego doskonale pięknej twarzy.

– Chciałam iść z tobą. Bardzo tego pragnęłam. I będę hołubiła to w sercu już na zawsze, to marzenie o tobie oświetlonym promieniami słońca. Dziękuję ci za wszystko. Za to, że tyle poświęciłeś dla kogoś takiego jak ja.

Wstał z nadzieją.

– Lela, przyjmiesz moją propozycję? Pozwolisz mi...

– Dbaj o siebie, Malachi – wyrzuciłam z siebie i odwróciłam się do Sędzi, nie będąc w stanie spoglądać mu w oczy. – Wypuść go. Zabierz mnie.

Nagle wydarzyło się kilka rzeczy jednocześnie.

Malachi krzyknął:

– Nie! – I rzucił się ku nam.

Sędzia poruszyła dłoń, posyłając go na tył sali. Wylądował na Strażnikach, którzy skupili się w grupkę pod drzwiami.

Potem Sędzia z szerokim uśmiechem zasłoniła mi go i zbliżyła się, przypierając mnie do biurka. Nagle stała się jakby większa.

– Będziesz dowodziła moją nową jednostką – oświadczyła wesoło. – Mam nadzieję, że lubisz podróżować?

Łypnęłam na nią.

– Podróżować? Po tym mieście?

– Słyszałaś Malachiego. Mur został naruszony. Mazikiny uciekły. Słyszałaś kiedyś, jak ktoś mówił o rozpętanym piekle? To wyrażenie ukuto w czasach ich poprzedniej ucieczki. Będziesz dowodziła jednostką terenową, której zadaniem będzie wytropienie ich, zanim zdołają utworzyć stanowiska poza murami.

– Idę na Wieś? – wydukałam, kiedy zdołałam już się otrząsnąć.

Śmiech Sędzi wybił się ponad wrzawę i krzyki wyrrywającego się Strażnikom Malachiego. Ale

te wrzaski oznaczały przynajmniej, że nic mu nie było. Że żył.

– Nie, słonko. Jest gorzej, niż myśleliśmy. Mazikiny przedzierają się właśnie przez granicę pomiędzy życiem a zaświatami. Posłuchaj, będzie ciężko, ale zapamiętaj to sobie, że nieważne, co się stanie, bo nie zmierzysz się z niczym, z czym nie mogłabyś sobie poradzić. I nie będziesz sama.

Przyłożyła mi dłonie do twarzy tak, że nie widziałam już nic poza nią. Zrobiła to delikatnie, ale kontakt z jej skórą wywołał we mnie dziwaczne wrażenie, jakby zaraz miał we mnie uderzyć piorun.

– Teraz stąd odchodzisz. Witaj w Straży. Powodzenia.

Błysnęło, a potem wszystko zniknęło.



## TRZYDZIESTY DRUGI

Leżałam na plecach, wpatrując się w purpurowo-pomarańczowe niebo. Poniżej fale rozbijały się o skały. Nie mogłam swobodnie oddychać. Umysł pracował gorączkowo, starając się określić, gdzie jestem i jak się tu dostałam. Usiadłam, rozejrzałam się wokół. Znajdowałam się na skalistej ścieżce, dokładnie w tym miejscu, gdzie wszystko się zaczęło. Pomacałam się po twarzy, włosach, spojrzałam na klapki na nogach.

Nie umarłam. To wszystko nie działo się naprawdę.

Zamknęłam oczy.

Wszystko, co przeżyłam, wydarzyło się tylko w mojej głowie. Jego również tylko sobie wymyśliłam. Nie istniał w rzeczywistości.

– To oznacza, że naprawdę jestem stuknięta – powiedziałam na głos, oszołomiona. Malachi wydawał się przecież taki autentyczny.

W tym momencie uświadomiłam sobie, że ktoś siedzi obok mnie.

Cofnęłam się i zobaczyłam... Najbardziej przeciętnego człowieka pod słońcem.

– Musisz się zbierać – oznajmił. – Niedługo będą tu turyści. I wcale nie jesteś stuknięta. Przynajmniej nie oficjalnie. Chodź. – Wstał.

– Rafael?

Uniósł brwi i przyjrzał mi się uważnie.

– Uderzyłaś się w głowę czy co?

– Nie. Ale nic nie rozumiem. – Nie mogąc wyjść z osłupienia, podniosłam się i popatrzyłam w przepaść. Tak wyraźnie pamiętałam własny upadek.

Rafael przytrzymał mnie za rękę.

– Nie chcesz tego robić, uwierz.

– Posklejałeś mnie jakoś czy co?

– Nie. Zostawiłaś mi niezły bałagan do uprzątnięcia. – Łypnął na mnie ponuro. – To tak jak z samobójcą w mrocznym mieście. Jeśli ciało ulega zniszczeniu, człowiek pojawia się przed Bramą w nowym. Ta sytuacja jest niezwykła, ale obowiązują te same zasady.

Serce zabiło mi szybciej.

– Czyli naprawdę umarłam?

– Lepiej uwierz mi na słowo. – Gestem nakazał mi odsunąć się od brzegu urwiska, odwrócił się i ruszył ścieżką.

Podreptałam za nim.

– To twoje nowe zadanie – powiedział. – Twoja jednostka będzie miała bazę tutaj. Wasza misja polega na odszukaniu i wyeliminowaniu Mazikinów.

Przebiegł ulicę i skierował się w stronę mojego samochodu.

Rozejrzałam się po szosie.

– To Rhode Island, tak? Chodzi mi o to, że nie żaden piekielny wymiar, który tylko wygląda jak Rhode Island?

Rafał wręczył mi kluczyki.

– Sądzimy, że Sil wylądował gdzieś w tej okolicy, ale nie jesteśmy pewni, gdzie dokładnie. Ale to dobre miejsce, żeby zacząć.

– Zaraz, zaraz, czy to nie nazbyt dogodne? Sil przedostaje się przez wyrwę, która przypadkiem wychodzi na Rhode Island, z którego przypadkiem pochodzę?

Popatrzył na mnie z kamienną twarzą.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Zakręciło mi się w głowie, musiałam oprzeć się o samochód.

Wróciłam. Żyłam.

Ale byłam martwa.

I w dodatku miałam walczyć z Mazikinami w Rhode Island. Zapowiadało się ciekawie, ale to dobrze, bo będzie czym zająć głowę, żeby nie myśleć o innych sprawach.

A przynajmniej o jednej dużej sprawie.

Hm... Tylko co teraz?

– Wrócisz do swojego starego życia. Skontaktujemy się z tobą, jak dopniemy pewne rzeczy. Sędzia uważa, że powinna skończyć liceum. Bardzo popiera edukację. Ale szybko przystąpisz do zadania.

Przewróciłam oczami. Nie zdołałam zliczyć, jaką dawkę dziwności zawierała jego wypowiedź. Rafał spojrział na mnie wyczekująco, a potem wskazał samochód.

– No, wsiadaj. Jedź i bądź zwyczajną amerykańską nastolatką.

Złapałam za klamkę, ale nie mogłam się zmusić, by ją pociągnąć. Chciałam zostać z nim jeszcze chwilę. Jeśli był prawdziwy, to oznaczało, że i Malachi był prawdziwy.

Rafał poklepał mnie po ramieniu.

– No, dalej, zapytaj, Lela.

– Co z nim? Wpuściła go na Wieś?

Chciałam móc marzyć o nim stojącym w promieniach słońca. Nawet jeśli miałam nigdy tego nie ujrzeć, mogłam przynajmniej wyobrazić go sobie z tym zabójczym uśmiechem na twarzy. Przejmowało mnie to szczęściem i smutkiem jednocześnie.

– Nie.

Jakby mnie ktoś dzielił w głowę.

– Co?! Przecież powiedziała, że jak się zgodzę jej służyć, to go uwolni!

– Nie do końca tak to brzmiało. A wtargnięcie na salę sądową i przerwanie przesłuchania musi mieć swoje konsekwencje. Ona poważnie traktuje takie wysoki. – Ścisnął mnie pocieszająco. – Zdegradowała go i skazała na kolejny okres służby.

Łzy popłynęły mi z oczu. Myślałam o tamtej nocy na wieży Strażnicy i jego tęsknej minie, kiedy spoglądał poza mury miasta.

– Och, nie – wykrztusiłam. – To moja wina.

Rafael uśmiechnął się współczująco.

– A ty znowu swoje, Lela. Malachi dokonał wyboru. Znał konsekwencje, zanim wdarł się na salę. Nie był zaskoczony jej decyzją.

Ukryłam twarz w dłoniach i załkałam. Nie mogłam znieść myśli, że odebrałam mu wszystko – szansę na wolność, na odpoczynek, na szczęście. Poświęcił to wszystko na próżno. Rafael pogłaskał mnie po plecach, ale milczał. Nie miało to znaczenia. I tak żadne słowa nie były w stanie mnie pocieszyć.

– Jak się czuje? – zapytałam cicho.

– Malachi zna swoje obowiązki i po prostu je wypełnia.

Zacisnęłam zęby, żeby nie zacząć krzyczeć ze złości.

– Nie o to pytałam.

– Nic mu nie jest, Lela, nadal jest sobą. Zaraz po twoim odejściu został wyznaczony do niezwykle niebezpiecznej misji.

Machnęłam, żeby już przestał mówić. Zakryłam ręką usta, tłumiąc łkanie. Nie chciałam wiedzieć nic więcej. Już i tak czułam się winna. Szarpnęłam drzwiczki.

– Będę czekać, aż się odezwiesz – zdołałam wydusić, potem wsiadłam do samochodu, trzasnęłam drzwiami i odjechałam.

Obudziło mnie wpadające przez okno jasne słońce. Otworzyłam oczy, mając na świeżo w pamięci sen o Nadii. Byłam w jej głowie, widziałam to, co ona, czułam to, co ona. Siedziała na brzegu morza zapatrzona w błękitne, przejrzyste fale. Przez ułamek sekundy bałam się, że zamierza się utopić, ale zaraz uzmysłowiłam sobie, że jej myśli przepelnia spokój. Ktoś siedział obok niej. Nie patrzyła na tę osobę, więc nie widziałam twarzy, ale ten ktoś trzymał ją za rękę. Była szczęśliwa. Była kochana i wiedziała o tym. Nie chciała już być kimś innym. Nie chciała nic ponad to, co miała.

– Dziękuję – wyszeptałam i potarłam palcami tatuaż. Cokolwiek mnie czekało, łatwiej będzie mi to znieść, wiedząc, że Nadia jest na Wsi.

Przetarłam oczy. Słońce. Wydawało się teraz takie obce. Przywykłam do ciągłego mroku.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak? – mruknęłam nieprzytomnie. Spałam niecałą godzinę.

Diana wsadziła głowę do pokoju i uśmiechnęła się promiennie. Przypomniała mi się twarz Sędzi tuż przed tym, jak mnie odesłała. Wzdrygnęłam się.

– Słonko, już po ósmej. Zaraz się spóźnisz, jeśli natychmiast nie ruszysz zadka z wyrka. Znasz zasady.

Usiadłam. Przyjrzała mi się z troską.

– Jak się czujesz?

– Dobrze – skłamałam.

– Świetnie. Dzisiaj o drugiej masz wizytę u lekarza. Zabiorę cię ze szkoły.

Czyli nie wierzyła, że pójdę tam sama.

Kiwnęłam głową. Zamierzałam współpracować... Do pewnych granic. Przewidywałam, że się wkurzy, kiedy powołam się na prawo do odmowy badań, ale nie byłam w nastroju na chwaleńskie się nowiutkimi bliznami. Liczyłam, że przekonam lekarza o tym, że jestem zdrowa na umyśle bez zdejmowania ubrania.

Ubrałam się i pojechałam do szkoły. Po drodze słuchałam głośnej muzyki, żeby zagłuszyć myśli o Malachim, o jego minie, kiedy poświęciłam się za jego wolność, za wolność, której nie otrzymał. Staralam się nie rozważać, co może się z nim teraz dziać. Część mojego mózgu usiłowała wykombinować jakiś sposób powrotu do miasta, ale tak naprawdę wiedziałam, że jeśli targnę się na własne życie, nigdy nie będziemy mogli być razem. Wiedziałam już, że to tak nie działa.

Zatrzymałam się na parkingu uczniowskim, ale nie wysiadłam od razu. Kilka miejsc dalej Tegan zaparkowała swoje bmw. Wysiadła niczym wcielenie idealnego stylu podkreślonego odpowiednio dobranymi dodatkami i pobiegła do grupki dawnych przyjaciół Nadii, wdzięcznie przyjmując uściski i smutne uśmiechy.

A potem odwróciła się, jakby zapomniała zabrać coś z auta. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Pomachała do mnie. Jako nowa królowa uła postanowiła pewnie zdobyć się na wielkoduszność i przejąć pieczę nad dobroczynnym projektem Nadii.

Uznałam, że to dla mnie zbyt wiele. Odmachałam jej, posyłając przyjacielski, jak miałam nadzieję, uśmiech, złapałam za torbę i pobiegłam na tyły szkoły.

Już od roku nie paliłam, ale teraz naprawdę potrzebowałam papierosa.

Ogrodzenie jak zwykle podpierało stadko młodocianych palaczy żądnych przedlekcyjnego dymka. Łypnęłam złowrogo na Brudne Dżinsy. Wykrzywił się drwiąco, potem odwrócił i zaczął mamrotać coś do kumpli. Miałam ochotę zacześcić go i wywołać bójkę, żeby dać upust smutkowi i złości. Obserwowałam go uważnie, sępiąc papierosa od jakiejś dziewczyny. Oceniałam go pod

kątem słabych punktów.

– Przepraszam, gdzie jest biblioteka? – zapytał ktoś z wyraźnym, urywanym akcentem. Okręciłam się błyskawicznie.

W słońcu wyglądał inaczej.

Wszystko w nim było bardziej wyraziste. Rysy jego twarzy, blask czarnych włosów, głębia ciemnych oczu. Ale to był on. Prawdziwy. Malachi.

Podbiegłam i dosłownie wskoczyłam na niego, z rozpędu popychając na ogrodzenie. Otoczyłam go rękami za szyję i nogami w pasie, przywierając do niego mocno, przestraszona, że jest tylko wytworem mojej wyobraźni i może lada chwila zniknąć. Musiał złapać się ogrodzenia, żebyśmy się nie wyrócili.

– Przepraszam bardzo – powiedział napiętym głosem. – Nie zostałem zapoznany z amerykańskim powitaniem tego rodzaju.

Odsunęłam się zaskoczona. Nie takiej reakcji się spodziewałam. Uniósł brwi, wyraźnie stropiony. Ja również.

– Malachi?

– Tak mam na imię. Jestem uczniem z wymiany zagranicznej. – Robił wrażenie oszołomionego.

Cała krew odpłynęła mi aż do stóp.

– Nie znasz mnie? – wyszeptalam. To był najokrutniejszy z kosmicznych żartów.

Jeszcze przez chwilę udało mu się zachować zdziwioną minę, a potem wyraz jego twarzy przeobraził się zupełnie, a zabójczy uśmieszek przywrócił krążenie w moich żyłach.

– Niespodzianka!

Trzepnęłam go lekko w ramię.

– Ty draniu! – warknęłam przez zęby, ale przywarłam do niego mocno.

Objął mnie, wplatając dłoń w moje włosy.

– W słońcu jesteś jeszcze piękniejsza, Lelo.

Jego pocałunek był dziki i słodki równocześnie. Zarobił sobie nim salwę sarkastycznych wiwatów od podparkanowych palaczy. Ale miałam to gdzieś. Smakował tak jak wcześniej, tylko zdecydowanie lepiej.

Ktoś przeszedł obok, zderzając się mocno z moim barkiem.

– Radzę ci, koleś, zwiąż tę sukę, zanim ją...

Ręka Malachiego wystrzeliła, chwytając Brudne Dżinsy. Malachi oderwał się od moich ust, ale nadal mocno mnie przytrzymywał.

– Wybacz – rzekł spokojnie, przyglądając się siniejącemu, miotającemu się łobuzowi. – Nie znam tak dobrze angielskiego i prawdopodobnie coś źle zrozumiałem. – Przytrzymał Brudne

Dżinsy jeszcze przez parę sekund, po czym puścił go, uśmiechając się przyjacielskim uśmiechem, który wcale a wcale nie mówił „mogę cię zabić jedną ręką”. – Możesz powtórzyć?

Brudne Dżinsy zatoczył się w tył i pomasaował sobie gardło, spoglądając spod oka na kolegów, którzy nagle przytulili się do ogrodzenia, pilnie wpatrując w czyste, błękitne niebo. Wymięte Brudne Dżinsy zmierzył Malachiego niechętnym spojrzeniem, a potem łypnął na mnie. Uśmiechnęłam się do niego szeroko, nadal opleciona wokół Malachiego niczym ośmiornica. Chłopak potrząsnął głową i odszedł.

Malachi pogładził mnie po policzku.

– Widzisz? – rzekł dumnie. – Jestem niezastąpiony w tego typu operacjach. I fantastycznie nawiązuję przyjaźnie.

– Rafael powiedział mi, że zostałeś skazany na dalszą służbę. Tak mi przykro, Malachi...

Pokręcił głową, a potem przytknął czoło do mojego.

– Ciii. Dostałem dokładnie to, czego potrzebowalem. Nie chciałbym być gdzie indziej.

Odetchnęłam ostrożnie, bojąc się, że w każdej chwili może zniknąć.

– Naprawdę tu jesteś?

Pocałował mnie lekko.

– Kapitanie! Porucznik Malachi Sokol, melduje się na służbie!

– Słucham?!

– Zostałem przydzielony do oddziału terenowego – wyszeptał, trącając mnie nosem w szyję.

O, Boże. Dopomóż.

– Obawiam się, że już wykazałem się rażąco niesubordynacją.

– No dobrze – zaśmiałam się, z trudem łapiąc dech. – Rozkazuję ci zatem mnie pocałować.

Uniósł brew, a resztę słów wypowiedział tuż przy moich ustach, wzbudzając dreszcze, które przeszły mnie aż po stopy.

– Tak jest.

# PODZIĘKOWANIA

Chciałabym podziękować Kathleen Ortiz, mojej niesamowitej agentce, za przeprowadzenie mnie przez cały proces twórczy, zagrzewanie, uspokajanie oraz za to, że była racjonalna (i miała przeważnie rację), wesoła, cierpliwa, a w razie konieczności groźna. Becky Yeager za wyciągnięcie mojego rękopisu z oceanu słodczy i uhonorowanie określeniem „paliwa dla koszmarów”. Nancy Coffey za motywujące gadki, których nigdy nie zapomnę, a Joannie Volpe za wsparcie i strategowanie. Courtney Miller za to, że dała Leli szansę oraz za to, że była nieustraszonym adwokatem tej opowieści. Jayne Carapezzi za ulepszenie powieści. I Czarnemu Królikowi, który wycisnął ze mnie łzy, zamykając całą historię w jednym mocnym obrazie.

Nie przetrwałabym bez moich piszących przyjaciół. Moich beta-readerów, JD, Jaimego Lawrence’a, Jenn Walkup i Stiny Lindenblatt – dziękuję wam za surową miłość i nieustające wsparcie. Moją ulubioną nastoletnią krytyk, Leah Block, proszę, żeby nie przedstawiała mnie naprostowywać. Dziękuję wirtualnym znajomym, którzy stali się bliskimi przyjaciółmi, Lydii Kang, łasce wcielonej w elektroniczną formę, i Brigid Kemmerer, mistrzyni sprowadzania na ziemię, która podsyłała mi literacki odpowiednik prawdziwego ciacha, gdy tylko tego potrzebowałam. Dzięki Tobie całe to pisanie okazało się bardziej satysfakcjonujące, niż się spodziewałam.

I wreszcie wszystkim, którzy wpierali mnie w świecie rzeczywistym, w „realu”. Paulowi Blockowi za to, że był lepszym mentorem, niż na to zasługuję (a także za niewyczerpany zapas M&Mów w Twoim biurze) oraz Liz Cantor za to, że jest po prostu fajna. Moim pięknym siostrą, Cathryn i Robin, za sprawianie mi przyjemności, że są tym, kim są (i za nazywanie mnie starszą siostrą). Mojej mamie, Julie, za to, że jest najlepszym słuchaczem na świecie, oraz tacie, Jerry’emu, za mądrość i poświęcenie tysięcy godzin na czytanie swoim córkom. Joey’owi za wyrozumiałość, kiedy w ciągu jednej nocy przemieniłam się z rozsądnej osoby w szalonego pisarza i nigdy już się nie odmieniłam z powrotem. A także Asherowi i Almie, którzy nauczyli mnie, jak silna może być miłość. Bez was bym tego nie zrobiła.